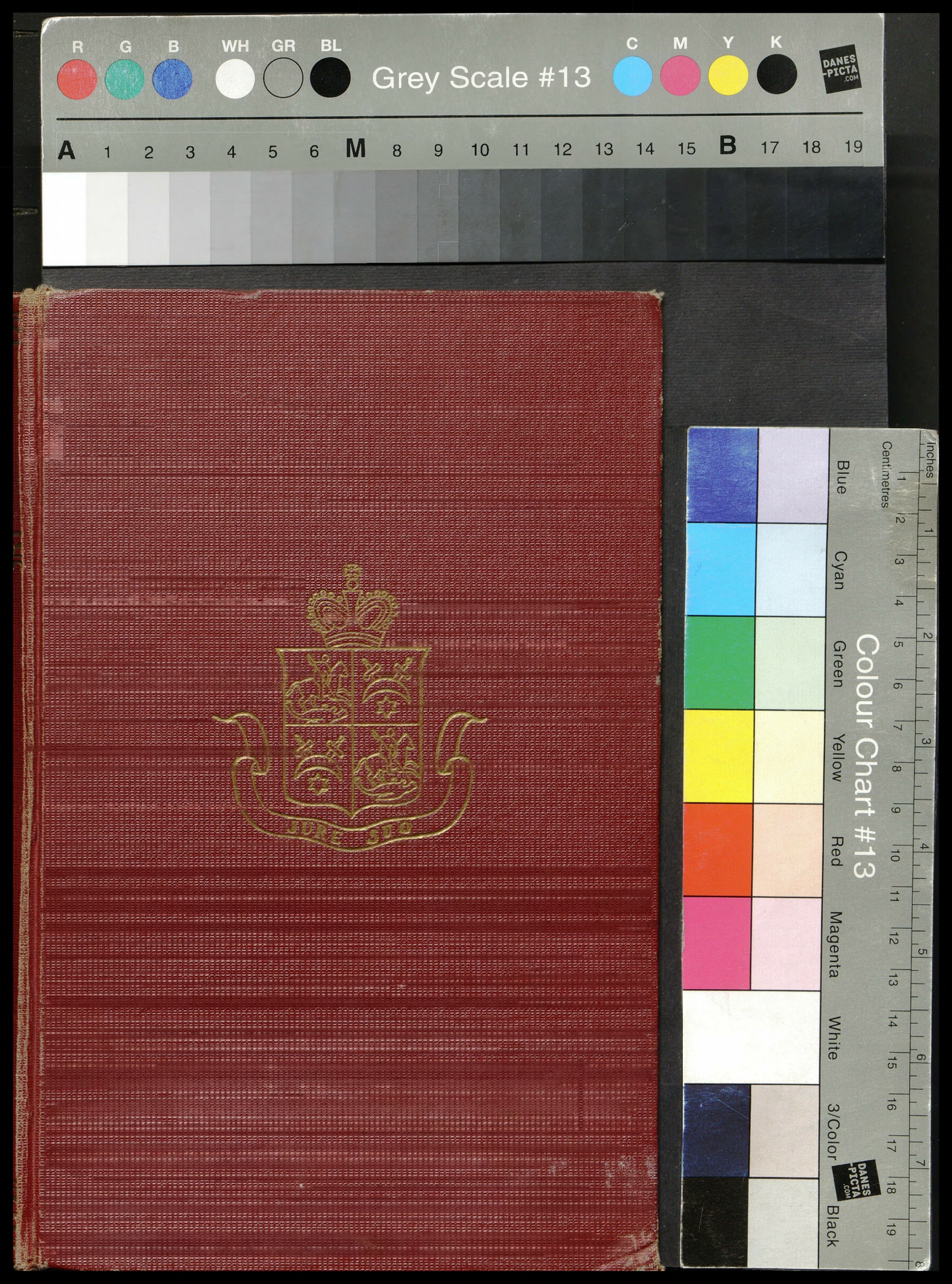
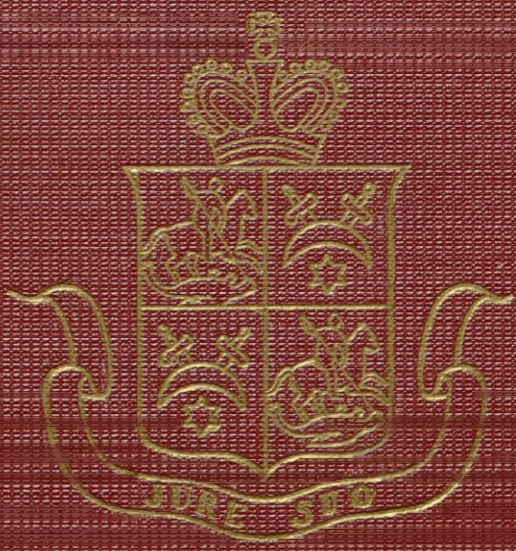
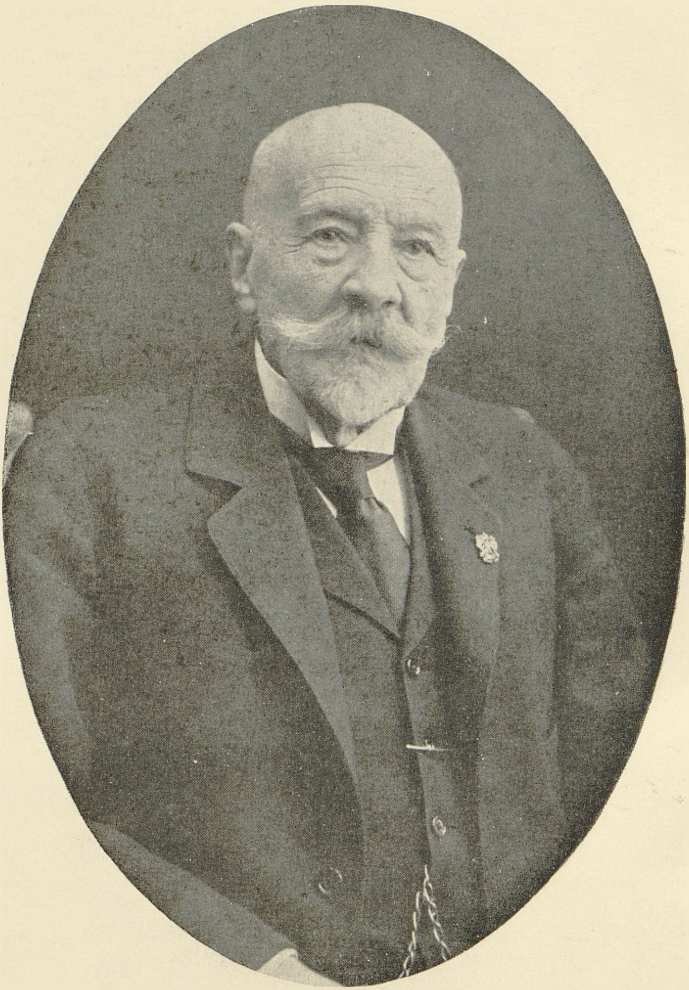

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
JURE SUO


JURE SUO

WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI

NA WOZIE I POD WOZEM



WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI
W CZASIE PISANIA PAMIĘTNIKÓW

WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI

NA WOZIE I POD WOZEM

(1837—1917)

WSPOMNIENIA Z LAT UBIEGŁYCH
WNUKOM I WNUCZKOM OPOWIEDZIANE

Z 12 ILUSTRACJAMI

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

92

PRZEDMOWA
SEWERYNA CZETWERTYŃSKIEGO

*

WSTĘP I OPRACOWANIE
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

*

OKŁADKA WEDLE RYSUNKU
MAKSYMILIANA OBORSKIEGO Z R. 1867

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

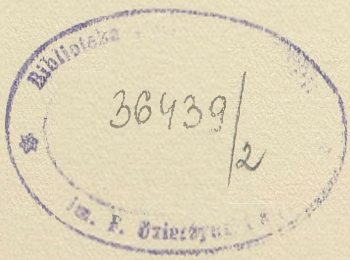
*

ROLNICZA DRUKARNIA I KSIĘGARNIA
NAKŁADOWA SP. Z O. O. W POZNANIU

*

PRINTED IN POLAND

*



SPIS RZECZY

Str.

SYN O OJCU — napisał Seweryn Czetwertyński . . 1

AUTOR PAMIĘTNIKÓW — napisał St. Wasylewski . 49

NA WOZIE I POD WOZEM:

Dziecinne lata na Wołyniu 83

Instytut Szlachecki w Wilnie 94

Nauka i zabawa w Kijowie 106

Pierwsza podróż za granicę. Rok 1859 115

Przed burzą styczniową 132

Wina i sąd 143

Etapem na Sybir: Droga do Tomska 166

Etapem na Sybir: Z Tomska do Usola 185

„I ja byłem w Arkadii...“ 204

Z Usola do Warszawy 228

Warszawa w roku 1867 i później 244

Milanów. Prześladowanie Unitów 270

PRZYPISY — opracował St. Wasylewski 287

SPIS ILUSTRACYJ

Str.

„Trójka“ akwarela zesłańca Maksymiliana Oborskiego z roku 1867 (na obwolucie okładki)

Włodzimierz Czetwertyński w czasie pisania pamiętników (przed tytułem)

„Kajdany... które autor przechowywał jak inkluz czy amulet, czy po prostu najszczytniejszą polską oznakę sportową z doby niewoli“ 72

„W więzieniu w Żytomierzu był dziedziniec otoczony ostrokołem na wysokość pierwszego piętra...“ . . 160

Stankiewicz A. Widok jeziora Bajkalskiego, nad którym zesłańcy budują drogę w r. 1866 192

„W Irkucku, w „kazionnej pałacie“ przesiedziałem cały miesiąc“ 200

„Były tam oprócz koszar, warzelnie, tężnie i inne zabudowania“ 208

„Zamieszkałem wspólnie z Kędrzyckim w domu Kołomina na górce nad mieszkaniem Bnińskich“ . . 216

Stankiewicz A. Mieszkanie komendanta i ogród publiczny w Usolu 224

Kanał na wyspie Berezowej na Angarze 232

Kaplica katolicka w Usolu 240

Włodzimierz Czetwertyński z ojcem Kalikstem po powrocie z wygnania 284

SYN O OJCU

NAPISAŁ

SEWERYN CZETWERTYŃSKI

Gdy siedząc przy biurku wspomnę mego Ojca i podniosę wzrok w górę, to trafia on w Jego portret, w Jego oczy skierowane wprost na mnie, patrzące prosto w moje oczy, a przez nie do serca i duszy. Wyraz tych oczu jest tak żywy i tak wiele mówiący, że wywoływał on stale i wywołuje dziś jeszcze pytanie: Co oczy te, tak pełne ukochania i troski chciałyby wypowiedzieć, co wspomnieć i przed czym przestrzec? Miałem zawsze jakby odczucie, że oczy te chciałyby wypowiedzieć to wszystko, czego usta nie zdołały, nie potrafiły, a może tylko nie zdążyły, pomimo długich lat, wypowiedzieć za życia. W oczach tych tak dobrych i tych samych, które się miało przez tyle lat przy sobie i nad sobą, daje się wyczuwać wyraz żalu, nie tylko za minionym czasem, za bezpowrotnie ubiegłymi chwilami, ale jeszcze żal, że czas przechodził i że wreszcie przeszedł, a że wszystko, co ojciec synowi, a syn ojcu winni byli sobie powiedzieć i co wyjaśnić, nie zostało wyjaśnione, nie zostało nawet wypowiedziane.

Cóż to było zatem to milczenie? Jakiż to przymus nakazywał Ojcu milczeć, zamykać w sobie, zatrzymywać dla siebie, doświadczenie długiego i bogatego życia, a wypływającą z nich naukę nawet własnemu dziecku nie wypowiadać?

*

Ze wszystkich zagadnień, które dziś przedstawiają się nam jako zagadnienia pełne wielkiej wagi dla przyszłości narodu, najbardziej dręczącym jest jedno z nich, a mianowicie zagadnienie dzisiejszego kształtowania się społeczeństwa, rozbudzania się w nim i tworzenia, poglądów i opinii.

Sądzę, że dręczy ono powszechnie nasze sumienia, bo po prostu nie wiemy jakim jest dzisiejszy rozwój społeczny Narodu. Wiemy, że Naród nasz trwa lat tysiąc, że jego kultura, tak odrębna od innych, która wytworzyła odmienny typ człowieka, trwa lat 700, a nie wiemy i nie umiemy sobie przedstawić jakie będzie, własne nasze społeczeństwo w niedalekiej może przyszłości. Czy zachowa ono ten sam typ? Czy utrzyma ten sam grunt wierzeń, te same podstawy zasad życia, ten sam gatunek spoistości narodowej, jaki istniał dawniej? Wreszcie czy jego spójnia moralna będzie ta sama, tak samo, jak dziś żywa i silna?

Gdyby ktoś zapytał się nas, czy droga rozwoju społecznego jest w Polsce zdrową, czy zapewnia ona krzepienie świadomości narodowej, czy utrzymuje zdrowy instynkt, czy rozjaśnia i rozszerza horyzont myśli zdrowej i uczciwej, — nie umielibyśmy na to pytanie dać ani pełnej, ani wyraźnej odpowiedzi.

Wiemy bowiem, że wady dziedziczą się łatwiej od cnót.

Złe skłonności przechodzą z rodziców na dzieci szybciej od dobrych. Dla dobrych potrzeba rozumnej pieczy i stałej troski o ich utrzymanie i o ich rozwój. Złe przechodzą i rozwijają się same. To samo, co w rodzinach, dzieje się w społeczeństwie. Coraz częściej dają się słyszeć głosy, w miarę, jak praca publiczna ogarnia szersze rzesze Narodu, że Polak dzisiejszy, to akurat ten sam Polak sprzed wieków, swarliwy i popędliwy, prędko zapalny i szybko stygnący, przeważnie lekkiej myśli i dopiero, po szkodzie, mądry. Jesteśmy coraz częściej świadkami działań i niedojrzałych i nierozważnych. Mimowoli rodzi się w naszym umyśle zapytanie, do siebie samych skierowane, co jest istotną przyczyną trwania tej niedojrzałości? Skąd rodem jest, zmieniając słowa poety „ta fatalna siła, która żywemu na nic? Skąd rodem to usposobienie dziecinne, które wkłada nam w usta coraz to no-

we słowa bez treści, a w umysłach zaszczepia coraz to nowe poglądy bez gruntu?

Skąd ta twórczość bez pochodzenia, bez myśli i bez planu, która tworzy aksjomaty, wygłasza nowe dogmaty, mające być niewzruszalnymi, nowe przykazania narodowe o mocy ewangelii, a które znów z kolei tak prędko kruszeją, rozpylają się, ustępują, giną aby z kolei dać miejsce jeszcze nowszym, jeszcze świeższym.

Niewątpliwie, jeżeli tak jest, to przyczyny tego stanu rzeczy trwają od dawna. W każdym razie nie powstały wczoraj. Niedojrzałość, to skutek braku słońca nie tylko przez jedno lato, nie tylko przez jedno pokolenie. Wielkie przemiany społeczne, które przez wiek 19-ty przerobiły Narody zachodu Europy i wytworzyły inny gatunek ludzi od tego jakim był poprzednio, zachowując narodowego ducha, a dając mu inną moc, dokonały tej pracy wewnętrznej nad sobą, przez ciąg dwóch i nawet trzech pokoleń. Jeżeli praca ta osiągnęła istotny skutek, to właśnie dla tej przyczyny, że przyjęły w niej udział, udział nieprzerwany, trzy pokolenia. Od rewolucji francuskiej, od wysuniętych przez nią ideałów wolności, równości i braterstwa, a tak samo od Pitta w Anglii, od Steina, Hardenberga, Neumana i Fichtego w Niemczech, od myślicieli, polityków i pisarzy rozwinął się trud, który trwał długie dziesiątki lat. Przeszło kilka pokoleń, z których każde przekazywało następnemu swój dorobek i swoje doświadczenie, aby ono otrzymując jedno, wzbogacało się jednocześnie w to drugie. Jakiś instynkt zdrowy i rozumny dbał, aby z tego doświadczenia i z tej wiedzy politycznej o wspólnym życiu Narodu nic nie uronić, jakby w przewidywaniu, że wkrótce boje między narodami nie będą się odbywały od czasu do czasu, ale że będzie to bój codzienny i o każdy kęs chleba. Jakiś rozum stanu nakazywał wychowanym w ten sposób pokoleniom, zaprzestać rozpoczynania swego życia od burzenia i rozwalania

tego, co było przed nimi. Odrzucone zostało to nieodzowne signum nastawania nowych czasów, nowych idei i nowych władców, imperatorów i zwycięzców. Potworzyły się wówczas szkoły, szkolące i wychowujące, budzące wolnego ducha, rozwijające wolną myśl, a tworzące ten sam typ człowieka, ten sam typ obywatela. Zbliżyły one ludzi do siebie, układając stosunki współżycia i współpracy, niezmienne na długie lata.

W Polsce od długich wieków, każde nowe pokolenie szło w świat bez rodzica, a więc same sobie oddane. Dziś jeszcze tak samo wychodzi na świat same i to nie tylko o własnych siłach, ale i o własnej wierze. Przeto nic dziwnego, że budować chce od podstaw, chce przebudowy, pragnie przerobienia od gruntu. We wszystkich swych poczynaniach uważa za konieczne zakładać fundamenty pod inną, nową Polskę. A jeżeli tak czyni, to dlatego, że nie odczuwa w sobie żadnego spadku, nie odczuwa wyposażenia w dorobek polityczny, w dorobek myślowy poprzedzających pokoleń, nie przyznaje się, a nawet wypiera spuścizny po ojcach, — a czyni to dlatego, że są to tylko doświadczenia, a nie zdobycze, że są to klęski, a nie zwycięstwa, że są to zawody, ofiary krwawe, lecz bezpłodne.

Ale i to pokolenie, a raczej pokolenia, mające przekazywać i mające wyposażać, dziwnie nieśmiało to czyniły, albo nie czyniły wcale. Nie wiedziały jak uczyć i czego uczyć! Daleko było im do dumy, że coś przekazywać mogą. Honor — dobrze, ale jakżeż drogo okupiony. Dobre imię — zgoda, ale czemuż nie powszechne! Nie biła z tych pokoleń wiara, że to co przekazują jest spuścizną bogatą, że to zasób mądrości i rozwagi, że to katechizm postępowania na wszystkie trudne dnie, na wszystkie przewidziane i nieprzewidziane wypadki.

To, co odczuwałem osobiście, ale odczuwałem za siebie i za innych, to brak rozumnej spowiedzi z wła-

snego życia rodziców przed dziećmi w chwili, gdy te, w życie czynne same wchodzą. Nie chodziło w tej spowiedzi ani o wyliczenie grzechów, ani o kajanie się. Ale chodziło o coś więcej, aniżeli: Kochaj Boga i bliźniego, kochaj kraj i ziemię ojczystą. Albo o przestrogę: Unikaj złych ludzi, hamuj się, miarkuj się, uważaj. Nie chodziło, rzecz prosta o przestrogę, która miałaby hamować zapał, lub wpychać bogaty umysł, czy gorącą duszę w szablon rodzinny czy stanowy, ale tej przestrogi rozumnej, tłumaczącej i wyjaśniającej czym jest i czym powinien być Polak w tym turnieju sił nieprzebranych i nieprzeliczonych, które go jutro, lub pojutrze wciągną do walki. A walka może być dziś tu, jutro tam. Może być walka w otwartym polu, w szyku, ale może być w okopach i bez broni. Może być w każdym domu zamienionym na posterunek. Dawniej zaprawiano swoje potomstwo do sztuki wojskowej, pokazywano, jak podjeżdżać, jak podchodzić, jak rąbać, jak szyk utrzymać. W domu widniały zdobycze przodków, na które wnuki, prawnuki patrzyli z dumą, z wiarą, że i oni potrafią kiedyś zdobywać i zwyciężać.

Gdy przyszła kolej na walki innego rodzaju, dziwnie trudne wydały się one Polakom. Zapał bojowy umiał ich nie tylko pchać naprzód, ale i hamował sam przez się ich kłótliwość i niesforność. Zastępował nawet przyrodzone lenistwo myśli. Walki polityczne wymagały zaś zastanowienia się, skupienia umysłu, pracy myśli, żądały więcej charakteru, aniżeli odwagi. Lata upływały, a nie rozumiano, że nawet życie codzienne jest walką i że polityka jest niczym innym, jak również walką, której wynik, tak, jak i na polu bitwy nie jest z góry do przewidzenia, ale, że może być on tak jak w każdej innej walce wytknięty, obrachowany i osiągnięty — moją własną wolą, moją własną pracą. Byleby wszystkie czynniki, uczestniczące w walce były mi znane, byleby warunki, w których ta walka się toczy były mi wiadome, byleby wre-

szcie myśl moja nie trwała pół godziny, byleby zamiar nie powstawał z dziś na jutro i wreszcie, abym sił nie mierzył na zamiary.

Niestety, w tym samym wieku, w którym Narody, posiadające swe własne państwo i prowadzące byt niepodległy przekształcały się i przerabiały na narody współczesne, to w Polsce pod wpływem doznanych zawodów, pod wpływem, że istniał tylko organizm narodowy, a państwowego nie było, a umiejętność organizowania narodu poza państwem była rzeczą nieznaną, zakwitł mesjanizm i mistyczna wiara w przeznaczenie Narodu, który osiągnie swój byt niepodległy nie przez bój, nie przez pracę, ale przez cierpienia.

Straż u grobu Polski wiernie trzymała poezja i, jeżeli Krasiński modli się o dobrą wolę w Narodzie, a jej nie było, to znowu dla tej samej przyczyny, że kto nie słucha za młodu rodzica, a rodzic milczy przed synem, to muszą młodzi wołać na starszych, aby im ustąpili z drogi, a starsi ustępują, mówiąc do siebie: „Ustąpmy im tą Straż u grobu, bośmy się już nastróżyli!“

Tymczasem to przekazywanie dziedzictwa, to nauczanie czem ono jest, z czego się składa, z jakiego ciała i z jakiego ducha, to kierowanie, jest obowiązkiem z zasady. Wypływa z logiki dziejów, z natury człowieka, z potrzeby trwania instytucji i praw, wreszcie z trwania zasad działania. Każde pokolenie winno być nauczycielem i wychowawcą następującego w życiu politycznym i publicznym. Jeżeli powyższa zasada nie jest rozumianą i z tych, czy innych powodów nie jest stosowana, odbywa się każdorazowo rewolucja, a przynajmniej czynione są próby wywołania jej i dokonania.

Jeżeli sięgnąć wstecz, to ten nienormalny proces sięga jeszcze przedrozbiorowych czasów. Już w wieku 17-tym dziwnie się nie klei w Rzeczypospolitej. Zastanawiała mnie zawsze treść kazań sejmowych

Skargi. Badania historyczne nie dostarczają dostatecznego materiału obciążającego, aby z ust kaznodziei padały tak ostre słowa, aby posłom i senatorom wobec króla i dostojników stawiane były tak ciężkie zarzuty, aby im rzucano w twarz tak groźne i złowieszcze przepowiednie. A jednak musiał Skarga posiadać umiejętność czytania w sercach i sumieniach ludzkich, musiał on dostrzegać większe i głębsze zło, aniżeli nam dostarczyła prawda historyczna. Duch publiczny i rzetelna miłość Ojczyzny musiały słabo się tlić w sercach ludzkich. Skarga dostrzegał to zło, które się już gnieździło w duszach, które rodziło piękne i zacne słowo, a już fałsz odbijało we „własnym puklerzu!“ Już wówczas musiały młode pokolenia mieć słabe, a nawet złe wzory w ojcach, a ci znowu uganiający się za stanowiskami, ubiegający się o łaski królewskie, zdobywający majątki „prawem czy lewem”, to przecież źli nauczyciele i bynajmniej nie dobre wzory publicznej służby.

A dalej! Czy nie zastanawiającym i nie pobudzającym do głębszej analizy materiału ludzkiego, na czele którego Jan Sobieski gromił Turków i Tatarów i z którym wykonał, według słów Stanisława Tarnowskiego „swój europejski czyn“, że jak on, tak i jego żołnierze zeszli z tego świata bezpotomnie? Z nich wszystkich nie wyrósł przez cały wiek 18 ani jeden mąż stanu. Na arenie życia publicznego nie pojawił się żaden światlejszy polityczny umysł. Przez czasy saskie jedni służyli Augustom, boć to przecież legalni i wolą narodu wybrani królowie, drudzy zaś biadali, nie mając ani dosyć stałości charakteru, ani dosyć odwagi, aby rozszerzaniu się zła skutecznie zapobiegać.

Toteż to ostatnie niepodległe pokolenie ludzi przedstawia się nam dziwnie rozbite, dziwnie nieumiejące czynić nic innego, jak tylko szukać pomocy u obcych i wzorów postępowania również u obcych.

Dziwnie nie umie ono odnaleźć w sobie choćby cząstkę ducha własnych dziejów. Zatraca przywiązanie do swoich, do swojej ziemi, do swego języka i zwyczaju, które tak szczerze i pięknie wyśpiewał Jan z Czarnolasu. Natomiast bardzo łatwo przyswaja sobie i ducha rewolucji i jakobinizm, później poddaje się wpływom masonerii, a wreszcie duchowi idącemu od Wschodu, jakby to wszystko było lepsze, rozumniejsze, mądrzejsze od tego co było w Polsce i ono jedynie mogło pomóc w utrzymaniu Ojczyzny.

Gdy Polska zanikła w sercach i sumieniach swych synów a zawisła jedynie na ich ustach, to pomimo pięknych i szlachetnych wystąpień, a tych nigdy w Polsce nie brakło, pomimo prób ratowania honoru Polaków i pragnienia zachowania choć drobnej części ojczystej ziemi, musiało nastąpić to co się stało! Pokolenie, które nastąpiło po pokoleniu rozbiorowym, dziwnie okazało się słabym. Słabym przede wszystkim, bo czuło żal do swych rodziców, a żal to jeszcze nie wskazówka działania, a tylko pragnienie by inaczej czynić, jak ci, którzy zatracili Ojczyznę.

I od tej chwili zaczyna się okres dziejów, który można nazwać najtragiczniejszym, bo punktów stycznych między pokoleniami, już nie to, że nie było, ale być nie mogło. Jedno po drugim rzuca w twarz ustępującemu: zdradziliście, nie potrafiliście. Jedno po drugim boleśnie i krwawo doświadcza, a nie nabiera doświadczenia. Na wojnie, na szubienicach, w katorgach i na emigracji giną najlepsi synowie narodu, najdzielniejsi, a z żywych najbardziej żywi! Pozostają słabi, nieudolni i niedołężni.

Gdy walka jest wygrana, ofiara choćby najkrwawsza przynosi owoce. Z jednego, powstają tysiące w następnych pokoleniach. A w Polsce wiek 19 od początku do końca to długi szereg przegranych i tym samym ciągły obraz tarć i niezgody między tymi, którzy nie mieli kogo naśladować i za kim iść. Jedni odrzucali wzory patriotyzmu, który umiał bić się za cudzą spra-

wę, a sam do zrozumienia swojej własnej sprawy nie dorósł. Innych upajała chwała oręża i poniekąd nasycała ich głód patriotycznego czynu. Nad istotnym wskrzeszeniem nie tylko Polski, ale i Polaka nie było komu pracować. Ale do poznania istoty sprawy narodowej, do zrozumienia jej pełni, potrzeba myśli, a myśl nie rodzi się odrazu. Myśl polityczna wymaga nie tylko nasienia, ale i uprawy. Uprawy umysłu, głębokiego przeorania sumienia, a wreszcie potrzebuje Siewcy. Wtedy myśl polityczna kiełkuje i rozszerza się, rozrasta i zyskuje zaufanie. Myśl ta nie może wyrastać, nie może wychodzić z doznanego zawodu. Zawody takie, jakie przeszli Polacy przez wiek 19, to nie szkoła umysłu i nie szkoła charakteru, a również niewłaściwy materiał do hartowania woli. Zawody takie łamią, albo nadłamują ludzi. Człowiek nie przechodzi dwa razy lat młodych. Pierwszego zapału do czynu, pierwszego żaru duszy nie odczuwa dwa razy. Życie po doznanym zawodzie można rozpocząć na nowo. Można na nowo odbudować dom, stworzyć sobie nowy warsztat pracy, wynaleźć nowe pole działania, ale nie można odbudować pełnej wiary w siebie. W naturze człowieka, po doznanym zawodzie, pozostaje lęk i lęk ten powstaje i rozwija się najsilniej u tych, co głębiej czuli i silniej wierzyli. A klęskę odczuli i za siebie i za swój Naród. Już biorąc historycznie od początku Księstwa Warszawskiego spotykamy typy psychiczne polskie nowe i nie podobne do poprzedzających. Z jednej strony bardziej patriotyczne, skłonniejsze do ofiar i do czynienia ofiary z siebie i pod wpływem klęsk narodowych bardziej rozważające co czynić. Ale to zastanawianie się, ta reakcja na to, co się dzieje przed ich oczyma, jest niezdrowa. Niema opanowania siebie, a przecież ono dopiero pozwala opanować całe pole działania i umożliwia opanowanie nadchodzących wypadków, przynajmniej w tej części, którą ja sam, ja, jako zbiorowisko społeczne,

ja, jako Naród winienem mieć we własnym ręku, we własnym sercu i sumieniu.

Chorobliwość psychiczna typów, które się pojawiają, polega na liczeniu się z okolicznościami i warunkami i uznaniu tych okoliczności, jako wstępu do działania. Stąd mamy stosunkowo długie okresy bezczynności i spore zastępy ludzi bezczynnych z przekonania, bezczynnych, bo to nie chwila, nie dziś, jutro będzie odpowiedniejsze. Nawet znajdują się tacy, którzy uważają i tłumaczą, że są bezczynni z wewnętrznego patriotycznego nakazu.

*

Zdawałoby się, że jeżeli powyższe objawy spotykamy z początku w wyższych warstwach narodu, później w coraz szerszych, a dziś w wielkich masach, to nie możemy wytłumaczyć tego objawu tylko brakiem łącznika między rodzicami a dziećmi, bo w masach mało który ojciec na wsi, czy w mieście coś ze swego doświadczenia życiowego, coś z poznania życia zbiorowego mógł, czy umiał dzieciom przekazać. Ale wchodzi tu w grę brak instytucji, a przede wszystkim brak szkół, których sposób wychowywania i nauczania i sposób kształcenia umysłu był ten sam, choćby przez dwa pokolenia. Z zazdrością dowiadywałem się od swoich dzieci kształcących się zaraz po wojnie u Benedyktynów w Belgii, że zarówno ich ojcowie, jak i dziadkowie kształcili się w tej samej szkole. To samo można spotkać w Anglii. Ale i francuskie Lycées niezależnie od ducha, jaki w nich panował, niezależnie, czy w salach szkolnych wisiał krzyż, czy był z nich usunięty, kształciły i wychowywały ludzi o tym samym trzonie moralnym, pojmujących wolność i równość na ten sam sposób, gruntując w młodych umysłach te same zasady pojmowania uczciwości i sprawiedliwości. Pod względem kulturalnym, cywilizacyjnym, pod względem etyki w po-

stępowaniu, pod względem pojmowania i pełnienia służby narodowej, Francuz z początku obecnego stulecia, to ten sam typ człowieka, jaki się wytworzył po rewolucji.

Wystarczy porównać te fakty z tym, co u nas miało miejsce, choćby w naszej własnej rodzinie. Dziad mój i jego bracia kształcili się w szkołach Pijarskich, a później w szkołach wojskowych w Warszawie.* Ojciec mój miał początkowo francuskiego Abbe, który nie znał, rzecz prosta, języka polskiego, a jak ojciec zaznacza w pamiętnikach, posługiwał się dla nauki religii katechizmem, będącym pod indeksem, później ojciec ukończył instytut szlachecki w Wilnie, a wreszcie uniwersytet kijowski; ja zaś gimnazjum i politechnikę ukończyłem w Rydze w niemieckim języku, a później pojechałem na uniwersytet w Bonn. Wszyscy trzej uczyliśmy się tylu obcych rzeczy, tylu fałszów odnośnie spraw najważniejszych, bo historii własnego narodu i stosunków politycznych w nim panujących, czyli wychowani byliśmy na ludzi całkowicie niepodobnych do siebie, — że to zrozumiałym jest, że musieliśmy budować mosty między sobą, mosty i łączniki między światem pojęć jednego i drugiego pokolenia. Ojciec musiał pracować nad sobą, aby przyswoić sobie i zrozumieć za jaką myślą polityczną szedł jego ojciec, już w 21 roku życia wstępujący w bój, jako porucznik 5 pułku ułanów, a później borykający się z ciężkim losem przez lat 60. A przecież ja, wychowanek niemieckiej pedagogii i będący pod wpływem nauki o bezpłodności wysiłków, które myśl ludzka wydaje z siebie, a których wola nie umie należycie pokierować, musiałem mieć inne wyobrażenie od własnego Ojca o tym, co czynić i jak czynić należy.

---

* Dziadek mój zostawił książkę do nabożeństwa, w której zapisywał ciosy, które go dotknęły. Jest to wzruszająca litania wspomnień, cierpień i tułactwa przez pół wieku. Jeszcze w dwadzieścia lat po powstaniu 30 roku wjazd w granice Kr. Polskiego był mu zakazany.

A ten objaw był przecież zjawiskiem powszechnym!

*

Historia naszej własnej rodziny, która posiada archiwum, mieszczące dokumenty i opisy o historycznej wadze od początku 16 wieku potwierdza uwagi, które poczyniłem jako wstęp do poznania tych, którzy nas poprzedzili, a których wiek męski przypadł na koniec niewoli Narodu.

Niedarmo wiek 16 nazwała Historia wiekiem złotym Rzeczypospolitej. Był to Wiek wielkich wojowników, wielkich kanclerzy, wielkich książąt Kościoła, wykazujących w działaniu i duże wykształcenie i wielki rozum w sprawach najzawilszych. Ale był to również Wiek dobrych obywateli, pierwszych dziedziców ustaw o wolności obywateli. Nie byli oni, już, jak się wyraża historyk, pijani wolnością, ale nią przejęci. Byli oni wychowani w surowości i czystości obyczajów domowych. One to rodziły cnoty, którymi jaśniały domy zarówno możnych panów, jak i szaraczkowej szlachty Rzeczypospolitej. W domach wyrabiały się charakter i rycerskość. Rycerskość trzeba zaliczyć do cnót, bo działała ona i podczas pokoju, dodawała powagi, wzbudzała posłuch i w ten sposób działała wychowawczo. Później zastępuje ją bitność, żądna chwały oręża, ale również i zdobyczy i łupu i nie mająca już wychowawczego wpływu.

Piękny przykład charakteru i rycerskości daje ks. Stefan, któremu dwóch synów ginie na polach walki, trzeci umiera, jak pisze Paprocki „z upływu krwi, wylanej przez lat 17 w obronie granic Rzeczypospolitej". Ks. Stefan jest gorliwym wyznawcą wschodniego kościoła, rzuca przekleństwo na swych potomków w razie gdyby wiarę przodków porzucili, ale jednocześnie głuchy jest na podszepty Chmielnickiego, kuszącego go widokami na udzielne Księstwo Ruskie. A to dlatego, że jak sam pisze, uznaje nad sobą tylko

Króla polskiego, któremu na wierność przysięgał. Nie poddaje się, pomimo, iż mu Kozacy zajeżdżają włości i majętności równają z ziemią. Ale już jego wnuk przyjmuje wyznanie katolickie i choć daleko mu do cnoty i charakteru Dziada, otrzymuje kasztelanię. Zakon Jezuitów, który w czasie Unii nie dopuszczał, aby wybitni zwolennicy kościoła wschodniego otrzymywali godności senatorskie, przestaje oponować. To też dostojeństwa poczynają się sypać, przechodzić z ojców na synów, a obdarowywani zapewniają króla w Warszawie, że ma w nich niezłomnych i oddanych mu ludzi. Jeszcze się pojawiają w 17 i 18 wieku rotmistrze królewscy, stojący na straży granic Rzeczypospolitej, ale już coraz więcej spotykamy kasztelanów, senatorów, posłów na Sejm Rzeczypospolitej, zalecanych na te stanowiska z Warszawy, jako ludzi rozważnych i umiejętnych.

Gdy w ówczesnych pojęciach obrona ziem Rzeczypospolitej i usuwanie najeźdźcy przestały być rozumiane, jako ta naturalna wrodzona powinność obywateli i przez to samo przestała być przekazywaną z pokolenia na pokolenie, a naodwrót, zamigotał blask przywilejów, godności i dostatków, o które można było się wystarać inną drogą, a nie koniecznie trudem wojennym, ofiarą krwi i mienia, a w dodatku, gdy się stało wiadomem, że i król potrzebuje poparcia i dba o zwolenników, to na miejsce dawnej, dobrej szkoły obowiązków względem Ojczyzny, pojawiła się zła szkoła w postaci złego przykładu. A ten zły przykład szybko przeżarł zdrowe pierwiastki o honorze, zniweczył pojęcia o ambicji rodowej, osłabił poczucie świecenia przykładem. To też życie, mowa i czyny ludzkie nabrały cech sztucznych, fałszywych, z których wybija się na plan pierwszy niepohamowana żądza znaczenia.

A to, rzecz prosta następnych pokoleń nie wychowywało. Gdy się okazało, że na dworze Augustów, a później, że na obiadach czwartkowych, mile są wi-



dziani ludzie strojni i dowcipni, poczęto wyjeżdżać do Paryża nie tyle po wiedzę, ile po ogładę, aby wróciwszy mieć bliższy i łatwiejszy stosunek z Królem i jego dworem.

Wiek 19, to jakby odrodzenie uczuć narodowych. Czyn ks. Antoniego, targowiczanina, który obdarzony wymową i nieprzeciętnymi zdolnościami politycznymi, ale jako posądzony o tajną umowę z cesarzową Katarzyną, ginie na ulicach Warszawy, wstrząsnął widocznie sumieniem rodziny, bo w szkołach wojskowych Księstwa Warsz. kształci się siedmiu Czetwertyńskich. Pięciu służy wojskowo, choć pochodzą z Podola i grozi im wszystkim konfiskata majątku. W historii upamiętnia się Janusz, uczestnik sprzysiężenia Piotra Wysockiego, kapitan artylerii, zdobywca arsenału w dniach rewolucji listopadowej, nagrodzony, jako czwarty, kolejnym krzyżem Virtuti Militari, adiutant Gen. Skrzyneckiego, później wędrujący z oddziału do oddziału, ostatnio dowodzący artylerią w korpusie Giełguda. Wypchnięty za granicę, emigruje do Tarbes we Francji, aby tam w wieku lat 32 umrzeć z żalu i tęsknoty za Ojczyzną.*

W wojnie polsko-rosyjskiej przyjął udział ks. Kalikst mój dziad jako porucznik 5 pułku ułanów. Bracia jego Władysław, porucznik artylerii i Borys, porucznik 2 pułku ułanów zostali aresztowani przez rząd rosyjski na Podolu i wywiezieni do Wiatki, skąd wrócili dopiero w r. 1833.

Tak samo było i w roku 1863. W konspiracyjnych zebraniach, odbywanych w Warszawie w latach 61 i 62 przyjmuje udział pełna zapału i ofiarności Ka-

* Do archiwum naszego otrzymałem niedawno od wnuka emigranta p. Czułowskiego, zamieszkałego w Tarbes, treść przemówienia, wygłoszonego na pogrzebie Janusza Czetwertyńskiego przez przedstawiciela zarządu Miasta Tarbes w r. 1835. Zarząd Miasta postanowił dla uczczenia pamięci człowieka, który walczył o wolność ojczyzny swojej, oddać darmo plac na cmentarzu, zwolnić w dzień pogrzebu dzieci ze szkół, aby uczestniczyły gremialnie w uroczystościach pogrzebowych i „uczyły się pełnienia wiernej służby ojczyźnie".

milla ze Stadnickich Edmundowa Czetwertyńska. Nie waha się ona ofiarować dla spraw ojczystych 2 swoich starszych synów: 18-letniego Olgierda i 15-letniego Witolda. Wysyłani są oni przez nią, jako kurierzy na Wołyń dokąd przewożą instrukcje, polecenia i inne dokumenty. Obydwaj są przyłapani na krótko przed wybuchem powstania i, jako małoletni wysłani do rot żołnierskich na Kaukaz, aby, jak się wyraża gen. gubernator Kijowski „wyplenić z młodych książęcych główek pierwiastki buntu". Tam przebywają długie lata i wracają do kraju. Olgierd w r. 1870, a Witold w 1878 r. W tym samym czasie na widownię działań politycznych występuje córka ks. Leopolda Czetwertyńskiego, sławna z urody i uroku osobistego i zdolności muzycznych Janina Czetwertyńska, która po nieudanych próbach interwencji dyplomatycznej na dworze cesarskim w Paryżu w 1861 i 1862 na rzecz Polski,* wraca na rodzinne Podole, pisze płomienny manifest do „braci szlachty", wzywający ich do oddania połowy posiadanej ziemi chłopom ruskim dla pozyskania ich dla sprawy polskiej. Z początku rząd rosyjski toleruje jej działanie, uważając, że nie jest groźne i traktując pomysły księżniczki, jako dziecinną zabawkę. Ponieważ jednak ubiera się ona w strój powstańczy i konno poczyna objeżdżać wsie obiecując ich mieszkańcom, że zostaną wkrótce obdarowani

* W archiwum rodzinnym przechowuje się list ks. Janiny pisany do mego Ojca i Dziada z Paryża z datą 19 III 1862, w którym donosi, że już dwa razy rozmawiała o sprawach Polski z Cesarzem Napoleonem III i że tenże za każdym razem potwierdzał, że napisał list do Cesarza Aleksandra II, doradzając mu przychylne załatwienie sprawy polskiej i zaspokojenie słusznych żądań Polaków. Donosi następnie szczegółowo o wszystkim co się w Paryżu robi na rzecz Polski. W końcu listu jednak dodaje następujące uwagi: „Robimy to co można, jednak ufajmy przede wszystkim Bogu i sobie samym. Możecie ogłosić mój list, jako list otwarty do rodaków. Nigdy nie taiłam przed nimi tego co czułam i co zamyślałam uczynić. Nikt nie ma prawa rozkazywać memu sumieniu i narzucać mi swej woli. Jestem Polką i kiedy mi sumienie nakaże — pragnę ofiarą życia i mienia zasłużyć na to miano. Wierna Wam do grobu. Janinka."

przez obywateli, zostaje aresztowana i wtrącona do Żytomierskiego więzienia, gdzie przebywa blisko sześć miesięcy. Do tego samego więzienia przetransportowani zostali w roku 1864 Ojciec mój Włodzimierz i jego brat Ludwik. Przebywają w nim, a częściowo w Łuckim blisko dwa lata. Obaj zostają skazani: Ojciec na 8 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberii, a Ludwik na osiedlenie w Penzie. Ludwik już wówczas był od roku żonaty, wyjechał na wygnanie z żoną, która go opuścić nie chciała. Z wygnania nie powrócili ani on ani ona. Oboje zmarli w Penzie na gruźlicę płuc. Zgon ich nastąpił w parę dni jednego po drugim w warunkach niezwykle tragicznych w roku 1867.

Ojciec wrócił z Syberii w roku 1867 na skutek starań, czynionych przez jego krewnych z ówczesnej bardzo licznej linii Czetwertyńskich prawosławnych.

Ojciec miał żelazne zdrowie, nie tylko zniósł wszelkie fizyczne trudy i udręczenia, ale i moralne. W pierwszym liście, pisanym do ojca, już z miejsca swego pobytu na Syberii jest wzmianka, że etap około 150 wiorstw zrobił on i zesłani towarzysze pieszo, bo „żandarm okazał się bardzo złym człowiekiem" i, „chociaż należały się nam podwody", powiedział „że ich nie da, bo on wie lepiej, jak kto inny, w jaki sposób oduczyć Polaków od buntu". Wszelkie upokorzenia, których nie było brak, tak samo, jak i ciężkie roboty w warzelni soli zniósł cierpliwie i nawet pogodnie. Ułaskawienie było tak wielką niespodzianką dla niego wobec treści wyroku i możliwości spędzenia na Syberii długich i najlepszych lat życia i taką mu przyniosło niewysłowioną ulgę, że przesłoniło całkowicie bóle i cierpienia moralne tych kilku lat, spędzonych na Syberii.

To uczucie przebija się w pamiętnikach i przebijało się stale w opowiadaniu przygód najrozmaitszych które go na Syberii spotkały. Nie pamiętam, aby choć raz w opowiadaniach, które się słyszało tyle razy

i z których ucho dziecka starało się wyłowić chwile, w których wielkość ofiary, czy bohaterstwo czynu mogło by mu się przedstawić w całej krasie i uroku — aby Ojciec starał się dzieciom to w tej formie, czy choćby kolorycie przedstawić. Odwrotnie, jakby umyślnie, opowiadania jego były najzupełniej pozbawione tego właśnie dźwięku o jaki dziecku chodziło. Nie było w nich żadnego akcentu, który by ten okres z jego życia był nam przedstawiony, jako złożony w ofierze sprawie ojczystej. Ale tak samo było i później, kiedy dorastaliśmy. Wszystkie opowiadania Ojca były żywe i interesujące, bo za każdym razem przypominał sobie Ojciec nowy, nieznany szczegół. To samo było, gdy to czynił w gronie znajomych na najprzeróżniejszych zebraniach, które w domu rodzicielskim się odbywały.

Ale tak samo, jak nie było akcentów, podkreślających patriotyzm jego czynu lub podnoszących tenże na wyższy poziom, tak samo i trudno było doszukać się charakterystyki politycznej wypadków, w których sam przyjmował udział.

Nie było nigdy analizy skutków, wywołanych przez te wypadki. Nie było przedstawiania ich całokształtu dla zrobienia ogólnego rachunku strat i zysków narodowych. Wyglądało to tak, jakby płynęło z przekonania, że ogół może obchodzić tylko sam goły fakt że jedni ginęli, drudzy tracili mienie, lub, że reszta, wskutek tych wypadków rozpraszała się po szerokim świecie. Wypływało to z przekonania, że historia i tak to zapisze tymi samymi głoskami, jakimi zapisała czyny szwoleżerów, jak zgon Ks. Józefa, jak walki o Olszynkę Grochowską i inne chwalebne czyny Polaków w ich porozbiorowym życiu.

Ale nie tylko w gronie rodzinnym, czy towarzyskim, ale i w gronie kolegów sybiraków, między którymi byli nie sami wygnańcy, ale i czynni powstańcy, jak np. Naczelnik Oddziału Podlaskiego Roman Rogiński, który często bywał u Ojca i którego piękną

twarz pamiętam doskonale, treść rozmów miała podobny charakter. Najczęściej, a nawet prawie wyłącznie, zebrania wyczerpywały wspomnienia o zmarłych, o zaginionych, a przede wszystkim o potrzebujących pomocy. Zanim zostało utworzone Tow. Pomocy Uczestników Powstania, którego Ojciec był pierwszym prezesem, urządzano dorywcze składki, upoważniano kolegów, mających stałe zajęcie do zbierania wiadomości i do kwestowania na rzecz licznej rzeszy biednych, pozbawionych środków utrzymania. Napróżno nadstawiałem ucho i uwagę, aby nie uronić cośkolwiek z tych rozmów. Marzenia moje o wysłuchaniu opisu bitwy, czy potyczki zwycięskiej, czy też opowiadania jak to było, gdzie się było i za co się cierpiało, ani razu nie zostały zrealizowane.

Później, gdy już zacząłem się zastanawiać dlaczego, jeżeli nie ma opisu, dlaczego nie ma obrazu, w którym by wyobraźnia dziecka mogła się zatopić tak, jak się zatapiała w Matejki „Pochodzie Polski", w „Lituanii" czy „Polonii" Grottgera, a choćby w Brandtach i Kossakach, — to zrozumiałem, że obrazy to świetny wyraz pięknych czynów, a nauka dziejów to nie wyraz, to wytłumaczenie, to ich poznanie. Pojąłem również, że obrazy zdobią ściany, a historia winna ozdobić i wzbogacić umysł i winna u c z y ć przede wszystkim, a nie zdobić.

Mam wrażenie, że ci siwowłosi weterani nawet nie dbali i nie starali się, aby ich czyn był pouczający. Raczej pragnęli wyrazić go w formie wzoru miłowania Ojczyzny i gotowości ofiarowania jej samego siebie, a nie jako przykład politycznego czynu, który, jak sami przyznawali, był bez widoków powodzenia, był lekkomyślnie podjęty i lekkomyślnie wykonany.

Jeszcze silniej i wyraźniej zaczął się w moim umyśle układać wpływ powstania na jego własnych uczestników, gdy zaczęliśmy z Ojcem jeździć prawie co

roku do Woronczyna, majętności dziada mego Ojca Jen. Kropińskiego, a miejsca urodzenia i wychowania Ojca. Ojciec pokazywał nam pokoje zamieszkałe przez Generała, pokazywał mi wierszowaną korespondencję, którą niewidomy pod koniec życia Generał utrzymywał między pokojami, zamieszkałymi przez córkę i wnuków a swoim własnym. Woził po okolicy i pokazywał miejsca, gdzie przed ćwierć wiekiem żyło i mieszkało dwadzieścia kilka szlacheckich rodzin, sąsiadujących z Woronczynem. W czasie, gdyśmy te okolice zwiedzali, zostało ich tylko trzy! Resztę zmiotła z powierzchni ziemi burza dziejowa wraz z ich właścicielami, z domami, z ich rodziną i z tym wszystkim, co jako dorobek wieków był tam nagromadzony, choćby przez to tylko, że ludzie trwali na tych ziemiach, a kultura, chociaż była kulturą jednej warstwy, nadawała całemu krajowi i polski zewnętrzny wygląd i polski charakter i polski urok. A wtym tkwiło źródło mocy dla przyszłej Polski.

Gdy znikły z ziemi domy i ludzie, znikł wraz z nimi dorobek wieków. Kraj stał się inny, zaginął w nim ten pierwiastek ducha i tradycji, który człowieka poza poczuciem posiadania własnego kawałka ziemi wiąże z krajem, jako miejscem tworzenia się historii, tworzenia Narodu, a częstokroć historycznym miejscem jego zmagań i bohaterskich czynów. Widok tych okolic, gdzie się wzrosło i wychowało, a tak całkowicie odmienionych, z których wszystkimi czeluściami widniało widmo skutków klęski dziejowej, czyniło na Ojca każdorazowo wielkie wrażenie. Kto umiał patrzeć, ale i dostrzegać, a to potrafi najlepiej syn tej ziemi, ten widział dobrze, że klęska była przez to bolesna, że nie mogła być odrobioną. A to dlatego, że ani ta ziemia nie była polską, ani ten lud nie był polski, a tylko kultura polska i ten polski zdobywca w postaci Polaka, który się tam był przeniósł, tam uczył uprawiać i zbierać, tam utrzymywał moralną

władzę, tam stworzył i utrzymywał jeszcze pół wieku po rozbiorach polską sprawę w całym jej dawnym znaczeniu. Stawała ona przed Ojcem w całym swoim groźnym, a rzeczywistym wyrazie. Stawała przed oczyma, ale również przed jego sercem i przed sumieniem. Ojciec jeździł do Woronczyna stęskniony doń, aby ujrzeć kraj, okolice i ludzi, których kochał całą duszą. Wracał stamtąd jakby zmęczony ich obecnym widokiem, jakby upokorzony sam na duchu widokiem miejsca, gdzie można było jeszcze gospodarować jak w swoim kraju, gdzie można było uprawiać rolę, ale już wykluczona była uprawa ludzi i gdzie uprawa sprawy polskiej jako takiej, była wykluczona. Stawał przed oczyma Ojca Wołyń Kołłątaja, Czackich i Ledóchowskich, Wołyń z opowiadań Gen. Kropińskiego, w którego domu w Woronczynie gościli przyjaciele z Towarzystwa nauk, gdzie gościł ks. Adam, odwzajemniając się staremu przyjacielowi za liczne jego pobyty w Puławach. Równocześnie stawały Ojcu przed oczyma dawniejsze czasy z przed 30 roku w postaci dokumentów, które Ojciec zbierał do archiwum rodzinnego. Uprzytamniały się Ojcu w pamięci urzędy polskie i szkoły polskie, a czasy te uprzytamniały się na tle tego stanu rzeczy, który nastąpił po 30 roku i który te wszystkie twierdze i warownie polskości w tym kraju usunął. A jednocześnie widział trwonienie nadwątlonych fortun przez życie hulaszcze, poświęcone przede wszystkim zabawom i uciechom podupadłych na duchu synów zasłużonych rodziców 30 roku. Niewątpliwie ten sam objaw, jaki nawiedził dawne ziemie polskie po rozbiorach i wojnach napoleońskich nastąpił i po roku 30 wskutek zmarnowania i wyginięcia ludzi najlepszych i najbardziej wartościowych. Pozostały umysły płytkie, charaktery słabe, które poddawały się stosunkom.

Ojciec był około 10 lat, po powrocie z Syberii, pod dozorem policji. Musiał meldować się i prosić o po-

zwolenie na każdy swój wyjazd z domu na wsi.* Dla tych powodów wyjazdy jego do stolicy były rzadkie. Dopiero w roku 1884 został wybrany do władz Tow. Kredytowego Ziemskiego, które to Towarzystwo reprezentowało, z braku innych, ówczesne ziemiaństwo Królestwa Kongresowego, jako radca Dyrekcji Głównej z Okręgu Siedleckiego i odtąd częściej do Warszawy wyjeżdżał i częściej w niej przebywał. Początkowo czuł się na gruncie warszawskim nie swojo. Poza kolegami z wygnania i z rodziną nie utrzymywał bliższych stosunków z nikim. To pierwsze dwudziestolecie po powstaniu styczniowym było jednym z najcięższych. Rząd rosyjski próbował wówczas wyzyskać polityczne skutki powstania dalej, aniżeli początkowo zamierzał. Społeczeństwo polskie było tak rozbite i przygnębione, że nie dawało prawie żadnego oporu zarządzeniom władz, i poddawało się biernie rozporządzeniom, które Królestwu Polskiemu odbierały resztki pewnej politycznej odrębności. Zaczęto od usuwania urzędników Polaków, Polski język powoli znikał z urzędów, ze szkół, z aktów cywilnych, a później nawet z instytucji publicznych, mających autonomiczny charakter.

Gospodarczo Królestwo Polskie było wyzyskiwane na korzyść guberni i cesarstwa. Rozwijał się przemysł dzięki olbrzymiemu i nienasyconemu rynkowi odbiorczemu, jakim była Rosja, oraz dzięki niskim zarobkom wypłacanym robotnikom, których uboga wieś polska za każdą cenę dostarczała. Przemysł ten jednak powstał był na gruzach polskiego stanu posiadania i miał zarówno on, jak i handel i banki silne oparcie i wpływy rządu w Petersburgu. Wpływy te zdobyte zostały bardzo łatwo. Podyktowane zostały

* Dziwnym zbiegiem okoliczności u samego schyłku życia to samo zarządzenie spotkało go ze strony Niemców. Przez ostatnie dwa lata wojny nie wolno było mu wydalać się z Milanowa bez specjalnego pozwolnienia, o które musiał ubiegać się w Naczelnym Dowództwie Ober-Ostu. Tak go to gniewało, że się $1^1/_2$ roku z domu nie ruszył i wówczas spisał pamiętniki.

bardzo zrozumiałymi przesłankami, a mianowicie, że jego przedstawiciele i rzeczywiści właściciele to nie Polacy, i że popieranie ich to klin wbity w społeczeństwo polskie, utrudniające mu organizowanie się polityczne i, że ci pseudo-polacy przemysłowcy to naturalny wywiad dla uzyskiwania wiadomości, co polskie społeczeństwo myśli i co zamierza robić.

Ten rozwój przemysłu pozostającego w rękach, jak się wyraziłem pół-Polaków, miał zgubny wpływ na bardzo wielu przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Poczęto ich wciągać do tych finansowych i przemysłowych instytucji w charakterze członków rad i zarządów. Nazywało się to polszczeniem instytucji, lub zapoznawaniem społeczeństwa polskiego z mało znanymi mu dotychczas gałęziami gospodarstwa narodowego. W rzeczywistości było to wyłącznie tylko przykrywaniem nazwiskiem polskim, instytucji, które na Polakach zarabiały, ale bynajmniej interesom polskim nie służyły.

Na tych Polakach, a za nimi na ogół, miało to wpływ bardzo ujemny. Wyrobiło to w nich zmysł praktyczny szukania i osiągania zarobku, ale nie osiąganego własną pracą, a więc nierzetelnego. Wyżłobiło to drogę do materializmu, nauczyło uganiać się za finansowymi korzyściami i w nich widzieć cel życia. Brak prawie powszechnych studiów politycznych, pogłębiających umysł i pozwalających na rozpoznawanie istoty polityki rządu rosyjskiego względem Polaków, sprawił, że całokształt sprawy narodowej zanikł, że go nie tylko powszechnie, ale nawet w umysłach ludzi przodujących, ludzi, których opinia była miarodajną, nie było, że się „pojęcie Ojczyzny kurczyło w sercach". Rząd rosyjski zręcznie wpoił w ugodowo usposobioną część społeczeństwa, przeświadczenie o konieczności ograniczenia sprawy polskiej do granic zagadnienia miejscowego Królestwa Polskiego i utrzymywał je przez pozwolenie na zakładanie Towarzystw Kredytowych Miejskich, instytucji Wzajem-

nego Kredytu, później jeszcze innych spółek gospodarczych, jak Syndykaty Rolnicze. W ten sposób utrwalało się przekonanie, że na gruncie realnej pracy gospodarczej polskie społeczeństwo ma duże i szerokie pole działania, do zastosowania swej energii i chęci czynu.

Na tle tych nowych stosunków powstało w Królestwie stronnictwo polityki realnej. Pamiętam, że gdy powstawało, zarzucono mu samą nazwę. Nie kto inny, ale sam Roman Dmowski twierdził w podpisanym przez siebie artykule, że każda polityka i każde polityczne stronnictwo musi mieć realne cele i dla ich osiągnięcia prowadzić realną politykę. Dlatego też wszystkie polityczne stronnictwa powinny nosić ten sam przydomek. Jednakże istniejąca różnica polegała, jego zdaniem, na zbadaniu i przekonaniu, co jest realnym, a co nie. Ten, który swemu Narodowi wpajał wówczas myśli nowoczesnego Polaka, rozumiał, że ustępstwa natury gospodarczej, lub pozwolenie na załatwianie własnych spraw kredytowych i temu podobnych było tylko przykryciem istotnych celów rządu rosyjskiego, a mianowicie chęci skreślenia sprawy polskiej ze spraw bieżących polityki europejskiej.

Dziś wiadomo po latach 40, co było wówczas działalnością realną i skuteczną, a co nią nie było. Należy podkreślić, że mimo wszystko przejawił się wówczas zdrowy instynkt, który bronił przed wstąpieniem na drogę godzenia się, choćby tylko tymczasowo na istniejący stan rzeczy.

Instynkt ten wewnętrzny posiadał mój Ojciec. Gdy koła obywatelskie poczęły okazywać Ojcu memu specjalne zaufanie, a które to zaufanie wyraziło się później w wyborze jego na prezesa Komitetu władz Tow. Kred. Ziemskiego i to przeciw synowi margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, starano się pozyskać akces Ojca do grupy polityki realnej, aby go zaliczyć do swojego grona, jako osobę, której wpływ osobisty się rozszerzał, a której i władze rosyjskie poczęły okazy-

wać większe zaufanie, aniżeli komu innemu. Ojciec stale odmawiał i pamiętam, że się zwierzał przede mną kilkakrotnie, że odmawia dlatego, że sprawa narodowa polska w całej swojej rozciągłości, w całej swojej sile i wadze, niedostatecznie kierownikom tej grupy politycznej jest znana. Twierdził, że rozmawiać z władzami winien tylko ten, kto ze swoim społeczeństwem i ze wszystkim, co go nurtuje i w nim się odbywa, ma bezpośredni i żywy współudział.

U ludzi, którzy stanowili jądro późniejszej polityki realnej, podstawowym elementem działania był nie tyle żywy łącznik z Polakami, ile uzyskanie zaufania rosyjskiego rządu. Tym samym wykluczonym było zdobycie zaufania opinii polskiej i poparcia przez nią politycznych wystąpień. To założenie, rzecz prosta, krępowało wszelką inicjatywę na szerszą skalę podjętą. Odbierało siłę przekonania słowu pisanemu, jak i wypowiadanemu i ograniczało wszelkie wystąpienia wyłącznie do tych dziedzin życia, które wysuwały same władze, uznając je, jako możliwe do przychylnego potraktowania i przyjęcia. Już to samo czyniło nie realnymi wszelkie wystąpienia i odbierało im jakiekolwiek polityczne znaczenie.

U ludzi prowadzących tę politykę, czy to poruszając sprawy pozostające pod interdyktem rządowym, lub popierając jednocześnie, choćby po cichu rozwijającą się pracę patriotyczną, istniał w głębi duszy lęk, aby nie narazić się u władz na zarzut, że mówicie jedno, a robicie drugie i tym samym zamknąć sobie drogę działania.

Ojciec uważał ten pogląd za fałszywy, a w skutkach za niebezpieczny. Pamiętam częstokroć wygłaszaną przez niego opinię, że można zapomnieć i darować własną krzywdę, ale nie wolno, choć na chwilę, zapomnieć o krzywdzie, wyrządzonej narodowi. „Krzywda, wyrządzona jednemu z nas winna w każdym z nas znaleźć obrońcę". Jest to ustęp z listu pisanego do

jednego ze swoich kolegów z Sybiru, znajdujący się dziś w naszym archiwum.

Podnietę do stawiania sprawy w taki sposób, a nie inny, dawały Ojcu memu wypadki rozgrywające się w latach 80 i 90 w okolicy, którą zamieszkiwał na Podlasiu. Dom milanowski moich rodziców był jednym z tych do którego prześladowani Unici bardzo często się zwracali.

Ludzie, którzy przychodzili z prośbą o radę i wskazówki co czynić, a przede wszystkim o pomoc moralną dla wytrwania, sami byli nieugięci i twardzi. Krzywdy swoje i cierpienia umieli ofiarować Bogu i dawali wszystkim, którzy się z nimi w życiu zetknęli, zarówno piękny przykład, jak i dobrą naukę, jak i w jaki sposób trzeba trwać, aby wytrwać. Matka moja, osoba gorącego serca i duszy, żywo czująca i żywo reagująca na wszystko, co się wkoło niej działo, kierowała się zdrowym i naturalnym instynktem niczym jeszcze nie nadłamanym i podsycała wzrastający opór tak, że Ojciec mawiał do niej z łagodnym wyrzutem: „Musia sprawi, że znowu na Sybir się dostanę". Pamiętam, że Matka w tych wypadkach odpowiadała: „Nie bój się, bo pojedziemy razem i to jeszcze w towarzystwie tych oto ludzi".

Ojciec był niewątpliwie zalękniony, bo już raz był na Sybirze i już raz przeszedł zarówno zawód, jak i nadłamanie skrzydeł.

Ten pierwszy lęk duszy zauważyłem jako dziecko, zanim zrozumiałem jego genezę. Podczas prześladowania przyszła naraz wiadomość, że przyjechali Kozacy, i że mają łącznie z policją wywozić bardziej opornych ludzi do gub. Orenburskiej z ich rodzinami, a grunta ich i mienie konfiskować. Pomysł ten zrodził się w głowie ówczesnego gubernatora Lubelskiego, który go przedstawił Gen. Gubernatorowi w Warszawie, jako jedyny sposób dla złamania ostatecznego oporu byłych Unitów. Postanowiono plan

ten wykonać i wywieźć około 70 rodzin najbardziej opornych. Wybrano zamożnych, aby w ten sposób rzucić, przez konfiskatę mienia, strach na pozostałych. Rzeczywiście, jednego późnego wieczoru przyszedł do dworu w Milanowie administrator majątku z wiadomością, że zażądano od niego kilkanaście fornalek dla wywiezienia wybranych w ten sposób rodzin z okolicznych wsi. Przyszedł się spytać co ma robić. Uderzył mnie wówczas zatroskany wyraz twarzy Ojca, któremu się uprzytomniło jego własne przejście, uprzytomnił się trud wywołany właśnie przez przejście piechotą dłuższego etapu, bo konne podwody, które się więźniom należały nie chciał dać miejscowy komendant punktu i pod wpływem tych wspomnień powiedział do mojej Matki: „Trzeba furmanki dać, bo przecież lepiej, żeby jechali, aniżeli, żeby szli piechotą". Sprzeciwiła się temu moja Matka, której głos nabrał specjalnej mocy i zawołała: „Nie dam, bo nie chcę pomagać zbrodni". Pamiętam, jak zaraz potem wybuchnęła głośnym płaczem. Był to objaw tej zdrowej reakcji słusznej w swej osnowie i nie dlatego, aby natura Matki była śmielszą i odważniejszą, ale że nie było w niej tego nadłamania woli przez grozę przejść, które się przeżyło i obraz skutków, jakie własne oczy widziały. Gdy byliśmy z bratem oddawani w 1885 roku do szkół do dalekiej Rygi, odczułem po raz drugi, że chodziło rodzicom nie tylko o to, abyśmy nie przeszli złych szkół, jakimi były ówczesne gimnazja rosyjskie, ale również, aby odsunąć nas od wpływów miejscowych, od możliwości wciągnięcia nas do niebezpiecznych konspiracji.

Dalsze życie Ojca zaznaczyło się tym, że szacunek jaki go otaczał, zwiększał się z każdym rokiem i gdzie tylko chodziło o człowieka, którego nazwisko samo przez się jednoczyło ludzi, czy to w dziedzinie dobroczynności, czy jakiejkolwiek innej, przychodzono go prosić, aby obejmował stanowisko naczelne i kierunek instytucji.

Zaufanie to wzrastało w miarę, jak działanie społeczeństwa nabierało organizacyjnej formy i stawało się intensywniejsze. Zaufanie, którym się cieszył, poczęło obejmować coraz szersze kręgi, a jednocześnie dotarło do władz. U władz mógł Ojciec, pomimo swojej przeszłości politycznej i nienależenia do stronnictwa polityki realnej, które w programie swoim na naczelnym miejscu głosiło porozumienie się z temiż władzami, więcej zyskać tak dla spraw ogólnych, jak i w poszczególnych wypadkach w sprawach osobistych, od ludzi, którzy właśnie do powyższej grupy politycznej należeli. Zaufanie to wyrobił sobie Ojciec tym, że wiedziano powszechnie, że każde słowo wyszłe z jego ust, było zawsze bezwzględną prawdą. Żaden argument, który przytaczał, nie był oparty na sztucznych przesłankach. Żadne sposoby przekonywania czy też zjednywania kogokolwiek, a przede wszystkim przedstawicieli władz, nie były urojone. Mówił co myślał i co było istotnym i szczerym jego przekonaniem. Nie tylko ze słów, ale nawet z wyrazu oczu i z całego jego zachowania biła ta moc szczerości, która jest cechą natur kryształowych, a więc takich, których się nie ima, w żadnym wypadku, kłamstwo i którym jest niedostępna hipokryzja. Nie umiał również odmawiać. W tej dziedzinie, wątpię, aby ktokolwiek inny umiał w wielu bardzo wypadkach zdobyć się na takie zaparcie się siebie i na okazanie pomocy w takiej formie, jaką Ojciec wyświadczał.

W życiu polskiego społeczeństwa w okresie przedwojennym od pierwszych lat bież. wieku dorastało do znaczenia i przychodziło do głosu coraz mocniej i częściej nowe pokolenie. Różniło się ono od poprzednich tym, że myśl jego nie wzbijała się pod błękity, odrzucano cierpienia, jako program i drogę do osiągnięcia niepodległości. Czy to było na prawicy społecznej, czy na lewicy, czy to byli ludzie wierzący w socjalizm, czy też pionierzy idei narodowej i pragnący zaszczepić ją masom — jedni i drudzy pragnęli dzia-

łać i działanie swoje oprzeć nie na urojonych, ani na nieistniejących i nierealnych podstawach, ale na gruncie, który prędzej czy później obiecywał dojście do celu. Jedni i drudzy stawiali na planie pierwszym pozyskanie dla sprawy narodowej tych licznych mas, z których się składa Naród, a za których dawni bojownicy walczyli i ginęli bez aureoli zwycięstwa, a oni sami cierpieli w nieświadomości za co cierpią i po co cierpią.

Można powiedzieć, że w dziejach Narodu Polskiego, od chwili uchwalenia Konstytucji 3 Maja, nie było myśli politycznej, która by stała się tak powszechnie zrozumiałą, tak trafiła od razu do serc i umysłów, aby się stać od razu moim własnym pragnieniem, moją własną myślą, moim własnym ukochaniem.

Objęła ona i ogarnęła i tych, którzy o niej nic nie wiedzieli i tych, którzy nie umieli lub bali się ją stosować w życiu i wreszcie tych, którzy uważali ją za słuszną, ale za niedojrzałą dostatecznie. Można powiedzieć, że trafiła ona od razu do tych wszystkich, którzy nie szukali wymówki czy usprawiedliwienia ale którym uczciwe serce i umysł poczciwy nakazywały same w ruchu tym przyjąć czynny udział. Lęk czynu i działania szerszego, którym były opanowane dawne krwawiące pokolenie ustąpiło wobec zjawiska, gdzie ludzie szli naprzód i bezbronni i bezinteresowni, nie pragnący i nie wymagający niczego dla siebie, a pragnący wszystkiego dla swego Narodu. Reakcja, która po klęsce zawsze następuje, jeżeli Naród jest żywotny, jeżeli umie się odradzać, choćby z jednego zdrowego pnia, w Polsce nastąpiła żywiołowo. Na nic nie przydały się nadzieje naszych ciemiężców, że Naród jest rozdzielony, że górne warstwy, które dotychczas przodowały społeczeństwu są zmaterializowane, że inteligencja hołduje abstrakcyjnym ideom postępu, że sama przykłada rękę do rozdzielania polskiego społeczeństwa na zwalczające się klasy — uczciwe pojmowanie życia i obowiązków tkwiło silnie w po-

jęciach ogółu i Naród z uporem dbał o zachowanie w sobie tych zdrowych pierwiastków. Nawet ta przymusowa emigracja za chlebem do rozmaitych innych krajów, ta ciężka praca o zarobek i zaoszczędzenie z myślą o powrocie dla dokończenia resztek życia na ojczystej ziemi, przyczyniła się przez poznanie innych stosunków i innych form życia zbiorowego, do wychowania i wykształcenia w szerokich masach zarówno uczuć narodowych, jak i świadomego rozróżniania co dobre jest, a co złe, co skuteczne i celowe dla Narodu.

Ten proces nie był dostępny dla wielu, a przede wszystkim dla tych, którzy żyli dawną tradycją szlachecką bojowania z szablą w ręku, którzy żyli porywami szlachetnymi i wierzyli, że sama ofiarność krwi, sama ofiarność samego siebie, sama bohaterskość porywu starczy za skutek. Szczególnie na dawnych kresach Rzeczypospolitej, gdzie dawna historia służyła pięknym przykładem, a nowa się nie wytwarzała, bo dla nowej nie było tych pierwiastków, jakie istniały w rdzennej Polsce, szerzyło się przekonanie, że ponieważ budować na nowych podstawach nie było możności, tamtejsze polskie społeczeństwo mogło tylko jedno czynić, a mianowicie to, co robiło dawniej, co umiało robić i tym zaznaczać, że trwa w jedności z całym narodem.

O ile w rdzennej Polsce, samo otwarcie wrót zagrody szlacheckiej i samo otwarcie serca stwarzały nieraz wielkie możliwości dla współpracy rzetelnej i uczciwej, o tyle na kresach wśród ludności innego języka i innego wyznania było to o wiele trudniejszym zadaniem. Uświadomienie narodowej i religijnej różnicy wzmagało się i każdy rok rozdzielał bardziej dwór od chaty, ziemianina od chłopa, działaczy społecznych czy narodowych jednych od drugich. Jest zrozumiałe, że ci od wieków trzymający straż na granicy Rzeczypospolitej przekazywali ten obowiązek pokoleniom. Była to ich moralna spuścizna, uzasadnieniem ich pobytu i mieszkania na tych ziemiach,

wykładnikiem ich łączności z Narodem. W rdzennej Polsce poczęły powstawać zagadnienia inne, duch demokracji i reform społecznych jął przenikać do mózgów. Na tych przesłankach postanowiono stworzyć podstawę oporu prześladowcom, przeciwstawiając mu nie drużyny powstańcze ale cały silnie zjednoczony i ufający sobie wzajemnie Naród. Na kresach, wszystkie reformy zmniejszały polski stan posiadania i polskie wpływy. Władze państwowe paraliżowały wszelkie usiłowania porozumienia się i współdziałania klas społecznych, a nawet umiały to współdziałanie wykorzystywać na swoją korzyść i umacniać idee państwowości rosyjskiej w zabranym kraju.

Mówił mi Ojciec, że gdy był w moim wieku, i u niego budziła się myśl wybiegająca poza obręb rodzinnego domu i rodzinnych stosunków i niosła go do rozmaitych grup, w których organizowała się młodzież. Za czasów uniwersyteckich silnie przylgnął do kolegów z uniwersytetu kijowskiego. Opowiadał, że stali mu się oni drugą rodziną, której był pozbawiony, matka jego bowiem umarła po wydaniu na świat drugiego syna, a jego ojciec był w ciągłych rozjazdach, spowodowanych fatalnym stanem interesów majątkowych, po powstaniu 31 roku, tak, że rodzinnego domu nie posiadał i całe swoje dzieciństwo i młodość spędzał po kolei w domach krewnych.

Mówiąc mi o tych czasach przestrzegał przed nie tyle zbliżaniem i współżyciem z kolegami, ile przed pełną wiarą i pełnym zaufaniem do grup młodzieży. Przedstawiał mi przykłady, że sam wielki zapał nie wystarcza, że bardzo wielu miał serdecznych kolegów o gorącym sercu, ale z wielką pustką w głowie, przerzucających się z jednej ostateczności w drugą, umiejących z zebrań o poważnej treści, przyjeżdżać na bale i zabawy, które gen. gub. kijowski Bibikow umyślnie urządzał, ażeby młodzież polską zabawiać

i zaprawić ją do hulaszczego życia i tą drogą zabić poważniejsze myśli.

Dziś, gdy tę parę słów kreślę, przypominają mi się słowa Romana Dmowskiego, które tak dobitnie wyjaśniały co jest najlepszą i najtrwalszą spuścizną dla każdego syna, tj. wzór uczciwego życia, uczciwego postępowania, uczciwej służby swoim i swojemu krajowi. Pamiętam, że kiedyś po rozmowie, jaką Dmowski miał z moim Ojcem, mówił do mnie „widzi Pan, o ile jest Pan bogatszy ode mnie i o ile Pan szczęśliwszy, że drogę bezpośredniej przeszłości miał Pan uosobioną w ojcu, a więc kimś o którego może się Pan zawsze oprzeć. ...Ja zaś muszę sobie tę całą drogę odtwarzać, odbudowywać w swoim umyśle, aby tworząc drogę przyszłości, związać ją mocno z tym, co jest poza mną". Potrzeba, mówił, „wielkiego wysiłku, aby tradycję odbudować sobie w tej rzeczywistości, jaką ona była, aby wziąć, co było w niej dobre i uczciwe i do służby Narodowi zdatne". „Póki całe pokolenie w całym Narodzie nie będzie dla następnego nauką i przykładem, póty się będzie ciągle wszystko rwało między pokoleniami". Ojciec zaś twierdził po rozmowach z Dmowskim, że nie znał człowieka, któremu tak całkowicie i bez zastrzeżeń można było zawierzyć. Na wspomnienie tych słów, wypowiedzianych przed 35 laty, przychodzi mi na myśl starorzymska zasada, streszczająca się w słowach: „Czyś dorósł Ojca, czyś go przerósł, to mniejsza; staraj się głównie, aby mu dorównać w cnocie". Niewątpliwie jest to rozumna przestroga przed fałszem, przed często mimowolnym uwierzeniem w fałsz, przed nieświadomym poddaniem się mu. Instynkt cnoty w polityce tkwi nie tylko w rozumie ludzi, ile w naturze człowieka, któremu wszelka droga nierzetelna jest obca i nieznana.

Ojciec miał niesłychanie prawą naturę i w tym poczuciu prawości subtelną. Bardzo wyraźnie pojmował, że za to co w życiu zrobił dobrego czy złego, będzie go sądził Bóg, a nie ludzie, a na ziemi nie ludzie

współcześni, ale historia. Zasada dotrzymania słowa, dotrzymania obietnicy, zasada, oddaj coś winien, była przez niego rozciągana na wszelkie wypadki i stosowana w szerokiej mierze. Oddaj dzieciom, oddaj rodzinie, oddaj przyjaciołom i Ojczyźnie". Oddaj nawet nieprzyjacielowi, oddaj hołd wszelkiej zasłudze, oddaj cześć, jeżeli ci sumienie to nakazuje i za dobre uznać każe.

Kiedyś żalił się Ojciec przede mną, że jego najserdeczniejszy przyjaciel i kolega z uniwersytetu i wygnania, dr Wacław Lasocki i który do Ojca, po zamieszkaniu w Nałęczowie, często pisywał listy, czynił mu wymówki, że w stosunkach z władzami rosyjskimi nie zachowuje dostatecznej godności narodowej. Żalił się Ojciec, bo w swoim sumieniu nie miał sobie nic do wyrzucenia. Nigdy bowiem nie zabiegał w sprawie jakiegokolwiek interesu i to nie tylko interesu osobistego, ale i ogólnego, jeżeli chodziło o interes materialny. Stale, w podobnych wypadkach, odmawiał, twierdząc, że nie potrafi tego zrobić, że zamiast pomódz, może sprawie zaszkodzić. Była w tym jego twierdzeniu część prawdy. Druga część prawdy tkwiła w wewnętrznym przekonaniu, że cały swój kredyt moralny i swój kapitał zaufania winien wykorzystać wyłącznie dla spraw natury publicznej. Ojciec twierdził, że dla podobnych spraw znajduje zawsze mocne argumenty, że czuje, że mówi przekonywująco, że może mówić prawdę bez ogródek, a tymczasem w sprawach dotyczących interesów materialnych mówi nieumiejętnie, nieśmiało i bez właściwego akcentu.

Pamiętam, że ten sam, dziś już nieżyjący śp. Wacław Lasocki, mieszkający wówczas w Nałęczowie, został zaproszony na otwarcie jednej z pierwszych szkół rolniczych Centralnego Tow. Rolniczego, opartych o uzyskaną przeze mnie u Stołypina ustawę, która po raz pierwszy pozwalała na wykład przedmiotów w języku polskim, i oddawała kształcenie młodzieży wiejskiej i jej wychowanie C. T. R. Gdy mnie dr Lasocki

ujrzał, zaczął mnie ściskać i czule całować, a między jednym i drugim uściskiem mówił: „Jak się cieszę, jak się cieszę Panie Sewerynie, że Pan tak pożyteczne rzeczy zakłada, dużo pożyteczniejsze od tego, cośmy wspólnie z Ojcem pańskim robili". Ojciec miał również wewnętrzne osobiste zadowolenie z mojej pracy społecznej i często mi to okazywał. Czuł bowiem wewnętrznie, że jest to praca twórcza, że jest ona niezależną od politycznego wiatru czy klimatu, wiejącego z góry i, że pod przykrywką gospodarczych korzyści łączy ona klasy społeczne i wytwarza siłę narodową. Dowód takiego zaufania ze strony Ojca miałem również w latach Wiosny Narodu w Rosji, gdy śp. Adam Krasiński zaprosił szereg starszych osób, a również kilkunastu młodych na zebrania w hotelu Angielskim, na którym nie uprzedziwszy nikogo z nas wypowiedział przemówienie na cześć starszego pokolenia. Ponieważ w tym przemówieniu, wypowiedzianym z wielką swadą i kunsztem oratorskim, było oświadczenie o całkowitym poddaniu się młodych, programowi politycznemu starszych i wkroczeniu ich na drogę przez starszych utorowaną, powstałem z miejsca, aby przeciw temu oświadczeniu zaprotestować, twierdząc, że nowe siły powstają, a w rzeczywistości już powstały i działają, a one z trójlojalizmem ludzi starszych, obecnych na zebraniu nic nie mają wspólnego. Przemówienie to, jako nieprzygotowane, wypowiedziałem bardzo słabo i nieudolnie, a ponieważ w zebraniu tym uczestniczył mój Ojciec, miałem niesmak i wyrzuty wewnętrzne, że mógł to moje oświadczenie wziąć do siebie.

Tymczasem, gdy na drugi dzień z samego rana pobiegłem do Ojca, zastałem go w bardzo dobrym humorze i jedyna wymówka, którą mi zrobił polegała na tym, że się nie przygotowałem dostatecznie i że słuszne myśli wypowiedziałem tak nieudolnie.

Ojciec nie stanowił wyjątku. Wymieniany przez niego w pamiętnikach stryj jego ojca ks. Dymitr Cze-

twertyński był jednym z najbardziej poważanych i cenionych obywateli wołyńskich. Był kuratorem okręgu szkolnego wołyńskiego, a jako do seniora rodziny zwracano się do niego powszechnie i z wielu stron o rady i wskazówki. Tymczasem, ani we wspomnieniach Ojca, ani w listach ks. Dymitra, które posiadam w archiwum rodzinnym, nigdzie nie znajdujemy uwagi, choćby pobieżnej, o tym, co zamierzano zrobić, jakim miał być cel wystąpienia zbrojnego, jaka jego organizacja.

Ludzie zarówno starsi, jak i młodsi, zarówno zwolennicy, jak i prawdopodobnie przeciwnicy zbrojnego wystąpienia byli tacy sami, jakimi ich zrodził wiek osiemnasty, a w rzeczywistości, jakimi ich urobiły dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej. Były w nich te same cnoty, ale i te same wady, ta sama niedojrzałość, ta sama przyrodzona lekkomyślność, wielka żądza sławy, jaką mieli ich poprzednicy przez kilka pokoleń.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że w tym czasie w latach 60-tych zeszłego wieku Niemcy już mieli Bismarka, którego plany mają realizować Niemcy współczesne, to jakżeż bezbronny musi się nam przedstawić ten nasz Naród polski, opóźniony w dojrzewaniu i przerabianiu się na nowoczesny o 150 lat, jeżeli nie o więcej. Jakżeż zrozumiałym się staje, że na tej ziemi, która prawdopodobnie będzie miejscem przyszłych rozgrywek między narodami, jeżeli nie zaciętych walk — byliśmy od długich lat szeregu, kolonizowaliśmy i osadzaliśmy się z pewną głęboką myślą i polityczną i wojskową, a przez ostatnie wieki nic nie potrafiliśmy zrobić, aby się tam ugruntować, aby stworzyć realną polską siłę. Natomiast kilka pokoleń bawiło się w proroctwa, legendy, poematy i sny o roli polskiej w tych krajach.

Czytając wspomnienia Ojca, trudno nam zrozumieć gatunek ludzi, którzy postanowili, tak, jak mój Ojciec i inni, przyjąć na siebie winy i narazić siebie na

tak ciężkie kary, jak roboty w kopalniach i dożywotnie osiedlenie na Syberii. Ojciec pisze w swych pamiętnikach, „że śledztwo przedłużało się niezmiernie, był to już bowiem rok 65, coraz więcej osób było aresztowanych i to takich, które z ruchem powstańczym wcale nie byli związani i że postanowiono wówczas, dla przerwania tych aresztowań, rzucających postrach i gnębiących coraz to więcej rodzin, przyjąć na siebie winę i swoją i cudzą". A więc, jakby przystąpić do wykonania jakiegoś testamentu politycznego, który już był pogrzebany i który już nic dać nie mógł. Tymczasem przyznawanie się do ruchu musiało pociągnąć za sobą, poza represjami, i polityczne skutki, które w pierwszej linii zaznaczyły się w konfiskatach majątku narodowego polskiego, w wypędzeniu Polaków z ich siedzib, podcinania ich bytu na tych ziemiach. Wszystkie te względy nie były brane pod uwagę, umiejętność zastanawiania się nie istniała. Powtórzyło się raz jeszcze w historii pragnienie szlachetnych, ponieść ofiarę, złożyć ją na ołtarzu Ojczyzny, aby dowieść że tacy są, jakimi byli, tacy sami, jacy byli ich Ojcowie.

Trudno winić szlachetnych, tym bardziej, że ta szlachetność miała swoisty i niekłamany urok, wzbudzała szacunek dla ludzi, jak i dla imienia polskiego.

Z nieubłaganą logiką wyjaśniają się nam przyczyny tego stanu duszy społecznej, jaki zapanował w całej Polsce po wypadkach 63 roku. Nie tylko ostry kurs zastosowany przez rząd rosyjski, ale przede wszystkim rozbicie polskiego społeczeństwa, upadek jego energii, osłabienie, jeżeli nie zupełny zanik jego woli, upadek moralny i materialny, zalęknienie czynienia czegokolwiek wytwarzało znowu przerwę, w której gospodarz kraju i syn polskiej ziemi przechodził do roli ślepego i niemego widza, a niekiedy nawet nieświadomego uczestnika opanowywania własnego kraju przez żywioły obce i nie polskie.

Tak, jak po roku 1830 zagłębie węglowe wykupili obcy, jak powstały wielkie fabryczne placówki, a faktycznie kolonie obcego przemysłu, obcego kapitału, dla obcych inżynierów i majstrów, tak samo po roku 1863 powstają nowe, obce placówki. Dawniejsze, jak np. cukrownictwo z powodu potrzeby jego reorganizacji i przebudowy, wysuwa się z rąk polskich. Instytucje finansowe są wyłącznie w rękach nie polskich, a ludzie, którzy je założyli w przeciągu paru lat, zgarniają ogromne zyski, z których powstały wielkie, do dziś istniejące fortuny żydowskie. Ten stan marazmu narodowego, strachu, czy nieumiejętności odnalezienia sposobu walki o byt narodowy, a poczynający się pewien rodzaj dobrobytu, który był nowością dla Polaków, silnie zmaterializował społeczeństwo. Prowadził on zupełnie wyraźną drogą do trójlojalizmu, do ułożenia się polskiego społeczeństwa ze wszystkimi trzema zaborcami i wytworzenia w zgodzie z nimi znośnych warunków bytu.

Brak jakiegokolwiek politycznego oporu wytworzył taką sytuację, że rząd rosyjski uznał chwilę za bardzo odpowiednią, aby skasować nawet nazwę Królestwa Polskiego i nadał mu nazwę Kraj Przywiślański. Rusyfikacja kraju przez szkoły i urzędy robiła postępy nie tylko z nazwy, ale przerabiała umysły i psychikę polską.

Reakcja na ten stan rzeczy nie mogła już wyjść ze sfer posiadających, ani miejskich, ani ziemskich. Klasa społeczna, która dotychczas dostarczała przeważny kontyngent ludzi, po powstaniach narodowych traciła równocześnie najlepszy materiał ludzki jaki posiadała, traciła ziemię, traciła wpływy i traciła zdolność do inicjatywy i do czynu. Klęski wytworzyły nowy typ człowieka napół pogodzonego z losem, wykorzystującego poprawiającą się sytuację ekonomiczną na własnym warsztacie. A ponieważ i ta praca nie była łatwą i wymagała dużego napięcia woli, tym samym oddanie się pracy politycznej, zastanawia-

nie się nad innymi zagadnieniami i studiowanie ich przebiegu było dla ludzi tych niemożliwe. Gdy na przełomie 19 i 20 wieku nastąpiła reakcja, to inicjatywa do tej reakcji musiała już wyjść z innej sfery ludzi, z innych warstw społecznych od tych, którzy dotychczas przodowali społeczeństwu.

O ile propagowany realizm polityczny pojęty i przyjęty został przez sferę ziemiańską, jako dążenie do umiejętnej i trzeźwej pracy na własnym zagonie i wyciąganie z niego realnych zysków, o tyle znowu w sferach robotniczych z jednej strony i młodych działaczy narodowych, rekrutujących się ze wszystkich stanów, realizm polityczny pojęty został, przyjęty i wykonany, jako ruch masowy, a skierowany przeciwko zaborcy.

W tym pobieżnym rzucie oka na kształtowanie się myśli politycznej polskiej przez dwa ostatnie wieki, a kończąc te rozważania na osobach mi najbliższych, których działalność danem mi było badać i analizować, dochodzę do nieomylnego wniosku, że testamentu politycznego, któryby jedno pokolenie przekazywało drugiemu nie było. Nie było w Narodzie, nie było go w grupach politycznych, za jakie można uznać dawniejsze konfederacje 18 wieku, albo grupy poselskie, zasiadające w ostatnich sejmach.

Nie skrystalizował się on również w umysłach ludzi przodujących wówczas Narodowi. Wymieniany najczęściej ks. Adam Czartoryski, reprezentujący wysoką wiedzę i posiadający rozległe stosunki, zostawił piękne dziedzictwo szlachetności i ofiary. Skazał sam siebie na cierpienia, aby móc cierpieć wespół z cierpiącym Narodem, aby utrzymać czystą, nieskalaną niczym ciągłość wiernej służby Narodowi. Uczynił to, bo wszelki inny rodzaj służby wymagałby zejścia z piedestału i zerwania z tradycją, którą Polska żyła w sercach swych synów.

Ale tak pojmowana i w ten sposób przekazywana tradycja przechodziła do serc, rzecz prosta nie do

wszystkich i wybuchała, gdy była temu sposobność w powstaniach i wszelkich ruchach narodowych. Ciekawym tego dokumentem jest wzmianka Ojca w jego pamiętniku o zamiarze jego jako 19-letniego chłopca zaciągnięcia się do wojsk tureckich podczas wojny rosyjsko-tureckiej, aby móc walczyć przeciwko zaborcy, co zresztą wykonał stryjeczny brat Ojca, Stefan, który do kraju już nie wrócił, a włócząc się po świecie był jednym z pierwszych Polaków, którzy osiedli w dalekiej Australii i tam, jako nauczyciel języków długie lata przeżył.

Pomijając skuteczność i realizm samych tych wysiłków, wytwarzały one atmosferę, w której zacieśniał się krąg myśli i utrudniał poznawanie nowych i odmiennych zjawisk w życiu Narodu. Brak ten nie pozwalał studiować tych zjawisk i zapoznawać się z nimi, jako nowymi czynnikami w życiu i rozwoju narodowym. Było to niespornym błędem. Było wielkim i groźnym w skutku zaniedbaniem. Zaniedbaniem dlatego, bo już od początków 19-go wieku w narodach zachodnich powstawał proces wywołujący zmiany w strukturze społecznej i gospodarczej, zmiany, dające narodom tym silniejszą więź narodową i silne podstawy do dalszego rozwoju.

Opóźnienie w rozwoju przypisujemy dziś jeszcze niewoli politycznej i nieposiadaniu własnego aparatu państwowego. Niestety, tak nie jest. Opóźnienie to spowodowane zostało przez naszą własną winę, przez polityczną bezczynność. Najlepszym tego dowodem jest dzisiejsze ubóstwo Małopolski i jej fatalny ustrój społeczny, z jej placówkami zarówno obcego kapitału, jak i obcego przemysłu powstałych w czasie, kiedy interesy polskie, miały swoich oficjalnych przedstawicieli i winny byli mieć swych własnych obrońców polskiej sprawy. Natomiast Wielkopolska potrafiła w czasie największego ucisku stworzyć do pewnego stopnia niezależność gospodarczą, a w każdym razie pewne wyodrębnienie ruchu gospodarczego na

ziemiach polskich spod państwowego aparatu niemieckiego.

Dowodem tego również jest bezpotomność działań Lubeckich, Łubieńskich i Sztajnkielerów w początkach 19-go wieku. Ich dalekowidztwo, zakładające instytucje w niespełna kilka lat po powstaniu podobnych instytucji na zachodzie Europy, świadczy, że nawet tam i wtedy, gdy byli ludzie, ogół był tak daleki od pojmowania ich myśli, że dziedzictwo pozostało w instytucji, a nie w umysłach ludzkich.

Za długo ludzie żyli w kontemplacji działań ich przodków, za długo żyli wspomnieniami ich sławnych czynów, aby umysły nie stały się bezczynne i nie zatracały umiejętności szukania nowych dróg i sposobów oraz odnajdywania tego, co brak było Ojczyźnie, a co można było mimo wszystko jej dać i dla niej wypracować. Bezczynność umysłu wprowadza i bezczynność serca. Serce chłodnie, bo wielkich wzruszeń nie przechodzi, a na małe nie odpowiada i przechodzi koło nich obojętnie. A przechodzi koło nich obojętnie, bo ich nie zna, nie zna bezpośrednio, nie ma z nimi bezpośredniego związku i dotyku. Wydaje mu się, że to rzecz nie bliska i często wyobraża sobie, że jest to sprawa prawie że obca. Sprawa narodowa w tych warunkach nie wyrasta, nie umie wyrosnąć w postaci innej od tej, jaka była przed wiekiem, lub przed laty. Wypadek tyko powoduje, że naraz jaskrawo wybucha, ale wówczas przedstawia się, jako zjawisko nowe i nieznane, a przez to również wydaje się być obcem, a nie swojem. Wyraźnym tego przykładem było odsuwanie się ugodowo usposobionego społeczeństwa polskiego od wypadków i demonstracji 1905 roku. Jakikolwiek był stosunek polityczny do tych wystąpień, nie można było zapominać, że lała się krew Polaków, że manifestował robotnik polski na rzecz niepodległej Ojczyzny!

W b. Królestwie Polskim tym samym zjawiskiem tłumaczy się, że działalność Lubeckich nie miała na-

stępców, a usiłowania niektórych przodujących ludzi w Tow. Rolniczym w okresie sprzed 63 roku w sprawie uwłaszczenia włościan nie miały dostatecznego poparcia, nie zyskały ogólnego uznania i rząd rosyjski mógł tę samą sprawę załatwić po swojemu i wyzyskać ją politycznie na swoją korzyść.

Wszystkie powyższe względy jasno tłumaczą, że nowe dążenia nie znalazły swych wyrazicieli, i wyznawców w ludziach z tej sfery, z której wychodzili dotychczas obrońcy i orędownicy sprawy polskiej.

Dopiero, gdy znaleźli się budziciele i kierownicy, dopiero, gdy wskazano drogę, znaleźli się naśladowcy, zwolennicy, żołnierze oddani całkowicie swym przywódcom. Najczęściej wystarczało już samo wskazanie drogi i jej oznaczenie. Ludzie dłuższy czas pozostający w bezczynności, jęli się z zapałem imać wskazanej roboty. Stosunki w kraju już były inne, aniżeli w pierwszych latach po uwłaszczeniu. Wyszukiwanie i mianowanie tajnych wójtów narodowych dokonane zostało w prędkim czasie. Świadomość potrzeby współdziałania narodowego, jeżeli nie wszędzie, to w niektórych okolicach już wówczas była bardzo silnie rozbudzona, przede wszystkim w okolicach, zamieszkałych przez drobną szlachtę, a również na Podlasiu z powodu prześladowania religijnego. Jak silne i głębokie zapuściła ona korzenie, niech posłuży fakt, że przy wyborach do Sejmu Ustawodawczego przypominano mi na zebraniach przedwyborczych, że przed 20-tu laty znano mnie, lub słyszano o mnie, jako kolporterze „Polaka" i to wystarczało do wytworzenia atmosfery zaufania. W ruchu tym wielkie znaczenie miały ośrodki miejskie, na czele których stali ludzie wielkiego patriotyzmu, niezłomnej woli i całkowicie oddani sprawie narodowej. Rzecz prosta, że wojna japońska wstrząsnęła wielkim cesarstwem rosyjskim w jego posadach i stała się punktem zwrotnym w polityce jego kierowników. Ale już przed wojną rząd rosyjski przekonał się, że traci zwolenni-

ków, których wyobrażał sobie, że posiada całkowicie po swojej stronie i zrozumiał, że traci grunt dla polityki, którą dotychczas prowadził. Zaczęły się wówczas próby jednania Polaków za pomocą obietnic wyodrębnienia sprawy polskiej do granic Królestwa Polskiego, z obietnicami utworzenia dlań szerokiego samorządu gospodarczego i zmiany praw języka polskiego. W zamian żądano od Polaków uznania, że sprawa polska poza granicami Królestwa Polskiego nie istnieje.

Ale przyszły wybory do pierwszej Dumy Rosyjskiej i wybory te wykazały odwrotnie, że istnieje ona nadal w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Rezultat pierwszych wyborów, które odbyły się bez żadnego nacisku ze strony władz dały w Królestwie Polskim wynik potwierdzający, że ruch narodowy wpływami swymi objął całkowicie masy wiejskie i miejskie, a jednocześnie, że ludność Kowieńszczyzny, Wileńszczyzny, Mińszczyzny, Wołynia, a nawet dawnych Inflant Polskich wybrała na swoich przedstawicieli w znacznej większości Polaków, jako ludzi do których miała największe zaufanie.* Wynik ten był nieoczekiwany dla rosyjskiego rządu i całkowicie zaprzeczał urzędowym sprawozdaniom. Postanowiono też rozpocząć inną politykę, politykę mocnej, ale i umiejętnej ręki, która by rozwiała separatystyczne prądy i próbowała stworzyć nową więź w państwie rosyjskim. Więzią tą miał być nacjonalizm rosyjski, którego syntezę ujął

* Gdy w roku 1918 zaaresztowany zostałem z rozkazu Sowietu Mohylowskiego przez czerwonych gwardzistów i wywieziony przez nich do więzienia w Homlu, posłyszałem prowadzoną przez nich rozmowę, że wkrótce w tych stronach wybuchnie powstanie. Spytałem się ich któż to będzie powstawać? Odpowiedzieli mi: Polacy. Gdy zauważyłem, że przecież w tych stronach jest mało Polaków, odpowiedzieli mi, że jest ich dużo i że zresztą ogół mieszkańców twierdzi, że ponieważ nie ma już „Cara" przejdą z powrotem pod panowanie Polski. Gdy wyszedłem z więzienia odnalazłem na mapie miejscowości, przez które mnie wieziono. Okazało się, że to były okolice odstąpione Rosji przy andruszowskim traktacie (rok 1667!).

Stołypin w lapidarnym zdaniu, wygłoszonym w dumie: „Wam są potrzebne wielkie przewroty i burze, nam jest potrzebna Wielka Rosja". Poczynający się okres mógł być, gdyby się nie był urwał, okresem dla Polski jeszcze cięższym od poprzednich. Albowiem przy nacjonaliźmie rosyjskim nie mogło być miejsca dla polskiego starszego, zaprawionego w walce, tkwiącego silnie w polskiej duszy. Rosyjski miał się dopiero narodzić, lub obudzić z uśpienia. Na to potrzeba było czasu, a czasu nie starczyło. Naród rosyjski uległ obcym wpływom, które go rozbroiły i zwyciężyły.

*

Jeżeli uważałem za potrzebne dodać te parę szczegółów do wspomnień mego Ojca, to dlatego, że wydało mi się, że bez tych wyjaśnień, pamiętniki mego Ojca pisane dla rodziny, częściowo mające już historyczne znaczenie, nie będą zrozumiałe, tym bardziej dla pokolenia, które urodzone na wolności, dochodzi właśnie do wieku swojej dojrzałości. Chodziło mi, aby właśnie tego rodzaju wspomnienia, nie zabarwione pragnieniem wystawienia sobie samemu świadectwa patriotyzmu, ofiarności, cierpienia, nic nie przeinaczające, z największą dokładnością i sumiennością zapisujące to, co zostało Ojcu w pamięci, posłużyły do poznania ludzi z końca 19-go wieku, z najgorszego okresu naszej narodowej niewoli. Zastanowić się przecież należy, że te silne uczucia serdecznej przyjaźni z tyloma ludźmi, a w rzeczywistości prawie ze wszystkimi, których Ojciec w życiu spotkał i z którymi los i sprawa narodowa go związała i złączyła, a której to przyjaźni pamiętnik jest niekłamanym wyrazem, pobudziły do poznania sprawy narodowej w jej nowej postaci, w jej nowym kształcie, w jej nowym wyrazie. Ojciec okazuje się, w świetle pamiętników jako prawdziwy i rzeczywisty typ Polski przedwojennej, wyrosły z dwóch pokoleń Polski porozbiorowej, między którymi nie było łączności, z których żadne nie

pozostawiało ani politycznego testamentu, ani politycznego spadku. Każde wchodziło w życie ze swoją własną wiarą, aby potem, doszedłszy wieku męskiego robić to samo i tak samo.

Musiało to w końcu obniżyć lot myśli Polaków a ponieważ schodzenie w głąb siebie i w głąb swoich było nieznane, pozostano na powierzchni życia, na powierzchni stosunków, na powierzchni objawów i wypadków, które każdy nowy dzień przynosił.

Zasługą Ojca i jego przyjaciół było to, że przeszli przez życie uczciwie, ale uczciwie i w szerokim, jak i głębokim tego słowa znaczeniu. Co żądała od Ojca Ojczyzna, czego wymagał kraj rodzinny, bliższa i dalsza rodzina, a przez całe życie i „młodzi przyjaciele, z którymi szedł razem", jak i starsi, z którymi się zżył i złączył, to wszystko umiał im oddać, oddając najczęściej samego siebie. Dziś, gdy piszę te słowa i patrzę na te oczy, które mam w portrecie przed sobą, a od wyrazu których niniejsze wspomnienie zacząłem — mam świadomość, że Ojciec dobrze siebie znał i umiał ocenić sam przed sobą i w swoim sumieniu, co może dać, a czego nie potrafi, do czego dorasta wiedzą, doświadczeniem, znajomością spraw, a do czego nie dorósł. Wieleż to razy uporczywie twierdził, nawet przed dziećmi, że Matka moja zna się lepiej od niego na wielu sprawach, że jest stanowcza i wytrwała, że jest oszczędna i zapobiegliwa, i, że nie ma sprawy, której by nie powierzył jej radzie. To samo mówił mi o wielu ze swoich kolegów z Tow. Kred. Ziemskiego. Twierdził, że wielu z nich zna lepiej sprawę kredytu długoterminowego od niego, i, że mu wstyd, że nie oni przewodniczą Towarzystwu, ale on.

Ale ta szczerość względem samego siebie dawała mu zdolność orientowania się w tym, co należało zrobić. Ludzie tego rodzaju posiadają i zachowują zdrowy instynkt, przemawiający wewnątrz i kierujący sumieniem i wolą człowieka. Instynkt ten nigdy Ojca nie zawiódł.

Ojciec mój umarł w sierpniu 1918 r., a więc wówczas, gdy trąbki jeszcze nie były odegrały hymnu zwycięstwa, ale gdy Niepodległa Polska zarysowała się już wyraźnie w sercu i stawała przed zamierającymi jego oczyma. W sercu jego, bijącym już słabo, obraz jej odbił się mocnym tętnem i ostatnie wieczory spędzone z dziećmi, nawet ostatni przed śmiercią, przeszły na wyczekiwaniu gorączkowym wiadomości z pola bitew „co się dzieje?" we Francji.

Na pogrzeb stawili się legioniści, jako obraz przyszłego zbrojnego ramienia Rzeczypospolitej, odprowadzili go na miejsce wiecznego spoczynku, jako powstańca i sybiraka i wieko trumny zamknęło się na zawsze.

*

Ta niedojrzałość, która się przejawia w naszych poczynaniach i każe, jak na wstępie wspomniałem wciąż poprawiać samych siebie, wciąż zmieniać i naprawiać i która przez to nie potrafiła dotychczas ustalić w Polsce ani wzoru Polaka, ani wzoru pełnienia służby publicznej, ani wzoru instytucji publicznej, winna być zanalizowaną, winna stanowić przestrogę, aby poznać dlaczego tak się dzieje.

Winniśmy bowiem pracować nad tym, co się nam dotychczas nie udaje, a mianowicie nad wytworzeniem nowego jednolitego typu nowoczesnego Polaka.

Potrzeba, aby ten nowoczesny Polak zrozumiał, że nie potrzebuje zrywać z tym, co było przed nim. Przeciwnie, że może i powinien związać się z dziełem, z myślami, z trudem poprzedzającego go pokolenia. Przyjdzie mu to łatwo, bo po raz pierwszy od lat bardzo wielu oprze się on o zwycięstwo, oprze o trud, który wydał owoc, o pracę, która wydała plon, o siew, który zeszedł i wschodzi w dalszym ciągu w młodym pokoleniu, przerabiając jego serce i umysł. Nie dostrzega może jeszcze to pokolenie wschodzącego siewu, nie czuje dostatecznie, że ma w sobie zarodek

przyszłego plonu. Ale, jeżeli nawet nie dostrzega, niech wie i zrozumie, że musi pracować nad sobą, aby go w sobie odnaleźć, a broń Boże nie zagubić i nie zwalczać. Niech wie, że musi siew ten wyhodować, a plon albo zebrać, albo przekazać do zebrania następującemu pokoleniu. Niech się nie troszczy, kto zbierze i kogo historia laurem uwieńczy. O to mniejsza. Byleby plon zebrał Naród! Niech zrozumie, że w najbliższym okresie czasu wszystko, co w organizmie człowieka winno działać, a więc mięśnie, serce, myśl, rozum musi być wprowadzone w ciągłe i nieustanne działanie. Ale działanie stałe, ciągłe, ani wybuchowe, ani odruchowe ale świadome wykonywanej pracy i jej celu.

Do cnoty miłości Ojczyzny dorzucić należy cnotę prawości i uczciwości w słowie i uczynku. Wówczas i myśl potrafi żywiej i głębiej obejmować zagadnienia, które każdy dzień w nowej postaci przynosi.

Już sto lat temu uczył Mickiewicz Polaków, aby zaprzestali dzielić się, mówiąc: Jam żołnierz, a Ty powstaniec, Jam był pod Wawrem i Stoczkiem, a Tyś bił się w lasach.

Dziś również nie dzielmy się, mówiąc: Jam z tego Ojca, Ty z tamtego. Jam z żołnierza a Ty z Obywatela.

Naród nowoczesny winien wołać:

„My wszyscy z tych wszystkich, którzy byli przed nami".

AUTOR PAMIĘTNIKÓW

NAPISAŁ

STANISŁAW WASYLEWSKI

Mały Włodzio rakiem łaził
Gdy mu żywego pokazano raka
Rak go uszczypnął — Włodzio się [obraził
(Co jest honoru oznaka).
Że się obraził to pewnie
Bo nawet w złości zapłakał rzewnie.

Temi łzami rozczulony
Przez starość prawie zielony
Rak, co miał wnuki, [prawnuki
Tak najprzód do Włodzia [rzeknie:
Płakać nie pięknie —

Powtóre, gdyś jest człowiekiem,
Co najwyższej łaski znak
W młodości i z pewnym wiekiem
Nie czołgaj się, jak ja rak
Bo to nas wszystkich może obrazić
Co z natury musiem łazić.

Czytając tę niewymyślną fraszkę nie przypuszczamy ani na chwilę, że pisze ją starzec ciężko doświadczony, ociemniały niby jakiś Król Lear i samotny jak Jan Gabriel Borckman z dramatu Ibsena. Z tą wszakże od tamtych różnicą, że to nie ludzie, ale dociski losu poraziły go u schyłku życia mocniej, niż razy pik kozackich, które go śmiertelnie, zdawało się, raniły za młodu. Generał Ludwik Kropiński stracił nieledwie wszystko, co o szczęściu człowieka stanowi, bo i wzrok i sławę pisarza i ukochane dzieci. Wnuki Włodzio i Ludwik to obok żony wiernej jedyne światełka, jakie mu zostały.

Pod dachem dziadowym urodził się Włodzimierz ks. Czetwertyński w Woronczynie dnia 26 września 1837 jako syn Kaliksta i Zofii z Kropińskich. „Ostatnią z trojga dzieci wychowywali Kropińscy sami, bez starań i zabiegów guwernantek, których wcale w ich domu nie było... Było to dziecko natury, ale pięknej w bzy, fijołki i róże uczucia; umysłowe jej władze w zapachu tych kwiatów dojrzewały". Tak charakteryzował Zofię Kropińską sąsiad i przyjaciel Woron-

czyna, Henryk Cieszkowski, bo autor pamiętników nie pamiętał matki zupełnie. Konkury o rękę posażnej i tylu przymiotami zdobnej panny zaczęły się wkrótce („Woronczyn otworzył dom i coraz ożywieńszym się stawał... Była to najszczęśliwsza dla niego i dla rodzicielskiego serca epoka"). Bo gromy, jeden po drugim, zniszczył wkrótce potem szczęście gen. Kropińskiego do szczętu. Z licznych starających wybrano Kaliksta ks. Czetwertyńskiego. Dnia 15 października 1836 Kanonik łucki, ks. Ożarowski pobłogosławił nowożeńców. Na uroczystości weselnej przemówił uszczęśliwiony ojciec i teść, wygłaszając mowę w szlachetnym patosie staropolskiej retoryki utrzymaną: „Młodzi i niedoświadczeni! — mówił — postępujcie śmiało w nieznaną wam jeszcze przyszłość.. wiedźcie jednak, że ten stan małżeński obok wielkiego szczęścia ma wiele ciężkich obowiązków, a może mieć wiele strapień i strat rodzicielskich. Jeżeli kiedy w was uderzą te gromy, znieście je z pokorą i tak cierpliwie, jak my je znieśli. Pomnijcie na to, że ci tylko przepływają śmiało bezdenne morza igrzysk losów ludzkich, co są ciągle otaczani wszystkimi cnotami, na jakich się cała ludzkość opiera. Jutrzenki naszego zachodu! Zofio i Kalikście Czetwertyńscy! wierzcie temu, że jak wam dziś błogosławiemy, tak wam błogosławić będziemy do ostatniego tchnienia. Książę Dymitrze, zastępco rodziców Kaliksta! pobłogosław że w Ich i w swoim imieniu Zosi i Kalikstowi. Przechodzącą w wasz dom poleć dobrze wszystkim twoim, nasz jedyny skarb na tej ziemi."

A potem dla własnego już użytku ułożył autor „Ludgardy" taką fraszkę:

Wyleciała Zosia z domu
Porwał ją Kalikst okrutny
Niema mnie pocieszyć komu
Więc jestem smutny — ach! smutny
I jeśli prędko nie wróci
Ksiądz mi rekwijem zanuci.

Przedtem czekały jednak generała cięższe nad śmierć samą dopusty. Najpierw ociemniał zupełnie, ulegając dziedzicznemu w rodzinie kalectwu, następnie po dwóch latach zmarła Zofia Czetwertyńska w dwudziestym roku życia. Wtedy wszystką miłość przelał na wnuki, Włodzia i Ludwika, wyrażając ją w bezliku drobnych ucinków, bajek i wierszyków, które dyktował siedząc pod markizą swej ustronnej samotni w Woronczynie. („Ta chwila w mojem sercu wiele kolców gładzi, kiedy trzyletni wnuczek mnie dziada prowadzi").

Pierwsze wychowanie domowe odebrał Włodzimierz Czetwertyński w Woronczynie, wzrastając pod wpływem doskonałej tradycji. Trudno było o lepsze otoczenie i przykład. Dziad utkwił mu przede wszystkim w pamięci jako wzorowy i ofiarny rodzic, wyobraźnię dziecka poruszały opowiadania o tych 16-tu ranach jakie podpułkownik artylerii odniósł, broniąc okopów Pragi w r. 1794, dał wówczas miarę niespożytych sił fizycznych, bo mimo dotkliwych uszkodzeń ciała i przeleżenia przez dwie doby między trupami — wyzdrowiał w krótkim czasie. Gdy Kropiński zmarł w roku 1844, dobiegłszy dwóch siekierek, wnuk jego ukochany zaledwie pierwszą siekierkę rozpoczynał. Nie mógł więc zdawać sobie sprawy ze znaczenia dziada jako pisarza. Znaczenie to było wyjątkowe. Ludwik Kropiński napisał wszakże w r. 1810 pierwszą nowoczesną powieść polską: „Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru". W przedmowie zaznaczał, że chodziło mu o wykazanie fałszywości twierdzenia, „iż nasz język nie jest zdolny wydać tkliwości uczuć delikatnej miłości, dla których język francuski, zwłaszcza w „Nowej Heloizie", zdaje się być stworzonym". Przejął więc konflikt romansowy z głośnego utworu J. J. Rousseau, naśladował w sposób dość prymitywny, jego wykrzykniki skargi i wyrzuty, a rozwiązał rzecz w sposób werterowski, śladem równie głośnego

dzieła Goethego. Rousseau i Goethe, „Nowa Heloiza" i „Werter" w Polsce jeszcze klasycznej, u progu nowej ery w literaturze, to była istotnie rewelacja. Niestety, autor sam umniejszył wagę swego wyczynu literackiego, bo romans napisany w r. 1810 oddał do druku dopiero w czternaście lat później. (Warszawa 1824, były przekłady na języki francuski i rosyjski). Przez ten czas zaś dzieje nadzwyczajnej miłości, skwapliwie przepisywane i opłakiwane, obiegały całą Polskę, w odpisach. Gen. Kropiński atoli, nie tylko nie pospieszył się z drukiem, ale nawet się ociągał, przekładając snać taki domowy i sąsiedzki tryb popularności swego dzieła. Miało to i złe strony, bo gdy Fr. Bernatowicz ogłosił w r. 1820 powieść „Nierozsądne śluby", Kropiński zarzucił koledze po piórze plagiat, o tyle niesłusznie, że powieść Bernatowicza zawierała tylko reminiscencje z krążących w rękopisie „Julji i Adolfa".

Podobnież tragedia „Ludgarda", wystawiona na wiosnę 1816 roku na scenie warszawskiej, powitana została jako od dawna oczekiwana „trajedia polska na wątkach narodowych osnowana". Jeżeli pierwszy entuzjazm roztkliwionych widzów był nadmierny, — bo utwór nie wyrastał ponad wzorową zresztą poprawność i wierność wzorom Racine'owskim, — to ogłoszenie jej znowuż po ubiegu wielu lat (1841) mijało się z celem. Sam zaś Kropiński zdecydował się na *édition definitive* „Ludgardy" dopiero w r. 1843, ale już wyjścia z druku swych, wspaniale wyprawionych „Rozmaitych Pism" (we Lwowie, u Jana Milikowskiego) nie zdążył doczekać.

Nie odziedziczywszy po dziadku żyłki literackiej przejął Włodzimierz ks. Czetwertyński inną jego pasję szlachetną: miłość do ksiąg, chętkę zbieracką. Nawiązywać miał pod tym względem przez całe życie do tradycji Woronczyna, będąc jednym ze znanych w Warszawie bibliofilów i kolekcjonerów. Przyjaciel znakomitego arcy-antykwariusza, współsybiraka Jana

Gieysztora, informator Aleksandra Kraushara, który niejednokrotnie w pracach swych powołuje się na „szacowny zbiór wizerunków postaci historycznych polskich Włodzimierza ks. Czetwertyńskiego". Jakże znamienny jest taki szczegół zawarty w pamiętnikach: „Budując dom (w Milanowie) myślałem wiele o pomieszczeniu (zbiorów biblioteki woronczyńskiej), a gdy zbliżał się termin słabości mojej żony, zaprosiłem przyjaciela mego dra Wacława Lasockiego, ponieważ był on nietylko doświadczonym akuszerem, ale równocześnie wielkim bibliofilem".

Wspomniałem już, że dziecko zapamiętało głównie dziada szablą służącego ojczyźnie. Niegorsze były tradycje po mieczu, a bliskie i bardziej bezpośrednie, bo nie z Kościuszkowego lecz listopadowego czasu. Ojciec autora, ks. Kalikst dosłużył się uczciwie szlifów porucznikowskich w 5 pułku ułanów. Pułk ten, niezwykle bitny, brał udział w „czterech bataliach wielkich, w ośmiu bitwach, w pięciu znacznych szarżach", gdzie stracił w „zabitych, rannych i niewolnikach do 240 ludzi". Nazywano go „pułkiem Zamoyskich", gdyż pierwsze trzy szwadrony stanęły sumptem Ordynacji, obowiązanej do formowania podczas wojny pułku kawalerii i piechoty. Zrazu więc przysyłano od razu na podporuczników wielu młodych ludzi noszących historyczne nazwiska. „Wiara i podoficerowie — wspomina jeden z żołnierzy w swych pamiętnikach — którzy służyli od samego początku podzielając wszelkie trudy i mozoły ochoczo, nie byli z tego bardzo zadowoleni. Ale wypada też nadmienić, że inni panowie dosługiwali się swych stopni w pułku". Należał do nich syn ordynata, August Zamoyski, oraz Kalikst Czetwertyński; pierwszy został oficerem przed bitwą pod Ostrołęką, drugi na samym końcu kampanii listopadowej.

Nic więc dziwnego, że dziesięcioletni Włodzio marzy w r. 1848 przede wszystkim o tym, aby zaciągnąć się w szeregi ochotników polskich walczących w po-

wstaniu Węgier przeciw Austrii, chce po prostu uciec z domu, — idea ta podobnie rozpłomienia młodzież ówczesną, jak w poprzednim pokoleniu walka Grecji o wolność w r. 1821.

Odbywając nauki początkowe w Instytucie szlacheckim w Wilnie w latach 1851—1856, trafia tu autor na niewygasłą jeszcze zupełnie tradycję uniwersytetu, no i na rozmaite, jasne i ciemniejsze relikty tej tradycji na gruncie towarzyskim. Młody chłopak poznaje m. i. wiekową już p. Zubow-Walentynowiczową, o której śpiewali kiedyś mickiewiczowscy Filomaci:

Wiwat Bajkow, Nowosilców
bicze tajnych klubów
i kochanka tych opilców
wiwat Księżna Zubów!

A potem uniwersytet w Kijowie, ten uniwersytet, który na krótki czas, bo ledwie lat kilkanaście przejął — niechcący naturalnie — świetną spuściznę i misję Wilna. W czwartym i piątym dziesiątku XIX stulecia nie tylko „bałagulstwo" panowało wśród młodzieży kresowej studiującej w Kijowie, lecz również gorliwy ruch patriotyczny. Tu wszakże stała kolebka tzw. konarszczyzny, w atmosferze kijowskiej wszechnicy powstało w r. 1835 wołyńskie „Towarzystwo patriotyczne" z takimi oto celami: „narodowość utrzymać, ducha poświęceń obudzać, oświatę rozkrzewiać, obyczaje poprawiać, lud wolny na synów ojczyzny sposobić". Ruch cały zlikwidowano szybko i z wielkim hałasem, przy udziale wywiadu i policji wszystkich trzech zaborów. Wiadomo, że uwięziono wówczas około tysiąca osób na Wołyniu, w Kongresówce i Galicji — z Wołynian zaś Gaspar Maszkowski, Antoni Beaupré, Fryderyk Michalski i i. uwolnieni spod grożącego niechybnie stryczka zesłani zostali do Nerczyńska. Ich miejsce w Kijowie zajęło w latach 1850 pokolenie Włodz. Czetwertyńskiego, podejmując zerwany ciąg roboty patriotycznej.

Idzie wolna Pani ... widzę ją, trzy katy
Kochanki piekieł, świadczący się niebem
Płaszcz jej królewski rozdarli w trzy szmaty
I swe psy głodne karmili jej chlebem...
Gdzież jej ptak biały? biały ptak wolności?!
Czy go zerwały losów huragany?
I buja, wisząc gdzieś tam pod chmurami?

Te słowa wyjęte z programowego wiersza Tadeusza Komara, który był Tyrteuszem kijowskiej młodzieży — służyły jej za hasło na odświęt, za ostrogę, stymulującą do wypełniania programu „Towarzystwa Patriotycznego". Zaczęto od rzeczy najtrudniejszej, od końca, inicjując pracę nad „sposobieniem ludu (ukraińskiego) na synów ojczyzny". Trudno oczekiwać, aby młodzież i to doby najpełniejszego romantyzmu, okazała należyte poczucie rzeczywistości w tym trudnym zagadnieniu. Toteż młodziutki Włodzimierz Czetwertyński wstępując w szeregi tzw. „chłopomanów", niezbyt odbiegł od swej dalekiej kuzynki, która w dziesięć lat później odda połowę majątku chłopom ukraińskim, mając ten sam wielki a nierealny zgoła cel polityczny na myśli. „Chłopomani" kijowscy, przybrani w efektowne siermięgi ukraińskie, realizowali — jak to często w Polsce bywało — ideę swoją przede wszystkim od strony kostiumowej, i ta część roboty powiodła się najlepiej. Gorzej nierównie było z uświadamianiem wsi. Sam Czetwertyński z pobłażaniem odnosząc się do tych rojeń młodzieńczych, podkreśli że chłopi ani słyszeć nie chcieli o jakiejś nowej „pańskiej zabawce". Panicze zaś niezrażeni, nawoływali się w śpiewie: „Lejcie kule, noście świty, a zrzucajcie pańskie szaty, herby, hafty i szkarłaty — carskie znaczki i zaszczyty!"

W Kijowie, na ławie uniwersyteckiej, zetknął się nasz autor z Wacławem Lasockim, ziemianinem z pow. żytomierskiego, z którym zawrze serdeczną przyjaźń. Los wspólny każe im później spotkać się znów na Sybirskim „posieleniu" w tej samej miejsco-

wości, nie rozdzieli ich też po powrocie do kraju. Wacław Lasocki rozpisuje się szeroko w swych wspomnieniach o pracach i dniach kijowskiej studenterii. Szczegółową i starannie dokumentowaną opowieścią uzupełnia on w niejednym skromniejsze a oszczędne w słowach pamiętniki Czetwertyńskiego. Lasocki poszedł na Sybir, gdyż przydybano go w przededniu wojny styczniowej *in flagranti* na rozwożeniu „Złotej Hramoty" (tak się nazywała proklamacja powstańcza, wieszcząca swobodę ludowi) — Czetwertyńskiego na żadnym gorącym uczynku nie przyłapano. Jedyną jego akcją pozytywną w r. 1863 było nawiązanie w imieniu ziemian powiatu łuckiego łączności z oddziałami, które wkraczając z Galicji miały zaopatrzyć w broń ochotników wołyńskich. Niestety, poczynania powstańcze na tym odcinku cechowała lekkomyślność i bezhołowie, jaskrawsze niż gdzieindziej w początkach ruchu. Wiązało się to ze smutnej pamięci wyprawą Radziwiłłowską, i biorącymi w niej udział oddziałami Horodyńskiego i Wysockiego, w których zawiodło wszystko: dowództwo, łączność, wywiad. Tylko żołnierz spełnił swóz obowiązek, bijąc się lub pragnąc się bić przynajmniej. Wzięci do niewoli żołnierze oddziału Horodyńskiego, tuż po przekroczeniu granicy pod Radziwiłowem zeznali, że dowództwo nad całością miał objąć Włodzimierz Czetwertyński, który nic o tym nie wiedział, gdyż nie raczono go uwiadomić w ogóle. O wkraczającym gen. Wysockim zawiadomił jedynie marszałków powiatowych wołyńskich Adam ks. Sapieha. Nie udało się wszakże Wysockiemu dostarczyć Wołyniakom przeznaczonej dla nich broni, gdyż natychmiast po przekroczeniu pasa granicznego pod karczmą Klekotówką w Radziwiłłowie, wciągnięty w zasadzkę, musiał się cofnąć w rozsypce, wywiad rosyjski bowiem funkcjonujący zresztą bardzo sprawnie, mógł się bez trudu dowiedzieć o miejscu i czasie ataku. Wróble śpiewały o tym na dachach lwowskich.

Po aresztowaniu Czetwertyńskiego i tow. śledztwo przeciąga się, gdyż, mimo wszystko, trudno zgromadzić należyte dowody winy; Rosjanie nie dbają zbytnio o ich prawdziwość, polegając nawet na zeznaniach pół-obłąkanego „Bobryka". Wędrówki od więzienia do więzienia stwarzają wreszcie taką psychozę, że przewiezieni dla odmiany do Łucka więźniowie postanawiają porozdawać sobie różne godności powstańcze („którymi może nigdyby nas nie zaszczycono"), czyli przyznać się do winy niepopełnionej, aby przeciąć śledztwo i położyć koniec dalszym poszukiwaniom. Uczyniono tak — rzecz znamienna — w obawie, że steroryzowani i zniecierpliwieni a Bogu ducha winni nowicjusze więzienni naplotą jeszcze gorszych bredni! Przewieziony potem do cytadeli kijowskiej zostaje Włodzimierz ks. Czetwertyński wyrokiem sądu wojennego z 24 maja 1866 skazany za udział w organizacji narodowej na Wołyniu w charakterze naczelnika cywilnego powiatu łuckiego na pozbawienie tytułu książącego i godności szlacheckiej oraz zesłanie na osiem lat do ciężkich robót na Syberii.

I poszedł szlakiem dwóch pokoleń na Sybir. Nie pomogły żadne instancje w Petersburgu, ani zabiegi rodziny na miejscu. Ze zdumieniem czytać będziemy o bezwzględności z jaką potraktowano jego sprawę. Gdy po przewiezieniu więźnia do Żytomierza zaczęły krążyć „niepokojące wieści" o grożącej mu karze śmierci — ojciec, ks. Kalikst jedzie do Petersburga, uzyskuje tam u hr. Szuwałowa, glejt iście niezwykły, bo życzenie samego cesarza, aby Czetwertyńskich podejrzanych o udział w zduszonej już zresztą „miateży" sądzić jak najłagodniej. I oto gen. Czertkow schował — śmiał schować! — ten list najspokojniej do szuflady, a ks. Włodzimierz ma jechać, wygnany z kraju na całe życie, w myśl sentencji wyroku. Dopiero gub. Bezak z trudnością redukuje karę ośmioletnią

do połowy, ale od dożywotniego „posielienia" obronić go nie może, ani od pozbawienia praw stanu, ani od konfiskaty majątku.

Co było dalej, rozpowie wkrótce sam autor szczegółowo, z rzeczową prostotą. Z drogi na Sybir, którą przebył etapem, przeszło tysiąc wiorst, — od Krasnojarska do Irkucka przeważnie piechotą, w głodzie i chłodzie, dochował się w zbiorach rodzinnych taki list Czetwertyńskiego do ojca:

21 lipca 1866 Tobolsk.

Mój drogi Papo, Przybyliśmy tu 17-go lipca w niedzielę i zaraz zaprowadzili nas do tutejszej turmy. Jutro zaś czy pojutrze wyprawiają mnie dalej do Tomska, a ztamtąd do Krasnojarska i Irkucka, gdzie dopiero naznaczą mi miejsce, w którem pracować będę. Dotąd więc nie mogę nic papie powiedzieć gdzie będę i dopiero z przyjazdem do Irkucka doniosę o tem. Gdybym był skonfirmowany na sześć lat a nie osiem, tobym już nie był w ciężkich robotach, a tylko na posieleniu, gdyż z sześciu lat i mniej sześciu przechodzi się na posielenie, a wyżej sześciu już tylko lata ciężkich robót zmniejszają się o połowę. W Moskwie żandarmi nie pozwolili z nikim widzić się, ani nawet jawić się u policmajstra lub żandarmskiej komendy. Chciałem na stację pocztową zajechać i na to nie pozwolili, a prosto zawieźli nas do banhofu i w pół godziny już lecieliśmy żelazną drogą do Niżnego Nowogrodu. Nie wiem więc, czy było wyrobione pozwolenie zatrzymania się w Moskwie, czy nie. Nawet jeśli i było, to nie mogłem z niego skorzystać przez nieuczynność żandarmów. Nie można mieć wyobrażenia jak nam dokuczali, dość powiedzieć że 3282 wiorsty przebyliśmy w niespełna 18 dni, nocować nam nie dawali, a na zapytanie dlaczego, odpowiadał mi mój żandarm „potamu szto tak chaczu". . . . . Stąd popłynę do Tomska parostatkiem stamtąd chodzą tak zwane trójki, czyli ziemska poczta, która skazanych wiezie od etapu do etapu po 60 wiorst dziennie, lecz trójki te trwają tylko do Krasnojarska, zaś do Irkucka 1024 wiorst trzeba iść pie-

chotą przy etapie lub płacić za pocztę i żandarmów. Nie wiem więc jeszcze czy pójdę etapem czy pojadę, będzie to zależało od ceny drogi. Niewiadomo więc kiedy trafię do Irkucka albo za półtora miesiąca, albo za pół roku, niech więc Papa nic do mnie nie pisze, a czeka na dalsze odemnie wiadomości.

Na miejsce zesłania przeznaczono Wł. Czetwertyńskiemu warzelnię soli w Usolu, gdzie zastał kilku z dawnych druhów kijowskich m. i. Wacława Lasockiego. Przebywał tam kilkanaście miesięcy, po czym dzięki usilnym zabiegom rodziny uzyskał pozwolenie na powrót do kraju. Mimo tak skróconego czasu kaźni zdołał zakosztować wszystkich smaków Sybiru, żaden z docisków losu, jaki tam był wówczas udziałem skazańców, nie został mu oszczędzony.

Usole leży niedaleko Irkucka nad Angarą, na lewym brzegu rzeki, słynnę ze swych warzelni soli. Znały one od dawna posieleńców polskich, nie pierwszym i nie ostatnim usolczykiem był Włodzimierz Czetwertyński. Gdy mu się udało zdobyć miejsce w tej uprzywilejowanej osadzie katorżnej, ci sami kijowianie, którzy dali pokoleniu ks. Włodzimierza przykład patriotyzmu, utorowali im też drogę do Usola. Konarszczyk, Justynian Ruciński zesłany w r. 1839 razem z G. Maszkowskim i Ant. Beaupré opisuje, o ile wiem, pierwszy tę warzelnię-kaźń nad Angarą. „Wsuwać kłody pod warzelnie, podpalać ogień i utrzymywać go w równej ciągle działalności, parzyć się nieustannie, jest to prawdziwie ciężka robota. Używani do niej kryminaliści zmykają przy pierwszej zręczności".

Spadkobiercy ich z r. 1863 zastali po nich w Usolu już tylko „ustne podanie", jak zapewnia Lasocki, oraz niektórych recydywistów. Ks. Włodzimierz wspomni np. o Gruszeckim. Zawadził również o Usole Benedykt Dybowski, skazaniec, który miał z Syberii powrócić z wartościową zdobyczą przyrodniczo-naukową i zamierzał się tam nawet osiedlić na stałe, wypadki zrządziły jednak, że wyjechał na Bajkał. Ska-

zany na 12 lat ciężkich robót, druh serdeczny ks. Włodzimierza, Żmudzin J. Gieysztor zapewnia, że gdy dotarł do Irkucka „wszyscy byli tylko zajęci jednem: aby się dostać do Usola... Usole o wiorst 70 przeszło od Irkucka nęciło już blizkością, już towarzystwem. Tam wysyłano familijnych i ludzi, mających protekcję... Wśród pięćdziesięciu przeznaczonych z naszej partji i ja byłem..."

W takim oświetleniu łatwiej zrozumieć dumne i radosne słowa, jakimi autor po uwolnieniu na wsiadanym już kończy swój wpis do albumu Lasockiego: *Et ego in Arcadia fui.* I ja też byłem w Arkadii.

Istniał może i drugi powód do pewnego optymizmu, jakim nastrajała skazańców atmosfera Usola. Swoista, to znaczy swojska atmosfera. Tam się mógł każdy naprawdę nadychać swojszczyzny, byłaż bowiem ta Rzeczpospolita usolska miniaturowym odbiciem i ekstraktem prawdziwej. Ogniskowała w kilkusetnej, rozmaitego stanu, rzeszy zbierańców przeróżne zalety, cnoty i wady narodowe, ujawniając to wspaniałego ducha poświęcenia, to krnąbność i warcholstwo; raz zadziwiała duchem obywatelskim, aby na innym odcinku gorszyć jakimś przejawem ultraegoizmu czy głuptactwa. Jakież przepyszne typy i oryginały widział wokół siebie ks. Włodzimierz, w jakie mnóstwo rozmaitego kształtu indywidualności obfitowała galeria usolan! Przebywały tam wówczas dwie piękne postacie stanu kapłańskiego, reprezentujące wyjątkowo pięknie księdza-patriotę, co na Syberii niestety, nie zawsze było regułą: ojciec Rafał i ojciec Wacław.

Józef Kalinowski z Wilna, rówieśnik, kolega ks. Włodzimierza w Instytucie szlacheckim, asceta i nabożniś od młodości, zasłynął na Syberii tak wzruszającą pobożnością, że sybiracy uzupełniali litanię wezwaniem: „przez modły Kalinowskiego — wybaw nas panie!" — a później w kraju wstąpiwszy do zakonu

karmelitów zmarł w późnym wieku *in odore sanctitatis* w Krakowie. Wacław Nowakowski znowuż poszedł na Sybir na ciężkie roboty w Usolu za winy swego brata Karola; człowiek niezwykłej szlachetności i ofiary rozwinął po powrocie do kraju żarliwą działalność jako historyk-popularyzator. Był dalej zawzięty bibliofil i zbieracz (Gieysztor), był wódz oddziału i znakomity żołnierz (Rogiński), był mistyk gaduła Tomasz Ilnicki, mąż Marii, poetki, który w Usolu zginie marnie, gdyż chciwy stupajka zamorduje pół-obłąkanego w lesie, aby zrabować sygnet z uciętego palca, był „szlachetny żydowin", wychowawca duchowy Szymona Askenazego, Henryk Wohl.

Miało Usole swoich rysowników i malarzy, wśród których największym impetem odznaczał się Aleksander Sochaczewski. Na podstawie notatek w swym szkicowniku rozwinie on po powrocie obfitą produkcję malarską, w której okaże się prekursorem Jacka Malczewskiego, chociaż bez jego talentu, fantazji i kultury artystycznej.

Nie brakło w Usolu i utalentowanego Juwenala. „Gdy chciałem Sybir zamknąć w tryjolety, Muza została mi rymami dłużną, z tego więc poszło, że pisałem prozą" — skarży się Juliusz Słowacki, Julian Kędrzycki natomiast, poeta zręczny i dowcipny, nie miał powodu do narzekań. Zdołał on ośpiewać i odtworzyć, oszydzić też, gdy trzeba było, całą usolską respublikę. Odtworzone w miniaturze ówczesne społeczeństwo polskie, miało w swym składzie też rozmaitych fajtasiów i perfumowanych nicponiów, oraz żulików i nabieraczy. Nawet w skromnym odtworze pamiętnikarza wystąpi wcale plastycznie taki kombinator i nabieracz, jak Ząbkiewicz, który potrafi doprowadzić do tego, że szlachetny książę zbierał na niego składki jako na rzekomego dowódcę w r. 1863, Zameczka. A po jakimś czasie dał się nabrać powtórnie. Albo szambelanin Karwosiecki, którego nieustraszo-

ne głuptactwo upamiętni cięty jak osa Kędrzycki. Oprócz satyry indywidualnej, która temu poecie wielu wrogów przyczyniła, uprawiał też i społeczną.

Oto „Rozmowa w Usolu":

Żmudzin: Ani wiedziauszy, komu tam jedzie,
Kazał kunigas na wojnę ruszywszy,
A teraz w nędzy i w ciężkiej biedzie
Dopioro widzę, że głupstwo zrobiuszy.

Mazur: Bogać tam głupstwo, albo mi źle!
Jem sy omole, choroba wie co
Bo zawżdy w Polsce lepiej się żyło,
Jołtyski ciągam i pęcki tnę.
A Mochy psiakrew bić mnie nie śmią.

Wołyniak: Zak to połóżmy, lecz coby nie było
Taki ja w siebie weselszy był
Człowiek horował ta jadł i pił.
A tutaj, w podłej, moskiewskiej oborze
Czysta pohybel, pożal się Boże.

Białorusin: Tak to kochanińki, bardzo żałuję,
Za to to teraz ja pokutuję
Żem jurknął w świrnę przed rotą Moskali
Kiedy po naszych strzelali.

W pogodnym uchwycie nie wychodzi z tego wcale zresztą zgrabnego wierszyka cała nieznośność swarów dzielnicowych, nękających społeczność usolską i uniemożliwiających bardzo często jedność w działaniu. Nazywano to wówczas „prowincjonalizmem". Przejawiał się on w walkach zaciętych o to np. wedle jakiego kalendarza, gregoriańskiego czy juliańskiego obchodzić święta wielkanocne, albo w potępieńczych swarach koroniarzy z litwinami, kongresowiaków z wołyniakami, czy galicjakami, o to głównie kto więcej pokpił i kto winien klęsce. Miarą trwałości tych uprzedzeń, nieprzemijających mimo upływu lat, może być usolczyk Wandalin Czernin. W swych „Pamiętnikach weterana" wydanych w r. 1914 w Wilnie, stwier-

dza on naprzód z widocznym ukontentowaniem, że w Usolu przebywało na zesłaniu wiele rodzin krwi błękitnej, ale przeważnie z kresów. „Z Korony nie było ani jednego arystokraty, widocznie ominął ich prąd powstańczy". Warszawiacy, przeważnie, jak z przekąsem zauważa autor, malarze, muzycy, aktorzy itd. „ukazywali się na ulicach wystrojeni, z podkręconymi wąsikami, w białych, choć papierowych kołnierzykach, z laseczkami w ręku, patrzyli tylko z którego komina dym idzie... opowiadali o sztukach pięknych, udając wielkich znawców, choć właściwie byli to trutnie...". Opowiada też ze zgrozą Litwin, nienawidzący koroniarzy, jak się umieli sianem wykręcać. I to dosłownie. Bo gdy komendant obozu (prawdopodobnie Turow) posłał partię zesłańców na grabienie siana, a każdy miał trzy kopki postawić, niegodziwi Warszawiacy ustawiali z figlów krzaki łoziny, przykrywając je sianem itd. itd.

W Usolu przebywali zasadniczo zesłańcy z rodzinami, mimo to nie brakło kobiet samotnych a Eros nieraz psocił. Pewien ziemianin z Inflant nie tylko natus, ale i possesionatus, gdyż, jak kilku innych zdołał się już pobudować, przywiózł z sobą na zesłanie pannę izraelitkę, którą wszakże często kijem okładał. Bardzo mu za złe miano, że tak ostro się obchodzi z „żoną kontraktową", więc wydał ją czym prędzej za mąż za Augusta Tomkowida, białorusina, pracującego w ogrodzie, musiała wszakże przejść na prawosławie. Była też wśród wygnańców głośna aktorka Majewska, potem Adamowa Kirkorowa, znana ze stosunku miłosnego z Władysławem Syrokomlą. W Usolu dowiedziała się, że jej mąż, redaktor Kirkor przysłał jej rozwód, wobec czego Majewska zapomniała o swym Syrokomli i w te pędy wyszła za mąż za p. Antoniego Pióro z Białorusi. Próbowała też szczęścia na scenie w Irkucku, Agaton Giller zapewnia wszakże, że ją wygwizdano. Fertyczna ta osoba była wszak-

że żarliwą patriotką, w jej to mieszkaniu ukrywał się przez czas dłuższy dyktator Traugutt. A znowuż właścicielkę garkuchni w Warszawie, niejaką Gudzińską, wymowną i kłótliwą zdaje się zesłano za to, że pochwaliła głośno akt sądu nad jakimś szpiegiem, odbyty przed jej domem. Nieszczęśliwa kobieta wciąż doprowadzała do awantur ze strażą czerkieską i zmarła wreszcie na wygnaniu.

Skojarzyło się dosyć małżeństw na etapach i wśród posieleńców. O niektórych (np. o mariażu pułk. Rogozińskiego opowie sam autor). Niektórzy zesłańcy ze sfer zamożnych wykazali nawet w potrzebie dużą przedsiębiorczość w handlu, jedni prowadzili sklepy spożywcze, inni (np. Potoccy z Wołynia) zajmowali się wyrobem wędlin, ku zadowoleniu nie tylko rodaków, ale i tubylców i robili doskonałe interesy. Najlepiej wiodło się lekarzom np. Lasockiemu lub Świdzie, który zdobył na praktyce rozpoczętej w Usolu, znaczny później majątek. Czetwertyńskiemu jakoś nie poszło. Opowie sam z humorem jak fatalnie wyszedł na handlu rybami mrożonymi i na fabrykacji kawioru.

Dowiedziawszy się o swym ułaskawieniu ,w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewał, wybiera się w drogę powrotną, takimi samymi etapami jak przedtem jechał do Usola. Wraca do Polski z podniesionym czołem, dumny a nawet — rzec można — szczęśliwy, że dane mu było spełnić najcięższy obowiązek obywatela, przejść samemu drogę sybirską, o której tak straszne, krew w żyłach mrożące rzeczy opowiadali artyści słowa i ołówka, którzy tam nigdy osobiście nie byli. Wrócił cały i zdrów. Zdrów fizycznie, a pokrzepiony i odbudowany — nawet rzekłbym — na duchu.

Był przed nim na Sybirze inny człowiek z jego sfery, obywatel tejże ziemi południowo-kresowej, który jednak nie mógł tego samego o sobie powiedzieć.

Wrócił z kaźni syberyjskich kaleką. „Książę Roman" — jak go nazywa Conrad. Porównanie ciśnie się samo przez się. Książe Włodzimierz i książe Roman. Typy i postawy psychiczne zupełnie odrębne. Przede wszystkim dzieci dwóch innych epok, mimo niewielki lat przedział. Zgłaszając w r. 1830 dymisję z ros. gwardii cesarskiej, Sanguszko wkłada mundur żołnierza regularnej armii polskiej. Czetwertyński, znalazłszy się w organizacji spiskowej, żadnej legalnej drogi kombatanta przed sobą nie ma — tylko las i partię. Sądzeni w tym samym Kijowie stają w innym charakterze przed sądem, ks. Roman jako oficer, ks. Włodzimierz jako zwyczajny buntowszczyk, zasługujący nie tylko na pozbawienie tytułu książęcego, ale nawet na utratę szlachectwa, co równało się w owych czasach pozbawieniu nikłego minimum ulg i wygód, a było zrównaniem skazańców politycznych z pospolitymi kryminalistami. Ks. Roman zaszczycony został osobistą zemstą Mikołaja I, który w odwet za słowa podsądnego: „zrobiłem tak z przekonania" raczył własnoręcznie napisać na marginesie wyroku: *il fera la route à pied*, czy też, jak twierdzą inni: *Pieszkom w Sybir!* — Ks. Włodzimierz tak wysokosiężną pomstą poszczycić się nie może i musi poprzestać, od chwili pierwszego aresztowania w Łucku przez wszystkie etapy drogi, na tysiącu drobnych i poniżających zniewag, szyderstw, upokorzeń.

Nienawiść indywidualna, nienawiść specjalnie do osoby skierowana jest udziałem ich obydwu. Potrafi ona dogonić Sanguszkę w Orle, wysadzić go z kibitki i okuć w kajdany wespół ze zbrodniarzami, iżby się zadość stało literze Najwyższego ukazu, potrafi uczynić Czetwertyńskiego przez cały jego szlak grottgerowski przedmiotem szykan, uprzykszonych ze strony byle stupajki. Jedno podobieństwo łączy ich obu najściślej. W ciągu całej przymusowej podróży na Północ, ujawniają obaj szlachetność ducha, błyskają

odruchem ludzkości, wówczas gdy człowiek często nie jest do jej okazania usposobiony, w chwilach jaskrawego docisku osobistego. Ks. Roman stara się zawsze „przygarnąć nawet kogoś ze swych braci-zbrodniarzy, jeszcze odeń nieszczęśliwszego, a przebywając wraz z nimi w jednej partii dzieli cząłą ich nędzę".

Rezolutniejszy od Sanguszki Czetwertyński jedna sobie znowuż ludzi z dołów naturalnością postawy, dobrocią i uśmiechem. Rozwaga, dziwna nawet w tak młodym wieku, hamuje nieraz więźniów od aktów rozpaczy i ratuje od gorszych jeszcze następstw. Poczucie zaś ścisłego koleżeństwa ze sybirakami cechować będzie ich obu przez całą resztę życia. „Szczególnie bliskim czuł się wszystkim powróconym z wygnania, wspierał ich radą i pieniędzmi, załatwiał sprawy, ułatwiając im egzystencję — pisze o ks. Romanie Conrad - Korzeniowski, któremu głuchy męczennik główkę w dzieciństwie pogłaskał. Szlak etapowy ich obu był podobny, choć w różnym charakterze odbyty: Sanguszko jechał jako żołnierz do rot karnych w pułku syberyjskim, Czetwertyński jako skazaniec bez praw, do ciężkich robót. Szlak powrotny był zgoła odrębny. Głuchy i wstrząśnięty duchowo ks. Roman wraca w aureoli niezdolnego do czynu męczennika, ks. Włodzimierz uchodzi z Inferna cało, a powróciwszy do Europy nie staje u rozstajnych dróg i nie waha się. Najłatwiej byłoby wyjechać na stałe za granicę, umieścić się, jak wielu ludzi z jego sfery wówczas, *entre cour et jardin*, między salonem gry w Homburgu a błękitną emigracją w Paryżu czy Nicei. Tradycja po mieczu i kądzieli kazała jednak inaczej: zostać i pracować. Posterunek przyszłej pracy był szczególnie trudny, nieznośny po prostu. Książę Włodzimierz był ułaskawiony, był — „wolny z łaski Moskwicina". Wiadomo dobrze, ile taka łaska kosztowała. Musiał sowicie tę wolność opłacać. Poza tym miał

w swym usposobieniu dużo wrodzonego legitymizmu, uważał, że prawa słuchać należy zawsze, a gdy to prawo kazało mu pójść etapem na „posielenje" poszedł, ale wszędzie po drodze uparcie i stanowczo wywalczał przysługujące zesłańcom uprawnienia. Jakże pomysłowo uwolni cały transport skazańców od zamierzonego ogolenia głów — żądaniem wysłania natychmiastowej depeszy z zapłaconą odpowiedzią do ministra spraw wewn. do przyjęcia której każdy urzędnik imperium jest obowiązany. Legitymista, który lewem chodzić nie umiał w życiu. Na powierzchni jego znoił się i zastawiał jak mógł, roboty podziemnej żadnej od chwili powrotu, jak wielu sybiraków zresztą, nie uznawał.

Wciągnięty w stosunki towarzyskie z Zamkiem Warszawskim, w chwili gdy rozparł się tam ponury ucisk — umiał wyzyskać względy nadskakujących mu dygnitarzy. I niejedną ulgę wykołatał, niejednej krzywdzie zapobiegł. Rosjanie bali się zawsze sybirskiej przeszłości Czetwertyńskiego, tych kajdan, które on z dumnym uśmiechem przechowywał jak inkluz czy amulet, czy po prostu najszczytniejszą polską odznaką sportową z doby niewoli. Jen. Albedyński opowiada, że gdy miał przedstawić dawnego katorżnika Aleksandrowi II, uważał za potrzebne nadmienić, że książę wrócił z ciężkich robót. — „To mi wszystko jedno — *(wsie rowno)* — odparł car — byleby do nich powrócić nie chciał".

Rodacy oceniali go rozmaicie. Mówili, jedni, że to gorący patriota, drudzy, że gorący ugodowiec, bo na zamku warszawskim bywa, z Hurką rozmawia i Apuchtinem, do Petersburga jeździ, ba, w deputacjach wiernopoddańczych przyjmuje udział. Kijowski i usolski towarzysz księcia znany nam Julian Kędrzycki rymami odpowiedział tym, którzy mówili o Czetwertyńskim źle. Pisze on 11 grudnia 1888

w Odessie w wierszu „Na portret ks. Włodz. Światopełk-Czetwertyńskiego":

Waregu ty, Ruryku! Polski bracie szlachcicu!
Żeś z panujących szyku — Widno po twojem licu.

Ale patrzę ci w serce: Stoi tam napisane,
Żeś zaborczej szermierce Dawno dał za wygranę.

Podbijasz ty — lecz serca, Zaborco ty człowieczy!
Tego nawet oszczerca, Waszej Mości nie przeczy...

Znają Sybir, Warszawa, Zabory tego kroju,
Stąd rośnie twoja sława, Zwycięzco ty... w pokoju!

Jabłuszko od jabłoni Niedaleko się toczy
Pięcioro masz. I oni Mają ten dar uroczy.

Zresztą wzór przed oczyma, Naśladowanie łatwe.
Ród się dzielnie podtrzyma Przez rodziców i dziatwę.

W roku 1870, a więc w trzy lata po powrocie spotkał się autor z J. I. Kraszewskim, opowiedział na jego prośbę swe przygody, a że gawędziarzem był na domiar znakomitym, więc tym więcej zainteresował ba, zachwycił Kraszewskiego. Pisarz prosił księcia usilnie o spisanie tych przygód, obiecując, że nada im formę opowieści literackiej i ogłosi drukiem. Zamiar wszakże nie doszedł do realizacji. Czetwertyński, powziąwszy zamiar powrotu do kraju, nie mógł — rzecz jasna — ryzykować w ówczesnych warunkach.

Czy Kraszewski byłby dopomógł wspomnieniom Czetwertyńskiego? Niewątpliwie tak. Działo się to wszakże w epoce niezwykłego popytu na literaturę syberyjską, nie tylko w Polsce. Ogłoszone w tym czasie pamiętniki zbiega z Sybiru, Rufina Piotrowskiego uzyskały niepojętą dziś prawie popularność, były tłumaczone na kilkanaście języków, stanowiąc m. i. pasjonującą lekturę młodziutkiego „trampa" i łowcy przygód, znakomitego później beletrysty skandynawskiego Knuta Hamsuna. Niewątpliwie zyskalibyśmy albo dobrą powieść, albo pierwszorzędny tom wspom-

nień wyretuszowany i rozmalowany mistrzowską ręką autora „Starej Baśni". A ks. Włodzimierz zyskałby legendę, któraby otoczyła tak jego postać, jak już otaczała wówczas kalekiego starca ze Sławuty.

Cóż zostało zatem? Zostało wiele, wcale wiele. Autentyczny, nie kolorowany żywot człowieka poczciwego. Została opowieść spokojna, rzeczowa, pozbawiona jakichkolwiek ambicyj formy i kunsztu pisarskiego, ale autentyczna, nieskłamana w niczym, rzetelna relacja skazańca, który był jednym z 401 usolczyków, a w ich spisie u Gillera nosi numer 19.

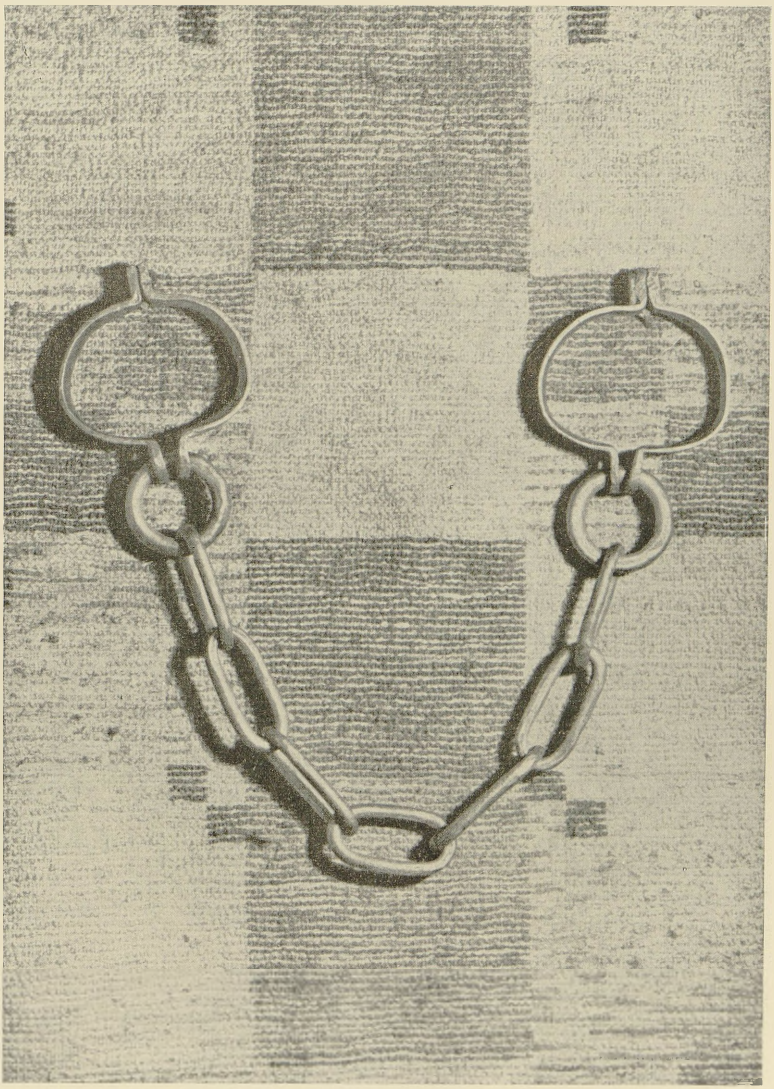
Sybir Czetwertyńskiego nie wiele ma wspólnego z romantycznymi wyobrażeniami o katordze i posieleniu. To nie syntetyczny, w jedną krwawą udrękę zmieniony Sybir, jaki znamy z Grottgera czy J. Malczewskiego, ani cichy i aż biały od ofiarnej rozpaczy Sybir „Anhellego", ani nareszcie Sybir opisywany przez innych zesłańców w pamiętnikach. Lecz Sybir jaki był w rzeczywistości — kaźń, której stopień i natężenie, w każdym wypadku i w każdej niemal okolicy inne, zależały od warunków miejscowych i komenderującego satrapy, a w nieostatnim rzędzie od postawy, od organizacji i umiejętności zbiorowego postępowania wśród zesłańców.

Taki rzeczowy, pozbawiony wszelkiego patosu i bólu opis kaźni nie mógł był niezawodnie wyjść spod pióra autora, gdyby był opisywał swe ponure przygody pod świeżym wrażeniem, po powrocie z zesłania. Poniekąd nie było to nawet do pomyślenia w owych czasach. Co innego gdy pisał stojący nad grobem starzec — gdy pisał człowiek w obliczu szalejącej wojny, wobec której bladła i malała każda przeszłość. I oto — rzecz dziwna — pamiętnik sybirski, ogłoszony w formie tak bardzo odbiegającej od powszechnej w wieku niewoli postawy psychicznej, pamiętnik, który wówczas wywołałby nieledwie zgorszenie swym

brakiem łezki i patosu — jest nam właśnie bliski i bardzo dzisiejszy. Czetwertyński bowiem patrzył po powrocie na lata swego zesłania, tak właśnie, jak my, szczęśliwsze dziś pokolenie, patrzymy na tamte czasy.

Wśród amnestionowanych sybiraków w Warszawie — a zebrała ich się z latami spora garść — reprezentował ks. Włodzimierz postawę odrębną, nie-grottgerowską. Zauważono to już na słynnych „wtorkach" odbywanych w siódmym i ósmym dziesiątku w mieszkaniu redaktorki „Bluszczu" poetki Marii z Maykowskich Ilnickiej. Ta ożałobiona wdowa po Tomaszu Ilnickim, który zginął skrytobójczo zamordowany w Usolu — gromadziła u siebie chętnie usolczyków przede wszystkim. A ciche, poufne „rodaków rozmowy" o ponurym dziś okraszał „humor i werwa najmłodszego w owym gronie sybiraka, Włodzimierza ks. Czetwertyńskiego". Tak się wyraża uczestnik „wtorków" Aleksander Kraushar, i pisze dalej: „Ks. Włodzimierz nie był przedstawicielem tragicznej strony wygnania syberyjskiego, natomiast uprzyjemniał wieczory dowcipnymi opowiadaniami o weselszych epizodach życia z kajdanami na nogach, z motyką do rozbijania na katordze odłamów soli w Usolu. Przeciwstawieniem temperamentu ks. Włodzimierza i jego upodobania do brania życia — bez względu na jego ówczesny tragizm — z weselszej strony był myślący, rozmowny, poważny..., umiłowany „siostrzeniec" Narcyzy Żmichowskiej, która się jego „cioteczką" mianowała — Henryk Wohl". (Al. Kraushar, Wtorki Marji Ilnickiej, w zbiorze „Polki twórcze nowszych czasów". Warszawa 1929).

Do spisania pamiętników zabrał się nareszcie Czetwertyński sam, u schyłku życia w czasie wielkiej wojny. Gdy wypadki młodości straciły ostrość ponurą, otulone błękitnymi oprzędami wspomnień i doświadczenia życiowego, spisał to co przeżył spokojnie, rzeczowo, z ogromną skromnością. Ośrodkiem



„. . . Kajdany. . . które autor przechowywał jak inkluz czy amulet, czy po prostu najszczytniejszą polską oznakę sportową z doby niewoli“ (str. 69).

opowiadania jest nie osoba autora, ale raczej ludzie, z którymi się styka, u których bywa, którzy u niego bywają. *Ius hospicii* decyduje. Goście przede wszystkim. Pod tym kątem będzie ujęte Wilno przedmurawiewowskie i Paryż 2-go Cesarstwa i Warszawa roku 1867. Nie zarozumiałość jednak, lub wyniosły egocentryzm kieruje pisarzem tak zwężającym pole widzenia, raczej skromność i obawa przesadna nawet i nadmierna, aby nie dotykać spraw, których się nie znało dokładnie lub w których nie brało się osobistego udziału. („Namówiony przez najbliższą rodzinę, piszę tylko to co się ze mną działo, a że żyłem w epoce przełomowej, więc mówiąc o sobie, nie mogę nie mówić o tem, co cały kraj, a w szczególności moją okolicę obchodzi").

Z możliwą w tak późnym wieku ścisłością uwzględnia się kolegów szkolnych i uniwersyteckich, sąsiadów, chociażby pomniejszych, no a już najserdeczniej dbać trzeba, aby nie pominąć nikogo z towarzyszy niedoli, z kolegów po łańcuchu i etapie, z wszystkich znajomych w ogóle jeśli cierpieli i narażali się. choćby się ich spotkało przelotnie jak np. panią Ewę Felińską. Jest jednak i pewna niewspółmierność. O bardzo bliskich czy bardzo dalekich wspomina się jednakowo lakonicznie. Więc czasem żal, że ci najbliżsi autorowi druhowie określeni są tylko krótkim chociaż serdecznym zdaniem.

Czetwertyński pisze po prostu i oszczędnie, ze skromnością, pełną jakby lęku. Lęk ten płynie zapewne stąd, że miał w rodzinie swej przykład doskonałego władania słowem w autorze „Julii i Adolfa" czy „Ludgardy". Wszystkiego dziedziczyć nie sposób. Wziął po Kropińskim chętkę bibliofilską i żołnierską, nie wziął literackiej. Wykład nie zawsze udolny, ujawnia brak oswojenia się z piórem, ale daje gwarancję tym większej autentyczności. Czasem to i lepiej, że nie ma żadnej literatury. Autor nie licząc się z żad-

nymi innymi nakazami, jak tylko z prawdą własnego przeżycia, opisze swój Sybir sumiennie, — sposobem diariusza czy itinerarium staropolskiego jakiegoś Radziwiłła jadącego do Rzymu, czy Marka Sobieskiego, opisującego wojaż za granicę.

Więc diariusz i nic więcej! Nie czekać uogólnień, ani sięgania w głąb przemyśleń i tęsknot osobistych autora, — usuwającego zresztą starannie swoją osobę w cień, — nie dziwić się lub nie gorszyć nawet, gdy będzie natomiast szczegółowo biadać np. nad niemożnością zaśnięcia na „perekładnoj", mimo iż żandarmi chrapali w najlepsze. Gawęda starca nie troska się, że czasem stanie w sprzeczności z nakazami grottgerowskiego czasu. I bez żenady opowie, że największym umartwieniem w czasie drogi do Kazania był brak czwartego do winta czy też drugiego do pikiety, albo znowuż wyzna, że najgorszą podróż w zaspach śnieżnych odbył w r. 1867 już po powrocie do kraju, z Warszawy do Radomia!!

Ten pozaosobisty, bezuczuciowy niejako tryb narracji wyrządza krzywdę autorowi samemu. Kilkakrotnie powtarza , że jechał czy szedł „zwykłym etapowym porządkiem", ale jakie były owoce tego „porządku", zdradzi dopiero przypadkowo dorożkarz w Tomsku, który zdjęty litością, na widok straszliwej nędzy Czetwertyńskiego, ofiaruje mu z kozła 40 kop. jałmużny!

Z całej działalności Wł. Czetwertyńskiego przebija na każdym kroku szlachetny humanitaryzm i zarazem zaradność życiowa. Na humanitaryzmie swoim nie zawsze dobrze wychodzi. Gdy po wybuchu powstania styczniowego w Kongresówce, przejeżdża u siebie na Wołyniu ponad granicą galicyjską, spostrzega powieszonego na drzewie objezczyka, który daje jeszcze znaki życia, odcina go więc z pomocą stangreta. Fakt ten, ujawniony później w przewodzie sądowym pogorszy wybitnie położenie oskarżonego:

musiał być „grubą rybą" w powstaniu, skoro ważył się ratować człowieka, powieszonego z rozkazu władz powstańczych!...

Myliłby się, ktoby sądził, że mitra książęca pomagała Czetwertyńskiemu w „karierze" zesłańca. Była ona, bądź jak bądź, rzadkością; nie wielu książąt oglądały śniegi syberyjskie. Więc nie tylko czynownicy rosyjscy radzi byli zobaczyć księcia w kajdanach. Że z tej przyczyny nałykał się więcej upokorzeń, niż zwyczajny „dworianin" — sam opowie z całą szczerością. A po wielekroć usłyszymy, jak zjednywał sobie opornych urokiem i zwyczajną, ludzką dobrocią. Nie tylko przykładem dobroci i kryształowego charakteru świecić będzie 20-letni chłopak, lecz również rozwagą i namysłem w chwilach, gdy rozpacz kazała nieszczęśnikom imać się czynów szalonych, odporu lub niszczenia urządzeń „kazionnych".

Nie przynoszą te wspomnienia jakichś szczególnych rewelacyj. Usole ma już swoich reprezentantów w bogatej literaturze syberyjskiej. Jest August Iwański i Wandalin Czernik, jest Zenon Świętosławski (który ogłosił swe wspomnienia za pośrednictwem — nie zawsze szczęśliwym — Zofii Kowalewskiej). Jakób Gieysztor, najwyrazistszy w tej gromadzie zakończył dwa tomy swych ciekawych pamiętników, niestety, na chwili przyjazdu do Usola, za to Wacław Lasocki bardzo wyczerpująco opisał stosunki i ludzi. Obecnie ostatni z Usolczyków dopełnia obowiązku.

W udzielonym przez rodzinę autora rękopisie pamiętników nie poczyniłem, prócz kilku skrótów żadnych zmian istotnych. W przypisach znajdzie czytelnik najważniejsze informacje osobowe i rzeczowe. Starałem się w nich skonfrontować wiadomości, podawane przez autora z opinią innych pamiętnikarzy i ludzi współczesnych, jako też z wynikami odnośnych badań naukowych.

Pod względem ilustracyjnym jest to pamiętnik samowystarczalny niejako. Napisał go usolczyk, usolczycy go też przeważnie zilustrowali. „Katerla wraz z Oborskim i Stankiewiczem przyczynił się bardzo do wypełnienia mego albumu" — pisze autor. Stanisław Katerla (Katerle?) „mizerny rysownik z Korony" (słowa W. Lasockiego), zajmował się sprzedażą papieru wśród wygnańców, oraz malował — w epoce, w której nie znano widokówek — „etykiety do pudełek na papiery z ręcznymi widokami Usola". Wybrany tu do ilustracji widok warzelni soli w Irkucku, poświadczy, że były to prace istotnie mizerne. Również ołówkiem zarabiał na najkonieczniejsze potrzeby Podolanin, Aleksander Stankiewicz, zesłany na Sybir w mundurku gimnazjasty. Jego jest obrazek rodzajowy z „kazionnej pałaty w Irkucku", dalej kaplica katolicka w Usolu oraz widok jeziora Bajkalskiego, wszystkie o wyższym nieco poziomie amatorskim. Co innego Maksymilian Oborski, twórca trójki pędzącej na okładce. Jeśli się zważy, że malowana była ona w r. 1867, należy tym więcej podziwiać talent artysty-sybiraka, atakującego swobodnie problem koni w ruchu, które wówczas tyle krwi psuły malarzom polskim i chyba tylko u Michałowskiego i J. Kossaka znalazły zwycięskie ujęcie. Mało dotychczas znany artysta pochodził z tej samej rodziny, co Aleksander Oborski (1779—1841) malarz rodzajowy i karykaturzysta i bliski druh Orłowskiego w Petersburgu. — A. Giller notuje również, że M. Oborski „malował i studiował miejscowe w Usolu typy żyjące". W działalności żołnierskiej wytyka Oborskiemu Lasocki „słabość charakteru, wykazaną przy badaniach komisji śledczej", Czetwertyński natomiast podaje znamienne przyczynki do bliższego poznania charakteru tego zadzierzystego i dumnego szlachcica starej daty. Dawny właściciel Proszewa w Siedleckiem, osiadł Oborski po powrocie z wygnania w Galicji, w Mielcu, nad Wisłoką. Jak Oborski-senior z Orłowskim, tak junior

żył w bliskiej przyjaźni z mistrzem P. Michałowskim i został przezeń upamiętniony w znakomitym portrecie na koniu. Dzieło to, wraz z puścizną akwarelową po Maks. Oborskim, godnym bliższej uwagi, znajduje się dziś w zbiorach mieleckich. (Por. Tyg. Ill. z 26 marca 1939).

Dalszy bieg działalności publicznej Włodzimierza Czetwertyńskiego wychodzi poza ramy niniejszych rozważań jak i wspomnień autora. Jego działalność obywatelska i kulturalna winna być oddzielnie zbadana, ujęta, rozważona. Tyczy się to również żarliwej pracy Czetwertyńskiego w dziedzinie księgoznawstwa i zbieractwa starodruków. Wspominałem już, że wnuk nawiązał do tradycji dziada-bibliofila i do zbiorów woronczyńskich dołączył własne — milanowskie. Pierwszy tom „Katalogu Biblioteki Milanowskiej ks. Czetwertyńskich" ukazał się w r. 1892, dwa dalsze w latach wielkiej wojny 1916 i 1917. A oto najważniejsze daty z działalności publicznej autora: W roku 1898 został wybrany radcą Dyrekcji Siedleckiej na terenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, — jedynej instytucji publicznej w b. Królestwie, gdzie pozostawiono możność jawnej pracy społecznej Polakom — w r. 1906 wybrany prezesem Komitetu Tow. Kred. Ziemskiego oraz prezesem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. piastował te godności aż do śmierci. Od chwili powrotu z wygnania w ręku Czetwertyńskiego spoczęła opieka i orędownictwo nad Sybirakami zarówno amnestionowanymi jak i pozostającymi jeszcze na zesłaniu. Pierwszym niósł często pomoc materialną, o powrót drugich kołatał. I nieraz (jak w przypadku poety Kędrzyckiego) wykołatał. W roku 1890 udało się zyskać pozwolenie na założenie jawnego „Kółka Sybiraków", które po ustąpieniu Rosjan w r. 1916 zmieniło się automatycznie w „Stowarzyszenie Weteranów z r. 1863". I tego związku prezesem został sędziwy już weteran, Wł. Czetwertyński.

Świadkiem tego ostatniego okresu działalności był najstarszy syn autora, Seweryn ks. Czetwertyński, znany polityk i działacz społeczny, b. wicemarszałek Sejmu Ustawodawczego. Na czele tej książki znaleźli czytelnicy dłuższą i jakże bardzo dociekłą rozmowę syna z duchem Ojca.

Publicznie występował raczej przygodnie. Do wyjątków należy udział Czetwertyńskiego w manifestacji przyjaźni polskiej na rzecz narodu czeskiego w okresie wystawy powszechnej w Pradze w r. 1912. Dała ona sposobność do licznych wycieczek zbiorowych, organizowanych we wszystkich dzielnicach Polski. W byłym zaborze rosyjskim podejmowano je ze szczególnym entuzjazmem. Myśl tę poparto we wszystkich ugrupowaniach politycznych, zarówno „Kurjer Warszawski" jak „Kurjer Poranny" zgadzały się, że trzeba i należy użyć tej formy demonstracji i „połączyć wysiłki dwóch bratnich narodów w obronie zagrożonej ziemi słowiańskiej". Działo się to bowiem w okresie największego nasilenia hakaty i polityki wywłaszczeniowej w Wielkopolsce. Entuzjazm Warszawy, patronującej temu porywowi, poparła Francja. Prezes Izby Paul Deschanel, minister spraw zagranicznych Pichon witali w depeszach wizytę polską w Pradze jako ważne zdarzenie w dziejach obu narodów. Pierwszą wycieczkę na wystawę praską powiódł z Warszawy Zdzisław Lubomirski, druga zaś na uroczystości Fr. Palacky'ego wyjechała pod wodzą Włodzimierza Czetwertyńskiego.

Przybycie czcigodnego sybiraka wywołało w Pradze czeskiej wielkie wrażenie. „Pamiętam pożegnalny bankiet — pisze Antoni Żwan — wydany dla Polaków, przybyłych w celu oddania czci bojownikowi czeskiego odrodzenia. Ks. Włodzimierz Czetwertyński, snując swe przeżycia, powiedział między innymi, że nie umie uzasadnić, na czym opiera swe przekonanie, ale że jest pewny, że mimo swych podeszłych lat doczeka się jeszcze niepodległości

Czech i Polski. Lubo ze względu na nieprzyjemności mogące wyniknąć dla Polaków po powrocie do kraju ze strony rządu rosyjskiego, nie ogłoszono tego ustępu mowy, ale pamiętam do dziś dnia wrażenie, jakie ta przepowiednia wywarła na współbiesiadników."

Przepowiednia z roku 1912 spełniła się w znacznej części. Włodzimierz Czetwertyński zmarł na trzy miesiące przed chwilą utęsknioną (20 sierpnia 1918). Ale umierał w świadomości świtu.

NA WOZIE I POD WOZEM

NAPISAŁ

WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI

I.

DZIECINNE LATA NA WOŁYNIU

Przez czterdzieści lat przeszło, niejednokrotnie zachęcano mnie do spisania wspomnień z lat ubiegłych. Nigdyby jednak zapewne do uskutecznienia tego nie doszło, gdyby nie okoliczności obecne. Wojna, rozszalała głównie w naszym kraju, mimowoli oderwała mnie od zwykłego trybu życia. Szukałem jakiegoś zajęcia, które by mi dało możność oderwania się od duszącej wszystkich zmory wojennej. Umyśliłem więc spełnić życzenie mojej żony i dzieci i naszkicować wypadki, które przeżyłem.

Urodziłem się 14 września, według starego stylu, 1837 r. na Wołyniu, w Woronczynie, majątku ojca mojej matki, generała Ludwika Kropińskiego, który tak szablą jak i piórem służył Ojczyźnie i piękne zostawił w kraju wspomnienie. Uczestnik walk, stoczonych przez wojska polskie między rokiem 1790 a 1812, odznaczył się podczas szturmu Pragi przez Suworowa, raniony był 16 razy, a podczas ataku na baterie nieprzyjacielskie trzema kulami w głowę. Nieprzytomnego kozacy na pikach zanieśli do Suworowa, strzelając po drodze do mniemanego trupa z pistoletów.

Gen. Ludwik Kropiński po 1812 roku zamieszkał w Woronczynie, urządzonym znakomicie, gdzie zebrał bardzo cenną bibliotekę z rzadkich dzieł, która później weszła do biblioteki Milanowskiej. Pisał wiele wierszy ulotnych, z których część znaczna pozostała w rękopisie, wydał słynny romans „Julia i Adolf", oraz tragedię „Ludgarda" wystawioną z powodzeniem na scenie warszawskiej około roku 1820.

Będąc za młodych lat stałym gościem w Puławach u ks. generała Ziem Podolskich, oraz członkiem założycielem Towarzystwa Przyjaciół Nauk i wizytatorem Szkół Wołyńskich, bywając często na zebraniach w Krzemieńcu, żył w bliskich i zażyłych stosunkach ze wszystkimi prawie znakomitymi ludźmi swojej epoki, którzy go w Woronczynie odwiedzali.

Ojciec mój, Kalikst, oficer 5 pułku ułanów, po odbyciu kampanii narodowej 1830—1831 roku znalazł się wraz z korpusem gen. Ramorino w Galicji, skąd wkrótce wrócił do kraju i do rodziców, zamieszkałych w Komargrodzie na Podolu, powrócili też starsi jego bracia: Władysław i Borys. Wybuch rewolucji zastał ich na urlopie. Aresztowani jako oficerowie wojska polskiego, zostali internowani w Wiatce i dopiero po upadku powstania, pozwolono im wrócić do kraju. Matka moja w trzy lata po wyjściu za mąż, nie mając 20 lat życia, tamże zmarła. Pamiętam powrót mojej babki do Woronczyna, pamiętam jak mnie i memu młodszemu bratu, Ludwikowi dano czarne sukienki; również została mi w pamięci bytność w Woronczynie p. Piusowej Czarnołuskiej, którą, jako najbliższą sąsiadkę, moja babka uprosiła, aby w czasie jej nieobecności zaopiekowała się nami. Wszystko to doskonale pamiętam, lecz mojej matki zupełnie sobie przypomnieć nie mogę.

W tych pierwszych latach życia byliśmy ciągle pod opieką babki; dziada prawie nie widywałem, chyba gdy palił fajkę na dziedzińcu przed domem, w piękne dni wiosenne lub letnie, co się dość rzadko zdarzało. Generał Kropiński mieszkał w oddzielnej oficynie, a od czasu gdy ociemniał, nikogo nie przyjmował, jadał u siebie i z tego powodu raz tylko w ostatnich latach go widziałem. Gdy mu niesiono obiad przez dziedziniec, porwałem z półmiska kawałek sztuki mięsa; gdy mu służący o tym doniósł, kazał mnie zawołać i powiedział: „pójdź do babci i powiedz ode mnie, żeby was nie głodziła, bo ja będę na tym najgorzej wy-

chodził". Ostatnie to moje wspomnienie o czcigodnym autorze „Ludgardy".

W latach pierwszego dzieciństwa nie dostawaliśmy wcale mięsa. Babka moja, zawsze się o nasze zdrowie obawiając, dozwalała nam tylko kaszki, zacierki i innych podobnych potraw, czemu przypisuję moją dotychczasową do nich niechęć.

Dziad mój Ludwik skończył życie w 1844 roku i wtedy zaczęły się spory o nas między babką i moim ojcem, który znajdując, że babka psuje nas przez swe przywiązanie, starał się jej wpływ ile można ograniczyć. Wtedy dostaliśmy pierwszego nauczyciela, p. Augustynowicza; uczył nas nie długo i żadnych mi wspomnień nie pozostawił. Po nim przyszedł p. Dobrowolski, zgorzkniały tetryk, ten parę lat przy nas przebył i był przez babkę opłacany, aby nie dokuczał nam zanadto. Po wyjeździe p. Dobrowolskiego, przybył ks. l'abbé Roux, Sabaudczyk, rodem z Chambery, dawniejszy wychowawca synów Konstantego Czetwertyńskiego w Grodnie, ponad to ojciec mój zgodził jeszcze p. Tomaszewskiego do polskiego i rosyjskiego, jako, że ksiądz zupełnie nie posiadał tych języków. L'abbé był bardzo inteligentny i dużo umiał, lecz metodę nauki miał dziwną. Pierwszym przedmiotem, jaki nam wykładać rozpoczął, była mitologia skandynawska, po której przeszedł do botaniki i katechizmu. Uczył nas z „Catechisme de Montpellier", który jak się później dowiedziałem, był na „indeksie", dalej historii starożytnej z Rollina, a przede wszystkim łaciny i nieco języka włoskiego. W pierwszej doszedłem do bardzo wielkiej wprawy, włoskiego zaś zupełnie zapomniałem.

W naukach mieliśmy wtedy dwuch współtowarzyszy. Pierwszym z nich był Gracjan Wołodźko. Ojciec jego, Kajetan, trzymał wielką dzierżawę na Polesiu Wołyńskim, żonaty był z Czapską, miał siedmioro dzieci. Gdy po śmierci p. Kajetana Wołodźki okazało się, że więcej pozostało długów niż majątku, ojciec

mój zaproponował wdowie, aby wraz z synem Gracjanem, naszym rówieśnikiem, zamieszkała w Woronczynie i zajęła się gospodarstwem domowym, a tymczasem syn będzie się uczyć wspólnie z nami. Drugim współtowarzyszem był Karol Podczaski, którego matka, Hulewiczówna z domu, posiadała w naszej okolicy majątek Trosteniec. Prosiła, aby jedyny jej syn mógł się kształcić z nami pod kierunkiem l'abbégo. Karol był w tym czasie przedmiotem największej mojej zazdrości, miał bowiem już frak, lakierowane buty i futro niedźwiedzie, co wszystko naturalnie u mnie należało jeszcze do marzeń. W przyszłości, losy nasze bardzo się splotły i dotąd mimo jego zgonu, zachowałem serdeczną o nim pamięć.

Sąsiedztwo mieliśmy dość liczne, które często zaglądało do Woronczyna, aby złożyć uszanowanie mojej babce. W Trysteniu mieszkał sędzia Siedliski, a przy nim córka, primo voto Drużbacka, następnie Olizarowa, w Kijarzu — Piusowie Czarnołuscy z synami: Franciszkiem i Emanuelem i dwiema córkami: Konstancją i Karoliną, w Szczurzynie Piotrostwo Czarnołuscy z synem Ludwikiem i kilkoma córkami, w Babiem — Józef Czarnołuski, nieżonaty, marszałek powiatu łuckiego. W tymże czasie w Beresku obok Woronczyna zamieszkali Tödwenowie. On był w pierwszej trójce w szarży na Samosierrę. Mieli dwóch synów i dwie córki. Zaraz za Bereskiem w Semerynkach mieszkali Żytyńscy. Wygrał on wielki los na Warszawskiej Loterii Klasycznej i wtedy, gdy ziemia była nie w tej cenie co dziś, nabył kilka majątków, lecz pozostawił siedmiu synów, więc przy działach niewiele już każdemu się zostało. Całe to sąsiedztwo często odwiedziało Woronczyn. Babka moja zwykle nie ruszała się z domu, za to my z naszymi mentorami często wędrowaliśmy po sąsiadach dla odwiedzenia rówieśników i dla wspólnej zabawy. W dalszej już odległości był Błudów, niegdyś własność generała Aleksandra Błędowskiego, brata mojej babki, który, raniony

w kampanii 1831 roku, zmarł w Krzeszowicach. Żonaty z Działyńską, zostawił jedną tylko córkę, Wincentę, następnie zamężną za Aleksandrem Jaźwińskim w Galicji. Owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za Celestyna Rotermunda, byłego prezesa Izby Sądowej Wołyńskiej. Kilka razy w roku jeździliśmy do Bludowa, a każdy przyjazd ukochanej cioci Wici do Woronczyna był dla nas prawdziwym świętem. W takiejże odległości od Woronczyna były Iwanczyce. z którymi łączył naszą rodzinę przez trzy pokolenia nadzwyczaj zażyły i serdeczny stosunek. Romuald Bystry, właściciel Iwanczyc, jak również i wielu innych majętności, był wielkim przyjacielem mego dziada Kropińskiego, jedyna jego córka, rówieśniczka i przyjaciółka mojej matki, wyszła za Kazimierza Cieciszowskiego, synowca metropolity, a jej córka, mniej więcej w moim wieku będąca, zaślubiła Jana Siemiątkowskiego, syna generała. Oboje przez cały przeciąg życia okazywali mi dużo przyjaźni i serdeczności. Niedaleko Iwanczyc był majątek Szepel, własność Aleksandrostwa Podhorodeńskich. Z nimi także łączyły nas bliskie stosunki.

Stryj mego ojca, Dymitr Czetwertyński, ongi prezes Komisji Edukacji Narodowej na Wołyniu, mieszkał w Hodomicach, dokąd trzeba było jechać już z popasem, toteż na kilka dni zwykle ojciec nas zawoził, a często i na dłużej. Mieszkała wtedy przy ojcu, stryjeczna jego siostra, Eleonora Tyszkiewiczowa z córkami, późniejszą Janową Tyszkiewiczową i Marią Chodyńską. Sam Wincenty Tyszkiewicz mieszkał stale w Warszawie, jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy namiestniku i rzadko bardzo zaglądał do Hodomicz. Ponieważ matka moja otrzymała w posagu Kulikowicze i Komarów w łuckim powiecie, musiał mój ojciec dla interesu od czasu do czasu tam przyjeżdżać. Gdy Tyszkiewiczowa wyjechała na dłuższy czas do Drezna, dla wychowania córek, dziad mój pozostał sam w Hodomiczach, od których niedaleko by-

ły Kulikowicze i w czasie bytności tam mego ojca często je odwiedzał. Ojciec mój brał nas zwykle z sobą, szczególnie gdy wybierał się na dłuższy czas, a że dziad Dymitr bardzo lubił grać w preferansa, więc ojciec mój nauczył mnie tej gry, abym mógł się przydać jako trzeci. Wtedy po raz pierwszy w życiu poznałem się z kartami. Od czasu do czasu przyjeżdżała do Woronczyna głośna patriotka i autorka pamiętników, p. Ewa Felińska, po powrocie z kilkoletniego wygnania do Berezowa i Saratowa. Towarzyszyły jej zwykle córki, a raz przyjechała z synem Zygmuntem, późniejszym arcybiskupem warszawskim, jeszcze wtedy studentem Uniwersytetu Kijowskiego.

Z tych czasów pamiętam także wuja mojej babki, Jana Czosnowskiego, znacznie od niej młodszego. Tak się to pokrewieństwo złożyło, że obecnie, gdy skończyłem 80 lat, wypada mi jako ciotka 16-letnia Renia, córka Marcina Czosnowskiego. Dziad mój miał jedynego brata Jana, który pod koniec życia zamieszkał w Woronczynie, lecz którego nie znałem, umarł bowiem przed moim przyjściem na świat. Pamiętam nadto siostry: Iwanowską, Ambrożkiewiczową i Komorowską. Ta ostatnia była bezdzietna, lecz dwie pierwsze pozostawiły potomstwo; pamiętam, że córki Iwanowskiej: Mycielska, Znamierowska i Eysmontowa odwiedzały często Woronczyn. Z potomstwa Ambrożkiewiczowej znałem tylko wnuczkę Amelię Czyżewską i syna, który, nie będąc przy zdrowych zmysłach, nabawiał mnie strachu, ile razy do Woronczyna przyjeżdżał, chociaż w ogóle był bardzo spokojnego usposobienia.

W tych dziecinnych latach, dwa razy odwiedziłem Komargród, majątek mego ojca na Podolu. W roku 1842 ojciec mój zabrał mnie z sobą dla przedstawienia rodzinie. Dziad już nie żył, bo mieszkając stale w Odesie, tamże skończył życie w roku 1841, lecz wtedy po raz pierwszy widziałem moją babkę, Idalię, córkę ostatniego wojewody bracławskiego, Marcina

Grocholskiego, jako też moich stryjów, Władysława, Borysa, Dymitra i Ludwika. Z tego pierwszego pobytu w Komargrodzie, pamiętam jedynie postać mojej babki, która po dziś dzień żywo została mi w pamięci.

Drugi przyjazd do Komargrodu miał miejsce już znacznie później, zdaje mi się w 1847 czy 1848 roku. Było to w czasie strasznej cholery. Pamiętam, że pilnowano nas bardzo, abyśmy żadnej surowizny nie jedli. Przejeżdżając jednak przez Winnicę, udało nam się kupić kilka gruszek i na popasie (gdyż wszystkie te podróże odbywały się własnymi końmi), wynaleźliśmy w karczmie jakąś oddzielną izdebkę, gdzie, z dala od ojca i pilnujących nauczycieli, udało nam się wszystkie te gruszki zjeść, po czym, rozpatrując się wokoło, zobaczyliśmy w środku stół, a na nim coś leżącego pod białym prześcieradłem. Naturalnie chętka nas wzięła przekonać się, co by to być mogło. Był to trup starego żyda, zmarłego przed godziną na cholerę. Uciekliśmy w przerażeniu, ale zdrowie nic nie ucierpiało pomimo gruszek i sąsiedztwa, w jakim zostały spożyte.

Podróż z Woronczyna do Komargrodu trwała tak w jedną jak i drugą stronę zwykle bardzo długo, gdyż jadąc własnymi końmi, trzeba było nocować i popasać, przy tym po drodze zajeżdżało się do krewnych i przyjaciół. Pierwsze miejsce, gdzieśmy się zatrzymywali była Płoska Eustachego Czetwertyńskiego, żonatego z Jaroszyńską; mieli oni dwóch synów, Janusza i Augusta, i trzy córki, mniej więcej w naszym wieku.

Następnie przychodził Hryców Ludwika Grocholskiego, rodzonego wuja mego ojca, żonatego z Bawerowską. Piękna to była wtedy miejscowość, dawna jeszcze wojewody rezydencja; gdy po czterdziestu latach znowu się w niej znalazłem, przedstawiała smutny widok opuszczenia i zupełnego zaniedbania, dziś (1917 r.) zapewne wygląda jeszcze gorzej. W Hrycowie mieszkał także z rodzicami Mieczysław Grocholski, z żoną Stefanią, z domu Giżycką, nadzwyczaj mi-

łą i sympatyczną. Po Hrycowie przychodziły Ładychy Szaszkiewiczów, ona, cioteczna siostra mego ojca, z domu Grocholska, córka obożnego, najstarszego syna wojewody, właściciela Sudyłkowa, skonfiskowanego po 1831 roku bratu jej, Rafałowi, za udział jakoby w powstaniu, w którym jednak zupełnie nie był. Było tam trzech synów: Medard, Cezary i Leonard i trzy córki: Józefa, Konstancja i Euzebia; wszyscy już dorośli. Pod Winnicą zajeżdżaliśmy do Pietniczan, gdzie mieszkał cioteczno-rodzony brat mego ojca, Henryk Grocholski, ożeniony z Brzozowską, znaną w całym kraju. Któż wtedy nie słyszał o pani Ksawerze, o jej patriotycznej i dobroczynnej działalności? Była ona prawdziwą i jedyną opatrznością wszystkich Polaków zesłanych po niezmierzonych obszarach Syberii i Rosji europejskiej. Babka mojej żony, hr. Caboga, kobieta wysokiego serca i rozumu, o której później będzie mowa, nigdy inaczej jej nie nazywała jak „la divine Xaverine". Mieli czworo dzieci: dwóch synów, Stanisława i Tadeusza. Z córek, Maria wyszła za Witolda Czartoryskiego, owdowiawszy zaś, wstąpiła do klasztoru karmelitanek w Poznaniu. Gdy w czasie „Kulturkampfu", zakon ten został zniesiony, przeniosła się z towarzyszkami do Krakowa, gdzie na zakupionym przez siebie placu, wybudowała nowy klasztor. Druga córka, Helena Grocholska poślubiła Jana Brzozowskiego.

W Komargrodzie, po śmierci babki mojej w 1846 roku, zamieszkał mój stryj Borys z żoną Narcyzą, Olizarówną z domu, i trzema córkami, oraz dwoma nieżonatymi braćmi, Ludwikiem i Dymitrem. W Żołobach, obok Komargrodu, mieszkał stryj mój, Władysław, żonaty także z Olizarówną. Po powrocie do Woronczyna, trafiliśmy na wojnę węgierską, która, pomimo że miałem wtedy około dwunastu lat, do takiego stopnia mnie poruszyła, że postanowiłem przedostać się do Węgier i wstąpić w szeregi powstańcze. Ojciec mój jednak uspokoił te niewczesne pomysły,

które naturalnie spełzły na niczym. Doczekaliśmy się wkrótce powrotu wojsk rosyjskich z Węgier. Cesarz Mikołaj I przyjechał na ich spotkanie. W Łucku odbyła się rewia, na którą mój ojciec wybrał się z nami w towarzystwie guwernerów.

Pod samym Łuckiem, w Zaborolu mieszkał Władysław Czarnecki, krewny mojej babki. Było ich trzech braci: Karol, Zenon i Władysław, pierwszy umarł na wygnaniu po powstaniu 1831 roku, a majątek jego, Ozdoniż przeszedł na własność rządu, Zenon mieszkał w Omelaniku, jeszcze bliżej Łucka. Odznaczał się dziwnym podobieństwem do cesarza Napoleona III, do tego stopnia, że gdy w późniejszych już czasach chodził po ulicach Paryża, ajenci policyjni zawsze szli opodal za nim, w przekonaniu, że to cesarz incognito spaceruje po mieście. I nieraz mu się to zdarzało. Najmłodszy z braci, Władysław, mieszkał w Zaborolu z matką, Skarzyńską z domu. Był tam piękny dom i ogród według dawnego gustu, napełniony różnymi pamiątkowymi zabytkami i kamieniami z napisami; między innymi widziałem tam kamień z napisem: „Au premier fruit de nos amours", na pamiątkę pierwszego dziecka, które zaraz po urodzeniu zmarło.

W tym to Zaborolu wypadło nam właśnie obserwować rewię na cześć Mikołaja. Wtedy po raz pierwszy i ostatni widziałem Mikołaja I i Paskiewicza. Rewia, której asystowaliśmy, omal że nie zakończyła się dla mnie katastrofą. Cesarz, bardzo niezadowolony i w złym humorze, wydał jakiś rozkaz, zdaje mi się, niedokładnie zrozumiany, nastąpiła bowiem szarża dwóch pułków kawalerii na bardzo licznie zgromadzoną publiczność, która w największym popłochu zaczęła uciekać na cmentarz, otoczony murem. Ja znajdowałem się między dwoma guwernerami, każdy mnie trzymał za rękę i tak uciekaliśmy. Na przeszkodzie stanął nam głęboki rów. Ponieważ wszyscy razem przeskoczyć go nie mogliśmy, więc moi opieku-

nowie puścili mnie i w jednej chwili znalazłem się na dnie. Wydostać się nie było sposobu, gdyż natarcie dragonów i kirasjerów trwało jeszcze; przez kilka minut widziałem tylko brzuchy końskie ponad sobą. Wkrótce jednak ruch kawalerii ustał, a moi guwernerzy wydobyli mnie z rowu i odprowadzili do powozu, którym już bez żadnych przeszkód dostaliśmy się do Zaborola. Na drugi dzień mieliśmy wracać do domu, lecz Czarnecki chciał koniecznie nas dzień jeden dłużej zatrzymać, a ponieważ ojciec mój uparł się wyjechać, gospodarz kazał nasz powóz zamknąć w wozowni, a klucz od niej wziął do kieszeni. Z tego powodu ojciec mój przemówił się z nim, Czarnecki rzucił wtedy klucz na stół, mówiąc „je ne supporte pas ces manières princières". Ojciec powiedział mu na to coś nieprzyjemnego, tak że wyjechaliśmy bez pożegnania i nastąpiło zerwanie stosunków, które trwało długie lata, aż do 1864 roku.

Cesarz miał wtedy z sobą dwóch synów: Mikołaja i Michała, których, jako bardzo jeszcze młodych, odesłał do Brześcia, aby tam na niego czekali, sam zaś pojechał do Warszawy. Marszałkiem szlachty kowelskiej był wtedy Janiszewski. Wyjechał na spotkanie wielkich książąt do Kowla, proponując polowanie z gończymi na zające. Wielkim książętom bardzo myśl ta przypadła do gustu; pomimo oporu adiutantów pojechali do lasu, gdzie cały dzień przebyli. Cesarz był bardzo niekontent z tej ekspedycji, lecz w piętnaście lat później, gdy wnuk marszałka znalazł się w powstaniu i skazany został na zesłanie na Syberię, a wielkiemu księciu Michałowi, namiestnikowi cesarskiemu na Kaukazie, wypadła droga z Kaukazu do Petersburga na Kowel, stary dawny marszałek wyjechał na jego spotkanie i przypominając mu owo polowanie, upraszał o ułaskawienie wnuka, przy czym ofiarował pieczonego indyka, jako prowizję w podróży. W kilka dni już otrzymał zawiadomienie, że prośba została wy-

słuchana, i że cesarz ułaskawił jego wnuka bez wszelkich zastrzeżeń.

Około 1850 roku ojciec nasz począł myśleć, gdzieby nas w szkołach umieścić. Najdogodniejszym, bo nieodległym, wydawał się Szczebrzeszyn, uważany jako jedno z najlepszych gimnazjów w kraju. Warszawa, choć dalej położona, przedstawiała jeszcze lepsze warunki kształcenia się, lecz tak w jednym, jak i w drugim wypadku stał na przeszkodzie udział mego ojca w wojnie 1831 roku. Ułaskawiony w 1833 roku, pozostawał ciągle od tego czasu pod ścisłym nadzorem policji. Między Cesarstwem i Królestwem biegła granica, której bez formalnego paszportu nie było wolno przejeżdżać. Ojciec mój zaś, z powodu owego dozoru otrzymać go mógł tylko z wielkimi trudnościami i to tylko jednorazowo, tak że przez cały czas naszego pobytu w szkołach byłby prawie zupełnie od nas odcięty. W tych warunkach uznał, że Wilno, gdzie jeszcze dawne tradycje nie zupełnie wygasły, będzie najodpowiedniejsze. Pojechał więc do Wilna, aby się rozpatrzeć w stosunkach i powrócił już stanowczo zdecydowany. L'abbé wyjechał, jako nauczyciel do p. p. Nartów w powiecie starokonstantynowskim, zabierając z sobą Gracjana Wołodźkę, którego dalszym kształceniem pragnął się zajmować. Matka Gracjana też opuściła Woronczyn i wstąpiła do klasztoru wizytek w Wilnie, dokąd i my podążyliśmy pod opieką ojca.

II.

INSTYTUT SZLACHECKI W WILNIE.

Był rok 1851. Po przyjeździe do Wilna, umieścił nas ojciec u profesora matematyki Feliksa Rumbowicza, gdzie mieliśmy przygotować się do egzaminu w Instytucie Szlacheckim, ja do czwartej, a młodszy ode mnie o dwa lata brat mój, Ludwik, do drugiej klasy. Mieszkaliśmy na Placu Zamkowym, w murach dawnego uniwersytetu, gdzie profesor Rumbowicz miał kwaterę rządową. Było nas u niego siedmiu uczniów. Nazwisk moich towarzyszy obecnie zupełnie nie pamiętam, gdyż w ciągu przebytego z nimi roku, niczym się mojej pamięci nie zapisali. Profesor, człowiek niezmiernej poczciwości i zacności, domem zupełnie się nie zajmował, tylko swoim wykładem i uczniami. Żona jego również nim się nie zajmowała, a zdaje mi się, że i w ogóle niczym innym. Był to typ, po francusku nazwany „une femme incomprise“; za to jej siostra, Maria Dobrowolska, pod względem gospodarczym miała wszystko na swej głowie i wyśmienicie wywiązywała się z zadania. Ojciec mój zaprowadził nas do swego kolegi z 1831 roku, Wincentego Dmochowskiego, malarza. Malował on wcale udatnie i mieszkał stale w Wilnie z żoną i córkami. Miał jednego syna, Władysława, z którym jako z rówieśnikiem, byłem wtedy bardzo zbliżony. Dni świąteczne spędzaliśmy prawie zawsze u nich. Oprócz Dmochowskich bywaliśmy w Tusculanum, willi podmiejskiej, należącej do marszałka powiatowego wileńskiego, Pisanki. Żonaty był ze Żmijewską, rozwiedzioną żoną Narcyza Olizara, kasztelana z czasów rewolucji 1831 roku, a następnie emigranta w Paryżu. Ponieważ pa-

ni marszałkowa była matką mojej stryjenki, Władysławowej, stosunki rozwinęły się bardzo zażyłe i często w dniach wolnych od zajęć, bywaliśmy w Tusculanum. Mieszkała przy niej, córka z jej pierwszego małżeństwa, Dombrówka, i zdaje mi się, że miała wielką ochotę wydać się za mąż za mego ojca, ale to spostrzeżenie zrobiłem znacznie później. Wyszła za mąż za Kramera, wysokiego urzędnika Ministerstwa Skarbu w Petersburgu. Następnie straciłem ją zupełnie z oczu.

W tych pierwszych czasach pobytu w Wilnie ujrzałem po raz pierwszy w życiu teatr. Uczyniło to na mnie ogromne wrażenie, zwłaszcza, że przedtem nie byłem uprzedzony dokąd idziemy. Dawano dramat „Henryk III i dwór jego". Przedstawienia odbywały się wtedy trzy razy na tydzień. Główna sztuka zawsze po polsku, a po niej jakaś jednoaktówka w języku rosyjskim. Nic dziwnego, że wydawało nam się wtedy wszystko nadzwyczajnie pięknym i aktorowie doskonałymi, lecz i dziś przypuszczam, że musieli być dobrzy, jeśli między nimi byli tacy, jak Deryng, Palińska i inni, którzy później zasłynęli na scenie warszawskiej. Przez pięć lat pobytu w Wilnie, nieraz bywałem w teatrze, zawsze z wielką przyjemnością, lecz tylko w niedziele i święta, gdyż w zwykłe dnie było to nam wzbronione.

Po skończonym roku przygotowania, zdaliśmy obaj egzamin do czwartej i drugiej klasy w Instytucie Szlacheckim. Był to internat z kursem gimnazjalnym, obdarzony znacznymi przywilejami przez Mikołaja I i mający, jako główny cel — wychowanie młodzieży w duchu „błahonadiożnosti". Celu tego jednak nie osiągnięto. Nie pamiętam, aby gdziekolwiek duch patriotyczny był tak silnie rozbudzony, jak właśnie w naszym Instytucie. Jakież to było szczęście, gdy ktokolwiek z nas przyniósł z sobą poezje Adama, lub Zygmunta! Wszyscyśmy je rozrywali, niektórzy wyuczali się ich prawie w całości na pamięć, a ogień miłości Ojczyzny i chęć poświęcenia się dla Niej płonę-

ły w nas jak najsilniej. Gdy przyszedł rok 1863, wszyscy prawie znaleźli się w lasach, lub organizacjach powstańczych. Wtedy to Instytut został zamknięty, po dwudziestu prawie latach istnienia. Gdy doń wstąpiłem, dyrektorem był Kalinowski, inspektorem — Czasnicki. Nauki pobieraliśmy w języku rosyjskim, z wyjątkiem religii, którą wykładał ksiądz Zdanowicz (Michał), historii uczył także Zdanowicz, Aleksander, nawet nie krewny poprzedniego, znany z różnych, wydanych przez siebie podręczników historycznych, Iziumow wykładał język rosyjski, Straszyński arytmetykę, Zessel geometrię, Michajłowski prawo, Wacław Przybylski, późniejszy członek Rządu Narodowego w 1863 roku — nauki przyrodnicze, języków: łacińskiego, niemieckiego i francuskiego uczyli: Chevalier, Keller i Regamey.

Oprócz wyżej wspomnianych profesorów, mieliśmy dwóch tak zwanych guwernerów, którzy dyżurowali po kolei, doglądając porządku oraz zachowania się uczniów poza godzinami klasowymi. Budzono nas o 7 rano, po umyciu się i ubraniu i po odmówieniu wspólnego pacierza, dostawaliśmy herbatę z mlekiem i bułką, po czym od godz. 9 lekcje, trwające do południa. O pół do pierwszej podawano obiad, składający się z rosołu, wołowej lub cielęcej pieczeni i niby słodkiego ciasta. Po dłuższej rekreacji dawano jeszcze przez dwie godziny lekcje, po czym o 5 herbata z bułką, a o 7 kolacja, złożona z jednej potrawy. Po pocierzu o 8 kładliśmy się spać. W niedziele i święta udawaliśmy się o 9 na mszę do kościoła dominikańskiego, naprzeciw naszego Instytutu. Własnych rzeczy nie mieliśmy żadnych; pościel, bieliznę, obuwie i całe ubranie dostarczała nam władza szkolna. Nosiliśmy czarne kurtki z czerwonym kołnierzem i takież spodnie; do wyjścia na ulicę czarne płaszcze z peleryną. Uczniowie 7 klasy mieli surduty na dwa rzędy zapinane, do wyjścia zaś na ulicę szpady i kapelusze stosowane, tak zwane „treugołki“. We wszystkich kla-

sach najlepiej uczący się uczeń miał kołnierz obszyty srebrnym sznurkiem. Dla przyzwyczajenia nas do rosyjskiego, zabroniono nam mówić między sobą po polsku. W tym celu wymyślono markę, w kształcie srebrnego rubla. Ten, u którego z uczniów znalazła się ona w chwili obiadu, pozbawiony był słodkiej potrawy. Władze sądziły, że każdy będzie korzystał z zasłyszanej mowy polskiej, aby się pozbyć marki, my wszakże, by temu zapobiec, postanowiliśmy ją schować do szufladki i po kolei przyznawać się do jej posiadania, toteż po krótkim przeciągu czasu cofnął dyrektor poprzednie rozporządzenie i „bezkarnie" rozmawialiśmy z sobą po polsku w dalszym ciągu.

Zaraz w pierwszym roku, w czwartej klasie, zachorowałem bardzo ciężko na zapalenie płuc, tak groźnie, że zawiadomiono mego ojca, radząc mu przyspieszyć przyjazd. Mieszkali wtedy w Wilnie Michałowie Tyszkiewiczowie, ona z domu Radziwiłłówna, z linii berdyczowskiej. Serdecznie mną się zajęła, polecając nie tylko doktorowi Instytutu, Zdanowiczowi, lecz oddała mnie w opiekę dra Wikszemskiego. Jej staraniom zawdzięczam wyzdrowienie. W czasie konsylium, które się przy moim łóżku odbywało, gdy doktorzy zaczęli się po łacinie naradzać, abym nie mógł zrozumieć o czym mówią, wyuczony łaciny przez mego dawnego nauczyciela l'abbé Roux, zacząłem im oponować, także po łacinie, co ich wprawiło w najwyższe zdumienie.

W tym czasie generał-gubernatorem wileńskim był Dymitr Gawryłowicz Bibikow. Ponieważ był równocześnie kuratorem Wileńskiego Okręgu Naukowego, więc od czasu do czasu zwiedzał Instytut, interesując się naszymi postępami w naukach. O działalności jego nic powiedzieć nie mogę, gdyż w czternastym roku życia nie byłem jeszcze w stanie wyrobić sobie o nim zdania, czynił wrażenie raczej porządnego człowieka. Gdy wprowadzono w Instytucie naukę języka angielskiego, profesor Chisholm uczył także córki Bibikowa i nie wiem z jakich powodów, Bibikow kazał Oska-

rowi Tyszkiewiczowi i mnie zdawać razem z nimi egzamin. Chodziliśmy więc na tę ceremonię do tak zwanego „dworca", ale nic nam z tej nauki nie pozostało, gdyż nasz profesor był skończonym idiotą, a że nie mieliśmy przy tym najmniejszej ochoty do tej nauki, skończyła się ona szybko.

Wchodząc do czwartej klasy, znalazłem około dwudziestu kolegów, we wszystkich zaś klasach było nas około stu. Nazwisk wszystkich, po tylu latach, nie pamiętam. W jednej ze mną klasie byli: Peżarski, Hłuszanin, Marcinowski, Majewski, Skowroński, Jawgiel, Tyzenhold, Czechowicz, Denisow, Tyszkiewicz (syn Konstantego z Łohojska, znanego archeologa i uczonego) i kilku jeszcze innych.

Po opuszczeniu Instytutu, nie spotkałem się już prawie z żadnym z moich równoklasistów. Z innych zaś klas spotykałem się w późniejszych latach z Witoldem Załęskim, byłym profesorem Szkoły Głównej, Adamem Zdziechowskim, Konradem Chmielewskim i Hilarym Łęskim, z którym po dziś dzień łączą mnie serdeczne stosunki. W dni świąteczne chodziliśmy na długie przechadzki po uroczych okolicach Wilna. Zdarzało się nieraz spotkać takież gremialne przechadzki uczniów innych zakładów naukowych, a szczególnie szkoły rabinów. Zwykle wówczas rozpoczynała się awantura, zakończona bijatyką, którą guwernerowie nasi uśmierzali z największą trudnością. Nie pamiętam, w której byłem klasie, gdy zaczęto opowiadać, że w Wilnie zagnieździli się bandyci, którzy napadają i obdzierają spóźnionych przechodniów. Postanowiliśmy uwolnić miasto od tej plagi, w tym celu pokupowaliśmy wielkie noże i po zachodzie słońca patrolowaliśmy po odległych i podejrzanych zaułkach, w nadziei spotkania i wybicia grasujących złoczyńców. Rzecz jasna, żeśmy nigdy żadnego nie spotkali, ale za to ja na tym osobiście ucierpiałem, gdyż jeden z moich kolegów, Porzecki, mając nóż antybandycki w kieszeni, a rozdrażniony gałką ze śniegu, którą mu

rzuciłem w oczy, przebił mi nim rękę, którą się zasłaniałem. Po otrzymanej ranie ciężko byłem chory i prawie miesiąc przeleżałem w szpitalu. Po tej awanturze zrobiono rewizję i odebrano nam wszystkie noże, które miały oczyścić Wilno z bandytów.

W ostatnich dwóch latach pobytu w Instytucie rozwinęły się moje stosunki towarzyskie. Zacząłem już bywać na różnych balach i przyjęciach, szczególnie w czasie karnawału. W tych czasach, gdy wyjazd za granicę był tak bardzo utrudniony, przy wielkich kosztach paszportowych i braku kolei żelaznych, większe miasta prowincjonalne stanowiły centrum życia towarzyskiego i społecznego, toteż w Wilnie ześrodkowało się ono w zupełności. Na karnawał zjeżdżali się rodzice z córkami na wydaniu, kawalerowie zamierzający się żenić i dużo osób tylko dla zabawy. Wtedy przy częstym braku młodych ludzi i dorastający chłopacy bywali zapraszani i mile w towarzystwach widziani. Miałem dużo znajomych, wskutek czego i dużo zaproszeń, najprzód w „dworcu", u generała Bibikowa, gdzie musiałem obtańcowywać wszystkie stare lub szpetne panny, dla których trudno było wynaleźć tancerzy. Następnie bywałem u Tadeuszowej Ogińskiej, primo voto Borewiczowej, która dla swych córek: Amelii i Gabrieli dawała wystawne wieczory w czasie karnawału. Umiastowscy, Mineykowie, Benisławscy, Niesiołowska, Pacówna z domu, wszyscy przyjmowali; u tej ostatniej honory domu robiły dwie panny Bogdanowiczówne, których starsza siostra była za naszym profesorem języka francuskiego, Regamey.

Mieszkały również wtedy w Wilnie trzy siostry Obuchowiczówne: generałowa Eysmont, Kamińska i Pusłowska, której syn został później w roku 1863 rozstrzelany. Wszystkie one, przez czas pobytu w mieście, urządzały u siebie mniejsze, lub większe przyjęcia.

Z mieszkających w Wilnie, lecz nieprzyjmujących,

zostały mi w pamięci: Karolowa Czapska, Łopacińska i Walentynowiczowa. Pierwsza, Obuchowiczówna z domu, była matką Adama, Emeryka i Ignacego Czapskich. Miała jedną córkę, która wstąpiła do klasztoru p. p. wizytek. Pani Czapska, aby być bliżej córki, kupiła dom, tak zwany Korwela, już prawie za miastem i tam u niej bywałem. Zawsze zapraszała mnie i mego brata w Wielki Czwartek, gdyż w tym dniu był u niej wspaniały obiad, na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej, zupełnie tak, jak w wigilię Bożego Narodzenia. Tego zwyczaju nie spotkałem nigdzie indziej. Pani Walentynowiczowa była już w tym czasie bardzo wiekową osobą. Miała kilka córek, z których znałem najlepiej p. Górską, matkę marszałka Pisanki, u której bywały częste wieczorki tańcujące. Pierwszym jej mężem był Pisanko, drugim Bobiatyński. Zmarła, jako Górska, już po moim wyjeździe z Wilna. P. Walentynowiczowa zwykle zapraszała nas na bardzo sute święcone, lecz ponieważ nie miała zębów, wszystkie mięsiwa podawano siekane i ułożone w naturalnych kształtach, tak, jak gdyby były całkowite. Nie wiedząc o tym, miewałem przy jedzeniu święconego ciągłe niespodzianki. Walentynowiczowa powydawała wszystkie córki bardzo dobrze za mąż, z genialnym iście sprytem. Największej sztuki dokazała przy wydaniu jednej z nich za Zubowa, o której wspomina Mickiewicz w Trzeciej Części „Dziadów". Stary Zubow, dawny faworyt carowej Katarzyny, był jakby wygnany do Wilna i tam poznał Walentynowiczową i jej córki. Jedna z nich bardzo mu się podobała i sądził, że przy swym stanowisku i niezmiernym majątku nie spotka oporu i nawiąże stosunek, jaki by mu najlepiej dogadzał.

Przerachował się jednak, gdyż przewidująca dama udaremniła do tego stopnia wszelakie zbliżenia się do córki, że płaciła młodym urzędnikom konsystorza po pięć złotych na wieczór, aby tak u niej, jak i na innych przyjęciach nie odstępowali córki i nie dopusz-

czali Zubowa do panny. Gdy się ukazał, tłumaczyła mu, że ci młodzi ludzie mają uczciwe zamiary, i że nie może, odsuwając ich, zawiązywać losu córki. Tak manewrując, doprowadziła starego i zakochanego Zubowa do deklaracji, że sam się ożeni, byle ci wszyscy pseudo-konkurenci poszli won. Tak się też stało i panna Walentynowiczówna została księżną Zubow. Po śmierci męża, która bardzo prędko nastąpiła, wyszła powtórnie za mąż za Andrzeja Szuwałowa. Pozostawiła dwóch synów: Piotra i Pawła, których również poznałem później.

Z młodych ludzi, bywających w świecie, spotykałem często Władysława Mineykę, Alfreda Romera, Meysztowiczów, Podbereskiego, Ciechanowieckich, Mohlów i wielu innych; byli oni starsi ode mnie, lecz na różnych balach i wieczorkach dość dobrze ze wszystkimi się poznajomiłem. Miałem również sposobność zawrzeć znajomości na polu sztuk pięknych: ze Stanisławem Moniuszką, Ludwikiem Kondratowiczem (Syrokomlą), A. E. Odyńcem, Kirkorem i innymi. Wszystkich ich znałem i wszyscy byli dla mnie bardzo łaskawi.

W roku 1855, w szóstej klasie, straciłem babkę, generałową Kropińską. Nie mogliśmy być przy jej śmierci, gdyż zmarła 25 września. wkrótce po naszym wyjeździe do szkół do Wilna. Wielką dla mnie pociechą było to, żeśmy te ostatnie wakacje spędzili razem. Pomimo to bardzo silnie tę stratę odczułem.

Wciągu tych czterech lat, spędzonych w Instytucie, wyjeżdżaliśmy tylko na letnie wakacje. Dwa razy spędziliśmy je u ciotki mego ojca, p. Katarzyny Strawińskiej, córki Antoniego Czetwertyńskiego, kasztelana bracławskiego, rodzonego brata mego pradziada, Janusza. Był to dom patriarchalny, czysto staropolski. Życie tam płynęło według dawnej modły. P. Strawińska była wdową i mieszkała w Mirowszczyźnie, w powiecie słonimskim; w majątku sąsiednim, Nakryszkach, mieszkał jej jedyny syn Adam, ożenio-

ny z Brochocką, z której pozostawił trzy córki i syna Stanisława. Ponieważ p. Strawińska była bardzo wiekową i ogólnie w całej okolicy poważaną, prawie ciągle ktoś przyjeżdżał w gościnę i dom był zawsze pełny. Dłuższy czas w Mirowszczyźnie przepędzały niemłode już panny, Katarzyna i Maria Strawińska, synowie mojej ciotki i panna Pelagia Radowicka, spokrewniona z nią, późniejsza kanoniczka w Warszawie.

Jedne wakacje spędziliśmy w Komargrodzie, w którym od czasu ostatniego mego pobytu zaszły znaczne zmiany. Stryj Borys wybudował dom w swym majątku Lipówce i zamieszkał w nim z rodziną; Komargród zaś wziął stryj Władysław w dzierżawę od mego ojca. Bardzo byłem rad, gdy wypadało nam spędzić wakacje wśród rodziny. Wszyscy stryjowie czuli się w obowiązku dawać nam na wyjezdnym po kilka półimperiałów, tak zwanych „peców", tak, że wracaliśmy do Instytutu ze znacznym, jak na nasze kieszenie, funduszem.

W ten sposób zeszły mi cztery lata pobytu w Instytucie. Uczyłem się bardzo dobrze i w 1856 roku przystąpiłem do ostatecznych egzaminów, które trwały przez cztery tygodnie. Zdałem je świetnie, nagrodzony złotym medalem, lecz tylko na papierze, gdyż w rzeczywistości nigdy go nie odebrałem. Wartość medalu wsiąknęła zapewne w kieszeń jakiegoś urzędnika Ministerstwa Oświecenia. W czasie naszych egzaminów generał Bibikow opuścił Wilno, a na jego miejsce naznaczony został generał Nazimow. Szlachta guberni, stanowiących generał-gubernatorstwo wileńskie, powitała go wielkim balem, na którym przyjmowano go owacyjnie. Pomimo egzaminów byłem na nim, a był to ostatni mój występ w wileńskim świecie towarzyskim. Przed opuszczeniem Wilna, zaprosiłem wszystkich moich kolegów, opuszczających równocześnie ze mną Instytut na pożegnalną kolację do restauracji Jodki, przy ulicy Św. Jańskiej. Profesorowie przeważ-

nie udziału nie odmówili, i uczta pożegnalna przeciągnęła się do późna.

Opuszczając Wilno ostatecznie, pojechaliśmy po raz ostatni do Mirowszczyzny, aby pożegnać p. Strawińską. Wdowa po jej bracie, Leopoldzie Czetwertyńskim, przyjechała po raz pierwszy ją odwiedzić z córką Janiną, którą po raz pierwszy spotkałem. Była mniej więcej w moim wieku, bardzo ładna i niezmiernie utalentowana, szczególniej muzykalnie. Utwory jej były ogólnie znane, a mazurek „On mnie pytał, co ja wolę" wszędzie wtedy był śpiewany. Bardzo gorąca patriotka, w przedpowstaniowych czasach zrzekła się na rzecz włościan całej, bardzo znacznej, należącej się jej wykupnej sumy. Sądziła, że tym darem uzyska ich sympatię dla sprawy polskiej. Było to złudzenie, które ją ostatecznie wyzuło z majątku. Na szczęście nie przeszedł on w obce ręce, gdyż kupił go Józef Jaroszyński, mający prawo nabywania dóbr w tak zwanym południowo-zachodnim kraju. W późniejszych latach, kuzynka Janina wyszła za mąż za Adolfa Jełowickiego, lecz prędko po ślubie życie zakończyła z żalu po tragicznej stracie jedynego dziecięcia.

Po parotygodniowym pobycie w Mirowszczyźnie, pojechaliśmy do Skidla pod Grodnem, do Konstantego Czetwertyńskiego, żonatego ze stryjeczną siostrą mego ojca, córką Dymitra, o którym już wyżej wspomniałem. Mieli trzech synów i trzy córki. Przed przybyciem do Woronczyna był u nich nauczycielem l'abbé Roux. Córki: Klara, Eliza i Ryta zmarły młodo, przed zamążpójściem. Najstarszy Włodzimierz i drugi Jerzy zmarli później bezpotomnie, pozostał tylko najmłodszy Stanisław, ożeniony w późniejszych latach z Marią hr. Broël-Plater. Ks. Konstanty był przez długie lata grodzieńskim marszałkiem gubernialnym; jako bardzo czynny obywatel kraju cieszył się poważaniem, lecz despotyczne usposobienie jego

było powodem, że wszystko w domu przed nim drżało i ja naturalnie również.

Niedaleko od Skidla znajdowały się Druskieniki ze swymi, tak skutecznymi wodami. Były one nader uczęszczane, mnóstwo osób z całej Litwy przyjeżdżało nie tylko w celach kuracyjnych, lecz i dla zabawy. Bawiono się doskonale. Niejedno małżeństwo ułożyło się w Druskienikach. Ks. Konstanty miał w Druskienikach własny dom i ofiarował nam w nim mieszkanie. To zdecydowało mego ojca do wybrania się tamże z nami dla dokończenia wakacji. Po najuciążliwszych piaskach przybyliśmy na miejsce najętymi końmi i spędziliśmy parę tygodni w jak najprzyjemniejszych warunkach. Tam poznałem Lachnickich: Cypriana i Ignacego, późniejszego generała, ożenionego z wychowanicą hr. Berga, z którymi później, zamieszkawszy w Warszawie, bardzo byłem zbliżony. Główną osią wszystkiego w Druskienikach był Pilecki, wielkiej zacności człowiek, oceniony z Sołtanówną, 1-mo voto Kublicką. Z Druskienik wróciliśmy do Woronczyna, w którego okolicy po dwuletniej nieobecności, znaczne nastały zmiany. Sąsiadujące z Woronczynem majątki: Kisielin i Babie sprzedano w ręce nowych właścicieli. Córka Jana Modzelewskiego, zasłużonego ziemianina i urzędnika, Wiktoryna, wyszła za mąż za Emila Olizara i dostała w posagu majątek kisieliński.

Wspomniałem poprzednio o ojcu Emila, emigrancie z 1831 roku. Cały ogromny jego majątek został skonfiskowany, a synom pozostała tylko pensja po 500 rubli,którą rząd, po długich staraniach, przeznaczył na ich wychowanie. Pensja ta następnie została przedłużona, pod warunkiem wstąpienia do służby rządowej. Emil urzędował w Izbie Sądowej Wołyńskiej i dopiero po ożenieniu się zamieszkał w Kisielinie. Olizarowie mieli dwie córki i syna Jana, który później, w epoce pseudo-konstytucyjnej, był wybrany z guberni wołyńskiej do Rady Państwa. Przewo-

dniczył w Kole Polskim, i w tym charakterze wielkie krajowi oddał usługi. Skończył życie w przededniu wojny światowej. Babie nabył Juliusz Walewski, żonaty z Faustyną Krasicką, wielką przyjaciółką mojej matki, pozostawił on czterech synów: Bronisława, Marcelego, Stefana i Jerzego, z którymi następnie bardzo bliskie skojarzyły mnie stosunki.

III.

NAUKA I ZABAWA W KIJOWIE.

Po ukończeniu Instytutu wileńskiego w r. 1856, wyjechałem na dalsze studia do Kijowa i tam zapisałem się na uniwersytet. Wyjechałem z Teodorem Cieszkowskim, który, jako starszy ode mnie student, miał być czymś w rodzaju mentora i wprowadzić mnie w stosunki koleżeńskie. Z rozmaitych względów nie był to wybór szczęśliwy, lecz jeżeli można mu było w tych czasach coś zarzucić, to wszystko to zmazał bohaterską śmiercią w 1863 roku.

Rozpatrzywszy się w Kijowie, zapisałem się, namówiony przez kolegów, na wydział przyrodniczy. Bardzo tego później żałowałem, gdyż do nauk przyrodniczych nie miałem ani upodobania, ani odpowiednich zdolności. Kuratorem okręgu naukowego był Rehbinder, a rektorem Trautfetter, inspektorem zaś, czyli jakby policmajstrem uniwersyteckim, Wierzbicki. Generał gubernatorem był ks. Wasilczykow, a gubernatorem Hesse. Za poprzednich czasów, gdy generał gubernator był zarazem kuratorem okręgu naukowego, pomocnikiem jego był Józefowicz, który naturalnie był nim de facto. Był to człowiek nieżyczliwy bardzo dla Polaków. Gdy jednak oddzielono jeden urząd od drugiego, opuścił swe miejsce, co wpłynęło na zmianę jego przekonań, stał się bowiem zapalonym słowianofilem, a wobec rządu malkontentem, przy czym zupełnie się zmieniło jego usposobienie dla Polaków. Znałem go w tym czasie bardzo dobrze, tak, że gdy syn jego wstąpił do uniwersytetu przyprowadził go do mnie z prośbą, abym go zapoznał z polskimi kolegami i polecił ich przyjaźni.

W kwietniu 1857 r. wybuchła awantura z pułkownikiem Brinkenem, wtedy bardzo głośna w najszerszych kołach kraju. Rzecz tak się miała, że gdy pies pułkownika zaatakował studenta, którego nazwiska nie pamiętam, ten, broniąc się, uderzył psa, za co pułkownik go złajał, a nawet wyszturchał. Gdy Brinken, po kilkakrotnych wyzwaniach, nie chciał dać żądanej satysfakcji, studenci, ujmując się za kolegą, postanowili go obić, co też i dokonali w miejscowym teatrze. Wielu z młodzieży zaaresztowano i uwięziono w fortecy. Śledztwo ciągnęło się kilka miesięcy. Nastąpił sąd i dość surowy wyrok, z którym się pospieszono, aby dać możność cesarzowi, przybywającemu pierwszy raz po koronacji do Kijowa, ułaskawienia winnych, co się też stało. Kolega nasz, Tadeusz Komar, opisał całe to zajście w stylu biblijnym. Opis ten w swoim czasie zyskał duże powodzenie i krążył w licznych odpisach. Pod jesień przyjechał, gorąco witany Aleksander II.

Po ciężkich mikołajewskich czasach spodziewano się zmian, ze względu na to, iż nowy cesarz uchodził za monarchę pełnego dobrych chęci. Zresztą oczekiwanie czegoś lepszego weszło u nas w krew i nic dziwnego, po tylu latach prześladowania i wynaradawiania zawsze się zdaje, że muszą kiedyś nastąpić zmiany na lepsze, gdyż gorzej już niby być nie może. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Szlachta gubernii kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej hurmem się zjechała dla powitania pary cesarskiej, która zgodziła się wziąć udział w balu, przez szlachtę wydanym. Gospodarzami byli marszałkowie wyżej przytoczonych gubernii. Z nich jednak tylko kijowski, Jaroszyński, był rzeczywistym gubernialnym marszałkiem, dwaj inni. Pieńkowski, podolski, i Lach-Szyrma, wołyński byli tylko zastępcami nieobecnych marszałków. Studentów na bal nie dopuszczono, mnie tylko udało się, za pośrednictwem marszałka Jaroszyńskiego, otrzymać zaproszenie pod warunkiem przybycia w ubraniu frakowym, gdyż w mundurach studenckich nie można

było wejść na salę. Musiałem więc sprawić sobie frak. Był to dość znaczny, jak na moją kieszeń studencką wydatek, lecz wolałem go ponieść, niżli nie być na balu, który tak wszystkich interesował.

Dwa szczegóły z balu zostały mi w pamięci. Przed kolacją, gdy podano wódkę i zakąski, pewien obywatel wołyński, posiadacz butelki starki, którą z sobą przywiózł, koniecznie zapraszał na nią cesarzową, mówiąc, że równie dobrej na świecie nie ma. Gdy naturalnie odmawiała pomimo silnych nalegań, cesarz zwrócił się do natręta, mówiąc, że cesarzowa żadnych alkoholów nie znosi, wobec tego wszakże, że starka jest tak nadzwyczajna, on sam ją chętnie wyręczy i drugi kieliszek wypije. Następnie, gdy skończyły się wszystkie, z góry zapowiedziane toasty i cesarz miał już od stołu wstawać, jakiś obywatel, podochocony, którego nazwiska nie pamiętam, najniespodziewaniej podniósł się z kieliszkiem w ręku i zawołał głośno po polsku „a ja jeszcze piję zdrowie Najjaśniejszego Pana". Gospodarze balu struchleli, również jak i całe otoczenie, lecz cesarz podniósł się, wziął kieliszek do ręki i jak najuprzejmiej odpowiedział, również po polsku „dziękuję panu".

Na drugi dzień przyjechał cesarz do uniwersytetu. Władze naszej uczelni poleciły mi złożyć monarsze raport o stanie uniwersytetu, ilości fakultetów i liczbie znajdujących się na każdym z nich studentów. Gdy skończyłem, zapytał mnie o nazwisko, po czym spytał się o stopień pokrewieństwa z Borysem ks. Czetwertyńskim, ober-koniuszym dworu, przyrodnim bratem ks. Konstantego, następnie dodał, że go widział w Moskwie zupełnie wyleczonego po wypadku złamania nogi. Potem zaczęło się przedstawianie profesorów przez kuratora. Wielu z nich było „duchownawo zwanja", to jest z popowiczów. Cesarz każdego pytał o „zwanje", to jest jakby o pochodzenie. Zabawnie było słyszeć, z jaką trudnością na to pytanie odpowiadali, gdy trzeba było do tego duchownego pocho-

dzenia się przyznać. Między profesorami był i Fonberg, profesor chemii, przeniesiony z Uniwersytetu Wileńskiego do Kijowa. Gdy powiedział swoje nazwisko, cesarz sądził, że nazywa się Berg, a von jest tylko dowodem szlacheckiego pochodzenia, i spytał się, czy jest tej samej rodziny, co późniejszy namiestnik w Królestwie, na to Fonberg odpowiedział „nie, Najjaśniejszy Panie, jestem synem wileńskiego kowala". Wtedy cesarz powiedział, że bardzo rad jest z tego poznania i podał mu rękę, czym żadnego z profesorów, ani przedtem, ani potem nie zaszczycił. Po skończeniu przedstawień, zwrócił się cesarz do nas, studentów, z przemówieniem. Zgromił nas za obicie pułkownika Brinkena, wyraził oburzenie i niezadowolenie z powodu tego wypadku, dodając w końcu, że szlachetny człowiek krwią stara się zmyć obrazę, lecz nigdy kijem. Po czym zawiadomiono nas, że cesarz ułaskawił osądzonych, ze względu na ich młode lata. Na tym skończyło się i cesarska para opuściła następnego dnia Kijów, udając się do Warszawy.

Jak Wilno na Litwie, tak Kijów na Rusi był jakby stolicą miejscowej ludności. Tutaj ześrodkowało się życie całej prowincji. Uniwersytet dużo się do tego przyczyniał, a tak zwane „kontrakty" były zawsze powodem do gromadnych zjazdów. Wszelkie możliwe interesy na cały rok załatwiano w czasie kontraktów: kupna i sprzedaże majątków, dzierżawy, lokacje kapitałów, sprzedaże produktów, oraz połączone z tym czynności dokonywano przeważnie w czasie kontraktów, toteż zjazd bywał bardzo liczny i mieszkania przepłacano, szczególniej większe, gdyż dużo osób przyjeżdżało z rodzinami. Bez przerwy trwały bale i przyjęcia. Artyści sławy europejskiej zjeżdżali z koncertami. Przed moją bytnością w Kijowie przyjeżdżał Liszt, a w mojej już obecności koncertowali bracia Wieniawscy i Apolinary Kątski, który nas, studentów, tak rozentuzjazmował, żeśmy go na rękach wynieśli do powozu po skończonym koncercie.

Na dochód niezamożnych kolegów, urządziliśmy w auli uniwersyteckiej teatr amatorski, który miał ogromne powodzenie. Graliśmy „Zemstę“ Fredry. Wszyscy sprawili się doskonale, a szczególniej Wacław Lasocki, który grał rolę rejenta, i Stanisław Bardzki, przedstawiający Papkina.

Z rodzin, zamieszkałych stale w Kijowie pierwsze miejsce zajmowali Oktawostwo Jaroszyńscy. Żona Oktawa, Czarnomska z domu, miała przy sobie siostrę Zofię. Przyjmowali oni najczęściej w czasie kontraktowym, który schodził się z karnawałem, gdyż wtedy kontrakty zaczynały się w pierwszej połowie stycznia. Mieszkali także Antoniowie Lubomirscy. Książę występował zawsze w huzarskim mundurze, księżna, Kraszewska z domu, dawała małe wieczorki, nie bardzo przez studentów uczęszczane. Mieli syna, Ksawerego, ożenionego następnie z Działyńską, i kilka córek, z których znałem tylko najstarszą Julię, zamężną później za hr. Karnickim, dyplomatą austriackim. Przyjmowała także p. Proskurzyna, lecz w bardzo nielicznym kółku. Córka, przy niej mieszkająca, panna Paulina, bardzo rozumna, była postrachem całego towarzystwa kijowskiego, z powodu swej złośliwości i umiejętności wypatrywania ujemnych stron bliźniego. Starsza córka p. Proskurzyny była za moim kuzynem, Medardem Szaszkiewiczem, lecz rozwiodła się z nim i zamieszkała w Kijowie. Działo się to w czasie, gdy Martynow, zesłany na Kaukaz za zabicie w pojedynku sławnego poety rosyjskiego, Lermontowa, został ułaskawiony, pod warunkiem nieopuszczania Kijowa, w którym go internowano. Tam się poznali i wkrótce pobrali. Mieli syna, który w późniejszych latach został gubernatorem warszawskim. Tam go widywałem, jak również jego siostrę, piękną hr. Komarowską.

Najbardziej w Kijowie uczęszczanym przez studentów był dom Michała Grabowskiego, żonatego z Rościszewską. O jego stanowisku nie wspominam,

gdyż należy on do historii i do literatury polskiej, których nikt z moich skromnych wspomnień uczyć się nie będzie. Wywierał on znaczny wpływ na pewien odłam moich kolegów, przy tym z wieloma z nich był spokrewniony. Z córek Michała Grabowskiego, dwie, bywające w świecie, były przez młodzież studencką bardzo admirowane. Starsza, Maria, wyszła za Żeromskiego, majętnego właściciela dóbr na Wołyniu, młodsza zaś i bardzo przystojna, Elżbieta, za Maurycego Poniatowskiego, bardzo już niemłodego człowieka, a po jego śmierci, za Adama Czosnowskiego. Ponieważ Grabowski napisał studium literackie pod tytułem: „Literatura i krytyka" w towarzystwie kijowskim nazywano starszą córkę *literaturą*, a młodszą *krytyką*, która to nazwa dość dobrze pasowała do krytycznego i trochę uszczypliwego charakteru Elżbiety. Grabowscy mieli jeszcze dwie córki i dwóch synów, jedna z nich wstąpiła do klasztoru, a drugą, znacznie młodszą, poznałem już później jako Adamową Popławską. Najmłodszy syn urodził się bardzo późno, gdy już starsze siostry były dorosłymi pannami na wydaniu; na piątego, Michała, kolega mój, Zygmunt Obniski przesłał Grabowskiemu wierszowane powinszowanie, w którym, składając życzenia dla wszystkich członków rodziny, zamieścił następujące życzenie dla nowonarodzonego: „A ów ostatni, dla siostrzyczek posagu, oby jak najprędzej zległ w sarkofagu". Ten wierszyk bardzo się Grabowskiemu nie podobał i sprawił, że wypowiedzieli dom Obniskiemu i później dopiero dali się przebłagać.

Niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkich moich kolegów. Z dawniejszych czasów, studiowali jeszcze w Kijowie Aleksander Jabłonowski, znany później historyk, i Leonard Sowiński, głośny swego czasu poeta, najbliższe zaś stosunki łączyły mnie z Ludwikiem Żytyńskim, bliskim sąsiadem Woronczyna i towarzyszem moich lat dziecinnych, dalej z Florianem i Józefem Sawickimi, Włodzimierzem Milowi-

czem, Edwardem Jełowickim, Adamem Rościszewskim, Wacławem Lasockim, z dwoma Farensbachami-Faszowiczami, Stanisławem Bardzkim, Mieczysławem Paszkowskim, dwoma Sulistrowskimi: Leonem i Józefem, Henrykiem Lipkowskim, Iwaszkiewiczem, Śniadeckim i dwoma Sabińskimi: Olgierdem i Ziemowitem, synami Juliana, którego wtedy poznałem, gdy powrócił z ciężkich robót na Syberii, za sprawę Konarskiego. Między Podolakami miałem także dużo przyjaciół, byli tam Skibniewski, dwóch Kosielskich, Falborg, Obniski, Rudnicki i wielu innych. Przypominając sobie ich wszystkich obecnie, chciałbym każdego wymienić, każde nazwisko przypomina mi bowiem jakieś zdarzenie z tych lat z nimi przeżytych. Zaniedbanie ich przy schyłku życia wydawać by się mogło jakby lekceważeniem ich pamięci i tych zażyłych stosunków, jakie mnie z nimi łączyły, lecz z drugiej strony sam suchy spis, zapełniłby tyle miejsca, że niepodobieństwem jest wszystkich wymienić. Który z nich jest jeszcze przy życiu, a te kartki wpadną mu w rękę, niech będzie pewny, że o nikim nie zapomniałem i pamięć o nich wszystkich pozostała mi głęboko w sercu.

Obecny Kijów zupełnie nie przypomina dawnego Kijowa z moich czasów uniwersyteckich. Wtedy było mnóstwo pustych placów i nędznych domków między nowożytnymi, wspaniałymi domami. Z hoteli zaś tylko jeden — Angielski, istotnie na tę nazwę zasługiwał, inne, zwykłe, brudne zajazdy przypominały pod względem wygód i komfortu wiejskie zajazdy po traktach pocztowych. W hotelu Angielskim była kawiarnia z trzema bilardami, zawsze pełna studentów. Właścicielką hotelu była pani Wanda. Nazwiska jej i przeszłości zupełnie nie znałem. Różnie o niej mówiono, lecz każdy z nas, odwiedzających często ową kawiarnię, starał się zaskarbić sobie łaski pani Wandy. Była zamężną, narodowości niewiadomej, zwykle mówiła bardzo poprawnie po francusku, mąż jej Fry-

deryk (nie wiem, z imienia, czy z nazwiska) zdaje mi się był Francuzem, mało się czym zajmował, ona sama była wszystkim, a siostrzenica jego, Luiza, wcale przystojna, tronowała za bufetem w kawiarni, stanowiąc przedmiot westchnień niektórych moich kolegów. Stołowaliśmy się jednak w różnych garkuchniach i prywatnych pensjonatach, gdzie kuchnia była wcale znośna, gdyż hotel Angielski był za drogi na nasze kieszenie.

Przybywszy do Kijowa, zaraz po ustąpieniu Bibikowa, zastałem tylko skutki jego długoletniej działalności. Jako kurator okręgu naukowego, starał się nie dopuszczać w uniwersytecie „polityki" i w ogóle wszelkiego zajęcia, mającego jakiś ogólny i społeczny charakter, ale widząc, że młodzież z zasady jest ruchliwa i potrzebuje jakiegoś upustu energii młodzieńczej, był nad miarę pobłażliwym dla wybryków pozbawionych politycznego charakteru i prawie że do nich zachęcał. Gdy wstąpiłem na uniwersytet, część studentów, w niewielkiej jednak liczbie, pozostała jeszcze do czasu w tych bibikowskich tradycjach, z drugiej zaś strony nastąpiła, ja kto zwykle bywa, reakcja. Znacznie większa ich część zajęła się pracą społeczną na tle bardzo gorącego patriotyzmu, doprowadziło to ostatecznie do wypadków 1863 roku, młodzież uniwersytecka w Kijowie dużo do nich, jak wiadomo, się przyczyniła.

Po dwóch przeszło latach pobytu mego w Kijowie, ojciec mój, widząc, że bardzo mało pracuję i że dłuższy pobyt w uniwersytecie żadnej korzyści mi nie przyniesie, zabrał mnie do domu z zamiarem wysłania za granicę. Wyjechałem więc na wieś i cały prawie rok spędziłem między Komargrodem i Woronczynem. Stryj Borys z żoną i dwiema córkami: Idalią i Olgą wyjechał na dłuższy czas za granicę, trzecia zaś, Jadwiga pozostała w Komargrodzie, pod opieką stryjenki Władysławowej z zastrzeżeniem, że ojciec mój, wyjeżdżając w roku następnym za granicę, odwiezie

ją do rodziców. W ciągu prawie tego całego roku nic się nie wydarzyło takiego, co by mi zostało w pamięci. Na wiosnę roku 1859, wyjechaliśmy z Komargrodu na Husiatyn, za granicę, zaopatrzywszy się poprzednio w list kredytowy Halperyna z Berdyczowa, jedynego bankiera, jakiego posiadała nasza okolica.

IV.

PIERWSZA PODRÓŻ ZA GRANICĘ. ROK 1859.

Przeprawiwszy się przez Dniepr w Mohylowie, podążyliśmy przez Besarabię na zachód. Zaraz za Dniestrem przedstawił się młodym oczom kraj zupełnie odmienny. Nie wiem, jak dziś wygląda Besarabia, lecz wtedy, w drodze, trudno było się rozmówić. Spotykany lud mówił tylko po mołdawiańsku, wsi bardzo mało widziało się po drodze. W okolicach, przez które przejeżdżaliśmy, chaty wiejskie budowane były z nawozu zmieszanego ze słomą, lasów nigdzie po drodze, ani na lekarstwo nie było, tylko trakt pocztowy wysadzany mizernymi akacjami. Przenocowawszy w porządnym miasteczku Sorokach, gdzie już można było rozmówić się po rosyjsku i przejechawszy powtórnie Dniestr, przybyliśmy do staropolskiej pogranicznej twierdzy, Kamieniec Podolski. Dowiedziawszy się, że mój kolega z uniwersytetu, Górski praktykuje w Kamieńcu, jako doktór, ucieszyłem się bardzo i poszedłem zaraz go odwiedzić. Widzenie się z Górskim nie sprawiło mi radości, jakiej się spodziewałem.

Urzeczywistnienie oczekiwanej radości zazwyczaj nie sprawia spodziewanego zadowolenia i tak to mniej więcej w całym życiu bywa. Po paru dniach pobytu w Kamieńcu i oglądaniu polskich i tureckich pamiątek, przejechaliśmy granicę w Husiatynie i zdążyliśmy na noc do Kopyczyniec, skąd nazajutrz rano wyjechaliśmy do Lwowa dyliżansem pocztowym, tak zwanym „eilwagenem“; zapewne przez ironię tak nazwano ów wehikuł, gdyż jeszcze nigdzie przedtem nie zażyłem tak powolnej jazdy. Dyliżans był pełny, a cała ta droga aż do Dębicy wydała mi się nad wyraz nie-

znośną. We Lwowie zatrzymaliśmy się parę dni, po czym w Dębicy spotkałem się po raz pierwszy w życiu z koleją żelazną, którą dojechałem do Krakowa. Po zwiedzeniu, bardzo starannym, wszystkich, tak licznych pamiątek narodowych w dawnej stolicy Polski wyjechaliśmy do Drezna.

Stryjostwo po spędzeniu zimy w Rzymie zjechali do Monachium, gdzie całe lato mieli spędzić, gdzie też nas oczekiwali. Komunikacja kolejowa była wtedy zupełnie inna niż obecnie. Na wielu kolejach pociągi w nocy nie chodziły, połączeń directe nigdzie nie było, z rozpoczęciem każdej nowej linii kolejowej trzeba było zmieniać wagony i zajmować się każdorazowo oddawaniem bagaży. W Dreźnie dowiedzieliśmy się o wojnie wybuchłej między Austrią i Francją. Właśnie w czasie naszego pobytu przyszła wiadomość o bitwie pod Magentą, pierwsza wieść głosiła, że Francuzi przegrali. Już przygotowano iluminację, ale pod wieczór nadeszła pomyślniejsza wiadomość.

W Dreźnie mieszkali Gustawowie hr. Olizarowie. On — brat Narcyza, o którym już wspominałem, b. marszałek gubernialny kijowski, właściciel rozległych dóbr koresteszowskich. Z pierwszej żony miał syna i córkę. Rozwiódłszy się, ożenił się z hr. Ożarowską z Horynki. Między innym rodzeństwem miała ona brata ks. Wiktora znanego na całym Wołyniu. Opowiadał mi Gustaw, że gdy zaraz po ślubie miał z żoną wyjechać, pomimo nalegań i próśb rodziców, żony i całej rodziny, podszedł do niego jakiś szlachcic, bliski sąsiad Ożarowskich, mówiąc: „Niech pan hrabia dla mnie to zrobi i jeszcze jeden dzień się zatrzyma". Olizar, który go dotąd w życiu nie widział, tak był tą prośbą zdziwiony, że popatrzywszy na niego jakby na jakie curiosum, odrzekł: „Na wszystkie prośby rodziców i rodzeństwa byłem głuchy, lecz gdy pan tak do mnie przemówił, odmówić nie mogę i zostanę". Gustaw Olizar pozostawił dobre imię polskiej literaturze, znany jest jako autor dość interesujących pamięt-

ników szczególnie z epoki dekabrystów, w których sprawę był zamieszany. W epoce, o której piszę, mieli Olizarowie dom w Dreźnie na Mittelgasse i tam osiedlili się na stałe. Zaraz po naszym przyjeździe zabrali do siebie Jadwisię uważając, że przyzwoiciej będzie, gdy zamieszka u stryjostwa matki, a nie w hotelu. Biedna Jadwisia była bardzo tym zmartwiona, gdyż ojciec mój i ja staraliśmy się jej we wszystkim dogadzać, a w domu Olizarów znalazła się zupełnie w innych warunkach. Po kilku dniach wyjechaliśmy do Monachium z noclegiem w Hof, gdyż nocnej komunikacji kolejowej nie było, i oddaliśmy Jadwisię rodzicom, rozstając się z nią z wielkim żalem.

W Monachium stryjostwo moi porobili już dużo znajomości, a ponieważ stryj już sparaliżowany, nigdzie bywać nie mógł, więc nie było dnia, żeby kogoś wieczorem nie było na herbacie. Poznałem tam hrabiów von und zu Lippe z rodziną, baronostwo Reichlin von Meldegg, barona Hirsch i wielu innych. Wieczorami zwykle zabawiano się w gry tak zwane towarzyskie, a gdy się dłużej zaciągały, panny von Meldegg martwiły się, że moje kuzynki tak prędko pójść spać nie będą mogły z powodu wnoszenia łóżek i pościeli do salonu. Ogromnie się zdziwiły, gdy się dowiedziały, że mają oddzielne pokoje sypialne, gdy one zawsze po wyjściu gości spały w salonie.

U stryjostwa poznałem wielu dyplomatów zamieszkujących Monachium, z kilkoma z nich byłem w bardzo dobrych stosunkach. Posłem rosyjskim był Sewerin, który, gdyśmy przyjechali do Monachium, mieszkał w willi nad jeziorem Stahremberg w odległości paru stacji kolejowych od stolicy. Pan poseł bardzo się chlubił drobnymi rozmiarami swoich stóp i utrzymywał, że mniejszej nogi nikt mieć nie może. Opowiadał nam, że gdy był raz na posłuchaniu u Mikołaja I, wypadkowo cesarzowa weszła do gabinetu, cesarz kazał mu stanąć za parawanem i spytał jej kto za nim jest, parawan nie dochodził do posadzki i sto-

py były widoczne, więc jakoby cesarzowa zaraz zgadła, mówiąc „a en juger par le pied, cela ne peut être que Sévérine". Jak tylko kogoś nowego poznawał, zawsze mu tę anegdotkę opowiadał. Miał co najmniej 200 par obuwia i dopiero po wystudiowaniu termometru i barometru decydował, jakie weźmie. Radcą poselstwa był Vegesack, sekretarzem Minciaky, a attaché Bibikow.

Niedaleko mostu na Izarze, nie pamiętam już w którym dniu roku, odbywała się doroczna zabawa ludowa, której według odwiecznej tradycji asystował król z rodziną. Panował wtedy Maksymilian, syn Ludwika I, któremu miasto zawdzięczało wszystkie przepyszne budowle i zbiory artystyczne. Pokazywano mi pałac, jaki postawił dla Loli Montez, słynnej tancerki hiszpańskiej. Od ulicy był balkon okratowany, na którym trzymała piękna Lolinetta różne małpki i papugi. Gdy raz w nim zamknęła króla w tym otoczeniu, zrobił się ogromny rwetes na ulicy i lud chciał pałac zburzyć, nie doszło jednak do tego, gdyż król kazał swoją ulubienicę wywieźć potajemnie z miasta, skąd umknęła za granicę i nigdy już do Monachium nie wróciła. Poseł sardyński, de Cova, francuski Borcly de la Touche i inni jeszcze bywali częstymi gośćmi moich stryjostwa. Bywał także baron de Bosmelet, Francuz w wojsku bawarskim i Cyprian Wołłowicz, Polak, młody człowiek, który niby w Monachium coś studiował, ale niebardzo wiem co.

Jak już wspominałem, stryj mój był sparaliżowany i zupełnie w rękach i nogach obezwładniony. Ponieważ w najcięższych cierpieniach człowiek ma zawsze nadzieję, że znajdzie się jakiś środek, który mu zdrowie powróci, więc i on łudził się tą nadzieją, próbując różnych środków po kolei. Gdy przybył do Monachium, doktorzy miejscowi poradzili mu kąpiele w Gastein. Aby nie być samym, a całej rodziny z sobą nie wozić, zaproponował memu ojcu, aby mu towarzyszył. Ojciec zgodził się i wziął mnie z sobą, aby mi

pokazać nowy, a tak piękny kraj. Tym sposobem znalazłem się niespodziewanie w Gasteinie, wśród przepysznej przyrody górskiej. Z Monachium do Salzburga jechaliśmy koleją, stamtąd już ekstra pocztą. Cała ta droga wydała mi się przerażającą. Nie znałem wtedy ani Semeringu, ani kolei przez Apeniny, droga do Gasteinu wiła się między przepaściami i stromymi, jak prostopadłe ściany skałami, jechało się po belkach drewnianych w skałę wpuszczonych, na których ułożono pomost, jakby w powietrzu zawieszony. Przerażało mnie to tak dalece, że przejeżdżając przez taki „pass Klam“ lub „pass Lenc“ mimowoli zamykałem oczy.

Wyjechawszy z Salzburga z rana, już o zachodzie słońca byliśmy w Hof-Gastein, a pół godziny później w Bad-Gastein, w hotelu Straubinger. W ciągu trzech tygodni porobiłem różne znajomości, między innymi poznałem Hamburgera, ks. Dołgorukiego, Argutińskiego, serbskiego ministra Marinowicza i młodego Rumuna Foresco. Spotkanie się i poznanie z Andrzejem Hamburgerem mogło mieć wielki wpływ na przyszłe moje losy. Był on wtedy prawą ręką kanclerza Gorczakowa, a że bardzo mnie polubił, więc koniecznie chciał, abym wstąpił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ręczył mi, że po paru miesiącach będę wysłany do któregoś z poselstw rosyjskich za granicę. Mnie jednak ta perspektywa nie bardzo się uśmiechała, więc stanowczo odmówiłem. Nie wiem czy dobrze, czy źle się stało, lecz pewnikiem jest, że całe moje życie poszłoby innymi torami. W czasie pobytu mego, arcyksiąże Jan, posiadający znaczne dobra w okolicy, urządzał polowania na kozice w górach. Na jedno z nich udało mi się otrzymać zaproszenie. A tymczasem nie było się o co starać. Po długim i milczącym chodzeniu postawiono mnie na jakimś przesmyku górskim, przez który napędzone kozice mogłyby przechodzić. Cały dzień przestałem, nie widząc nie tylko kozic, lecz w ogóle niczego.

Wkrótce po powrocie do Monachium wyjechaliśmy do Ems dla odwiedzenia stryja Konstantego Czetwertyńskiego, który po stracie żony i nastarszej córki Klary wybrał się z dwiema młodszymi: Elizą i Rytą za granicę dla poratowania ich zdrowia. Elizę zastaliśmy już w bardzo złym stanie. W parę tygodni po naszym wyjeździe skończyła życie, a ojciec z pozostałą już jedyną córką wyjechał do Gries pod Meranem. Był wtedy w Ems osławiony później okrutnik Murawjew z żoną, znał on się z moim stryjem z czasów, gdy był gubernatorem w Grodnie, więc często go spotykałem. Był wielkim malkontentem, albowiem usunięto go z zarządu ministerstwem dóbr państwowych, tedy ciągle krytykował wszystko, co się w Rosji działo. Któż mógł wtedy przewidzieć rolę, jaką miał w przyszłości odegrać!

Ponieważ na zimę dopiero mieliśmy zjechać do Paryża, a do niej jeszcze było daleko, ojciec mój umyślił zrobić przedtem kilkutygodniową wycieczkę do Szwajcarii.

Wyjechawszy z Ems jechaliśmy parostatkiem po Renie, oglądając jego cudne brzegi aż do Lindau, skąd przez jezioro Bodeńskie dostaliśmy się na wolną ziemię szwajcarską. Pierwszym etapem była Szafhuza, gdzie wypadało zwiedzić słynny wodospad.

Potem Zurych i Lucerna, gdzie zeszło około tygodnia na zwiedzaniu miasta i jego okolic. Naturalnie, nie obyło się bez wycieczki na górę Righi, z której koniecznie wypadało oglądać wschód słońca. Komicznie wyglądali turyści w tym celu przybyli. Na wystrzał, który był sygnałem mającego się pokazać słońca, wszyscy wybiegli na terasę w jak najdziwaczniejszych strojach, jako że mieli zamiar wrócić do łóżka; jedni okręceni kołdrami, drudzy pledami lub innymi jakimiś znalezionymi naprędce okryciami, istni wariaci! Mnie noc wydała się piękniejszą od widoku wschodzącego słońca, niebo osypane iskrzącymi się gwiazdami, a u stóp cała przestrzeń zapełniona światełkami

z mieszkań ludzkich, tak, że z góry i z dołu zdawał się człowiek otoczonym ze wszech stron firmamentem niebieskim.

Po kilku dniach wyjechaliśmy na wycieczkę po berneńskim tak zwanym „Oberlandzie". Z Berna przejażdżka parostatkiem na jezioro Thun, a z Interlaken powozem do Gründelwalden, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem gleczery, czyli lodowce, schodzące z najwyższych szczytów w doliny; topniejące u brzegów lody formują jakby pieczary lodowe, do których wszedłszy, ma się wrażenie jak gdyby nad głową świeciły gwiazdy. Wrażenie to sprawiają szczeliny w powłoce lodowej, przez które dochodzi niekiedy światło dzienne. Z Gründewaldu dalsza droga konno z przewodnikami pomiędzy takie olbrzymy, jak wielki i mały Scheideck, Finsteraarhorn i inne, po czym nocleg w Meyringen. Następnego dnia zwiedziliśmy wodospad Aary, wreszcie zatoczywszy znaczne koło, dojechaliśmy po tygodniu prawie do Brienz, nad jeziorem tejże nazwy. Po dłuższym wypoczynku w Giessbach podążyliśmy ekstra pocztą przez Fryburg, Lozannę do Genewy, tu przerwa na dni kilka, gdyż w okolicy w Divonne mieszkał Eustachy Czetwertyński, odbywający z rodziną kurację hydropatyczną.

Nareszcie w listopadzie (1860 r.) stolica świata, Paryż, do którego już od dawna wzdychałem. Zapisałem się razem na różne wykłady, tak w Sorbonie jak i w Collège de France, lecz muszę ze wstydem się przyznać, że gdy zakosztowałem życia towarzyskiego i różnych przyjemności Paryża, chęć do nauki zniknęła bez śladu. Za wiele zacząłem bywać w świecie i za wiele porobiłem znajomości, tak w polskim jak i w francuskim towarzystwie. Była to najświetniejsza epoka drugiego cesarstwa.

Weszliśmy od razu w towarzystwo polskie. Poznałem bardzo prędko po przyjeździe Hermana i Józefa Potockich, pierwszy był ojcem Stefana, p. Konstanto-

wej Branickiej i niezamężnej panny Pelagii. Józef był kawalerem, bardzo mnie polubił, a uważając, że zbywa mi bardzo na ogładzie światowej, został moim pod tym względem mentorem, za co mu byłem bardzo wdzięczny. Eustachostwo ks. Sapiehowie, także emigranci z 1831 roku, mieli swój własny dom na rogu ulicy d'Astorg i ulicy Roquépine. Pomimo tyloletniego pobytu na obczyźnie dom ich miał zupełnie staropolski wygląd; bardzo chętnie i łaskawie przyjmowali młodych ludzi, przybywających z kraju. Mieli córkę wtedy siedemnastoletnią, późniejszą Władysławową Branicką i syna Jana, mego przyszłego szwagra. Często bywałem u nich wieczorami. Książę miał swoją partię wista, złożoną z emigrantów 1831 roku, a księżna prezydowała nam w jadalnym pokoju przy herbacie. Naokoło stołu, przy którym grywaliśmy w różne gry towarzyskie, tak zwane po francusku „jeux innocents".

Na rue de l'Université 110 mieszkała ks. Galicynowa, Jezierska z domu, z dwiema uroczymi córkami, Julią, późniejszą Konstantową Górską, i Marią, następnie hr. Rumerskirch. Przyjmowała we wtorki przez cały karnawał, nie były to wielkie bale, ale tańcujące wieczorki, na których bawiono się doskonale. W pewien wtorek, gdy znałem już prawie wszystkich bywających u księżnej, spostrzegłem starszego już mężczyznę dotąd nie spotykanego. Powiedziano mi, że to sam książę, który tylko co z kraju przyjechał. Poszedłem jaknajprędzej przedstawić mu się, lecz przy tym pierwszym spotkaniu okropnie mnie stropił, zapytawszy ex abrupto „à laquelle des deux faites-vous la cour, à Julie ou à Marie?" Byłem wtedy bardzo młody i tak mnie to powitanie zmieszało, że cały poczerwieniałem i zapomniałem, jak to mówią, języka w gębie.

Wkrótce po moim przyjeździe cała kolonia polska zaczęła się gorączkować sprawą Adama ks. Czartoryskiego z Wołodkowiczami. Po wstąpieniu na tron

Aleksandra II, wyszedł nakaz wzbraniający dochodzenia i konfiskowania funduszów uczestnikom powstania 1831 roku. Zdawałoby się, że po 30 latach dochodzeń już żadnych być nie mogło, tymczasem okazało się inaczej. Książę Adam sprzedał w roku 1828 Gródek na Podolu Wołodkowiczowi z zastrzeżeniem odkupu w ciągu lat dwóch, ale z warunkiem dopłaty 15 000 rubli ponad sumę otrzymaną od Wołodkowicza. Książę Adam skorzystał w terminie z warunku i Gródek odkupił, lecz wybuch powstania uniemożliwił uprawnienie tej transakcji, pomimo wypłaty całej należnej sumy. Po powstaniu skonfiskowano wszystkie dobra ks. Adamowi, a między nimi Gródek. Wobec nieuprawnienia ostatniej transakcji sprzedażnej, Wołodkowicz sądził, że można by owe dobra wyprocesować i zaproponował księciu, że gotów wystąpić o zwrot Gródka, jako nieprawnie skonfiskowanego, jeśli książę zobowiąże się zwrócić koszty sprawy, bez względu na rezultat. Pełnomocnik księcia, Puchalski odmówił w imieniu swego mocodawcy twierdząc, że straciwszy prawie wszystko, książe nie może ryzykować resztek, jakie mu pozostały dla sprawy, której ostateczny wynik jest tak bardzo niepewny. Wtedy Wołodkowicz rozpoczął sprawę już dla siebie i na własne ryzyko.

Ciągnęła się ona bardzo długo przez wszystkie instancje, lecz ostatecznie kazano mu Gródek zwrócić pod warunkiem wypłacenia rządowi sumy pobranej od ks. Adama. Wtedy Wołodkowicz wystąpił o zwrot dochodów pobranych przez rząd przez cały czas konfiskaty majątku, a wygrawszy, skwitował nimi sumy, jakie miał mu zwrócić. Obecnie ks. Adam żądał zwrotu albo majątku, albo zapłaconej sumy, naturalnie z potrąceniem kosztów sprawy. Wołodkowicz już nie żył, a w swych książkach kasowych, naturalnie, nie zapisywał licznych i bardzo znacznych łapówek dawanych w tej sprawie. Tym sposobem określić wysokość kosztów było zupełnym niepodobieństwem. Obie

strony zgodziły się na sąd kompromisowy. Nie pamiętam wszystkich osób, wchodzących w skład sądu, wiem tylko, że między sędziami zasiadał Feliks Sobański. Sąd zdecydował, aby Wołodkowicze wypłacili księciu 15 000 rubli, tj. różnicę między dwiema cenami sprzedażnymi. Wyrok taki wszakże nie zadowolił ani jednej, ani drugiej strony.

W niedziele i święta bywaliśmy zwykle na mszy w kościele Wniebowzięcia, „l'Assomption". Kazania miewał ksiądz Aleksander Jełowicki z zakonu Zmartwychwstańców, emigrant z roku 1831, bardzo światły i gorliwy, lecz nadzwyczaj despotycznego usposobienia. Dyskusja była z nim niemożliwa. Siostra jego, Hortensja Sobańska spędziła z młodszymi córkami całą tę zimę w Paryżu, więc często się z nimi spotykałem. Przy ulicy Tronchet mieszkali Niezabytowscy, przybyli z Litwy do Paryża na zimę. On był marszałkiem grodzieńskim, żona z domu Bisping. Mieli dwie córki nieletnie, jeszcze więc rzadko widywane. Dość często u nich bywałem i kiedyś po śniadaniu, gdy marszałek odebrał od Jana Zawiszy depeszę z prośbą o pozwolenie zabicia dwóch niedźwiedzi w jego lasach, odtelegrafował, że nie dwa, ale dziesięć pozwala zabić. Zaproponował mi pójść razem celem wysłania odpowiedzi, która wprowadziła w zdumienie urzędników telegrafu, nie chcieli wierzyć, że ktoś może rozporządzać taką ilością niedźwiedzi. W środy przyjmowała wieczorem Zofia Wodzicka, Rzyszczewska z domu, kuzynka mego ojca. Miała przy sobie córkę Celinę, późniejszą Stefanową Potocką. Spotkałem w Paryżu Juliusza Orzeszkę, marszałka powiatu włodzimierskiego, w którym był położony Woronczyn. Bawił tu przez całą zimę, a po powrocie do kraju zakończył wkrótce życie. Po nim nastąpił jako marszałek Władysław Gutowski i ten był już ostatnim. W pełni karnawału ojciec mój odebrał wiadomość z Botzen o śmierci Ryty, ostatniej córki stryja Konstantego

Czetwertyńskiego. Zaraz do niego pojechał, a ja zostałem w Paryżu.

W Paryżu stale mieszkała p. Wąsowiczowa, primo voto Potocka a Tyszkiewiczówna z domu, siostrzenica ks. Józefa Poniatowskiego. Co dzień wieczorem można było być u niej przyjętym i zawsze kilka lub kilkanaście osób się spotykało. Stary generał Wąsowicz grał wista w swoich apartamentach, a pani przy pomocy wychowanki, p. Brońci Wołkiewicz, późniejszej p. Pauli, i p. Konstancji Jordan, późniejszej Tomaszowej Stadnickiej, przyjmowała gości; zabawiano się w różne gry towarzyskie i tak schodziły wieczory. Polskich domów było wtedy w Paryżu dużo. Przewodził wszystkim hotel Lambert ks. Czartoryskich. Zaraz po przyjeździe, ojciec mój przedstawił mnie księciu, który, zapewne pomny dawnych stosunków z moim dziadem generałem Kropińskim, bardzo serdecznie mnie przyjął i długo u siebie przetrzymał. Cała rodzina Czartoryskich, ks. Witold z żoną, moją kuzynką Grocholską, dziś karmelitanką w Krakowie, książę Władysław z swą pierwszą żoną, córką królowej hiszpańskiej Krystyny, i Iza hr. Działyńska mieszkali w hotelu Lambert. Zwykle odbywały się wielkie przyjęcia polskie, głównie na cele dobroczynne, jednak z powodu śmierci ks. Sapieżyny, matki samej księżnej, cała rodzina była w żałobie i żadnych większych przyjęć w czasie mego pobytu nie urządzano. W hotelu Lambert poznałem generała Władysława Zamoyskiego, którego rycerska postać żywo tkwi mi w pamięci. Sięgając dalej wspomnieniem w owe dawne czasy, przypominam sobie też hr. Branicką, matkę Ksawerego, Aleksandra, Władysława, Konstantego i córek ks. Odeschalchi, Zygmuntowej hr. Krasińskiej i Adamowej hr. Potockiej. Pani Branicka mieszkała stale w Paryżu i zawsze była przy niej jedna z córek, lub synowa, które po kolei się zmieniały. Towarzystwo świetne, ale atmosfera dla młodych nudna. Parę jednak razy z obowiązku poszedłem na wieczor-

ną herbatę. Poznałem także p. Jules Lacroix, Rzewuską z domu. Zaprosiła mnie na wieczór, na którym Viennet, członek Akademii miał przeczytać ostatni swój utwór. Nie pamiętam już co to było, lecz wiem, że się przeraźliwie znudziłem. Gdy byłem pierwszy raz u niej, zapytała, czy czytałem dzieła jej męża, a gdy zapewniłem, że znam je wszystkie, chciała wiedzieć, które najwięcej mnie zainteresowało. Ponieważ żadnego w ręku nie miałem, zacząłem odpowiadać ni to ni owo, aby jakkolwiek wybrnąć z trudnego położenia, wtedy p. Lacroix dodała: „je vois a vos réticenses, que vous ne voulez pas avouer, que c'est la jeunesse de Louis XI, qui est votre livre préferé". Naturalnie, zaraz się do tego przyznałem, co się jej bardzo podobało, gdyż zaraz dodała: „Il y a beaucoup de personnes, qui sont d'un autre avis, mais moi je suis du votre".

Moja ciotka, Kazimiera Czetwertyńska, z córką Janiną przyjechały już po nas do Paryża, a że była to druga ich zima, więc miały mnóstwo znajomych i bywały często w Tiuleriach. Janina była bardzo mile widzianą u cesarzowej i zaraz mi wyrobiła prezentację u dworu i zaproszenia na bale. Szczególnie świetny był bal kostiumowy, który dawała niby prywatnie cesarzowa w pałacu swojej siostry „Hôtel d' Albe". Ponieważ Janina była bardzo znaną u dworu, a ja nie, więc wszystkie zaproszenia były do mnie adresowane „prince Czetwertyńska".

Zaraz po przyjeździe, przedstawił mnie mój ojciec Andrzejowi Koźmianowi, który wszystkich znał w Paryżu, był dla mnie szczególnie łaskaw i wprowadził mnie w towarzystwo francuskie. Dzięki Koźmianowi zacząłem być u hr. Walewskich, hr. Tascher de la Pagerie i w wielu innych domach oddanych cesarstwu, gdyż p. Andrzej był zagorzałym bonapartystą. Z Polaków zimowali jeszcze Aleksandrostwo Lubeccy, Ireneuszowie ks. Ogińscy, ks. Sułkowscy, Józef hr. Mycielski z córką, późniejszą p. Lisicką, Aleksandrostwo Rem-

bielińscy, trzech braci Komarów, najstarszy Aleksander, ojciec Mieczysławowej hr. Przeździeckiej, późniejszej hr. de Mony, p. Bodisko i Mikołajowej hr. Tyszkiewiczowej, czwarta córka Natalia wstąpiła do klasztoru. Dwie starsze były już zamężne, tylko p. Tyszkiewiczowa była wtedy uroczą panną, za czym zakochałem się w niej na zabój. Dwaj młodsi bracia, Mieczysław i Włodzimierz byli nieżonaci, znałem także ich siostry ks. de Beauveau i Delfinę hr. Potocką, u których bywałem. W tymże czasie zimowali w Paryżu Adolfostwo Grocholscy, on był kuzynem mego ojca i często bywaliśmy u nich. Podróżowała zawsze z nimi bliźniaczka siostra p. Grocholskiej, Chrapowicka. Były to nadzwyczaj oryginalne osoby. Podobnych im nigdy i nigdzie nie spotkałem, Radziwiłłówny z domu, z linii berdyczowskiej. Prawdziwego wychowania im brakło, a pomysły miewały niesłychane. Grocholscy byli bezdzietni, ku rozpaczy pani, której marzeniem było zostać matką. Gdzie zasłyszała o jakiejś jasnowidzącej, zaraz udawała się o poradę. Jedna z nich poradziła jej w Paryżu jakiś płyn do wlania do kąpieli męża, co gdy uczyniła w sekrecie przed nim, biedny Adolf dostał jakichś wyrzutów na całym ciele. Trzy tygodnie przeleżał w łóżku w prawdziwych mękach i doktorowie po długiej kuracji, ledwie go z tej biedy wydobyli. P. Chrapowicka chciała koniecznie wydać się za mego ojca. Szczęściem, nie miała jeszcze wtedy rozwodu, lecz wszem wobec rozpowiadała o tym projekcie.

Gdy kiedyś zgadało się o reducie Ordona, Grocholski, który całą kampanię 1831 roku odbył i znał Ordona, zaczął o nim mówić, jako o dawno nieżyjącym. Obecny przy tej rozmowie emigrant, Włodzimierz Rakowicki, zaświadczył, że, wbrew poezji Mickiewicza, Ordon żyje i jest profesorem języka angielskiego w jakimś prowincjonalnym mieście we Francji. Wówczas panie owe uprosiły Radowickiego, aby w sekrecie sprowadził Ordona do Paryża, sądząc, że ta niespo-

dzianka niezmierną sprawi Grocholskiemu radość. Byliśmy u nich wieczorem, gdy zjawił się Radowicki z Ordonem. Grocholski był już na wyjezdnym do kraju, miał tylko pieniądze na powrót, a uważał, że pod pretekstem zwrotu kosztów podróży wypada mu koniecznie zasilić jakąś grubszą sumą niezamożnego emigranta o nazwisku tak głośnym w całym kraju. Nie wiedząc, jak z tego wybrnąć, przeklinał niespodziankę jaką mu żona zrobiła, i wywoławszy mego ojca, radził się go co ma robić. Ojciec mój przede wszystkim poradził mu rozmówić się z Radowickim, który, jako dobry znajomy Ordona, najlepszym będzie w tym względzie pośrednikiem. Tak się też i stało, lecz Ordon oświadczył, że to co posiada wystarcza mu, a dowód pamięci rodaków sprawił mu największą radość, za którą Grocholskiemu jest niezmiernie wdzięczny. Taki rezultat narady ucieszył bardzo Grocholskiego, który zaraz następnego dnia wydał obiad na cześć Ordona, z udziałem kilku wybitnych rodaków. Były toasty i zdrowia najrozmaitsze, po czym Ordon wyjechał uszczęśliwiony z przyjęcia.

Z młodzieży polskiej w Paryżu, żyłem w najbliższych stosunkach z Józefem hr. Mycielskim, Czarnowskim, Feliksem Halpertem, Zygmuntem Łąckim, Władysławem Bromirskim, Skórzewskim, Benedyktem Lipkowskim i wielu innymi. W tym kółku, przeważnie wśród zabaw mijał czas. Byliśmy stałymi bywalcami w teatrze „des délassements comiques". Raz na przedstawieniu „revue" z całego roku, którą kilkanaście razy z rzędu widzieliśmy, zaczęło się rozmawiać między sobą po polsku, nie patrząc na scenę, wtem cały teatr zaczął się nami interesować. Mieliśmy lożę pierwszego piętra. Po chwili wchodzi woźny teatru z żądaniem w imieniu dyrekcji, abyśmy naszą lożę opuścili „pour avoir interpellé M. Merigot", tak się nazywał jeden z aktorów. Tłumaczyliśmy, że nie znając nawet jego nazwiska, nie mogliśmy go interpelować, i że znając sztukę po kilkunastu jej z rzędu spekta-

klach, rozmawialiśmy między sobą po polsku. Gdyśmy stanowczo odmówili żądaniu, woźny poszedł po sukurs, my wówczas, zabarykadowawszy drzwi, nie wpuściliśmy go już do loży. Wtedy sprowadził komisarza policji, który usłyszawszy nasze wyjaśnienie, zostawił nas w spokoju. Wobec tak częstego odwiedzania lokalu „délassements comiques", niektóre nasze panie chciały zobaczyć, co nas tak przyciąga w tym teatrze. Wzięliśmy lożę najlepszą, parterową tzw. „avant-scenę", któreż połowa znajdowała się za kurtyną. Przyjechali Niezabytowscy i p. Mańkowska, Łaznińska z domu, lecz w pierwszym antrakcie, artystki ze sceny tak się zaczęły poufalić, że obie nasze panie opuściły teatr obrażone, co nam nawet w nieprzyjemny sposób dały odczuć. Niedługo to jednak trwało i wkrótce przyszło do zgody. Raz jeden wypadło mi wziąć udział w walce publiczności w teatrze „Bouffes Parisiennes". Miano dawać po raz pierwszy „Germaine", sztukę Edmond About, bardzo mile widzianego w Tiuleriach. Nie pamiętam już, z jakiego powodu sformowała się partia, nie chcąca dopuścić do przedstawienia, zaczęły się krzyki i gwizdania i wkrótce doszło do walki na pięście, miałem kilku dobrych znajomych między tymi, którzy popierali sztukę, i zostałem mimowoli wciągnięty do awantury. Szczęściem jednak nie zauważono mego udziału i nie pociągnięto mnie do odpowiedzialności tak, jak innych uczestników.

Bywając często na różnych balach publicznych, poznałem sławną Rigolboche, która w tym czasie zażywała ogromnego rozgłosu jako tancerka na publicznych balach i była uważana za jedną z głównych ciekawości Paryża. Również spotkałem sławnego spirytystę, Dawida Hume. Przyszedłszy raz z wizytą do p. Przeździeckiej, późniejszej hr. de Mony, zastałem go u niej i byłem świadkiem następującej sceny: siedzieliśmy w małym saloniku, około kominka, p. Przeździecka robiła jakąś robotę, zauważywszy brak noży-

czek, poprosiła, abym je przyniósł z drugiego salonu. Ledwiem się ruszył, Hume mnie wstrzymał, machnął ręką i nożyczki, zrobiwszy krąg, gdyż drzwi nie były naprzeciw kominka, upadły na stół przed p. Przeździecką.

Opuszczając Paryż w owym czasie, należało wizować paszport osobiście w prefekturze policji; wskazano mi biuro, w którym należało tę formalność załatwić. Wszedłszy, zobaczyłem urzędnika przy biurku, oprócz niego nikogo w pokoju nie było, tylko żandarm stał przy drzwiach. Gdy się zbliżyłem, prosząc o wizę, nic mi nie odpowiedział, lecz ponad mają głową krzyknął do żandarmi: „Gendarme, prévenez monsieur qu'on l'apellera, quand son tour viendra". Usłyszawszy to, opuściłem prefekturę i udałem się do ówczesnego ambasadora rosyjskiego, hr. Kisielewa, z prośbą, aby zechciał uwolnić mnie od niegrzeczności biurokracji francuskiej. Kisielew kazał posłać mój paszport przez urzędnika ambasady i w kilka dni później polecił mnie urzędownie zawiadomić, że ów urzędnik został ukarany.

W 1860 roku wyjechaliśmy z Paryża do kraju. Stryj mój, Borys, zamieszkał z całą rodziną na stałe w Dreźnie, więc zatrzymaliśmy się, aby go odwiedzić. Zeszło nam kilka tygodni. Drezno, oddawna ulubione miasto Polaków posiadało wówczas prawdziwą kolonię polską. Wieczorami u moich stryjostwa można było zawsze kilka osób spotkać: generałowa Kołaczkowska z córką, p. Morzycka, także z córką, p. Wessel i inne polskie panie. Aleksander hr. Potocki, emigrant z 1831 roku, przychodząc wieczorami na herbatę, zawsze przynosił z sobą dla moich stryjecznych sióstr lody, zawinięte w papierze. P. Hoffmanowa mieszkała stale z córkami w Dreźnie i często się u niej zbierano.

W Saksonii, cała jedna prowincja jest — jak wiadomo — zamieszkana przez ludność czysto słowiańską, Serbołużyczan, jest to Luzacja z głównym miastem

Budziszynem (Bautzen). Stamtąd pochodził nadworny kapelan dworu królewskiego, ks. kanonik Milde i po polsku można było się z nim doskonale rozmówić, cała służba kolonii polskiej korzystała z tego, aby przystępować do Sakramentów św.

W Dreźnie skorzystałem z bliskości Meissen, aby zwiedzić sławną fabrykę tak zwanej u nas saskiej porcelany, po czym spotkawszy Teodora Kalin-Podoskiego, sąsiada komargrodzkiego, wybrałem się z nim na ekskursję do Saskiej Szwajcarii. Założyliśmy po połowie podróżną kasę, która miała pokryć wspólne nasze wydatki. Droga wiodła pieszo przez Bastei, Prebischtor, Kühstall, Winterberg, Pirnę do Schandau. Z początku było dobrze, lecz zaraz w Bastei mój towarzysz najął tragarzy, aby nas po całych dniach nosili. Zaoponowałem, ponieważ postanowiliśmy całą ekskursję odbyć pieszo. Ponieważ nie chciał ustąpić, a kasa była wspólna, musiałem także wziąć dwóch tragarzy, aby nie ponieść straty, lecz ponieważ ten środek lokomocji bardzo mi się nie podobał, szedłem ciągle piechotą, a tragarze za mną z pustą lektyką.

Z Drezna wróciliśmy do kraju, przeznaczając kilka dni na pobyt w Warszawie. Po raz pierwszy zobaczyłem naszą stolicę i z prawdziwą lubością oglądałem jej zabytki. Aleksander hr. Przeździecki zaprosił mnie na herbatę, na której było kilkanaście osób. Cały wieczór zajęty był słuchaniem komedii „Les gens nerveux“, przez niego samego czytanej. Była hr. Kossakowska, hr. Mimi Borch, późniejsza Pawłowa Sanguszko, Franciszkowa Potocka, następnie Januszowa Rostworowska, która zaprosiła do siebie mnie i jeszcze kilka osób, na dzień następny. Przez cały ten czas chodziłem codziennie do Doliny Szwajcarskiej, gdzie grywała sławna orkiestra Bilsego. Przy upałach, jakie wtedy panowały, był to najprzyjemniejszy sposób spędzenia wieczoru.

V.

PRZED BURZĄ STYCZNIOWĄ

Po przeszło całorocznej nieobecności wylądowałem w Woronczynie, jakby w siódmym niebie. Wypadło spędzić tu lato i część jesieni. W przeciągu tego czasu zdążyłem odbyć dwa bale w okolicy u Krasickich w Chołoniowie i w Sielcu u Czackich. Feliks Czacki, synowiec Tadeusza, zajmował się głównie pracami historycznymi, oprócz wydania niewielkiego tomu pamiętników polskich swego ojca Michała, zostawił trzytomową historię rewolucji francuskiej. O zaletach lub niedostatkach tej pracy nie mogę sądzić, gdyż nigdy jej nie czytałem, dziwiło mnie zawsze tylko, że po tylu znakomitych opisach tej epoki nie wybrał innego przedmiotu swej pracy.

W późniejszym czasie, już po powstaniu, po śmierci Feliksa Czackiego, sławetny Bezak, ówczesny generał-gubernator, objeżdżał południowo-zachodnie gubernie. Owdowiała Maria Czacka zaszła doń we Włodzimierzu, w jakimś interesie majątkowym. Gdy zaczęła mówić po francusku, Bezak przerwał, mówiąc, że powinna mówić po rosyjsku, bo on tylko w tym języku może z nią rozmawiać, na to pani Czacka: „Quand je faisais mon éducation, l'impératrice Catherine jurait pour elle et pour ses descendants, que la langue polonaise serait toujours la langue officielle des provinces annéxées, voila pourquoi je ne sais pas le russe".

Wtedy Bezak skłonił się i powiedział po francusku: „Mille pardons, Madame la comtesse, veuillez me dire ce qui vous améne, je suis tout à votre service..."

Najstarsza córka Eustachego Czetwertyńskiego, Ol-

ga, wyszła za mąż za rodzonego swego stryja Augusta, który w tym czasie zakończył życie. Odebrawszy tę wiadomość, wybraliśmy się na pogrzeb z moim kuzynem Włodzimierzem, który po śmierci dziada Dymitra, zamieszkał w Hodomiczach. Przebywając straszne piaski w lasach cumańskich, szliśmy pieszo dla ulżenia koniom i znacznie je wyprzedziliśmy, gdy wtem, ponad samą drogą słyszymy przeraźliwe wycie wilków. Ponieważ ściemniło się, obleciał nas strach, lecz na nim tylko się skończyło, doczekaliśmy się koni i ruszyliśmy dalej bez szwanku. Pogrzeb odbył się w Horyngrodzie, w majątku Heliodora Czetwertyńskiego, którego całą rodzinę wtedy poznałem.

Pod jesień wybrałem się do Komargrodu. Stryj mój, Władysław trzymał ten majątek w dzierżawie od mego ojca, co dla obu stron było bardzo dogodne; ojca mego zwalniało od osobistej administracji, a stryj, mając obok własny majątek Stefanówkę i Ojczenaszówkę, w którym mieszkalnego domu nie było, łatwiej mógł się nim zajmować. Na Podolu trafiłem na wir zabaw. Wszędzie bawiono się na zabój, jak gdyby przeczuwając mającą nastąpić wkrótce kilkuletnią żałobę. Zaczęło się od balu w Bogdanówce u Edwardostwa Jaroszyńskich. On był bratem Oktawa, marszałka kijowskiego, p. Karolina, jego żona, Rakowska z domu, jedna z najsympatyczniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, okazywała mi zawsze dużo przyjaźni. Następnie przyszły bale: dwudniowy u Kazimiery Czetwertyńskiej w Antopolu i trzydniowy u Czarnomskich w Czarnominie. Tam spotkałem Leona Zbyszewskiego, późniejszego zmartwychwstańca, nadzwyczaj sympatycznego i inteligentnego człowieka. Umówiliśmy się, że w ciągu lata zrobimy razem wycieczkę w Tatry, która jednak nigdy do skutku nie doszła. Z rodziny Zbyszewskich byli jeszcze oprócz Leona, Konstanty, Wiktor i Władysław, ten ostatni oficer marynarki rosyjskiej, który tylko co wrócił z podróży naokoło świata, jako też bardzo miła i ładna

panna Teresa, siostra Leona. Ostatni bal odbył się w Kamiennogórce u Władysławostwa Wołodkowiczów.

Rychło potem przyszła wiadomość o pierwszych strzałach roku 1861 w Warszawie i o pogrzebie pięciu ofiar. Wszystkie zabawy zostały przerwane. Odezwę o żałobie, ogłoszoną przez arcybiskupa Fijałkowskiego, rozpowszechniono ogólnie i wszyscy bez wyjątku zastosowali się do niej. Rozpoczęły się nabożeństwa za poległych i na tych kresach dawnej Polski rozbrzmiewały wszędzie po kościołach śpiewy „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“, intonowane po nabożeństwach przy każdej uroczystości. Przebyłem w tej rozgorączkowanej atmosferze do połowy maja, często odwiedzając bliższych i dalszych sąsiadów: Lipkowskich, Drzewieckich, Mańkowskich, Szembeków i innych. U Szembeków w Ujściu bywałem najczęściej, przyciągany urokiem panien Moszyńskich, przyrodnich sióstr hr. Szembekowej.

Ojciec mój oddał mi majątki pozostałe po mojej matce: Woronczyn w powiecie włodzimierskim i Kulikowicze z Komarowem w powiecie łuckim, wróciłem więc na Wołyń, gdzie miałem rozpocząć życie obywatelskie i zająć się własnym gospodarstwem. Czasy jednak były za gorące, abym mógł się temu zadaniu poświęcić. Przy tym przyznać się muszę, że mało miałem do roli zamiłowania, a stan umysłów w kraju wcale nie usposabiał do spokojnej pracy na wsi. Śpiewy patriotyczne rozbrzmiewały porówni na Wołyniu, jak i na Podolu; zaczęto je już prześladować, czego z początku nie było; wkrótce kilka osób z naszej okolicy, przydybanych na tej „zbrodni“, wywieziono do odleglejszych gubernii cesarstwa. Uważając, że śpiewem Polski nie odbierzemy, a tylko pozbawimy kraj gorętszych elementów, które w przyszłości mogłyby być pożyteczne w poważniejszych sprawach, wniosłem na zjeździe w Łucku, aby jednak śpiewów zaprzestać. Większość zgodziła się na mój wniosek.

Na drugi dzień, w czasie sumy obchodziłem ławki, prosząc o zaprzestanie śpiewów. Policja i żandarmi, napełniający kościół, zauważywszy moją akcję, przygotowani byli do natychmiastowego aresztowania tak mnie, jak i śpiewających. Byłbym niezawodnie aresztowany, jako promotor, tymczasem ku wielkiemu ich zdziwieniu śpiewów nie było i zostałem na swobodzie. Lecz co się odwlecze to nie uciecze. I wkrótce sam na sobie miałem doświadczyć prawdziwości powyższego przysłowia.

Z racji uwolnienia włościan, odbyły się przed moim przyjazdem wybory na „mirowych pośredników". W łuckim powiecie wybrani zostali: Jarząbkowski, Adolf Sumowski, Żeromski i Młodzianowski, we włodzimierskim: Emil Olizar, Wydżga, Antoni Romer i Bogatko. Marszałkiem włodzimierskim był Władysław Gutowski, a łuckim Erazm Stecki, wielkiej zacności człowiek, dla którego dużo miałem przyjaźni. Choć Woronczyn, w którym stale mieszkałem, leży w powiecie włodzimierskim, polem działalności mojej, tak społecznej, jak i politycznej był Łuck. Woronczyn znajdował się w krańcowych punktach trzech powiatów, tak, że ta sama odległość dzieliła go od Łucka, Włodzimierza i Kowla, trzech powiatowych miast. Zamieszkawszy w Woronczynie, sprowadziłem do siebie Gracjana Wołodźkę, o którym poprzednio pisałem, a że mój kolega i wielki przyjaciel z kijowskiego uniwersytetu, Radłowski, wyszedł zeń ze stopniem lekarza i szukał miejscowości, gdzie mógłby na stałe osiąść, poradziłem mu zamieszkać w Woronczynie, jako że w promieniu czterdziestowiorstowym nie było żadnego doktora. Zamieszkaliśmy we trzech i mogliśmy śpiewać jak w „Strasznym Dworze": „nie ma niewiast w naszej chacie". W tych czasach 1861 i 1863 roku, ogólny nastrój okolicy naszej był bardzo gorący, lecz z dala od Warszawy i Kijowa, centrów opinii społecznej i pracy patriotycznej, wobec braku komunikacji nie mógł się skrystalizować. Wszyscy czegoś

oczekiwali, wszyscy pragnęli niepodległości, lecz nikt nie zdawał sobie sprawy, w jaki sposób dojść do upragnionego celu. O powstaniu zbrojnym myślano i mówiono jak o czymś koniecznym, lecz bardzo oddalonym i zależnym od różnych kombinacji i okoliczności. Zresztą, nie piszę tu historii ani kraju, ani powstania. Namówiony przez najbliższą rodzinę, piszę tylko to, co się ze mną działo, a że żyłem w przełomowej epoce, mówiąc o sobie, nie mogę nie wspomnieć o tym co cały kraj, a w szczególności moją okolicę obchodziło i w czym osobiście uczestniczyłem.

Stryjostwo moi wydali najmłodszą córkę Olgę za Stanisława Czapskiego, która wkrótce po ślubie życie zakończyła; obecnie otrzymałem zawiadomienie, że siostra jej, Jadwiga wychodzi za mąż za Stanisława Karskiego. Ze wszystkich moich stryjecznych sióstr, ją najwięcej kochałem i koniecznie chciałem przyjechać na ślub do Drezna. W tych niespokojnych chwilach o zwykłym paszporcie i marzyć nie było można, umyśliłem więc skorzystać z prawa, które pozwalało naczelnikom powiatów pogranicznych wydawać czterotygodniowe przepustki mieszkańcom pasa pogranicznego. Woronczyn leżał w pogranicznym powiecie włodzimierskim, więc można było spróbować. Pojechałem więc do Włodzimierza i udało mi się przepustkę uzyskać. Wyjechałem z Woronczyna o świcie rozstawnymi końmi do Drużkopola, najbliższej, pogranicznej komory, odległej o pięćdziesiąt wiorst. Tam nająwszy konie, przejechałem szczęśliwie granicę na Stojanów, Radziechów, Mogilany i Żółkiew i późno w noc stanąłem we Lwowie. Ponieważ jednak wtedy cała Europa odrutowana była przymusowym paszportem, a moja przepustka pozwalała przejechać mi tylko granicę rosyjską, rozpocząłem starania o pozwolenie przejazdu z Austrii do Drezna. W hotelu poradzono mi udać się do Kazimierza Stadnickiego, który wyrobił mi bardzo uprzejmie żądane pozwolenie z terminem tygodniowym, tak, że już na parę dni przed

ślubem stanąłem w Dreźnie. Wtedy poznałem narzeczonego Jadwigi i dwóch jego braci: Wincentego z żoną, Wodzińską z domu, i Kazimierza. Ponieważ mój paszport lwowski ważny był tylko na kilka dni, więc w parę dni po ślubie wyjechałem z powrotem do Lwowa, gdzie mogąc się dłużej zatrzymać, skorzystałem, aby odwiedzić w Podniestrzanach, moją ciotkę z Błędowskich Jaźwińską. Tam poznałem Leopoldostwa Starzeńskich, którzy w tym czasie oddawali wizyty poślubne. Ona była bardzo ładna i długo nią pozostała. Ze Lwowa, w ciągu jednego dnia dostałem się tą samą drogą do domu.

Po śmierci Dymitra, stryja mego ojca, majątek hodomicki przeszedł na jego córki: Karolinę Czetwertyńską i Eleonorę hr. Tyszkiewiczową. Pierwsza już nie żyła, więc w imieniu rodzeństwa objął go w posiadanie najstarszy jej syn Włodzimierz, który rozpoczął pertraktacje o nabycie drugiej połowy od p. Tyszkiewiczowej. Umowa przyszła wkrótce do skutku i sam pozostał właścicielem całości, którą bardzo gorliwie zaczął się zajmować. Był to człowiek niezmiernie wykształcony i miły, nie dopisywało mu tylko zdrowie, żył, można powiedzieć, z dnia na dzień pod grozą piersiowej choroby, na którą umarł w kilka lat później w Warszawie. Z jednej strony pokrewieństwo, z drugiej wzajemna sympatia bardzo nas zbliżyły, tak, że nieraz całymi tygodniami przebywaliśmy u siebie.

Odebrawszy wiadomość o słynnym zjeździe dwóch narodów: polskiego i litewskiego w Horodle, wybraliśmy się nań wspólnie, nie dano nam jednak w podniosłej uroczystości uczestniczyć. Przybywszy do Uściługa nad Bug, zastaliśmy prom usunięty, a brzegi rzeki obstawione policją i wojskiem. Nie jedni my byliśmy w tym położeniu; cały brzeg był zawalony najrozmaitszymi wehikułami, począwszy od powozów do drabiniastych wozów, masa przyjezdnych stała na brzegu. Po naradzie, wróciliśmy do Uściługa, gdzie

spisano protokół, protestujący przeciw niedopuszczeniu nas do uroczystości, a zarazem wyrażający naszą duchową łączność z Litwą. Odbył się ten zjazd 10 października 1861.

Zwykle późną jesienią lub w zimie, wybierałem się na dłuższy przeciąg czasu na polowanie do kulikowickiego majątku w powiecie łuckim. Położony po obu stronach rzeki Styr obfitował w zwierzynę. Było to już tak zwane Polesie Wołyńskie. Ziemia dość licha, za to łąki nadrzeczne przepiękne i lasy wspaniałe. W jesieni przyjeżdżałem na przeloty ptactwa, na których spotykało się nadzwyczajne okazy, w zimie zaś na grubego zwierza. Bywały tam łosie, choć nie zawsze, dziki i sarny w wielkiej ilości, z ptaków głuszce, jarząbki itd., polowało się też prawie codzień, całymi tygodniami. Gdy następnie majątek ten skonfiskowano, a po dziesięciu latach zwrócono mi, nic już zwierzyny nie znalazłem, wszystko wyniszczono doszczętnie. Sądząc, że kilka lat spokoju i ochrony pozwoli zwierzostanowi wrócić do dawnego bogactwa, sam nie polowałem i nikomu w lesie nie było wolno strzelać. Nic to nie pomogło i majątek już nigdy do dawnego stanu nie wrócił.

W przeciągu tych dwóch lat jeździłem dużo po bliższej i dalszej okolicy, do mnie też dużo przyjeżdżało osób, w ogóle życie towarzyskie było bardzo ożywione, choć z powodu żałoby, żadnych tanecznych zabaw nie urządzano. Wtedy byłem u ogólnie czczonego pułkownika Marcina Tarnowskiego na św. Marcina. Co roku na ten dzień zjeżdżała się bliższa i dalsza okolica, zjazd bywał ogromny; po raz ostatni odbył się w tym roku, w którym ja byłem po raz pierwszy. Byłem także u hr. Esterhazego w sprawie, której już zupełnie nie pamiętam. Był to sąd polubowny. Pamiętam tylko, że wchodził doń Marcin Zaleski, marszałek dubieński, i Bolesław Łoziński, którego później spotkałem w Irkucku; superarbitrem miał być Roman Sanguszko, lecz gdy nie mógł przybyć, upro-

szono Esterhazego, u którego w Gródku pod Równem konferowałem przez trzy dni, ale już zupełnie nie wiem o czym.

Gródek był dawniej własnością biskupów greckokatolickiego wyznania, a po zaborze darowała go caryca Katarzyna hr. Esterhazemu, ojcu obecnego właściciela. Toteż byłem ogromnie zdziwiony, przekonawszy się, że drzwi z mego pokoju prowadzą do cerkwi, naturalnie obecnie już prawosławnej, a dzwony dzwoniły mi kilkanaście razy dziennie, prawie nad uchem.

Często w tym czasie bywałem na Polesiu Wołyńskim w Hulewiczowie u Młokosiewiczów, najprzód Konstantego, a następnie Władysława, synów generała, wsławionego obroną Fuengiroli w Hiszpanii w czasie wojen napoleońskich. Było tam jedno z najlepszych polowań na grubego zwierza. Na jednym z nich zabiłem rysia, jedynego w życiu, a na ogromnych miejscowych stawach i błotach, spotykało się zawsze dzikie łabędzie. W tejże okolicy mieszkali Julianostwo Głęboccy w Powursku, a trochę dalej Władysławostwo Miączyńscy w Widiutiu, brat Władysława, Kazimierz w Satiejowie w powiecie dubieńskim. Był on niezmiernie nabożny, a przy tym bardzo przesądny; w czasie gry w karty, miał zawsze pieniądze w pugilaresie przekładane obrazkami różnych świętych, których zadaniem było ustrzec go od przegranej. Szwagier Władysława Miączyńskiego, Ludwik Pietruszewski, mieszkał w Burakach, bywałem i u niego, ale to już była prawdziwa podróż, aż poza Kowel. W tymże powiecie kowelskim, lecz daleko bliżej Woronczyna, leżała Mielnica Medarda Radziszewskiego. Odziedziczył ją po generale Korzeniowskim, bardzo majętnym obywatelu spod Żytomierza. W przedrozbiorowych jeszcze czasach był ów Korzeniowski rotmistrzem kawalerii narodowej, co odpowiadało randze generała rosyjskiego, tak też go zawsze oficjalnie tytułowano. Dożył później starości. Był

to oryginał. Z rozpoczęciem wojny krymskiej prosił generał-gubernatora kijowskiego Bibikowa, aby dla uniknięcia fałszywych doniesień co do jego prawomyślności, przysłał mu na jego koszt, do jego rezydencji Kodni, jakiegoś urzędnika policyjnego, aby śledził jego postępowanie i o nim donosił. Bibikow wzbraniał się długo, lecz ostatecznie znudzony, przysłał mu kogoś. Gdy byli goście, co się często zdarzało, kazał go zaraz wołać i prezentując, niby po cichu, dodawał „proszę uważać, bo to szpieg". Gdy po obiedzie, czy po kolacji, chciał się ów biedak usunąć do swego pokoju, nie pozwalał mu wyjść, póki ostatni gość nie wyjechał, lub nie wyszedł, mówiąc „pan jest na to, aby wszystko słuchać i donieść generał-gubernatorowi". Umarł bezdzietny i z licznych jego majątków, Mielnica dostała się w sukcesji Radziszewskiemu, u którego często bywałem.

W początkach stycznia, przed powstaniem odbywały się kontrakty w Dubnie, nie tak ogólne jak w Kijowie, lecz w mniejszych rozmiarach dla Wołynia. Tam zawiązały się interesy, z których ważniejsze regulowano ostatecznie w Kijowie. Zjazd bywał bardzo liczny, trzeba było z góry zamawiać mieszkania, aby przyjechawszy nie znaleźć się na bruku. Wybrałem się na nie po raz pierwszy i ostatni, gdyż już w następnym roku zostały skasowane.

Nie miałem wprawdzie żadnych interesów do załatwienia, lecz chciałem zobaczyć się ze zjeżdżającymi się obywatelami wołyńskimi i poznać się z tymi, których jeszcze nie znałem. Poznałem wtedy Stanisława Lubomirskiego z Równego i Ferdynanda Radziwiłła. Nie wiem, jakie interesy załatwiano w rannych godzinach, lecz wieczorem panowała wszechwładnie gra w karty. Grano najwięcej w „lancknechta", czyli tak zwanego „diabełka", ale faraon, „sztos" i inne gry, przeważnie hazardowne, miały także licznych zwolenników. Wronowski, o którym nic nie wiem, gdyż go przed tym, ani potem nie spotkałem, najmował na

czas kontraktów cały dom w Dubnie, a przyjeżdżał zwykle z kuchnią i liczną służbą. Cały dzień był u niego stół otwarty dla wszystkich znajomych, wieczorami grywano do późnej nocy w karty. Pamiętam na tych wieczorach Żyłoka, obywatela z powiatu równieńskiego, za którym zawsze służący wnosił szkatułkę, napełnioną półimperiałami i papierami do ciągnięcia banków w faraona. Do innych gier pan Żyłok nie siadał w ogóle.

W tych czasach przed powstaniem, rozwinęła się w naszej okolicy tak zwana „chłopomania", zapoczątkowana przez Uniwersytet Kijowski. Cel był patriotyczny i dobry. Szło bowiem o pozyskanie ludu wiejskiego dla sprawy polskiej. Lecz środki, używane dla jego podjęcia, chybiały zupełnie. Ubieranie się w strój włościański i inne, temu podobne objawy, wcale ludu nie przyciągały, a przeciwnie, odstręczały go, chłopi nazywali to pańską komedią. Tym łatwiej mogę to dziś przyznać, że sam tej manii ulegałem i dopiero później przekonałem się o jej bezużyteczności.

Wkrótce miały nastąpić wybory szlacheckie na Wołyniu. Ponieważ Stecki odmawiał dalszego urzędowania i prosił, aby nie wybierano go na następujących wyborach, gdyż urzędu nie przyjmie, współpowietnicy moi pomyśleli o mnie, pytając, czybym nie przyjął wyboru, na co bardzo chętnie się zgodziłem i zacząłem myśleć o stosownym urządzeniu się w razie przyjścia projektu do skutku. Tymczasem nastąpiły wybory podolskie i marszałkowie wystąpili do cesarza ze znanym adresem, prosząc o przyłączenie Podola do Królestwa Polskiego. W odpowiedzi zesłano ich do różnych wewnętrznych gubernii cesarstwa, a wybory we wszystkich guberniach litewskich i ruskich zostały odłożone do czasu uspokojenia kraju. Widocznie nie nastąpiło jeszcze ono, gdyż od tego czasu, wyborów jeszcze nie było, a wszystkie wybieralne urzędy zajęli urzędnicy naznaczeni przez rząd. Przed Steckim

był przez długi szereg lat marszałkiem Wincenty Korwin-Piotrowski, który, zmęczony tak długim urzędowaniem, usunął się dobrowolnie na ostatnich wyborach. Był to człowiek wielkiej zacności. Jako Polak, jako obywatel i jako marszałek szlachty, mógłby wszystkim służyć za wzór. Na mnie był bardzo łaskaw i zaszczycał mnie przyjaźnią.

VI.

WINA I SĄD

Wkrótce po powrocie z Dubna, dowiedziałem się o wybuchu powstania w Królestwie. Wiadomość ta, zupełnie niespodziewana, zelektryzowała całą okolicę. Zjeżdżaliśmy się w Łucku dla powzięcia decyzji, co mamy robić, aby w miarę możności dopomagać ruchowi. Poczta między Warszawą a Kijowem była urządzona, czekaliśmy tylko rozkazów. Polecono nam przede wszystkim urządzić organizację powiatową i przygotować kadry powstańcze dla miejscowych ochotników. W dalszym ciągu należało myśleć o funduszach, zaczęliśmy więc je zbierać. Mnie polecono tę czynność w okolicy Kulikowicz, dokąd też zaraz się wybrałem i przez parę tygodni jeździłem od komina do komina. Niewiele zebrałem, gdyż ci, do których się zwróciłem, byli ludźmi z małymi wyjątkami niezamożnymi. Gdy jednak minąłem jednego z nich, Konopackiego, o którego biedzie miałem najpewniejsze wiadomości, obraził się i przywiózł z sobą do Łucka, jako ofiarę, dwanaście srebrnych łyżeczek do herbaty, a mnie wyzwał na pojedynek, który naturalnie do skutku nie doszedł, bo go z trudnością udobruchano.

Przez cały czas powstania, nie było w mej bliższej i nawet dalszej okolicy żadnego samodzielnego ruchu powstańczego. Sformowała się organizacja powiatowa. Byli zaprzysiężeni ochotnicy, lecz bez broni, w oczekiwaniu oddziałów, które ciągle nam obiecywano, bądź z Królestwa, bądź z Galicji. Nie pamiętam już, w którym miesiącu wszedł mały oddział z Galicji, zdaje mi się Horodyńskiego, do powiatu włodzimierskiego, lecz ledwie wszedł, zaraz wyszedł. Co

do mnie, na tym się skończyło, że kazano mi po raz drugi przysięgać na wierność, gdyż wzięci do niewoli powstańcy twierdzili, że udział ich był spowodowany zapewnieniem, że ja mam objąć dowództwo nad oddziałem, co było wierutnym kłamstwem, gdyż o niczym nie byłem nawet uprzedzony. Następnie, drugi oddział, już znacznie liczniejszy, pod dowództwem Wysockiego, przeszedł granicę pod Radziwiłłowem, lecz zaatakowany przez bardzo znaczne siły, musiał się cofnąć. O akcji Wysockiego uprzedzono nas, wszelkie zatem prowianty były przygotowane, a ochotnicy nasi mieli oznaczony punkt zborny, gdzie miano im dać broń, dostarczoną przez wchodzący oddział. Szybkość, z jaką Wysocki dokonał odwrotu pod naporem sił rosyjskich, nie dopuściła do połączenia i na tym skończył się wszelki ruch w naszej okolicy. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego wtedy doznałem. Przyjechałem do Lipy, majątku Franciszka Omieciński ego, aby być jak najbliżej miejsca, przez które wejdzie sygnalizowany oddział powstańców z Galicji. Chciałem się przekonać, czy wszystko jest przygotowane na jego przyjęcie.

Była to śliczna, letnia noc, niebo bez chmurki, a księżyc oświecał wszystko naokoło. Omieciński mieszkał w oficynie, gdzie byliśmy zebrani, pałac zaś zajmował jego ojciec, człowiek nie przy zdrowych zmysłach, którego stan nerwowy uspakajała tylko muzyka, zawsze też miał przy sobie kogoś, którego obowiązkiem było uspokajać grą na fortepianie niespokojny umysł biedaka. Gdy po kolacji wyszedłem na dziedziniec, z otwartych okien mieszkania Omiecińskiego płynęły dźwięki fortepianu, a z nimi moje ulubione „Ständchen“ Schuberta. Dziwnie miękko zrobiło mi się na sercu. Ta noc letnia, te dźwięki, ta niepewność, co się w dniu jutrzejszym stanie, wszystko to, tak mnie rozrzewniło, że po dziś dzień to, co wtedy uczułem, żyje mi w pamięci.

Z owych czasów, przypominam sobie dwa epizody:

Z rozpoczęciem powstania zaprowadził rząd warty włościańskie z pikami we wszystkich wsiach i każdy przejeżdżający musiał legitymować się jakimś paszportem. Mając w bryczce trochę broni, którą polecono mi przewieźć, zostałem zatrzymany przez taką wartę, która nie chciała mnie przepuścić bez okazania paszportu. Na szczęście przypomniałem sobie, że mam w kieszeni ćwiartkę papieru zadrukowanego, na której były herby cesarza Napoleona i królowej Izabelli hiszpańskiej, a która dołączona była do znanego mydła Violeta „Savon de Thridace". Zawsze go używałem i trafem jakimś ćwiartka ta znalazła się w tej chwili u mnie w kieszeni i gdy ją pokazałem, sprawiła piorunujący skutek, tak, że pozwolono mi jechać dalej.

Drugi epizod: jadąc ponad granicą przez las, zobaczyłem ponad drogą powieszonego na sosnie „objeszczyka" pogranicznego, który dawał jeszcze znaki życia. Zatrzymawszy bryczkę, odczepiłem go przy pomocy stangreta i powróciłem do życia. W późniejszym czasie, wypadek ten pogorszył moje położenie w sądzie wojennym, gdyż dowiedziano się o tym i sąd wywnioskował, że zajmowałem chyba jakieś bardzo wysokie stanowisko w organizacji rewolucyjnej, jeśli się odważyłem na uratowanie życia człowieka, powieszonego z rozkazu powstańców.

W tym czasie odebrałem polecenie przyjazdu do Żytomierza dla otrzymania pewnych zleceń i dokumentów. Przyjechawszy, miałem się stawić w kościele, w trzeciej ławce, po lewej stronie, na mszy o 9 rano. Ledwiem zasiadł, zbliżył się do mnie nieznany młody człowiek, wyszedł ze mną i zaprowadził do jakiegoś mieszkania, zupełnie już nie pamiętam przy jakiej ulicy, i odebrawszy papiery, jakie z sobą przywiozłem, oddał mi pakiecik, który polecił odwieźć do Łucka. To zlecenie było mi bardzo nie na rękę, gdyż właśnie wtedy odbyła się rewizja na promie, na Teterowie u Drużbackiego, który był w moim położeniu,

a którego wskutek znalezionych rzeczy w słoiku od pomady zaaresztowano, a następnie rozstrzelano. Ten przykład dawał mi dużo do myślenia, lecz nie było co robić. Pochowawszy w rozmaity sposób w powozie dane mi papiery, puściłem się w powrotną drogę i bez szwanku dotarłem do domu.

Spotkałem wtedy w Żytomierzu Jadwigę Lubomirską, która rzuciła projekt podania adresu „wiernopoddańczego" do cesarza, co ją naraziło na rozmaite przykrości i szykany, na równi z Pawłem ks. Sanguszką, który przyjechał starać się, lecz zdaje się bezskutecznie, u wołyńskiego gubernatora wojennego, ks. Druckiego-Sokolnickiego, aby mu zmniejszono olbrzymią kontrybucję, nałożoną na dobra Sanguszków na Wołyniu.

Stosunki zmieniły się u nas zupełnie. Wszyscy urzędnicy, Polacy, czy to z wyborów, czy też z naznaczenia zostali usunięci, a na ich miejsce poprzesyłano innych, z wewnątrz guberni cesarstwa. Jakich ludzi przysłano? dość powiedzieć, że powiatowym marszałkiem szlachty został niejaki Pomilenko, profesor geografii w gimnazjum w Połocku. Zupełnie otwarcie szachrował w karty, tak, że nawet Rosjanie, grający z nim, wymawiali mu to, lecz on przyjmował to bardzo dobrodusznie, tłumacząc, że u niego jest taka „priwyczka" (przyzwyczajenie). Jedynym Polakiem, pozostałym na służbie, był „strapczy" Michał Korewicki, z którym wszyscy byliśmy w dobrych stosunkach.

W tym czasie dały się społeczeństwu we znaki rozmaite, nader uciążliwe rozporządzenia rządowe. Wszystkie majątki polskich właścicieli obłożono kontrybucją, czyli tak zwanym „diesiatiprocentnym sborom". Miał to niby być dziesiąty procent od dochodu, ale wyszło zupełnie co innego. Jako przykład, przytoczę siebie samego. Majątek mój, Kulikowicze, był wydzierżawiony za trzy tysiące rubli rocznie, zdawałoby się więc, że wypada zapłacić z niego trzysta

rubli. Tymczasem rachunek wypadł inaczej: ponieważ obejmował około sześciu tysięcy dziesięcin, a dla wykupu był zamieszczony w dziewiątej klasie, której cena była 28 rubli, więc pomnożono jedną cyfrę przez drugą i od otrzymanej sumy przyjęto pięć procent, jako dochód z majątku, i z tego kazano mi zapłacić 10 procent kontrybucji. Ponieważ już przed tym sprowadzono tak zwane „powierocznyja komisji", mające decydować, niby o rzeczywistej wartości ziemi oddzielonej dla włościan, w majątku kulikowickim zmieniły ją owe komisje z 28 rubli na 3 ruble za dziesięcinę. Wystąpiłem do generał-gubernatora z przedstawieniem, że albo ziemia jest warta 28 rubli, a w takim razie likwidacyjna suma od włościan powinna być w tym stosunku obliczona, lub jeśli według orzeczenia komjsii weryfikacyjnej warta jest tylko trzy ruble, więc i dziesięcioprocentowa kontrybucja powinnaby według tej samej zasady być obliczona. Naczelnik powiatu poparł moje słuszne przedstawienie, a rezultat był taki, że mi odmówiono, a naczelnik powiatu odebrał rozkaz bezzwłocznego wyegzekwowania naznaczonej kontrybucji, z wymówką, że miesza się do rzeczy, które do niego nie należą.

Na święta Bożego Narodzenia zaprosił mnie Eustachy Czetwertyński do Płoski, gdzie przepędziłem kilka dni w gronie familijnym. Spotkałem tam siostrzenicę księżnej, p. Marię Jaroszyńską, córkę śp. Edwarda, która także przyjechała na święta. W późniejszych latach wyszła za mąż, za Michała Bonieckiego. Po kilku dniach wróciłem do domu. Zdawało się, że już, niestety, wszystko się skończyło, gdy wtem niespodziewany wypadek zmienił zupełnie dotychczasową postać rzeczy.

W powiecie dubieńskim mieszkał niejaki Bóbr, imiennik, czy może nawet jaki daleki krewny b. marszałka gubernialnego Teodora Bobra-Piotrowickiego, z tego zapewne powodu, nazywano go Bobrykiem. Cierpiał on na spokojne pomieszanie zmysłów i był ja-

ko taki ogólnie znany. W tym czasie przysłano z głębi Rosji na sędziego do Dubna niejakiego Chołodowskiego, który od razu postawił się nader wrogo wobec elementu polskiego. Otóż Bobryk, ni stąd ni zowąd, zabił Chołodowskiego, uderzywszy go laską z toporkiem. Zaaresztowany, wcale się nie bronił, ani tłumaczył, lecz oświadczył, że ponieważ powstanie zostało zgniecione, należy każdego przysłanego z Rosji urzędnika mordować, a cyfrę fabryczną, jaka zwykle znajduje się na takich toporkach, objaśniał, że oznacza ona liczbę kolejną, sprzysiężonych w tym celu. Jego toporek miał cyfrę 723, co by dowodziło, że w samym Dubnie jest co najmniej taka ich liczba. Sąd nad Bobrykiem nie trwał długo, skazano go na rozstrzelanie. Wypadek ten nie pozostał jednak bez skutków; generał-gubernator kijowski, Anenkow, wziął zeznania obłąkańca na serio i rozkazał szukać jak najstaranniej śladów byłej organizacji, upatrując w niej łączność z zeznaniami Bobra. Rozpoczęły się więc rewizje i masowe aresztowania, do których nie przyszło by może, gdyby nie powyższy wypadek.

Po południu dnia 1 kwietnia 1864 widzę nagle kupę kozaków, cwałujących na drodze pod karczmą, którą było widać w parku. Coś mnie zaraz tknęło, że to do mnie. Tętent koni na wjazdowym moście przekonał mnie, że się nie mylę, i za chwilę cały dom był otoczony, a do pokoju weszło dwóch oficerów, którzy mi oświadczyli, że mają rozkaz zrobienia u mnie rewizji. Rozpoczęła się niebawem, ale naturalnie, bez żadnego skutku. Tymczasem ściemniło się i oficerowie oświadczyli mi, że będą nocować, lecz zaniepokoiło mnie, że, choć rewizja się skończyła, gdzie tylko się ruszę, zaraz jeden, lub dwóch żołnierzy za mną idzie. Chcąc przekonać się, co to znaczy, poprosiłem Gracjana Wołodźkę, aby wyszedł, niby do ogrodu. Nikt za nim nie poszedł i wtedy mogłem być już pewny, że mnie z sobą zabiorą. Obok mego pokoju sypialnego był większy przedpokój i w nim ulokowano żołnierzy.

Na podłodze leżała poduszka, na której sypiał mój ulubiony wyżeł. Słysząc w nocy jego pisk, poszedłem zobaczyć co się z nim dzieje, otóż żołnierze użyli psiej poduszki dla siebie i na niej złożyli głowy, tak że wyglądała jak środek gwiazdy, której promienie stanowiły wyciągnięte nogi żołnierzy. Na drugi dzień, po śniadaniu obiadowym, które sobie zawarowałem, pojechałem do Łucka własnym powozem, pod silną eskortą konną, złożoną z kozaków i miejscowych włościan.

Przyjechałem już po ciemku, i to wprost do opuszczonego klasztoru trynitarzy, gdzie przyjął mnie oficer dyżurny i polecił zaprowadzić do jednej z dawnych cel klasztornych, na drugim piętrze. Oprócz słomy nic w niej nie było. Ulokowawszy się na niej, zmęczony całodzienną podróżą zasnąłem, lecz przebudziło mnie poczucie, że coś po mnie chodzi, zapaliłem jak najprędzej świecę i zobaczyłem uciekające dwa ogromne szczury. Na mój krzyk, podszedł do otworu, wyciętego w drzwiach, wartujący żołnierz, z zapytaniem, co mi się stało. Dowiedziawszy się, odrzekł bardzo filozoficznie, że to są drobnostki, na które nie trzeba zwracać uwagi. Przekonawszy się, że na żadną pomoc liczyć nie można, wynalazłem dziurę, którą szczury wychodziły, postawiłem przy niej zapaloną świecę i tak się zabezpieczywszy od nieproszonych gości, zasnąłem smacznie. Na drugi dzień z rana dano mi szklankę herbaty z bułką i w parę godzin później zjawił się generał Baggohufwudt (wymawia się Bagaut) który, nie wiem, jakie zajmował stanowisko, lecz zapewne był jakby komendantem naszego więzienia, do czasu naznaczenia komisji śledczej. Bardzo grzeczny i uprzejmy, kazał sprowadzić mularza, który wszystkie dziury zamurował, polecił przynieść dla mnie tapczan, stół, krzesło, dzbanek i miskę do wody. Pozwolił przy tym na używanie książek, które z sobą przywiozłem, jak również niektórych moich rzeczy z ubrania i bielizny wraz z dywanem, który niesłycha-

nie mi się przydał, gdyż mogłem nim pokryć słomę na tapczanie. Zarządziwszy to wszystko, opuścił mnie i więcej już go nie widziałem. Przed wyjściem powiedział, że mogę stołować się na mieście, i że Władysław Czarnecki, który od czasu powstania przeniósł się z Zaborola do Łucka, będzie mi obiady przysyłać. Gdy ojciec mój, zawiadomiony o tym, co się stało, przyjechał do Łucka, poszedł podziękować Czarneckiemu i wtedy nastąpiło pojednanie po zajściu z przed kilkunastu lat, a o którym wspomniałem w związku z pobytem cesarza Mikołaja w Łucku.

Tu muszę się cofnąć nieco wstecz, dla objaśnienia masowych aresztowań, które wtedy nastąpiły. Gdy przyszedł stanowczy rozkaz wykrycia koniecznie organizacji łuckiej, rozpoczęły się rewizje po różnych domach obywatelskich, mniej więcej na chybił trafił. Otóż Edward Przesmycki, który był wojennym naczelnikiem powiatu, widząc, że powstanie zupełnie upadło, a wszelka możliwa działalność skończyła się, chcąc być zupełnie w porządku, podał prośbę o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska, w której przedstawił obraz swej dotychczasowej działalności. Naturalnie, nie było w niej żadnych nazwisk, lecz były wymienione urzędy, bez oznaczenia, kto je zajmował, Właśnie wtedy, gdy czekał na okazję dla przesłania jej gdzie należy, zrobiono u niego na wsi rewizję, która była tak gwałtowna i ścisła, że nie mając gdzie ukryć swej prośby, podarł ją w drobniutkie kawałki i rzucił za kanapę. Otóż rewizorzy zebrali te kawałeczki, złożyli i całą prośbę odczytali. Gdy przy śledztwie twierdził, że urzędy były, lecz nikt ich nie zajmował, rozpoczęto aresztowania, w nadziei, że w znacznej ich liczbie, znajdzie się ktoś z poszukiwanych.

Przybywszy do Łucka, zastałem zamkniętego już u trynitarzy mego brata, oprócz niego byli: Ludwik Żytyński, Bielski, Nagrodzki, Stempkowski, Franciszek Grocholski, Grabowski, Sachnowski, Dmochow-

ski z synem, Molski, Okraszewski z żoną, Adam Poniatowski, Narcyz Żeromski, Karol Podczaski, Kozłowski, Florian Butwiłł, Florian Zakaszewski, Konopacki, dr Tomaszewski, dr Lewiński, Jarząbkowski, dwaj Srzedzińscy, Kajetan Podhorodeński, Adam Walewski, Władysław Lach-Szyrma, Rohoziński, Skarbiński, Kozłowski z żoną, p. Trzemeska, Henryk Tödwen, Łobarzewski, Telżyński, Broniec, Pajewski, Terlecki, dwóch Wojciechowskich, Rusiłowicz, Frankowski, Wroczyński, Zarębiński, Cielicki, Minasewicz, Adolf Sumowski, Faustyna z Krasickich Walewska, wielka przyjaciółka mojej matki, najbliższa nasza sąsiadka, wielkiego serca i umysłu kobieta, była dla mnie zawsze nadzwyczaj łaskawą i przyjazną — i wielu jeszcze innych. Mój kuzyn, Włodzimierz Czetwertyński został także aresztowany, lecz z powodu słabego zdrowia pozwolono mu mieszkać w mieście w najętym mieszkaniu, pod strażą.

Franciszek Broniec, były dzierżawca Kulikowicz, był dymisjonowanym rotmistrzem rosyjskim, i jako taki odbył z odznaczeniem całą kampanię 1831 roku. O powstaniu, ani o jakiejkolwiek organizacji rewolucyjnej nie myślał i nikt by nie posądził go o rewolucyjne sympatie. Nieszczęście chciało, że przepisał własnoręcznie dla swoich dwóch córek odezwę arcybiskupa Fijałkowskiego o noszeniu żałoby, co gdy przy rewizji wyszło na jaw, uznano go za niebezpiecznego kolportera odezw rewolucyjnych na Wołyniu. Drugim nieszczęściem Brońca była okoliczność, że opuściwszy dzierżawę Kulikowicz, nabył na własność majątek Łyszcze. Ponieważ dążeniem rządu było usunąć w jak największej ilości właścicieli ziemskich Polaków, konfiskata ich własności była jednym z najlepszych środków. Różnica w sądach nad obwinionymi była ogromna. Zupełnie inaczej sądzono tych, którzy mieli własność ziemską, a tych którzy jej nie posiadali. Biedny Broniec padł ofiarą tego wyrachowania. Pewny jestem, że gdyby pozostał na dzierżawie Ku-

likowicz, nic by mu się nie stało, a w najgorszym razie skazano by go na jakąś kontrybucję, tak zaś uzyskał „posielenie" na Syberii, z pozbawieniem praw stanu, a tym samym i z konfiskatą majątku.

Tymczasem zwożono ciągle nowych aresztowanych, tak że w końcu nie było już gdzie ich pomieścić u trynitarzy. Przybyła komisja śledcza, która nas wszystkich objęła swym dociekaniem; prezesem jej był major Butler, najnikczemniejsza figura, jaką można sobie wyobrazić. Zaraz na drugi, czy trzeci dzień po jej przybyciu wezwano i mnie do komisji. Zapytany o organizację, odpowiedziałem, że nic o niej nie wiem, i że dopiero od komisji dowiaduję się o jej istnieniu, na to Butler oświadczył, że posiada środki zmuszające do wyznania prawdy, i że póki jej nie wykryje, póty będzie siedzieć, po czym odesłał mnie do mojej celi i na tym przesłuchanie się skończyło.

Następne tygodnie mijały jedne po drugich bez żadnych zmian, a że natura ludzka do wszystkiego przywyka, więc i ja pogodziłem się z moim losem i przestałem marzyć o wypuszczeniu z więzienia. Tymczasem zawiązały się stosunki pomiędzy więźniami. Korespondencja przez stukanie w ściany jest aż zanadto znana, abym ją potrzebował opisywać, dość, że tym sposobem mogliśmy dojść do zupełnego porozumienia i po naradach postanowiliśmy, aby kilku z nas, nie mających żon, ani dzieci, ani żadnych szczególnych obowiązków, przyznało się do zajmowania urzędów wymienionych w podaniu o dymisję, znalezionym u Przesmyckiego. Zdecydowaliśmy się na to głównie, aby przeciąć śledztwo i położyć koniec poszukiwaniom komisji śledczej. Coraz więcej ludzi aresztowano, szczególnie z niższej sfery, którzy, nie nawykłszy do podobnych indagacji, gotowi byli najrozmaitsze szczegóły opowiadać, prawdziwe i nieprawdziwe, byle tylko odzyskać wolność, co im chytry Butler w zamian bardzo szczodrze obiecywał.

Musieliśmy przyjąć na siebie różne takie rewolucyj-

ne godności, którymi nigdy nas nie zaszczycono. Ja zostałem naczelnikiem powiatu, Żytyński, Podczaski i Kajetan Podhorodeński zajęli inne stanowiska i tym sposobem, po ukończeniu dochodzeń, bardzo wielu aresztowanych uwolniono. Nad nami zaś rozpoczęło się surowe śledztwo, które nie trwało długo, lecz było bardzo uciążliwe. Bardzo łatwo przyznać się do prawdy, lecz niezmiernie trudno do fałszu, tak aby on wyglądał na prawdę. Ponieważ urządzano zwykle ścisłą rewizję w domu tych aresztowanych, na których ciążyło jakieś ważniejsze przestępstwo, ogromnie się obawiałem, aby nie zrobiono obecnie, w czasie mojej nieobecności, rewizji u mnie w Woronczynie. Gdy mnie aresztowano pozostały tam ukryte dokumenty i papiery, które by nie tylko mnie, ale i innych mogły skompromitować.

Więc nieustannie mnie męczyła myśl, że gdy zaczną dobrze szukać, to mogą znaleźć. Wymyśliłem więc następującą kombinację: powiedziałem Butlerowi, że mam u siebie na wsi różne dokumenty, stwierdzające prawdę moich zeznań. Naturalnie chwycił się tej myśli i żądał wskazania miejsca, gdzie są schowane, powiedziałem, że nie pamiętam i że tylko sam osobiście mógłbym je wynaleźć. Zdecydował się wtedy wysłać mnie do Woronczyna z członkiem komisji, Gawryłowem, i dwoma żołnierzami, którzy mieli rozkaz nieodstępowania mnie na krok. Przybywszy na miejsce, szepnąłem Gracjanowi Wołodźce, gdzie jest skrytka, i poszedłem niby szukać dokumentów w ogrodzie, z przeciwnej strony, aniołowie stróże naturalnie podążyli za mną krok w krok, a Wołodźko przez ten czas wynalazł skrytkę i wszystko, co w niej było, doszczętnie zniszczył. Gdy wrócił i mrugnął na mnie, że już nic nie ma, oświadczyłem Gawryłowowi, że w żaden sposób znaleźć nie mogę; wpadł w bardzo zły humor, oświadczył, że jak sami przyjadą to i beze mnie znajdą i zaraz kazał mi jechać z powrotem. Nie pozwolił nawet zjeść śniadania (sam co prawda też nie

jadł) i wyruszyliśmy. Butler uznał całą tę ekspedycję za nader podejrzaną i za karę zabronił przynosić mi obiady z miasta, dopóki nie złożę dostatecznych wyjaśnień. Wskutek tego musiałem jeść z kotła, wraz z żołnierzami, a że przy tym zabronił herbaty, bardzo trudno było mi wytrzymać, szczególniej kaszy jeść nie dało się; gdy ją przynoszono, żołnierz nakładał na talerz, a następnie robił palcem dziurę, w którą nalewał roztopioną słoninę. Ten palec tak mi obrzydził kaszę, że nie tylko jeść, ale nawet patrzeć na nią nie byłem w stanie. Nie trwało to jednak długo, gdyż doktor wojskowy, który wszystkich więźniów miał w swej pieczy, zniewolony przez mego ojca, wystąpił z przedstawieniem do komisji, że jeśli to pożywienie dłużej potrwa, nie odpowiada za moje zdrowie. Wskutek tego pozwolono mi wrócić do poprzednich obiadów i herbaty. W ten sposób czas mijał, a nasz los o tyle się polepszył, że złączono nas po kilku i pozwolono rodzinom nas odwiedzać.

W tym czasie generał Czertkow mianowany został wojennym gubernatorem wołyńskim. Objeżdżając podległą gubernię, przyjechał też do Łucka; naszego więzienia nie zwiedzał, lecz wydał rozporządzenie, aby wszystkich więźniów mniej skompromitowanych zwolnić za poręką, a tym co pozostaną pozwolić zamieszkać w mieście pod strażą, zabudowania zaś potrynitarskie przygotować dla pomieszczenia przestępców politycznych, aresztowanych w powiatach włodzimierskim i dubieńskim. Zamieszkaliśmy więc w prywatnym domu, w zupełnej swobodzie, bez prawa jednak wychodzenia na miasto. Po pewnym przeciągu czasu pozwolono i mnie wyjechać z Łucka do domu, do Woronczyna za poręką dwóch nieskompromitowanych właścicieli ziemskich. Generał Czertkow z Łucka wybrał się do Włodzimierza, a następnie do Kowla, skąd zajechał do Rużyna w odwiedziny do dawnego swego kolegi z korpusu paziów, Jana Siemiątkowskiego. Przy obiedzie, w obecności zaproszonych

kilkunastu osób, oświadczył, że gdyby był naznaczony do Warszawy, pracowałby nad dobrobytem Polaków i opiekowałby się ich narodowością, lecz tu na Wołyniu, gdzie Polacy są tylko przybyszami w rosyjskim kraju, obowiązany jest starać się ich wytępić. Gdy w dwadzieścia lat później, po usunięciu hr. Szuwałowa z generał-gubernatorstwa warszawskiego, zaczęto mówić o możliwym naznaczeniu Czertkowa na jego miejsce, byłem w Petersburgu i przy obiedzie w Yacht-Klubie, powiedziałem, że możeby to było nieźle, i zacytowałem to, co wtedy w Rużynie powiedział, hr. Strogonow mi przerwał mówiąc: „N'en croyez rien, l'appetit vient en mangeant et aujourd'hui à Varsovie, vous ne seriez que des intrus pour lui". Przyszłość dowiodła, że się nie mylił.

Po wyjściu z więzienia za poręką, siedziałem spokojnie na wsi i tak to długo trwało, przeszło cały rok, że już zdawało się, że z całej tej sprawy nic nie będzie.

W Woronczynie i okolicy działo się bardzo źle; dochodów z majątków prawie żadnych, kto miał jeszcze trochę lasu, to się nim ratował, ale i ceny drzewa były bardzo niskie. Jedynym ratunkiem dla większości obywateli tak zwanego Polesia Wołyńskiego była kolonizacja. Sprzedaż ziemi była dozwolona jedynie prawosławnym, lecz znaleziono na to sposób. Różnym Czechom, Niemcom itd. wydzierżawiano ziemię po wyciętym lesie na bardzo długi przeciąg czasu za bajecznie niską cenę, a oni płacili umówioną z góry wartość poza dzierżawnym kontraktem i to się nazywało „wkupne". Ja nigdy żadnego kolonisty nie wpuściłem, lecz naokoło Woronczyna, który był poprzednio otoczony lasami, powstało mnóstwo kolonii, tak, że majątek nasz pozostał jak wyspa, zewsząd otoczona kolonistami. Nie mogąc dać sobie rady, wypuściłem Kulikowicze w dzierżawę, ze wstydem przyznaję, Żydom, lecz innego kontrahenta wynaleźć nie

mogłem. Powstanie zniszczyło zupełnie całą klasę dzierżawców i chcąc niechcąc trzeba było korzystać z takich, jacy byli.

W tym czasie brat mój, Ludwik, ożenił się z Marią Zagórską, córką Alojzego i Olimpii z hr. Ledochowskich. Smutny to był ślub, niepewność tego, co może jeszcze nastąpić, przygnębiająco na wszystkich oddziaływała i mroziła radosne uczucia, towarzyszące zwykle tego rodzaju uroczystościom. Smutne przeczucia się ziściły w niespełna rok później. Brat mój został zesłany na mieszkanie do Penzy, tam rozwinęsię u niego bardzo gwałtowna choroba piersiowa. Rozpoczęto starania, aby mógł wyjechać zagranicę, na południe. Generał Bezak w przejeździe braterstwa przez Kijów, gdyż żona chciała mu towarzyszyć, kazał zwołać konsylium doktorskie i rezultat jego sobie przedstawić. Doktorzy zdecydowali, że ratunku nie ma, lecz że pobyt w ciepłym klimacie może go jeszcze jakiś niedługi czas utrzymać przy życiu. Wtedy Bezak oświadczył, że w takim razie wszystko jedno gdzie umrze, w Penzie czy w Nicei, i kazał im dalej jechać. W kilka miesięcy później skończył nieszczęśliwy w Penzie, a pielęgnująca go żona przeziębiła się, przechodząc przez nie opalany stale korytarz, dostała anginy i umarła na dwa dni przed nim, o czym już nawet przed śmiercią mu nie doniesiono.

Przez cały czas względnej wolności za poręką, w okolicy mojej dziwny zapanował nastrój. Z jednej strony, po większej części, wszyscy w oczekiwaniu mających nastąpić wyroków sądu wojennego nie mieli ochoty do niczego; zapanowała ogólna apatia i zniechęcenie. Żywioły mniej odpowiedzialne rade były użyć życia po raz ostatni przed długimi latami niewoli. Przez cały prawie ten rok zjeżdżano się, polowano, grano w karty, dużo pito, tak jak gdyby chciano zagłuszyć przeczucia bliskiej a strasznej przyszłości. W tym czasie kijowski generał-gubernator Bezak, zwiedzając kraj, przyjechał z kolei do Łucka. Gdy

przyjmujący go naczelnik powiatu Sojmonow złożył raport o stanie powiatu, Bezak rzekł: „Przede wszystkim muszę się przekonać o prawdzie pańskich słów". Sojmonow, w gorącej wodzie kąpany, zaraz na to odpalił, że choćby go miano zrobić generał-gubernatorem, nie poniżyłby się do kłamstwa. Za tę odpowiedź kazał go Bezak zaaresztować i umieścić na odwachu, jednak przed wyjazdem uwolnił, a rozmowa nie miała żadnych następstw. Po wyjeździe Bezaka, licznie zebrani przy kartach i butelkach, gdyśmy fetowali Sojmonowa, nie pamiętam już u kogo, przyniesiono mu depeszę, którą nie patrząc na adres otworzył i dopiero się przekonał, że jest cyfrowana i adresowana do generał-gubernatora od ministra spraw wewnętrznych. Ogromny był kłopot co z nią zrobić, ostatecznie za pomocą przekonywujących środków uproszono naczelnika telegrafu, aby przyjął nazad wydaną depeszę, a treść jej odtelegrafował wprost do generał-gubernatora do Kowla, dokąd z Łucka pojechał.

We wrześniu pojechałem, nie pamiętam już w jakim interesie, do Włodzimierza. Gdy zaszedłem w tym celu do naczelnika powiatu, ten oświadczył mi, że ku wielkiemu swemu zmartwieniu, otrzymał rozkaz aresztowania mnie i odesłania do Łucka. Prosiłem, aby mi pozwolił zajechać do Woronczyna, abym mógł wybrać się jak należy. Na to się oczywiście zgodził i na drugi dzień z rana w towarzystwie żandarma pojechałem do domu. Przejeżdżając przez Swiczów, gdzie tego dnia odbywał się odpust, gdyż był to 8 września 1865 r., święto Matki Boskiej, zatrzymałem się, aby być na mszy św. Niezmierna była masa ludu i taki ścisk, że gdybym się nie trzymał mego żandarma, to on pewnie by mnie w tej ciżbie nie odnalazł, mogłem więc doskonale umknąć, gdyż jako już zaaresztowany i pod strażą żandarma nie naraziłbym na odpowiedzialność tych, którzy dali za mnie porękę. Lecz nie przyszło mi to nawet do głowy. W Woron-

czynie przenocowałem i zapakowawszy się na nieokreślony termin, na drugi dzień stanąłem w dawnym klasztorze dominikanów w Łucku. Tam rozpoczął się drugi okres mego życia więziennego. Zastałem już tylko bardziej skompromitowanych z trzech powiatów: łuckiego, włodzimierskiego i dubieńskiego, którym groziła surowsza kara. Straż nad nami trzymał pułk kamczacki i ochocki. Była to 11 dywizja piechoty i bateria artylerii. W porównaniu z czynownikami oficerowie byli na ogół grzeczni i uprzejmi, niektórzy, jak Knaute, Amfiłow, dotąd stoją mi w pamięci; wtedy poznałem także z artylerii Puzyrewskiego, późniejszego naczelnika sztabu w Warszawie.

Przesiedziałem w ten sposób cztery miesiące, przez które, nie wiem dlaczego, trzymani byliśmy daleko ostrzej niż ostatnio u trynitarzy. Siedzieliśmy każdy w osobnej celi i w dodatku w takich, gdzie zaprowadzono tak zwane „paraszki" na odchody, które zatruwały powietrze. Klasztor po-dominikański, dwupiętrowy na brzegu rzeki Styr, o kilkanaście zaledwie kroków od niej oddalony, budowany był w ten sposób, że z jednego boku, od dziedzińca, na każdym piętrze był korytarz, na który otwierały drzwi od poszczególnych cel dawnych zakonników. Wszystkie okna wychodziły na rzekę, a ponieważ nie były okratowane, mogliśmy swobodnie z sobą rozmawiać. Wprawdzie szyldwachy, stojące w około, wzbraniali tego grożąc strzelaniem, ale nie zwracaliśmy uwagi na te groźby i nie bez racji, gdyż pomimo ciągłych rozmów, żaden nigdy nie strzelił.

Około świąt Bożego Narodzenia zjawił się Sojmonow, który od czasu zniesienia stanu wojennego sprawował najwyższą władzę w Łucku, oświadczył, że odebrał rozkaz odstawienia nas wszystkich z łuckiego powiatu do Żytomierza na sąd wojenny i zapytał, którego dnia chcielibyśmy wyjechać. Prosiliśmy, aby to mogło nastąpić dopiero po Nowym Roku, który pragniemy jeszcze zacząć z rodziną i przyjaciółmi. Sojmo-

now zgodził się, a ja już tylko wprost od siebie poprosiłem, aby mi pozwolił wyjść do miasta bez wszelkiej straży. Pomimo bliskości granicy i surowości, z jaką nas więziono, polecił oficerowi dyżurnemu, aby mnie na jego osobistą odpowiedzialność wypuścił. Ponieważ nie sądziłem, abym mógł kiedy powrócić do kraju, a bardzo chciałem po raz ostatni pożegnać się z moim Woronczynem, raz wypuszczony, wziąłem konie pocztowe i pojechałem. Zatrzymawszy się parę godzin, podążyłem znowu do Łucka, tak abym mógł wrócić przed zmianą warty, co mi się udało, lecz młody oficer dyżurny, nie widząc mnie wracającego, w obawie odpowiedzialności kazał bębnić na trwogę i poruszył tym całe miasto. Ujrzawszy wracającego więźnia, ogromnie się ucieszył, zaczął się po trzykroć żegnać i żałował swej skwapliwości, ale było już za późno. Posypały się donosy do Kijowa i Sojmonow miał z tego powodu duże nieprzyjemności. Nie było mi to zbyt przyjemne, napisałem więc do niego z przeproszeniem. W odpowiedzi przysłał mi po raz drugi taki sam jak poprzednio rozkaz do dyżurnego oficera, aby mnie wypuścił, dodając przy tym, że przyjemność, jakiej doznaje oddając może po raz ostatni usługę człowiekowi, którego kocha i szanuje, jest daleko większa niż odpowiedzialność, na jaką może się narazić. Naturalnie, nie korzystałem z jego dobrych chęci, lecz dziś, gdy go już dawno nie ma, chcę choć tymi kilkoma słowami uczcić pamięć Sojmonowa.

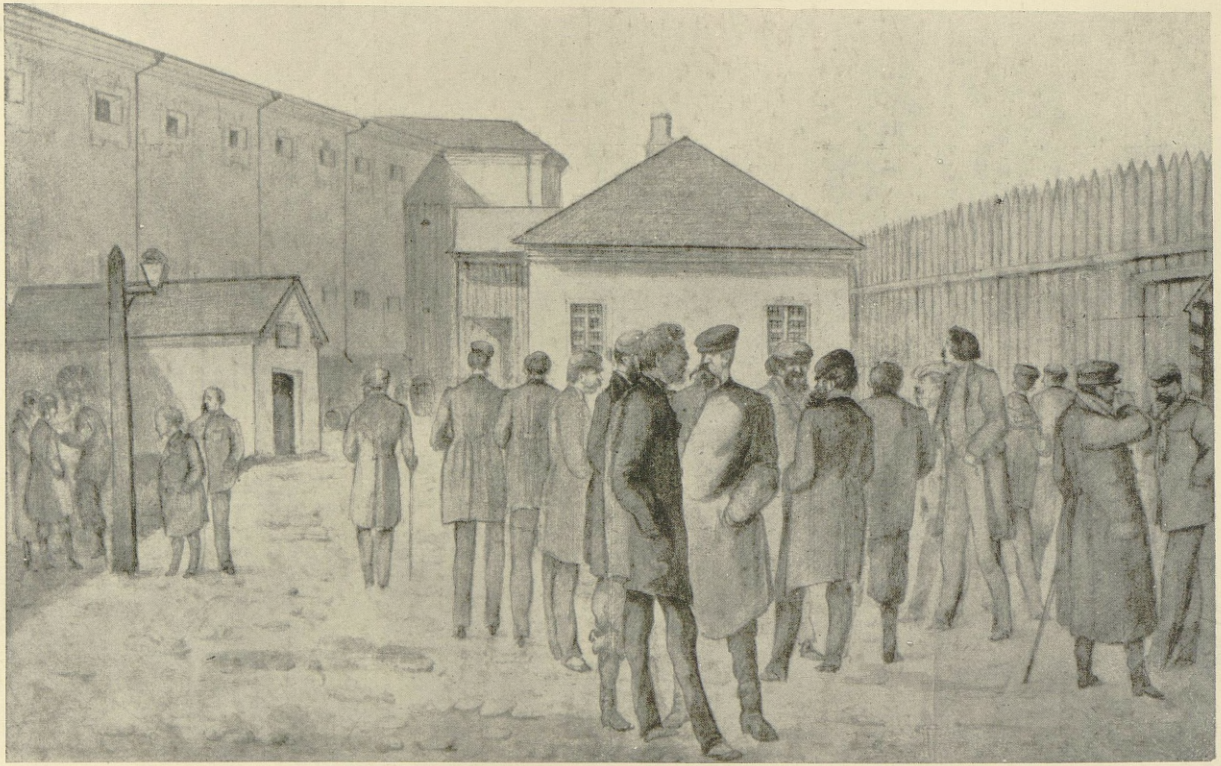
Jednocześnie z wysłaniem aresztowanych do Żytomierza, nałożono sekwestr na nasze majątki. Moje stosunki z miejscowymi włościanami były od początku bardzo dobre i serdeczne, często dawali mi dowody swej życzliwości, w tym przypadku zaś okazali mi jej najwięcej, gdyż razem z miejscowym popem rozebrali pomiędzy sobą wszystkie moje ruchome inwentarze i przetrzymawszy je do czasu spisania urzędowego, po nałożeniu sekwestru, wszystko odnieśli do Nowego Dworu do Tytusa Pomorskiego, mego

sąsiada i wielkiego przyjaciela, który następnie depozyt spieniężył i pieniądze odesłał mi do Irkucka. Nigdy ich wprawdzie nie odebrałem, wszelako nie była to już ich wina, lecz rosyjskich, łakomych na każdą gotówkę urzędników w Irkucku, którzy ją zwędzili.

W dzień, czy dwa po Nowym Roku wyprawiono nas wszystkich z łuckiej organizacji pod eskortą wojenną do Żytomierza. Oprócz rodzin wysłanych, masa ludzi wyległa na ulice, wszyscy patrzyli na nas z współczuciem, zdejmowali czapki, a dość często nawet słychać było płacz i łkanie.

W Żytomierzu zawieziono nas wprost do więzienia, czyli tak zwanej „tiurmy". Mieściła się ona w dawnym klasztorze jezuitów ad hoc przerobionym, kościoła śladu już nie było, a samo więzienie obejmowało długi trzypiętrowy budynek, przed nim był dziedziniec brukowany, a wszystko otoczone ostrokołem na wysokość pierwszego piętra. Przy zaryglowanej bramie, już za ostrokołem, wznosił się niewielki budynek, w którym mieszkał naczelnik więzienia, tak zwany „smotritiel", i mieściła się jego kancelaria. Tam poddano nas najściślejszej rewizji, każdy musiał się kompletnie rozebrać, zrewidowano najpierw ubranie i bieliznę, a potem już osobę samego więźnia. Widząc, jak to się odbywa, Adam Poniatowski zwrócił się do rewidujących żandarmów z prośbą, czyżby nie zechcieli zaczynać od ust, co też uzyskał. Gdy cała ta ceremonia się skończyła, wprowadzono nas do środka i zaprowadzono na pierwsze piętro, zarezerwowane do politycznych przestępców, albowiem parter i drugie piętro zajmowali mordercy, złodzieje, podpalacze etc., jednym słowem wszyscy, należący do kategorii tak zwanych więźniów cywilnych.

I politycznych więźniów nie brakło tu. Między innymi był Józef Michalski, były administrator dóbr Sanguszkowskich. Na niego najwięcej się zawzięto i mordowano na wszelki sposób. Ponieważ prawie cała miejscowa administracja poszła do powstania,



...„W więzieniu w Żytomierzu był dziedziniec otoczony ostrokołem na wysokość pierwszego piętra..." (str. 160).

zabierając broń i konie, komisja śledcza chciała koniecznie dowieść, że to się stało z wiedzą i zezwoleniem ks. Sanguszki, tym sposobem chciano uzyskać możność konfiskaty majątków, co było głównym celem rządu, lecz Michalski tak przyjmował wszystko na siebie, że nie było możności przyczepić się do księcia ostatecznie.

Wobec ustawicznego przeciągania sprawy, zawsze w nadziei osiągnięcia upragnionej konfiskaty, doczekał się Michalski wierzbołowskiego manifestu i, jako jeszcze nie osądzony, został zwolniony od odpowiedzialności i spokojnie wrócił do siebie na wieś. Po powrocie z Syberii odwiedzałem go z wielką radością. Następnie było trzech braci Wieczwińskich: Piotr, Jan i Hipolit, Zapolski z Berdyczowskiego, Domaniewski zdolny rysownik, Adolf Sumowski, „mirowy pośrednik" z łuckiego powiatu. Zbierał on tak zwany podatek narodowy i aby być w zupełnym porządku pisał na karteczce cyfrę i pierwszą literę nazwiska właściciela i nazwy majątku. Przy rewizji złapano przy nim tę kartkę i z łatwością pojąwszy jej znaczenie, osądzono go na mieszkanie w Zachodniej Syberii, a gdy zwolniony wracał do kraju parostatkiem na Obi, utonął wskutek wypadku. Siedział też Piotrowski, doktor z Równego, skąd także było dwóch Żydów, i inni jeszcze, których już nazwisk nie pamiętam. W końcu korytarza szpital, a nad nim na drugim piętrze kaplica obrządku wschodniego, do której w niedzielę i święta przyprowadzano kobiety więzione w oddzielnym budynku. Gdy dozór był słabszy, przynosiły one wódkę w pęcherzach pod spódnicami swoim znajomym i wspólnikom, a ci klęcząc za nimi wydobywali je stamtąd i następnie rozcieńczywszy wodą nam ją sprzedawali, dosypując wroniego oka dla dodania mocy. Był to napój bardzo szkodliwy dla zdrowia. Doktor szpitalny, Kartaszew, młody, bardzo sympatyczny lekarz, bardzo surowo zakazał nam go pić, obiecując w zamian zapisywać

jako lekarstwo czysty bezwodny spirytus, który rozcieńczony wodą nie będzie nam szkodził.

Kryminaliści, a głównie znajdujący się między nimi Żydzi, dostarczali nam oprócz wódki rozmaitych innych przedmiotów: kart, orzechów kokosowych, ołówków, papieru itd. Jednym słowem mieliśmy dostawców, którzy dostarczali wszystkiego, co tylko było zamówić. Naokoło częstokołu, otaczającego gmach więzienny, spacerowali szyldwachy wewnątrz i zewnątrz, naturalnie, że przez częstokół widzieć się nie mogli i zdarzało się nieraz, że obaj znajdowali się po tejże samej stronie. Na trzecim piętrze, jak najwyżej, siedział Żydek, spoglądający przez okno, które, choć zakratowane, pozwalało widzieć co się na zewnątrz działo. Gdy oba szyldwachy znajdowali się obok siebie po obu stronach częstokołu, Żydek krzyczał na cały głos: „kik“ wtedy wspólnik, znajdujący się za częstokołem na swobodzie, rzucał worek napełniony różną kontrabandą. Więźniowie, a szczególnie Żydkowie, urządzali już przed tym gęsty łańcuch: jak tylko worek spadał, w tej chwili chwytał go stojący najbliżej i oddawał następnemu. Nim szyldwach zdołał przybiec, już worek, przechodząc z błyskawiczną szybkością z ręki do ręki, znajdował się na trzecim piętrze w skrytce, których było mnóstwo. Naturalnie, najbliżej stojący szyldwacha Żydkowie obrywali kułaki, szturchańce od niego, ale na to nie zważali, bo czegóż by nie znieśli dla miłego grosza!

Jak wszystko umieli przemycać, niech służy następujący fakt. Przed dwoma miesiącami okradziono sklep jakiegoś czapnika i policja pomimo wszelkich poszukiwań nigdy nie potrafiła odkryć, co się z skradzionymi czapkami stało, wpadły w wodę. Dopiero już w czasie mojego pobytu w więzieniu przy rewizji, nie pamiętam dziś z jakiego powodu, odszukano skrytkę, w której znaleziono dwadzieścia czapek, pochodzących z tej kradzieży. Jakim sposobem się dostały przy rewizji, jak ta, przez którą przechodziliśmy,

a którą poprzednio opisałem, to już rzecz niepojęta. W parę miesięcy po moim przyjeździe, przywieziono do naszego więzienia księdza Dominika Podgórskiego, byłego przeora klasztoru dominikanów w Starym Konstantynowie na Wołyniu. Po kasacie klasztoru dominikanów został on proboszczem parafii kisielińskiej, do której należał Woronczyn, pracował tam przeszło dwadzieścia lat, ogólnie kochany i szanowany. Szczęśliwym trafem ks. Podgórski nie był jeszcze osądzony w chwili zjawienia się manifestu wierzbołowskiego, został więc zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności.

Ojciec mój, zaniepokojony wieściami, jakie o przyszłym moim losie chodziły, pojechał do Petersburga i udał się do hr. Szuwałowa, szefa tak zwanego trzeciego oddziału cesarskiej kancelarii. Ten go bardzo uprzejmie przyjął, ale zupełnie zresztą słusznie oświadczył, że nie może prosić cesarza o ułaskawienie, gdyż, jako jeszcze nieosądzony, mogę się okazać zupełnie niewinnym. Po kilku jednak dniach wezwał mego ojca do siebie i powiedział, że otrzymał pozwolenie napisania listu do generał gubernatora kijowskiego Bezaka z zawiadomieniem, że cesarz życzy sobie, aby członkowie rodziny Czetwertyńskich, w razie gdyby który został zamieszany w powstaniowe sprawy, byli sądzeni w jak najłagodniejszy sposób. Ojciec mój zawiózł ten list do Bezaka, który mu bardzo winszował, oświadczając, że teraz może być zupełnie spokojny, gdyż nic mi już ważnego nie grozi. Odesłał list do generała Czertkowa, który był wołyńskim gubernatorem wojennym, aby go zakomunikował sądowi wojennemu, mającemu mnie sądzić. Tymczasem Czertkow włożył go do szuflady, i odesłał sądowi dopiero po wydaniu wyroku! Bezak nie mógł pojąć co się stało, gdy wyrok przysłano mu do aprobaty i gdy w nim wyczytał, że skazano mnie na całe życie do ciężkich robót. Zmniejszył wprawdzie do ośmiu lat, ale więcej zrobić nie mógł, gdyż jak mi się sam w póź-

niejszych latach tłumaczył, przy tak ciężkim wyroku znaczniejsze zmniejszenie kary byłoby niepodobieństwem.

W ten sposób przesiedzieliśmy pół roku. Najprzykrzejszą rzeczą było to połączenie nas jakby w wspólnym życiu towarzyskim z rozmaitego gatunku zbrodniarzami. Wprawdzie pierwsze piętro gmachu przeznaczono wyłącznie dla „politycznych", lecz nie sposób było wyjść na dziedziniec, aby odetchnąć świeższym powietrzem, bez zetknięcia się z tego gatunku kolegami i pomimo woli wypadało zawierać znajomości. Ciągle trzeba było się pilnować. Gdy raz spacerowałem po dziedzińcu, Żydek Katz, znany złodziej, wyciągnął mi chustkę z kieszeni, gdyż nic innego nie miałem. Schwyciwszy jego rękę przeszkodziłem zamierzonej kradzieży, a za karę palnąłem go kułakiem w zęby, oprócz tego został obity przez własnych towarzyszy za zamiar, jak mówili, okradzenia więziennego kolegi, prędzej jednak za to, że dał się złapać, co u złodziei uważane jest za największy wstyd. Było wtedy w więzieniu dwóch sławnych zbójów: Porfiry i Michałko. Za co ich uwięziono tego nie wiem, lecz trzęśli całym więzieniem, nad którym sprawowali jak gdyby dyktaturę. Ich rozkazy były święcie wykonywane, stali w ciągłej styczności ze zbrodniarzami znajdującymi się na swobodzie, wspólnie z nimi układali różne wyprawy, nie tylko w bliższych okolicach, lecz i w dalszych. Gdy się dowiedzieli, że jestem skazany do ciężkich robót, zaproponowali mi, że jeśli zobowiążę się wypłacić im 500 rubli, to urządzą napad na konwój między Kmitowem a Korestyszowem, odbiją mnie i przeprowadzą do granicy mołdawskiej. Nie skorzystałem z tej propozycji, gdyż po pierwsze mogłem być zabity w chwili walki z konwojem, a powtóre zbóje mogli mnie sami z łatwością zamordować, aby bez kłopotu zabrać owe 500 rubli, które musiałbym mieć przy sobie na wypłatę po przej-

ściu granicy; zważywszy to wszystko nie zgodziłem się na proponowaną organizację ucieczki.

Gdy sprawa moja przybrała groźny dla mnie obrót, zjawili się u mnie Żydzi, którzy dzierżawili Kulikowicze z propozycją podpisania kontraktu, zapewniającego im dzierżawę na lat 12 i na sprzedaż lasu. O cenę mieli umówić się z moim ojcem. Będąc przekonany o mającej lada chwilę nastąpić konfiskacie, sądziłem, że bez ryzyka mogę się na to zgodzić, tymczasem przyszłość okazała, że się omyliłem. Gdy niespodziewanym sposobem zwrócono mi skonfiskowane majątki w 1874 roku, Żydzi na zasadzie podpisanej poprzednio przeze mnie umowy, wystąpili z pretensjami. Naturalnie, do sądów rządowych udawać się nie mogli, lecz koniecznie żądali rozsądzenia sprawy przez sąd polubowny. Znudzony, ostatecznie się zgodziłem, oni na swego arbitra wybrali jednego z miejscowych obywateli, ja zaś drugiego. Otóż ci panowie, ze względu na to, że Żydzi zgodzili się na sąd obywateli, katolików i Polaków, uważali, że zasługują, dla przykładu, aby im choć cokolwiek przyznać i pomimo całej bezzasadności pretensji, którą zresztą sami uznali, kazali mi wypłacić natrętom kilkanaście tysięcy rubli.

VII.

ETAPEM NA SYBIR. DROGA DO TOMSKA

Pod koniec czerwca zostałem wezwany do sądu wojennego dla wysłuchania wyroku, który prezydujący pułkownik Korycki odczytał donośnym głosem. Zostałem skazany na 8 lat ciężkich robót, po czym na resztę życia na „posielenie", z pozbawieniem praw stanu i konfiskatą majątku. Chciałem ów wyrok sam przeczytać, a gdy mi odmówiono, odmówiłem podpisania się, jak tego prawo wymaga, gdyż nie mogę podpisywać rzeczy, których sam nie czytałem.

Moje oświadczenie nic jednak nie obeszło pana pułkownika. W parę tygodni potem przyjechał do Żytomierza generał Bezak, odwiedził nasze więzienie i wtedy spytałem się go, jak zostałem osądzony. Bardzo go to pytanie zadziwiło, zapytał się, czy dekret nie był mi objawiony, gdy zaś pułkownik Korycki odpowiedział, że przeciwnie, powiedziałem, że nie mam żadnego zaufania do tego, co czytał pułkownik, gdyż nie dozwolił mi samemu przeczytać, jak tego prawo wymaga, wskutek czego nawet go nie podpisałem. Wtedy zaczął się Bezak na pułkownika gniewać, a gdy ten się tłumaczył, ofuknął go i powiedział: „Proszę spełniać co prawo nakazuje, a nie postępować według osobistych swoich poglądów", — po czym powiedział do mnie, że jestem osądzony do ciężkich robót na lat osiem, ale że będzie tylko cztery, wskutek manifestu wydanego w Wierzbołowie. Gdy później już w Irkucku nie chciano mi tego zmniejszenia przyznać twierdząc, że manifest był przed wyrokiem wydany i że Bezak już przy zatwierdzeniu wyroku go zastosował, napisałem do niego, przypominając to, co mi w Żyto-

mierzu powiedział. Wtedy Bezak kazał zawiadomić generał-gubernatora Wschodniej Syberii, że wcale manifestu nie stosował i że zmniejszenie kary o połowę słusznie mi się należy, o czym mnie zaraz oficjalnie zawiadomiono. Obawiając się bardzo drogi etapowej, która lata całe trwała i o której najstraszniejsze rzeczy opowiadano, poprosiłem Bezaka o pozwolenie odbycia jej do Tobolska na własny koszt, to jest pocztą, w asystencji żandarmów. Od razu się zgodził i polecił asystującemu sobie urzędnikowi, aby mu przypomniał o wydaniu odpowiedniego pozwolenia. W dzień św. św. Piotra i Pawła w 1866 roku, około południa, wyruszyłem w daleką podróż, kazawszy sobie przedtem wyrwać ząb, który mi zaczynał dokuczać, obawiałem się bowiem, aby w drodze ból się nie powiększył, gdy już nie będzie możności uciec się do tego radykalnego środka.

Wyjechaliśmy we trzech: Narcyz Żeromski, Ludwik Młodzianowski i ja, tegoż samego dnia dopędził nas Ludwik Żytyński; każdy z nas jechał z dwoma żandarmami i na oddzielnej „perekładnej", tak zwanej z powodu, że na każdej stacji pocztowej zmienia się ją i przekłada się rzeczy. Z całej drogi z Żytomierza do Moskwy dwie rzeczy mi utkwiły w pamięci; najprzód ogromne uczucie tęsknoty i smutku, gdy wieczorem przejeżdżając przez gubernię mohylewską zatrzymaliśmy się przed budynkiem pocztowym na stacji Swięckopol. Naprzeciwko był dom otoczony parkiem, na ganku stał na stole kipiący samowar, a wokoło zapewne rodzina miejscowego właściciela, wszystko to wyglądało tak swojsko, tak po naszemu, że aż mnie to rozrzewniło, gdy porównałem ten spokój, to życie wiejskie z własnym losem i pomyślałem o tym wszystkim, co mnie jeszcze czeka! Drugim wypadkiem, już w zupełnie innym rodzaju, było niby zaproszenie na obiad. Nie bardzo już daleko od Moskwy, eskortujący nas żandarm zapytał, czy nie zechcemy zjeść obiad na stacji Naryszkino, gdzie właści-

ciela obecnie nie ma, ale jego kucharz może nam przygotować obiad, jeśli się go tylko wcześniej zawiadomi. Zgodziliśmy się na propozycję i rzeczywiście dostaliśmy na stacji obiad nadzwyczajny, z owocami na deser, jakby gdzieś na Riwierze, winogrona, brzoskwinie itd., w początkach lipca i to pod Moskwą.

Im bardziej jechaliśmy dalej, tym noce stawały się jaśniejsze, tak że pod Moskwą prawie już ich nie było. — Do Moskwy przybyliśmy około drugiej po południu. Zawieziono nas na dworzec kolejowy, gdzie przez kilka godzin należało czekać na pociąg do Niżnego. Wtedy wyszło na jaw złodziejstwo eskortujących nas żandarmów. Ponieważ jechaliśmy na własny koszt, wszystkie warunki podróży były wymienione w wydanej im instrukcji. Wyraźnie tam zastrzeżono, że w pociągach kolei żelaznej i na parostatkach mamy jechać drugą klasą, tymczasem żandarmi wsadzili nas do zamkniętego na klucz wagonu więźniów kryminalnych z maleńkimi u góry zakratowanymi okienkami, a ponieważ w zwykłych etapowych transportach biletów dla więźniów się nie kupuje, więc wszystkie na ten cel złożone przez nas pieniądze pozostały w ich kieszeni. Tak samo się urządzili na parostatku, na którym jechaliśmy z Niżnego do Permu. Zamiast w drugiej klasie, umieścili nas w czwartej, na pomoście, gdzie byliśmy wystawieni na zimno i niepogodę. Dotąd żałuję, żem tych pieniędzy od nich nie odebrał, bo gdybym po przybyciu do Tobolska, zaskarżył ich przed pułkownikiem Zarankiem, naczelnikiem żandarmów tobolskiej guberni i podobno — jak mi mówiono — porządnym człowiekiem, byłby niezawodnie kazał mi je wrócić i w dodatku pewnie by ich za podobne złodziejstwo ukarał, lecz tak byłem kontent, żem się nareszcie spod ich władzy uwolnił, że dałem spokój.

Druga z Moskwy do Niżnego była okropna. Wagon napełniony rozmaitymi zbrodniarzami, ścisk i zaduch nie do opisania, a w dodatku stojące w rogu „parasz-

ki" do wygody potęgowały go jeszcze bardziej, ławki wąziutkie, na których trudno było wysiedzieć, a o wyciągnięciu się ani marzyć nie było można. W ten sposób, po piętnastu godzinach drogi przybyliśmy do Niżnego. Tam dopiero otworzono wagon i przeprowadzono nas na parostatek, idący przez Kazań, Wołgą i Kamą do Permu. Jak już mówiłem, umieszczono nas na „pałubie", to jest pomoście, który po całonocnej podróży koleją wydał się rajem. Płynęliśmy pięć dni między wspaniałymi brzegami Wołgi i Kamy. Jacyś poczciwi kupcy zaprosili nas na śniadanie, złożone z prowizji, którą z sobą wieźli. Naturalnie z rozkoszą przyjęliśmy zaproszenie, lecz ledwie zasiedliśmy, żandarmi na nas napadli, a raczej na naszych amfitrionów, że ośmielili się nas zaprosić, jesteśmy bowiem państwowymi przestępcami, do których przystęp jest surowo wzbroniony, tak że świeżutki kawior i inne przysmaki, już na stole rozłożone i przygotowane, mignęły nam tylko przed oczyma i musieliśmy odejść od gościnnego stołu na drugi koniec parostatku, gdzie nie było nikogo.

Podróż wodą byłaby wcale znośną i nawet przyjemną, gdyby nie jedna okoliczność: ponieważ wyjechałem z Żytomierza 29 czerwca w najgorętszą porę roku, wybrałem się w drogę w białym pikowym ubraniu z burką na zapas, na wypadek niepogody. Do parostatku wszystko było dobrze, lecz na Wołdze i Kamie, w dzień było bardzo gorąco, lecz w nocy, a szczególnie nad ranem robiło się zupełnie zimno. Ponieważ żandarmi ulokowali nas w czwartej klasie, to jest na pomoście parostatku, gdzie były tylko ławki drewniane i w dodatku tak prążkowane, jak u nas bywają w ogrodach, podkładałem pod siebie na noc burkę, aby złagodzić twardość posłania, lecz wskutek mego pikowego ubrania zimno strasznie dokuczało, okryłem się więc burką, a wtedy znowu ból w kościach nie pozwalał mi zasnąć. Burka przez całą noc, co chwilę zmieniała swe przeznaczenie, raz była kołdrą,

a raz materacem, lecz te ciągłe zmiany nie dawały mi spać, z niecierpliwością więc oczekiwałem słońca i jego dobroczynnego ciepła. Zaraz po pierwszej tak przebytej nocy, udałem się do kapitana statku z prośbą, aby mi pozwolił wydobyć z kufra cieplejsze ubranie, ten jednak wręcz odmówił twierdząc, że mój kufer wysłano jako bagaż do Permu i tam dopiero będzie mi wydany. Musiałem więc tak biedować do końca.

Do Permu przybyliśmy pod wieczór. Gnani przez żandarmów, musieliśmy zaraz puścić się na noc „perekładnymi" w dalszą drogę. Jechaliśmy dzień i noc tak zwaną „wolną pocztą", którą utrzymują miejscowi włościanie. Konie mają doskonałe i niezmiernie wytrzymałe. Gdy się jedzie z góry, z dzikim wrzaskiem „hej z gorki na gorku, dast barin na wodku", lecą na złamanie karku. Moi żandarmi spali jak zabici, lecz dla mnie było to niepodobieństwem i ten brak snu dokuczał mi ogromnie. Tak dojechaliśmy do gór Uralskich, których wcale domyślić się nie można i gdyby nie pomnik graniczny z napisem „Europa" z jednej, a „Azja" z drugiej strony, nikt by o nich nie wiedział. Pomnik ten cały pokryty napisami, najwięcej na nim polskich, naturalnie i ja swoje wypisałem, może kto kiedy je tam przeczyta. Tysiąc wiorst, oddzielających Perm od Tobolska, przebyłem w pięć dni, jadąc dzień i noc. Ogromnie mnie ta droga zmęczyła, na tej obrzydliwej „perekładnej" w żaden sposób zasnąć nie mogłem i z zazdrością patrzyłem na moich żandarmów, którzy ciągle chrapali. Przejeżdżałem przez dwa powiatowe miasteczka, Kungur i Kamyszłów, niczym się nie odznaczające; opowiadano mi tylko okrojności, jakie w tamecznych szpitalach wyprawiano z przechodzącymi tamtędy etapem Polakami; jak mówiono, setki ich tam umierało, do czego przyczyniały się dużo nie tylko nieporządki, lecz i chciwość służby szpitalnej. Jeden tylko Ekaterynenburg byłby ciekawy do obejrzenia, lecz nie podróżu-

jąc w charakterze turysty, nie byłem w możności zapoznać się bliżej z miastem.

Pędzimy więc dalej. Za Ekaterynenburgiem zjeżdża się z podwyższenia uralskiego i zaczynają się bagna, po których jedzie się po kłodach położonych w poprzek drogi. Nic okropniejszego nie można sobie wyobrazić jak ta droga, a trwa ona pewno do stu wiorst. „Perekładna" skacze po tych kłodach, spadając ciągle, to na prawo, to na lewo, a moi żandarmi śpią, kiwają się wprawdzie przeraźliwie, ale śpią. Raz już nie wytrzymałem i przy przechyleniu się „perekładnej" w stronę siedzącego przy mnie podoficera żandarmskiego, który najwięcej mi dokuczał, pchnąłem go w bok i wyleciał z „perekładnej". Nic mu się nie stało, ale nigdy się nie domyślił, że to ja dopomogłem do wytrącenia go z równowagi, a ja, widząc go w błocie, miałem choć chwilową satysfakcję. W drodze przejeżdżałem niedaleko Talicy, wspaniałej, jak mówią, rezydencji Alfonsa Kozieł-Poklewskiego. Był to niepospolity człowiek. Przyjechawszy na Syberię z niewielkim stosunkowo funduszem, dorobił się znacznego majątku, którego używał jak najszlachetniej. Alfons Fomicz był prawdziwą opatrznością zesłanych Polaków i zasłużył sobie na wdzięczną pamięć rodaków.

Przejechawszy handlowe miasto Tiumeń, dotarliśmy ostatecznie do Tobolska. Tam rozłączono nas z Ludwikiem Młodzianowskim, jako zesłanym na mieszkanie do Tobolska. Zaraz został zwolniony ze straży. Ostatni raz go wtedy widziałem. Był to człowiek wielkiej zacności i nieposzlakowanej prawości charakteru. Nas trzech zawieziono naturalnie do więzienia, czyli do tak zwanego „tiuremnego zamku", który sprawił na mnie nadzwyczaj miłe wrażenie, tak jak gdybym zajechał do porządnego jakiego hotelu. Gdy szyldwach zadzwonił, wyszedł naczelnik więzienia, tak zwany „smotritiel", uśmiechnięty i ugrzeczniony. Gdy żandarmi oddali mu moje papiery i zapro-

ponowali rewizję moich rzeczy i osoby, ofuknął, że to do nich nie należy, że tu Azja, a oni zanadto przywykli do Europy i do jej zwyczajów i niech wracają nazad, skąd przyjechali. Po czym, zwróciwszy się do mnie z największą uprzejmością, zapytał, gdzie wolę mieszkać, czy na ogólnej szlacheckiej sali, czy też w oddzielnych numerach i czy z rana piję kawę, czy herbatę. Zawiadomił mnie przy tym, że w więzieniu jest wcale niezły kucharz, który więźniów stołuje za umówioną, umiarkowaną cenę. Przyjąwszy to wszystko do wiadomości, udałem się z nim do oddzielnych numerów i w jednym z nich umieszczono mnie bez zamykania i bez wszelkich więziennych formalności. Umeblowanie numeru nie było zbytkowne, lecz dostateczne i, co najważniejsze, czyste, tak że po tej ostatniej części podróży, która mnie tak umęczyła, ujrzawszy tapczan z siennikiem, na którym będę mógł się przespać, uczułem stan błogiego zadowolenia.

Sądzę, że względność, z jaką przyjmowano w Tobolsku zesłanych Polaków, spowodowana była usposobieniem gubernatora Aleksandra Despot - Zenowicza, którego życzliwość dla zesłańców oddziaływała naturalnie na jego podwładnych. Nie mogę się wstrzymać, aby nie zacytować choć paru jej przykładów, gdyż człowiek ten zasłużył, aby pamięć o nim przetrwała w kraju dłużej, niż jego życie. Wszystkich zesłanych, pędzonych zwykłym porządkiem etapowym, wieziono w lecie już od Tiumenia wodą, na tak zwanych barżach aresztanckich, holowanych parostatkami. Otóż przy przewozie jednej z takich partii, czy przez niedbalstwo, czy też po prostu przez złodziejstwo, zabrakło w ostatnim dniu podróży pożywienia dla zesłańców, którzy wskutek tego podnieśli straszny hałas, domagając się natarczywie chleba. Oficer, prowadzący partię, zatelegrafował do Tobolska zawiadamiając o buncie, z prośbą o przedsięwzięcie środków dla poskromienia buntowników i aby policmajster zażądał pomocy wojskowej dla otoczenia bar-

ży, gdy przybędzie, i ukarania winnych. Gubernator Despot-Zenowicz, dowiedziawszy się o tym, odmówił i oświadczył, że sam na siebie bierze uspokojenie tak zwanych buntowników. Pojechał na brzeg rzeki na spotkanie barży, przywiózł z sobą masę bułek, chleba, sera, wędliny i innych pokarmów, a przy tym zabrał z sobą kilka worków korespondencji z kraju, oczekującej w Tobolsku na przejeżdżających zesłańców. Gdy się barża zjawiła i podniósł się na niej krzyk zgłodniałych, przemówił do nich bardzo serdecznie po polsku mówiąc, że wie o nadużyciach, że poszle zaraz do Tiumenia swego zaufanego urzędnika dla przeprowadzenia śledztwa, z czyjej winy zabrakło pożywienia, i winnych surowo ukarze, tymczasem zaś ofiaruje im przywiezione przez siebie zapasy dla zaspokojenia pierwszego głodu, a wiedząc jak są spragnieni wiadomości od najbliższych z kraju, przywiózł z sobą całą korespondencję, aby każdy mógł wyszukać listy do siebie adresowane. Tym sposobem uspokoił całe zajście i wszyscy uradowani takim przyjęciem spokojnie udali się do więzienia z okrzykiem „niech żyje gubernator".

Drugi wypadek był następujący: przybył do Tobolska zesłany na mieszkanie uczeń Konserwatorium Warszawskiego, którego nazwiska nie pamiętam, a którym Zenowicz bardzo się zainteresował. Ponieważ w całym Tobolsku nie było wcale nauczycieli muzyki, obiecywał mu przyzwoite bardzo utrzymanie z lekcji, a chcąc, aby się dał poznać, poradził dać koncert publiczny i sam zajął się rozsyłaniem biletów. Gdy przyszedł oznaczony wieczór, młody koncertant który nigdy publicznie nie występował, a przy tym był bardzo nieśmiały, obawiał się, że nie potrafi z zadania się wywiązać, ktoś z kolegów, na nieszczęście poradził mu wypić kieliszek wódki dla rezonu. Gdy zasiadł do fortepianu, gorąco na sali i wypita wódka tak go rozebrała, że nie był w stanie zagrać. I zrobił się hałas w sali, że koncertant się upił, na co rzeczy-

wiście wyglądało. Zenowicz wściekły wskoczył na estradę, złajał go i obiecał wysłać do Berezowa dla wytrzeźwienia. Biedny chłopiec tak to odczuł, że wróciwszy do domu poderżnął sobie brzytwą gardło. Ten wypadek tak oddziałał na gubernatora, że zamknął się u siebie i nikogo przez jakich trzy tygodnie nie chciał widywać, a gdy po tym czasie przyjął u siebie podwładnych urzędników, którzy zaczęli go pocieszać i radzili, aby tak się nie przejmował tym nieszczęśliwym wypadkiem, ofuknął się na nich dodając przy tym, że powinni z tego przekonać się o wyższości Polaków nad Rosjanami, mówiąc: „Polak raz się upił i z desperacji się zarżnął, a wy ciągle się upijacie i żaden z was o tym nigdy nawet nie pomyślał".

Między zesłanymi do Tobolska było dużo skazanych tylko na mieszkanie, bez pozbawienia jakichkolwiek praw. Byli niektórzy zaszczyceni specjalnymi względami Zenowicza; gubernator ciągle z nimi obcował, a jak wyjeżdżał na objazd guberni, zawsze brał z sobą jednego lub dwóch w drogę. W jednym z takich objazdów nie zastał w powiatowym mieście miejscowego naczelnika Polaka, który musiał wyjechać na śledztwo w sprawie popełnionego morderstwa w oddalonej części swego powiatu. Wszystko jednak było przygotowane na przyjęcie gubernatora. Na obiad były raki, których jak wiadomo w Syberii nie ma. Otóż po skończonej wizycie Zenowicz napisał do ministra raport o dokonanej przez siebie rewizji powiatu i kazał go zaadresować jednemu z będących przy nim Polaków. Ten zaś napisał od siebie podziękowanie za przyjęcie i pozdrowienie wierszem dla nieobecnego naczelnika. List zaczynał się od słów: „O ty, który wiesz, gdzie zimują raki", lecz pomylił się i wsadził swoje wiersze do koperty zaadresowanej do ministra, a raport do tej, która była przeznaczona dla naczelnika powiatu. W pół roku później odbiera Zenowicz zapytanie z ministerstwa, co znaczy odebrany pakiet

z wierszami w języku polskim i wtedy dopiero omyłka wyszła na jaw.

Na święta wielkanocne zaprosił Zenowicz wszystkich Polaków, swoich faworytów, na święcone i podzieliwszy się z nimi święconym jajkiem, poszedł na nabożeństwo do cerkwi. Ponieważ po nabożeństwie miał przyjmować wszystkie figury urzędowe, prosił, aby zostawili dość jedzenia i picia na ich przyjęcie. Tymczasem goście tak się zawinęli, że wysuszyli prawie wszystko przygotowane wino. Gdy to Zenowicz po powrocie zobaczył, wyłajał ich i kazał im robić co chcą, byle wino było. Rozlecieli się po mieście w poszukiwaniu, co było bardzo trudne, gdyż w pierwsze święto Wielkanocy, wszystkie sklepy były zamknięte. Ostatecznie jednak wino wynaleźli w ostatniej chwili.

Ja sam z dobrego usposobienia gubernatora nie tylko nic nie skorzystałem, ale nawet odniosłem szkodę. Nie zastałem go w Tobolsku, wyjechał bowiem na objazd guberni, lecz uprzedzony o moim przyjeździe, zostawił rozporządzenie według zwykłej formy, aby mi wszystko było dozwolone, na co tylko prawo pozwala, a że w Rosji litera prawa jest daleko surowsza od zastosowania w praktyce, byłem surowiej traktowany niż koledzy, których zastałem w więzieniu tobolskim. Co dzień wychodzili, przechadzali się po mieście bez straży, kiedy mnie na krok nawet nie wypuszczano, tłumacząc to tym, że gubernator jest o moim pobycie powiadomiony i polecił mnie traktować wyjątkowo dobrze, lecz w granicach przez prawo przepisanych.

Wracając po uwolnieniu z ciężkich robót, zatrzymałem się w Tobolsku, lecz Zenowicz już został mianowany członkiem Rady ministra spraw wewnętrznych i przeniósł się do Petersburga, gdzie zamieszkał w domu Poklewskich na Fontance. Później, bywając w Petersburgu, poznałem go osobiście, na pół już sparaliżowany, był bardzo rad, gdy odwiedzano.

Z Tobolska pamiętam dwie interesujące rzeczy:

pomnik Jermaka, który zawojował Zachodnią Syberię dla Rosji, armaty i stosy kul do nich, ustawione na placu przed pałacem gubernatora. Z początkiem wojny krymskiej, powieziono je do Petropawłowska dla obrony stolicy Kamczatki przed flotą angielską. Dowieziono je do Tobolska, gdzie zastał je zawarty pokój i tam już pozostały.

Zastałem w więzieniu tobolskim dra Felicjana Jachimowicza z żoną i małą córeczką, Rózią; on nadzwyczaj miły i sympatyczny, podobno po powrocie do kraju założył zakład leczniczy na Limanach pod Odessą, który cieszył się wielkim powodzeniem. Dalej spotkałem Masałowa z żoną, który pono pracował przed zesłaniem w bibliotece uniwersytetu w Moskwie, Maksymiliana Oborskiego, właściciela Proszewa pod Siedlcami i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam, szczególniej, że zamieszkiwali ogólną salę, dość oddaloną od naszych numerów. Byli oni prawie wszyscy zwolnieni z rot aresztanckich wskutek manifestu wierzbołowskiego i dążyli na posielenie w rozmaitych miejscowościach Zachodniej i Wschodniej Syberii. Od kolegów, których zastałem w Tobolsku dowiedziałem się o wojnie prusko-austriackiej i o bitwie pod Sadową (Koenigraetz), w której 6 lipca 1866 Prusacy pobili na głowę Austriaków. Wszystko to się stało w czasie mojej podróży między Żytomierzem i Tobolskiem, o niczym więc nie wiedziałem.

Wielka ilość zesłanych starała się zostać jak najdłużej w Tobolsku, gdyż słysząc o zamierzonym małżeństwie następcy tronu spodziewali się manifestu, pozwalającego na powrót do kraju, i chcieli tym sposobem skrócić sobie powrotną drogę, ja zaś, nie mając żadnych złudzeń, chciałem się dostać jak najprędzej do stałego miejsca pobytu, toteż postanowiłem wyjechać pierwszym parostatkiem odchodzącym do Tomska. Za jaki tydzień, jeden z nich miał odchodzić i tym postanowiłem wyjechać. Trzeba było pomyśleć

o prowizjach na drogę, która trwać miała przeszło trzy tygodnie. W Tobolsku zastałem dwóch moich kolegów z Instytutu Szlacheckiego: Konstantego i Zenona Łęskich, mieszkających na wolnej stopie. Oni zajęli się kupnem wszystkiego, czego było na drogę potrzeba. Nakupili herbaty, cukru, masę rozmaitych wędlin, suchego bulionu, prasowanych jarzyn, bułek itd. Dołączyli do tego serki litewskie, którymi, jak się później dowiedziałem, sami handlowali, mając w Tobolsku sklep spożywczy, do którego przysyłano im z kraju rozmaite produkty na sprzedaż. Między innymi i te serki,które widocznie wielkiego odbytu nie miały, gdyż te, co mi dali na drogę, trzeba było rąbać siekierą, żadnym nożem nie można było ich rozkroić, ostatecznie jednak zjadłem wszystkie.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Wyprowadzono nas na brzeg rzeki Irtyszu, którym mieliśmy płynąć na północ, aż do jego ujścia do Obi. Było około siódmej wieczór. Parostatek holował dwie ogromne barże, jedną napełnioną towarami, drugą zaś, tak zwaną aresztancką. Jachimowicz i Masałow, jako jadący z żonami, otrzymali miejsce na parostatku, Oborski zaś, Żytyński, Żeromski i ja, jako nieżonaci, umieszczeni zostaliśmy na barży wraz z jadącymi na „posielenie", o których była mowa wyżej. Dobrze się już ściemniło, gdyśmy się dostali do barży. Była pokryta pomostem, a całe wnętrze przecinał wąski korytarz, do którego trzeba było schodzić po drabinie, a wzdłuż którego cały dół podzielony był na dwa piętra, jakby obecne „sleepingi" kolejowe, gdy się wyższe łóżka podniesie. Cała ta przestrzeń była podzielona wszerz przepierzeniami na trzy części. W środkowej pomieszczono więźniów politycznych, po prawej stronie kobiety kryminalistyki, po lewej kolegów płci męskiej. Wszystkich razem było nas około pięciuset osób. Ponieważ u góry było daleko goręcej niż na dole, wybrałem dół, lecz wyszły na jaw rozmaite niedogodności, o których wolę zamilczeć, na drugi dzień zaraz przeniosłem się

więc na górę pod okienko od barży, wielkości szyby u zwykłego okna. Tam urządziliśmy sobie z Żytyńskim zupełnie elegancki pokoik. Z dwóch stron powiesiliśmy nasze własne dywaniki, które stanowiły jakby ścianę, oddzielającą nas od towarzyszy podróży. Między naszymi posłaniami stanął ogromny kufer Żytyńskiego, służący nam za stół. Byłoby wcale nieźle, gdyby nie konieczność ciągłego leżenia lub siedzenia.

Chcąc stanąć na nogach, wypadało zejść na korytarz i tylko chodząc po nim, lub po pomoście, można było sobie przypomnieć, że się w ogóle ma nogi. Był między nami francuz Dumortier, którego tytułowaliśmy kapitanem, lecz zdaje się, że w swoim kraju zajmował daleko skromniejsze stanowisko podoficera. Zajmował się on naszą kuchnią, odbierał od oficera, prowadzącego etap, nasze „karmowe" pieniądze, wynoszące dziennie po 15 kopiejek od osoby, i za nie urządzał dla nas obiady, z pewnym małym zyskiem dla siebie. Mięso mieliśmy własne. Przy wyjeździe z Tobolska załadowano na barżę bydło, mające służyć na nasze pożywienie aż do miejsca, gdzie można by je nabyć znowu. W drodze było ono prawie niekarmione, toteż szczególnie pod koniec mięso było bardzo złe. Z pomiędzy kolegów minorum gentium wybraliśmy jednego młodego chłopaczka, który za bardzo skromnym wynagrodzeniem podjął się nastawiania naszego własnego, kupionego w Tobolsku samowara, czyszczenia obuwia, ubrania i różnych drobnych posług. Gdyśmy rano pili herbatę, Oborski przyszedł nas prosić o gorącą wodę z samowaru, w której drobił kawałki czarnego chleba i taką papkę zajadał na śniadanie. Dowiedziałem się, że robi to z braku wszelkich funduszów na kupno cukru i herbaty. Zaproponowałem mu więc małą pożyczkę, odmówił motywując, że nie ma żadnej pewności, aby mógł ją kiedykolwiek zwrócić, lecz gdy zacząłem nalegać, zgodził się ostatecznie na przyjęcie 25 rubli, które zresztą zwrócił po przybyciu do Irkucka, gdzie zastał czekające nań pienią-

dze. Później, gdy po ułaskawieniu wróciłem do Warszawy, zaszedłem, szukając mieszkania, do domu na Nowym Świecie, na którym wisiała karta o niezajętym mieszkaniu. Bardzo mi się ono podobało, lecz mając mało pieniędzy, musiałem się z wydatkami liczyć. Zaszedłem do właścicielki domu p. Rakowskiej, proponując jej 200 rubli rocznie, na co za nic nie chciała się zgodzić twierdząc, że mieszkanie warte jest daleko więcej, co zresztą było zupełnie słuszne. Tłumaczyłem jej, że wróciwszy tylko co z Syberii, mało mam pieniędzy i więcej na mieszkanie wydać nie mogę, wtedy spytała się mnie o nazwisko, po czym natychmiast wynajęła mieszkanie nie tylko za ofiarowaną przeze mnie cenę, lecz jaką zechcę sam płacić, mówiąc, że uratowałem życie jej bratu, czuje się więc szczęśliwą, że choć w części może się za to odwdzięczyć. Pokazało się, że była to siostra Oborskiego, którego listy do rodziny były przepełnione wdzięcznością dla mnie za okazaną mu w drodze sybirskiej przysługę.

Od Tobolska płynęliśmy ciągle na północ i temperatura ochładzała się coraz bardziej, dopiero osiągnąwszy Ob, skierowaliśmy się na południe. Brzegi Irtyszu i części północnej Obi, szkaradne, błotniste tundry porosłe jak okiem zajrzeć bujną trawą, wśród której przezierały od czasu do czasu jakieś mizerne krzaczki. Na nadbrzeżnych piaskach odznaczały się niby namioty koczujących Ostiaków. Jak tylko parostatek się zbliżał, Ostiacy podjeżdżali doń na swych czółenkach, podwożąc na sprzedaż ryby nie za pieniądze, lecz sposobem zamiennym za potrzebne im przedmioty. Ryby były wyśmienite, o takich w Europie mało mamy pojęcia: sterlety, nelmy, moksuny, nie mówiąc już o łososiach, jesiotrach, bieługach itd. Zjeść to wszystko, co podwożono, było niepodobieństwem, toteż cały pomost był zawalony rybami rozpłatanymi i rozwieszonymi na słońcu, aby wyschły i już wysuszone mogły służyć za pokarm. Manipula-

cja ta, zresztą bardzo praktyczna, zatruwała nam powietrze, gdyż na całym pomoście było czuć tylko rybę. Z dziwną zręcznością podwozili nam Ostiacy tę rybę. Parostatek wcale się nie zatrzymywał i całą zamianę trzeba było załatwiać sztukami akrobatycznymi, gdyż wysokość barży nie pozwalała na bezpośrednie zetknięcie się z ich łódkami, przy czym ruch barży ciągle je przewracał i co chwila Ostiacy wpadali do wody i zaraz z niej wyskakiwali. Jednej nocy mieliśmy ogromną emocję; około drugiej w nocy obudził nas silny wstrząs naszej barży, która z ogromnym trzaskiem przechyliła się i zdawało się, że tonie. Wszyscy powyskakiwali z pościeli, aby się ratować. Barża zatrzymała się, na bok pochylona i w tej pozycji została do rana. Wtedy pokazało się, że w tym miejscu rzeka zaginała się na prawo pod bardzo ostrym kątem, a że parostatek holujący nas płynął za blisko brzegu, barża nasza płynąca na końcu zrobiła za wielki łuk i wlazła na brzeg zalany wodą, lecz porośnięty rozmaitymi drzewami i krzewami, wśród których, łamiąc je wokoło, stanęła. Z rana parostatek zawrócił, wyciągnął nas z powrotem na koryto rzeki, po czym bez szwanku puściliśmy się w dalszą drogę. Pewnego dnia, oficer konwojujący przyszedł nas zawiadomić, że naczelnik Wewnętrznej Straży Zachodniej Syberii, jadący parostatkiem do Tomska, zwiedzi naszą barżę, prosił więc, aby usunąć wszystko, co mogłoby być uważane za niedozwolone przez regulamin więzienny. Zastosowaliśmy się do tego żądania i rzeczywiście po południu podpłynął pan naczelnik łódką z parostatku do naszej barży. Gdy wszedł, zaraz poznałem w nim mego dawnego znajomego z Kijowa, Jerakowa. Był tam dyrektorem miejscowego korpusu kadetów. W położeniu, w jakim się znajdowałem, nie miałem żadnej ochoty mu się przypomnieć, lecz on mnie poznał i ubolewając nad moim losem, zaczął się witać i zapraszać na parostatek, na którym z powodu braku miejsca chciał podzielić się ze mną swoją oso-

bistą kajutą. Nie chciałem opuszczać moich towarzyszy, lecz tak nalegał, że obiecałem mu któregoś dnia przenieść się do niego na kilka dni.

Tak płynąc, dotarliśmy do Surgutu, miasteczka, położonego na brzegu rzeki Obi. Tam mieliśmy kilka godzin postoju dla nabrania bydła i drzewa na opał. Oficer zaproponował zwiedzić, jeśli mamy ochotę, tę miejscowość. Po tygodniowym przeszło braku wszelkiego ruchu, przyjęliśmy propozycję z rozkoszą i wybraliśmy się we trzech łódką na wycieczkę. Dziwne to było miasteczko ów Surgut, otoczone ze wszech stron tundrami na setki, a może i tysiące wiorst, bez jakiejkolwiek komunikacji ze światem, oprócz rzeki Obi. Przybywszy na brzeg zacząłem szukać jakichś miejscowych wyrobów, aby je nabyć na pamiątkę, lecz daremnie. Gdy tak błądziłem po ulicach, porośniętych po pas bujną trawą, ktoś przez okno zapytał, czy jestem politycznym przestępcą, a gdy odpowiedziałem potakująco, zaprosił do siebie na śniadanie.

Przyjąłem zaproszenie, z warunkiem, że przyprowadzę mego kolegę. Bardzo chętnie się zgodził i po chwili przyprowadziłem z sobą Żytyńskiego. Dał nam doskonałej wódki i rodzaj pasztetu z ryby w cieście. Było to wcale niezłe. Przy śniadaniu asystowały dwie jego córki, które posłał do ogrodu po coś słodkiego na deser dla nas. Przyniosły dwie rzepy, które musieliśmy zjeść, aby nie urazić tak gościnnego gospodarza. Wszystko to zabrało nam dość czasu, tak że przyszedłszy na brzeg nie zastaliśmy naszej łódki, bo już odpłynęła do barży. Ulokowaliśmy się więc tedy na drugiej, która należała do barży towarowej. Na nieszczęście, robotnicy należący do niej byli zupełnie pijani i zaczęli od tego, że chcieli nas zmusić do wiosłowania, czemu się stanowczo oparłem mówiąc, że bardzo chętnie bym im w pracy dopomógł, gdyby o to uprzejmie prosili, lecz na łajania i groźby wcale nie myślę zwracać uwagi. W ciągłej kłótni dopłynęliśmy do barży, na którą pijany sternik kierował wprost, za-

miast podpłynąć bokiem, jak należało. Z barży wołali, aby obezwładnić sternika, gdyż on nas wszystkich potopi, i zaczęli już rzucać sznury, abyśmy mieli się za co chwycić w chwili przewrócenia się łódki. Wtedy jeden z naszych towarzyszy, mniej od innych pijany,rzucił się na sternika, chcąc go od steru odsunąć. Gdy zaczęli się szamotać, pochwyciłem tego ostatniego za nogi, upadł, a wtedy wyrwano mu rudel z ręki, łódź skręciła gwałtownie, woda zupełnie nas oblała, ale byliśmy uratowani i choć zupełnie przemoczeni, dostaliśmy się jako tako do barży. Na drugi dzień, sternik i jego towarzysze po wytrzeźwieniu, przyszli do mnie z prośbą o interwencją u naszego oficera, gdyż skazał ich na plagi; odmówiłem z powodu ich grubiańskiego postępowania, uczyniwszy tylko wyjątek dla tego, który zwalczył sternika i on jeden został ułaskawiony, wszyscy inni odebrali chłostę.

W parę dni po tym zajściu, zapraszany ponownie przez Jerakowa, przeniosłem się na kilka dni na parostatek. Było mi tam bardzo wygodnie, Jerakow dał mi swoją strzelbę, całymi więc godzinami czatowałem na przelatujące ponad parostatkiem ptactwo, często przelatywały całe stada łabędzi, gęsi lub kaczek, a po brzegach rzeki, na gałęziach zwieszających się nad wodą siadywały duże ptaki, które tu nazywają bakłanami. Przypominały mi one bardzo widziane później nadmorskie kormorany. Muszę jednak przyznać, że w ciągu jazdy parostatkiem nie miałem najmniejszego powodzenia jako myśliwy i ani jednej sztuki nie udało mi się zabić. Na parostatku miałem wszelkie wygody, lecz stół obrzydł mi wkrótce, gdyż kucharz karmił nas do znudzenia sterletami pod najromaitszą postacią, zacząwszy od zupy. Prowizje wzięte z Tobolska zostały na barży i nie miałem możności urozmaicić moich śniadań i obiadów, toteż sterlety i wszelka ryba tak mi obrzydły, że nawet patrzeć na nie nie mogłem. Po kilku dniach pobytu na parostatku powróciłem na barżę do kochanego Ludwika Ży-

tyńskiego, który znowu zaczął mi odczytywać swoje poetyczne utwory. Zapomniałem powiedzieć, że chcąc zapełnić czymś długie chwile więzienia rozpoczął, nie znając wcale języka angielskiego, tłumaczenie „Manfreda" Byrona z pomocą słownika. Musiałem tego przekładu słuchać, co, szczerze mówiąc, bardzo mnie nudziło, szczególniej że Ludwik nie znosił jakiejkolwiek krytyki. Najprzyjemniejsze chwile to były wieczory spędzane na pomoście przy pięknej pogodzie, gdy kryminaliści chórem rozpoczynali śpiewy. W ogóle śpiewali bardzo dobrze, a tęskne i rzewne pieśni ludowe, jak na przykład „Tam na puti sieło bolszoje", „Krasnyj sarafan" i inne, tyle mają uroku, że z największą przyjemnością można było w ten sposób parę godzin przepędzić, tym bardziej że i krajobraz się zmienił. Opuściliśmy tundry i błota, natomiast pojawiły się brzegi górzyste i porośnięte lasem, niektóre miejscowości były bardzo ładne, np. „Newelskaja protoka", i budziły zachwyt wśród wędrowców z musu.

Tak dopłynęliśmy do Narymu, osady w rodzaju Surgutu, lecz daleko ładniej położonej, tam otrzymaliśmy znowu pozwolenie zwiedzenia miasta. Przybyliśmy wieczorem, gdy już zaczynało zmierzchać, tak że przy wysiadaniu na brzeg było już zupełnie ciemno. Wysiedliśmy zupełnie nie wiedząc, gdzie jest Narym i jak się do niego dostać. Światełka, migające w pewnym oddaleniu i dość wysoko świecące, wskazywały niby jego położenie, lecz idąc w tym kierunku natknęliśmy się wkrótce na rzekę, płynącą w stronę Obi. Po ciemku wydawała nam się szeroką i dość głęboką, u brzegu stało czółno, ale bez wioseł. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy się użyć je, aby dostać się na drugą stronę, lecz w braku wioseł namówiliśmy jednego z naszych kolegów, Rychlika, który umiał pływać, aby się rozebrał i pchał przed sobą czółno, póki będzie mógł iść, a następnie płynąć. Tak się też i stało. Pokazało się, że rzeka była zupełnie

płytka i on mając wody tylko po pas przepchał nas szczęśliwie na drugi brzeg, tam się ubrał i ruszyliśmy dalej, aż do góry piaszczystej, na której widniały światła. Pod samą górą usłyszeliśmy głosy i ktoś zapytał po rosyjsku, czy nie ma między nami Masałowa. Gdy odpowiedziano, że jest, krzyknął „Nikołaj Grigoriewicz, pojdi w moi obiatja". Przyjaźń tak go widocznie wzruszyła, że zapomniał o górze i spadł na nas, przewracając kilku, a między nimi i Masałowa, bardzo niezadowolonego z tego tak zanadto serdecznego powitania. Gdyśmy się wdrapali na górę, powiedział nam, że to jest dzień przyjęcia u Polaków i ofiarował się nas do nich zaprowadzić. Gdy Masałow, jako Rosjanin, obawiał się być natrętnym, oświadczył mu, że tu, w Narymie wszyscy zesłani, Rosjanie czy Polacy, żyją z sobą jak bracia i że wszyscy będą mu bardzo radzi. Poszliśmy za nim i trafiliśmy na całe ich grono. Przyjęli nas bardzo serdecznie. Było ich kilkunastu a w ich liczbie dwóch księży, z których jeden był gospodarzem mieszkania, gdzie odbywało się zebranie. Napoili nas i nakarmili. Były ryby i pierogi z jagodami. Całą noc spędziliśmy na bardzo miłej pogawędce i dopiero nad ranem wróciliśmy do naszej barży bez jakichkolwiek już przygód.

VIII.

ETAPEM NA SYBIR: Z TOMSKA DO USOLA

Po kilku dniach wodnej podróży przybyliśmy przed południem do Tomska przy ujściu rzeki Tomki do Obi. Ponieważ Tomsk jest oddalony od Obi o kilka wiorst, musieliśmy tę przestrzeń przejść piechotą i tam spotkało mnie, jedyny raz w życiu, „podojanje“ czyli po naszemu jałmużna, jakiś bowiem dorożkarz, mijając nas, dał mi czterdzieści groszy. Długo je chroniłem, jako pamiątkę, lecz ostatecznie gdzieś mi przepadły. Przyszedłszy do więzienia, zastaliśmy już oczekującego nas Jerakowa. Zaprezentował nas, to jest: Żytyńskiego, Żeromskiego i mnie, „smotritielowi“ więzienia jako swoich osobistych przyjaciół i zażądał, aby nas jako takich traktowano. Skutek był taki, że „smotritiel“ wyniósł się z żoną i dziećmi z własnego mieszkania i nam je ofiarował.

Więzienie było zabudowane w kwadrat, a mieszkanie „smotritiela“ było w jednym z boków, na parterze, i wychodziło jedną stroną na dziedziniec więzienny a drugą na ulicę, na której już nie było żadnego szyldwacha. Byliśmy więc zupełnie swobodni i wcale nie skrępowani w ruchach. Urządzić dało się wygodnie. Ja wybrałem dla siebie salon, lecz położywszy się spać, spotkałem się z takim mnóstwem robactwa rozmaitego gatunku, że ani sposób było zasnąć. Przeniosłem się więc z pościelą na fortepian i tam dopiero udało mi się zmrużyć oczy. Zaraz po naszym przybyciu zaczęli do nas przychodzić różni zesłańcy, mieszkający w Tomsku, aby nas powitać i do siebie prosić. Byli tam dwaj moi koledzy z Instytutu Wileńskiego: Andrzeykowicz i Marcinowski.

a oprócz nich Rudomina, Napoleon Jeleński, Tukałło, Piotuch i wielu innych.

Urządzali po kolei dla nas różne wieczorki i przyjęcia, a że dzięki Jerakowowi byliśmy zupełnie swobodni, mogliśmy wszystkich odwiedzać. Prawie tydzień minął w ten sposób, aż nareszcie „smotritiel" przyszedł nas zawiadomić, że nazajutrz ruszamy w dalszą drogę tak zwanym „konnym etapem". Były to kibitki zaprzężone w trzy konie. Zajechało ich dziesięć, a w każdej było nas trzech i żołnierz. Jazda była szybka, przejeżdżaliśmy dziennie dwie stacje pocztowe, po pierwszej — zatrzymanie na obiad, a po drugiej — na nocleg w tak zwanych „etapach". Były to budynki drewniane, otoczone częstokołem, stanowiące tymczasowe więzienie dla przewożonych przestępców. Przy wejściu do takiego etapu oczekiwały baby wiejskie z rozmaitymi produktami żywności na sprzedaż. W stosunku do cen miejscowych drogo kazały sobie za nie płacić, lecz innego pożywienia nie było, więc musiało się i z tego korzystać. Wyjeżdżając z Tomska, czułem się już niedobrze, sądziłem jednak, że to przejdzie i że jazda na świeżym powietrzu mi pomoże. Tymczasem pogorszyło mi się do tego stopnia, że na przystanku obiadowym nie mogłem wziąć nic do ust, a pod wieczór czułem, że mam silną gorączkę.

Gdyśmy zatem przyjechali na nocleg, Żytyński począł dopytywać się o doktora i znalazł jakiegoś Polaka zesłanego i zamieszkałego właśnie w tej wsi, w której zatrzymaliśmy się. Zesłaniec nie chciał przyjść, póki Żytyński nie zapłaci za wizytę z góry. Otrzymawszy rubla przyszedł, skonstatował bardzo silną, do 40 stopni dochodzącą gorączkę, lecz powodu jej nie mógł określić i dlatego zalecił nie brać żadnych lekarstw, póki choroba się nie zdeklaruje. Dał mi tylko oleju rycynowego i ipekakuany. Gdy po bezsennej nocy trzeba było jechać dalej, Żytyński, ulokowawszy się sam na jakimś drążku, urządził jakby rodzaj

posłania, na którym mogłem jechać leżąc. Poczciwy opiekun zrobił z miękkich gałązek liściastych rodzaj miotełki, którą zgarniał ze mnie śnieg padający z deszczem, a ponieważ miałem straszne pragnienie, kupił suszonych malin, zaparzył jak herbatę i to mi podawał do picia w ciągu drogi. Gorączkę miałem coraz silniejszą i musiałem od czasu do czasu tracić przytomność, gdyż ciągle mi się majaczyły jakieś olbrzymie ptaki, które usiłowały mnie zadziobać. W ten sposób ujechałem trzy czy cztery dni. W Maryjsku, gdzie był powiat i szpital, mogłem już się zatrzymać jako chory, lecz nie chciałem się rozłączać z Żytyńskim, który był dla mnie prawdziwą opatrznością, i dobrze się stało, gdyż zaraz po wyjeździe z Maryjska wysypała się ospa. Wiedziałem już napewno co mi dolega, gorączka się zmniejszyła tak, iż w Aczyńsku, gdzie przybyliśmy po trzech dniach drogi, czułem się już trochę lepiej. Przywieziono mnie wprost do szpitala. Żytyński skorzystał z chronicznego zapalenia gardła, któremu stale podlegał, aby się w Aczyńsku zatrzymać, a nie zostawiać mnie samego. Ogólnie wiadome było, że w szpitalach po drodze, obchodzą się z chorymi najgorzej, służba szpitalna często przyspieszała ich zgon, aby móc odziedziczyć pozostałe po nieboszczykach ruchomości, toteż zwykle ktoś z kolegów zdrowych „wpisywał“ się jako chory, dla obrony chorego od chciwości tych łotrów.

Pierwsze wrażenie moje w szpitalu było okropne, zabrano mi rzeczy, bieliznę, pościel, zegarek, słowem wszystko, co przy sobie miałem. Przebrano mnie w bieliznę szpitalną, nie do zniesienia twardą i szorstką, a przy tym tak do mego wzrostu nie dostosowaną, że koszula wyglądała jak kurtka. Za pościel służył siennik wypchany tak obficie kulową słomą, że wyglądał jak wałek, utrzymać się w środku było niepodobieństwem, ciągle się zsuwało w prawą lub lewą stronę. Wiadomość o moim przybyciu wnet rozeszła się po kolonii polskiej i zaraz przybiegł mnie odwie-

dzić Podczaski, towarzysz lat dziecinnych i współwięzień, już przedtem w Aczyńsku zamieszkały. Mieszkali w nim także Cyrynowie, ojciec z córką, Julią, przysłali mi oni zaraz obiad, zastosowany naturalnie do mego stanu zdrowia. „Smotritiel" szpitalny, nikogo do mnie nie dopuszczając, postawił żołnierza na warcie u drzwi, nie pozwalał nikomu wchodzić, a przyniesiony obiad kazał odnieść, skazując mnie na jedzenie szpitalne, obrzydliwe i zupełnie niemożliwe. Tak przebyłem kilka dni w prawdziwych mękach, gdy naraz znalazł się u mnie inspektor zdrowia, tak zwany naczelnik „Wraczebnej Uprawy" krasnojarskiej guberni, objeżdżający podwładne mu szpitale, nazywał się Szagren i poprzednio zajmował to samo stanowisko w guberni wołyńskiej. Zaczął się dopytywać o moje zdrowie po niemiecku, a widząc, że nie jestem mocny w tym języku, zapytał, czy nie wolałbym mówić po francusku. Wtedy opowiedziałem wszystko, co ze mną w szpitalu wyrabiają; wpadł od razu w gniew i zaczął najokropniej łajać cały zarząd szpitalny poczynając od doktora. Gdy się tłumaczyli, że jako skazany na ciężkie roboty muszę podlegać przepisom dla największych kryminalistów, zaczął się jeszcze więcej gniewać mówiąc, że powinni rozumieć różnicę, jaka zachodzi między zwykłymi zbójami a politycznymi przestępcami. Po długich łajaniach kazał mi zwrócić wszystkie moje rzeczy, wartę zdjąć, przynoszone obiady podawać i wpuszczać wszystkich, którzy by chcieli mnie odwiedzać, po czym pożegnał się i prosił, abym w razie jakiejkolwiek przykrości ze strony doktora lub kogokolwiek ze służby szpitalnej wprost o tym do niego napisał, a podwładnym zagroził, że będą jak najsurowiej ukarani.

Z godziny na godzinę położenie moje zupełnie się zmieniło, wszystkie rozkazy inspektora spełniono, zacząłem swobodniej oddychać, znajomi przyszli mnie odwiedzić i wtedy dopiero poznałem pannę Julię Cyryna, która była dla mnie prawdziwą opatrznością

od przyjazdu mego do Aczyńska aż do chwili wyjazdu. Gdy wracając do kraju uzyskałem pozwolenie zatrzymania się w Aczyńsku dla odwiedzenia przyjaciół, już jej nie zastałem. Zdaje się, że przeniosła się z ojcem do Minusińska. Mówiono mi, że wyszła za mąż za Daniłowskiego, jednego z głośniejszych działaczy Rządu Narodowego, lecz sprawdzić tej wiadomości nie byłem w możności. Nigdy więc już później jej nie widziałem, lecz zachowałem w sercu dozgonną dla niej wdzięczność.

Doktor szpitalny, przekonawszy się o protekcji inspektora, umyślił coś na tym zarobić, przyszedł więc do mnie w kilka dni później proponując, że jeśli mu dam 15 rubli, to napisze świadectwo, że warunki szpitalne zagrażają memu życiu i że jedynym środkiem przywrócenia mi zdrowia jest pozwolenie na zamieszkanie w mieście pod strażą do czasu zupełnego wyzdrowienia. Naturalnie zapłaciłem ile chciał. Podczaski wynalazł mieszkanie i pewny byłem, że w lepszych warunkach przyjdę wkrótce do zdrowia. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Pewnego dnia wyprowadzono mnie ze szpitala pod strażą i zaprowadzono do horodniczego, czyli naczelnika miasta, który wskutek wydanego świadectwa doktora miał mi wydać pozwolenie na zamieszkanie w upatrzonym mieszkaniu. Pokazało się jednak, że doktor, pomimo wziętych 15 rubli, obiecanego świadectwa nie napisał, a tylko mnie jako niby zdrowego wypisał ze szpitala. Horodniczy przeczytawszy ogromnie się rozgniewał i kazał mnie nazad do szpitala odprowadzić. Gdy opierając się na świadectwie doktora stanowczo odmówiłem, kazał mnie zaprowadzić do „pieresylnej tiurmy". Znalazłem się tam w gronie poczciwych kolegów, którzy otoczyli mnie największymi staraniami, urządzili mi pościel, rozebrali, napoili herbatą.

Czułem się dość dobrze, lecz niedługo trwała ta ulga; zjawił się horodniczy z żołnierzami, aby zabrać mnie do szpitala. Uproszony przez moich kolegów

oficer etapowy odmówił żądaniu mówiąc, że skoro doktor uznał mnie zdrowym, nie ma żadnej racji odsyłać mnie wbrew mojej woli do szpitala. Horodniczy się wściekał, pokazywał na moją twarz, pokrytą wrzodzikami i strupami, zagroził surową odpowiedzialnością za wprowadzenie zaraźliwej choroby między więźniów, nakoniec wyszedł obiecując, że wnet powróci. Widziałem, że oficer zmiękł w swym uporze, i przeczuwałem, że to wszystko skończy się źle, gdy po jakiej niespełna godzinie zjawił się podoficer z rozkazem urzędowym od horodniczego, aby mnie jako zdrowego wysłać natychmiast dalej. Temu oficer nie miał prawa się oprzeć, musiałem wyleźć z posłania, ubrać się i zacząć pakować, aby się puścić w dalszą drogę. Najwięcej jednak żałowałem pieniędzy danych doktorowi, który mnie tak haniebnie oszukał, i poprosiłem Podczaskiego, gdy przyszedł mnie pożegnać, aby je odebrał, w przeciwnym razie przedstawię całą rzecz w Krasnojarsku memu protektorowi, naczelnikowi „Wraczebnej Uprawy", a w Irkucku zaskarżę go do generał-gubernatora, gdyż, będąc już raz osadzony do ciężkich robót, nic nie ryzykuję więcej za chęć przekupienia urzędnika. Wkrótce wrócił Podczaski i odniósł mi 14 rb. 25 kopiejek, mówiąc, że doktor się zaklina, że więcej złamanego grosza przy duszy nie ma. Darowałem mu brakujące 75 kop., a zabrawszy resztę, puściłem się w dalszą drogę.

Tymczasem ściemniło się, miałem iść piechotą, lecz zaraz po wyjściu z miasta podoficer, który miał mnie aż do Krasnojarska konwojować, ulokował mnie jak mógł najlepiej na furmance, na której złożone były moje rzeczy, i pocieszał, przeklinając horodniczego, oraz wszystkie bliższe i dalsze władze. Dodał przy tym, że o jakich dziesięć wiorst we wsi „Krasnaja rieczka" mieszka jego zamężna siostra i że u niej się zatrzymamy, póki moje zdrowie zupełnie się nie poprawi. Siostra przyjęła nas bardzo gościnnie, dała mi

czystą i schludną izdebkę na górce i nakarmiła kartoflami ze słoniną. W mojej izdebce nie było nawet żadnego robactwa, które na Syberii z reguły należy do całości umeblowania. Było mi więc bardzo dobrze i po jakich dziesięciu dniach, już zupełnie zdrów, przybyłem do Krasnojarska. Po drodze spotkałem niedźwiedzia leżącego i wygrzewającego się na słońcu na środku drogi. Zatrzymał nas długo, nie chcąc się z miejsca ruszyć. Mając tylko szablę podoficera jako jedyną broń, mogliśmy z nim jedynie cierpliwością walczyć, wszelka inna walka była zanadto nierówną.

W Krasnojarsku zamieszkałem „pieresyłoczną tiurmę", gdzie zastałem znaczną ilość więźniów. Spotkałem tam pannę Trochanowską, Ząbkiewiczów, męża i żonę, Wiktora Zajączkowskiego, tytułowanego pułkownikiem, Peletiera i innych, których nazwisk już nie pamiętam. Zamieszkali w Krasnojarsku zesłani Polacy przyszli mnie odwiedzić i Józef Porzecki, dawny mój kolega z Instytutu Wileńskiego, dał za mnie porękę, tak że wolno mi było całe dnie u nich przepędzać. Widząc to p. Trochanowska wzięła mnie na bok i w wielkim sekrecie zakomunikowała, że znajdujący się z nami w więzieniu Ząbkiewicz jest rzeczywiście Zameczkiem, znanym dowódcą z czasów powstania, któremu udało się ukryć swe nazwisko, i że obecnie jest bez wszelkich środków. Zaproponowała mi więc, żebym się zajął zebraniem jakiejś składki dla niego pomiędzy znajdującymi się w Krasnojarsku Polakami, ponieważ wielu ich znam, lecz żeby nic o tym nie mówić, a tylko jej zebrane pieniądze oddać i ona mu je doręczy. Od niej, jako od dawnej znajomej przyjmie, komu innemu zaś na pewno odmówi i bardzo się obrazi. Spełniłem jej żądanie i zebrałem trzydzieści kilka rubli, które jej oddałem. W parę dni później napada na mnie z furią Ząbkiewicz, wymawiając, że bez jego wiedzy jakieś składki na niego zbieram. Mityguję go jak mogę, przedstawiając bar-

dzo łagodnie, że nie ma za co się gniewać, że obowiązkiem naszym jest przyjść z pomocą tak zasłużonymu wojakowi. Przerywa mi mówiąc, że tu wcale nie o to idzie, lecz że pod jego nazwiskiem zbieram pieniądze dla siebie, gdyż on żadnych nie odebrał. Zdziwiony idę po p. Trochanowską, aby się wytłumaczyła. Najspokojniej oświadcza, że pieniądze zabrała dla siebie, gdyż Ząbkiewicz został jej winien i użyła tego sposobu, aby swoją należność odebrać, przyznała przy tym, że nigdy Zameczkiem nie był, ani żadną partią nie dowodził, a po prostu miał jakiś szynk w okolicy Warszawy. Wtedy wyłajałem ich oboje i zapowiedziałem, że odtąd ani jego, ani jej znać nie chcę.

Pewnego dnia zjawił się u nas więzienny „smotritiel" i bardzo uprzejmie zaprosił na dziedziniec, gdyż miejscowy naczelnik wojenny chce nas obejrzeć. Gdyśmy się ustawili, wszedł ów naczelnik i zaczął czytać podaną sobie listę obecnych więźniów. Gdy doszedł do mego nazwiska, wywołał mnie z szeregu i zaczął się bacznie przypatrywać; ponieważ nic nie mówił, zapytałem co ma mi do rozkazania, odpowiedział, że nigdy księcia nie widział i że chciał się przekonać, co to za rodzaj bydlęcia, po czym odesłał mnie z powrotem do szeregu. W późniejszych latach, wróciwszy do Warszawy, spotkałem w klubie jakiegoś generała, którego gdzieś widziałem, lecz zupełnie przypomnieć nie mogłem gdzie i jak. Poszedłem zobaczyć w książce wprowadzonych gości, kto to był. Stwierdziłem, że nazywa się Tichmieniew, wprowadzony do klubu przez barona Budberga. Nazwisko nic mi nie mówiło, więc spytałem Budberga kto to jest, odpowiedział mi: „C'est un charmant homme, il a servi à Krasnojarsk". Jak tylko wspomniał o Krasnojarsku, stanął mi w myśli ów więzienny dziedziniec i moje z nim spotkanie. Wtedy powiedziałem: „Il est beaucoup moins charmant, que vous ne le croyez" i opowiedziałem moje z nim spotkanie.

Po tygodniowym pobycie w Krasnojarsku, zawia-



A. Stankiewicz: Widok Jeziora Bajkalskiego, nad którym zesłańcy budują drogę w r. 1866.

domiono mnie, że za parę dni będzie wysłana do Irkucka partia skazańców, do której i ja mam należeć. Oprócz mnie byli do niej zaliczeni: Ząbkiewicz, mąż i żona, Oborski, Peletier, dwaj młodzi gimnazjaliści z Kowna, Filipowski i Śniechowski, Zajączkowski, ks. Rudzki także z Kowna, i jakiś Żyd z Warszawy, skompromitowany w sprawie zabójstwa Felknera. Ów Żyd przez całą drogę budował mnie swym nabożeństwem i gorliwością, z jaką spełniał swe obowiązki religijne. Dawałem go na przykład ks. Rudzkiemu, który postępował wręcz przeciwnie.

Bojąc się bardzo etapowej podróży umyśliłem pojechać na własny koszt, tak jak z Żytomierza do Tobolska, w tym celu poszedłem do rządu gubernialnego o pozwolenie. Na szczęście spotkałem tam jakiegoś poczciwego urzędnika, który mi to odradził. Wytłumaczył, że to będzie drogo kosztować, że powinienem raczej oszczędzić pieniądze, jakie mam, a że rząd może mi dać za 15 rubli oddzielną furmankę, na którą w dodatku będę mógł zabrać jakiego zechcę zesłańca politycznego z nieuprzywilejowanej klasy, który by musiał inaczej iść piechotą, a z którego w zamian miałbym pomoc i usługę. Tak też zrobiłem i bardzo mi to na dobre wyszło. Zapłaciłem 15 rubli i wybrałem sobie kompana podróży Męczyńskiego, z Męczyna pod Liwcem, bardzo poczciwego Podlasiaka z zagonowej szlachty, z którym razem całą drogę odbyłem zwykłym etapowym porządkiem. Przed wyjściem Ząbkiewicz zaproponował mi, czy nie chcę, aby jego żona, która jakoby znakomicie znała się na kuchni, upiekła dla mnie na drogę pieczeń wołową. Ponieważ w tak długiej drodze nie wszędzie można znaleźć co do jedzenia, zgodziłem się na propozycję. Pieczeń była rzeczywiście dobra i bardzo się przysłużyła mnie i Męczyńskiemu, lecz jak na sybirskie ceny mąż i żona zdarli mnie niemiłosiernie.

Zaraz na jednym z pierwszych etapów, po opuszczeniu Krasnojarska, wydarzyła się awantura, któ-

ra mogła mieć bardzo smutne następstwa. W partii był niejaki Arbuzow, ex-urzędnik, skazany na Sybir za jakieś złodziejstwa. Jechał z żoną własnym tarantasem. Trzeba wiedzieć, że „polityczni" szli oddzielnie od zwykłych kryminalistów aż do miejsca przeznaczenia, lecz dołączano do nich i innych przestępców, jeśli należeli do tzw. uprzywilejowanej klasy. Gdy przyszli chłopi z powózkami i końmi, ten, który miał ich wieźć, odmówił mówiąc, że tarantas jest zanadto obładowany i że jego konie go nie uciągną. Rozpoczęła się kłótnia z panią Arbuzową, zakończona pobiciem chłopa przez tę krewką damę. Zrobiło się zamieszanie, krzyki, że Polacy się buntują, i oficer kazał dzwonić na alarm przywołując miejscową ludność na pomoc. Nieszczęście chciało, że w tej chwili przed budynek pocztowy zajechał gubernator dla przeprzęgu koni. Usłyszał krzyki, że Polacy się zbuntowali, i nie pytając wcale o co idzie, przysłał adjutanta z rozkazem, aby wszystkim dać po 25 rózeg i nałożyć kajdany na ręce i na nogi. Uproszony oficer etapowy poszedł wytłumaczyć, co się stało. Szczęściem, że p. Arbuzow miała tak czysto rosyjskie nazwisko, inaczej jej popędliwość drogo by wszystkich kosztowała. Gubernator dał sobie wyperswadować, że Polacy są zupełnie niewinni, zwolnił ich od kary i kazał przyjść błagać o przebaczenie pod warunkiem, że nie będzie mowy o niewinności, przebaczy, jeśli przyznają się do winy, nie tłumacząc się, a błagając tylko o litość. Tak się też stało, wyłajał wszystkich porządnie i zapowiedział, że obiecana kara nie minie, jeśli się coś podobnego powtórzy.

Wyjeżdżając z Krasnojarska kupiłem od jednego z tamtejszych Polaków książkę kuchenną, z której w drodze miałem się uczyć gotować, oraz „Historię literatury polskiej" Wójcickiego, której z powodu braku funduszów chciał się pozbyć. Ponieważ po dwóch dniach drogi mieliśmy „dniówkę", to jest dzień wypoczynku, rozpocząłem w te dni wykłady literatu-

ry polskiej dla moich dwóch gimnazjalistów, którzy ogromnie w nich zasmakowali, a nawet i starsi nieraz z ciekawością im się przysłuchiwali.

Od Krasnojarska do Irkucka jest przeszło tysiąc wiorst. Kraj górzysty i nieraz bardzo piękny, po większej części pokryty lasami. Ponieważ zaczynała się już jesień, na zielonym tle sosen i cedrów sybirskich odbijały się żółto-złociste modrzewie i brzozy, które już zaczynały tracić liście. Gdy słońce świeciło, ta gra kolorów była prześliczna i z prawdziwą przyjemnością można było ją całymi godzinami obserwować. Zdrowie moje zupełnie już wróciło do normalnego stanu, jednak gdy w Krasnojarsku napisałem list do ojca, donosząc mu o szczęśliwie przebytej chorobie, list mój, który przeszło miesiąc był w drodze, przyniósł mu zarazek i gdy nikt z mego najbliższego otoczenia ode mnie się nie zaraził, mój ojciec o 6000 wiorst po przeczytaniu listu zachorował na ospę, szczęściem bardzo lekką. Droga przeważnie była dobra (z wyjątkiem miejsc błotnych, lub mokrych łąk), pokryta po większej części żwirem, po którym jak po szosie można było jechać, rzadko jednak z niej korzystaliśmy, gdyż zazwyczaj szło się piechotą.

Jesień rozpoczęła się na dobre i pomimo, że była to chwila żniw, padał nieraz śnieg, który zaraz topniał, lecz zabawnie dla nas, nie przywykłych do takiego widoku, było obserwować, jak żniwiarze strząsają śnieg z kłosów przed ich wiązaniem w snopy. Moja książka kuchenna bardzo niewiele mi służyła, pisana dla lepiej obeznanych z manipulacją kuchenną. Spotykałem w przepisie wyrażenia zupełnie niezrozumiałe: „oczyściwszy dostatecznie mięso“ lub „wyklarowany rosół“, pod koniec jednak nabrałem pewnego doświadczenia kosztem jednak i podniebienia i kupowanych zapasów. Tak na przykład w pewnej wsi po drodze kupiłem u chłopa pieczeń sarnią, a że przy tym znalazłem u niego w podwórzu mnóstwo pieczarek, których Sybiracy nie jedzą, umyśli-

łem zrobić na kolację zrazy z sarniny z pieczarkami. Ponieważ nie wiedziałem, że to trzeba dusić na wolnym ogniu, rozłożywszy ogień w piecu, postawiłem rondelek w płomień i wszystko spaliło się na węgiel.

Chłopi miejscowi najmniejszej nienawiści wobec nas nie okazywali, przeciwnie, nawet często zapraszali do siebie na noc, na co oficer etapowy zwykle się zgadzał, lecz ja jak tylko mogłem, wolałem zostawać w etapie. Chłopi palą w piecu tylko raz, z rana, i wtedy przygotowują wszystko na cały dzień, ja zaś, przebywszy około czterdzieści wiorst przeważnie piechotą, bywałem zwykle wieczorem głodny i chciałem sobie na kolację coś ugotować lub upiec, co u chłopów było niepodobieństwem. Samowar nawet trudno było nastawić z powodu braku węgli, to też cały ich wózek woziłem z sobą i tym sposobem miałem na każdym etapie od razu nastawiony samowar. Dla pożytku przyszłych pokoleń muszę tu zaznaczyć, że najlepsze węgle są modrzewiowe. Bywały jednak wypadki, gdy przybywszy na etap, trafialiśmy we wsi na jakąś rodzinną uroczystość, wtedy nie było można odmówić przyjęcia. Żałuję bardzo, że nie mogę tu przytoczyć niektórych szczegółów z takich przyjęć, gdyż są zanadto drastyczne, lecz bardzo charakterystyczne dla kultury ludności tubylczej na Syberii.

Ujemną stroną etapów były partie zwykłych kryminalistów, z którymi już bardzo trudno było się pomieścić. Z jedną taką partią spotkaliśmy się w południe. Gdy zacząłem reperować rękawiczki, które w podróży bardzo mi się podarły, a innych na zmianę nie miałem, podeszła do mnie jakaś panna z pomiędzy kryminalistów, wcale nawet przystojna, i zaproponowała po polsku, że jako lepiej obeznana z igłą chętnie mnie zastąpi, dodała, że jest z Warszawy, zesłana z powodu jakiegoś morderstwa, w które została jakoby wypadkiem zamieszana; gdy odniosła zreperowane rękawiczki i chciałem jej ofiarować 20

kopiejek, z oburzeniem odmówiła, gdyż od kolegi, a w dodatku rodaka, pieniędzy nie przyjmie.

Bardzo żałuję, że nie notowałem wszystkich stacyj, przez które przechodziliśmy. Dziś nazw ich już sobie przypomnieć nie mogę, tak że nie wiem, na której mianowicie wydarzyły się jakieś szczególne zdarzenia. Tak na przykład na jednym z etapów wypadło nam nocować z całą partią kryminalistów, wcześniej od nas przybyłych; porządek był taki, że oni opuszczali etap bardzo rano, my zaś w dwie lub trzy godziny później; przed wyjściem zaś byli oni obowiązani oczyścić miejsca ustępowe. Tymczasem tego dnia oficer zapomniał kazać im tę czynność załatwić, o którą naturalnie się nie upominali, i gdy już od dawna ich nie było, a my wybieraliśmy się w drogę, kazał nam ich zastąpić. Było to oczywistym bezprawiem, gdyż do miejsca przeznaczenia szliśmy na dawnych prawach stanu, które nas od podobnych zajęć zupełnie zwalniały. Nie mieliśmy jednak żadnej możności zmuszenia go do szanowania praw i na nasze początkowe protesty w tej chwili kazał dzwonić na alarm, by sprowadzić ze wsi chłopów z pałkami na pomoc. Ja osobiście przyjąłem ten wypadek jako intermezzo bardziej komiczne niż tragiczne naszej podróży, lecz moi towarzysze za nic nie chcieli się dać namówić do proponowanego zajęcia. Szczególnie zaciekłym okazał się Oborski, który, jako bene natus et posessionatus szlachcic starej daty, ani chciał słyszeć o podobnym sposponowaniu swej tarczy herbowej. Po długich jednak namowach udało mi się ich nakłonić do zaniechania oporu. Wytłumaczyłem im, że chłopi nas wytłuką i ostatecznie zmuszą do posłuszeństwa, lepiej więc od razu usłuchać, nie czekając na obicie, gdyż tym sposobem unikniemy przynajmniej jednego zła. Ostatecznie udało mi się nakłonić wszystkich do posłuszeństwa. Do godz. 1-szej po południu, nakładaliśmy zawartości ustępów w taczki i wywoziliśmy je do lasu. Na tym zajęciu zeszedł

czas do południa, po czym dopiero wybraliśmy się w dalszą drogę.

Na całej przestrzeni między Krasnojarskim i Irkuckiem spotkaliśmy tylko dwa powiatowe miasta: Kańsk i Niżnyj-Udyńsk. W Udyńsku miejscowy horodniczy kazał nam ogolić połowę głowy jako zesłanym do ciężkich robót. Tłumaczyłem mu, że należąc do klasy uprzywilejowanej jesteśmy od tej formalności zwolnieni; pijany był jak bela i nie zwracał najmniejszej uwagi na moje objaśnienia. Wtedy napisałem depeszę do szefa żandarmów w Petersburgu z odpowiedzią zapłaconą, podałem mu ją z 12 rublami na koszta i prosiłem o bezzwłoczne wysłanie. Trzeba zaś wiedzieć, że każdy urząd obowiązany jest pod surową odpowiedzialnością depeszę adresowaną do szefa żandarmów od kogokolwiek i bez względu na jej treść natychmiast wysłać, gdyż pod umówionymi słowami może się kryć zawiadomienie o jakimś zamachu lub spisku. Horodniczy wziął depeszę, w pół godziny później zawołał mnie i zapytał, czy koniecznie żądam jej wysłania, odpowiedziałem że tak, o ile nie odstąpi od zamierzonej egzekucji nad naszymi głowami. Wtedy zaklął i pozwolił jechać dalej, pieniędzy jednak danych na depeszę nie oddał, ja zaś uradowany z uratowania naszych czupryn, już się o nie nie upominałem.

Na całej drodze spotykaliśmy wsie bardzo rzadko, dwie, lub trzy najwięcej w ciągu dnia, za to bardzo wielkie i ludne. Taka Czeremchowa na przykład, ciągnie się przez siedem wiorst, otoczona płotem w promieniu kilku wiorst, aby bydło pasąc się nie mogło wyjść dalej, gdyż po zabłąkaniu się w tajdze, nie można by go już nigdy odnaleźć. Przy drodze, która jest tylko jedna, u wejścia i wyjścia ze wsi są budki, w których mieszkają wartownicy. Jedynym ich zadaniem jest otwieranie i zamykanie wjazdów. Są to zwykle starzy niedołędzy, płatni przez gminę. Dochodząc do jednej z takich wsi, a idąc trochę naprzód, oświad-

czyłem ks. Rudzkiemu ze Żmudzi, że stojący przy zamknięciu zagadał do mnie po żmudzku, co było wymyślone, gdyż stróż w ogóle do mnie nie mówił. Ksiądz doszedłszy do niego powitał go po żmudzku i z największym moim zdziwieniem chłop mu zaraz odpowiedział. Pokazało się, że był to nie tylko prawdziwy Żmudzin, lecz pochodził nawet z parafii, w której ksiądz był wikarym; tak, chcąc mu zrobić figla, trafiłem na zesłanego przed laty Żmudzina.

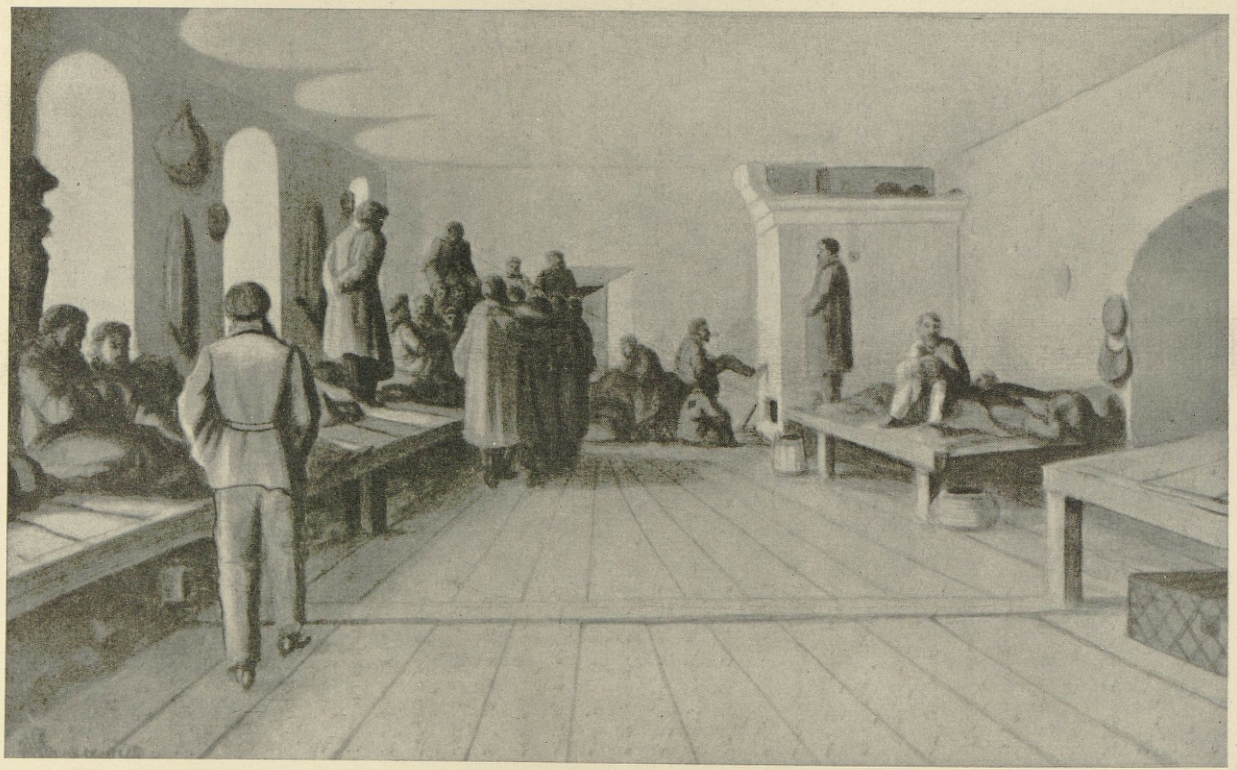
Przybywszy na etap, niedaleko Irkucka, na stacji Teret zabrałem się do kolacji. Mój Męczyński nastawił samowar, wydobył prowizje i wszystko bardzo porządnie przygotowawszy, zaprosił mnie do niej. Ledwie się zabrałem do herbaty, uczułem jakiś obrzydliwy zapach. Sądziłem, że to właściwość etapu, lecz po chwili słyszę jakieś jęki z poza pieca, idę zobaczyć co to jest i znajduję człowieka na pół nagiego w łachmanach. Sprowadzony podoficer objaśnia, że to jest „brodiaga", czyli włóczęga, który zapewne uciekł z ciężkich robót, a którego złapali i mieli wysłać etapem do Irkucka, lecz że dostał ataku paraliżu i od trzech tygodni leży bez ruchu. Zawiadomiono o tym wyższe władze z zapytaniem, co mają z nim robić, lecz dotąd żadnej odpowiedzi nie mają. Musiałem się wynieść do drugiej izby, a temu biedakowi dałem trochę grosza na oporządzenie. Nie wiele mu się już należało, musiał po moim wyjeździe za tym piecem wkrótce skończyć, nim władze irkuckie zdecydowały się postanowić, jak ma Teret postąpić.

Na parę stacji przed Irkuckiem, przybywszy na noc do etapu, zastałem całą partię zesłańców Polaków, zwolnionych z ciężkich robót wskutek manifestu wierzbołowskiego. Dążyli oni na zachód na posielenie. Spotkałem między nimi Jarosława Kossakowskiego, dawnego mego kolegę z Instytutu Wileńskiego, był on adiutantem Zygmunta Sierakowskiego. Całą noc opowiadał mi szczegóły z powstania zabajkalskiego i nazajutrz rano rozeszliśmy się w zupełnie

przeciwnych kierunkach. Dojeżdżając do Irkucka, zobaczyłem miasto o jakich prawie dwadzieścia wiorst, na Syberii bowiem jest dziwna przejrzystość powietrza. Zapewne z powodu braku wilgoci w powietrzu, widzi się tam o wiele dalej niż w Europie.

Doktorzy twierdzą, że to idealny klimat dla ludzi, którym w przyszłości może zagrażać choroba piersiowa, zabójczy wszakże dla tych, którzy już mają najmniejszy jej początek, gdyż rozwija się z dziwną szybkością i nadzwyczaj prędko zabija. W Usolu spotykałem Buriatów, którzy gołym okiem rozróżniali pierścienie Saturna, a trudno o tym wątpić, gdyż opowiadali co widzą, choć o astronomii nie mieli żadnego pojęcia. Przed samym już prawie Irkuckiem, w chwili spotkania niedźwiedzia, prowadzonego na pokaz po wsiach, jak to i u nas dawniej bywało, zrobił się popłoch w naszej karawanie i furmanka, na której jechał Ząbkiewicz z żoną, przewróciła się w przydrożny rów. Nic im się nie stało, lecz on potem przyszedł do mnie mówiąc, że żona jest w poważnym stanie i musi się zatrzymać dla ratowania jej zdrowia a może i życia, ponieważ żadnych funduszów nie ma, więc przyniósł mi na sprzedaż swoje kalosze gumelastyczne na flanelowej żółtej podszewce, prawie nowe i za które żądał 10 rubli. Nie potrzebując kaloszy, odmówiłem kupna, lecz ofiarowałem 10 rubli. Gdy przybył do Irkucka, uskarżał się przed wszystkimi kolegami na mnie za moją nieuczynność, opowiadał, że odmówiłem kupna kaloszy w tak ciężkiej chwili. Później, w Usolu, przekonałem się dowodnie, że stan poważny żony Ząbkiewicza był wymysłem dla zachęcenia mnie do kupna kaloszy znacznie powyżej ich wartości.

Po miesięcznej przeszło podróży przybyliśmy do Irkucka, wprost do turmy, leżącej poza miastem, gdzie po zrobionej rewizji nas zamknięto. Byłem w niej tylko parę dni, gdyż wkrótce przeniesiono nas



(Rys. A. Stankiewicz)

„W Irkucku, w „kazionnej pałacie“ przesiedziałem cały miesiąc“ (str. 201).

do tak zwanej „kazionnej pałaty". Nazwa ta poszła stąd, że gdy wybudowano nowy gmach dla izby skarbowej, dawny zmieniono na więzienie, które służyło jako czasowe pomieszczenie dla więźniów przechodnich, rozsyłanych z Irkucka w różne okolice Wschodniej Syberii do ciężkich robót i na posielenie. Przybyłem już po powstaniu zabajkalskim, w tydzień może po rozstrzelaniu Szaramowicza, Celińskiego, Kotkowskiego i Rajnera. W turmie zastałem jeszcze wyżła, należącego przedtem do Szaramowicza. Wierny ten pies przesiadywał całymi dniami pod okienkiem kazamaty, w której jego pan był zamknięty. Gdy przyjechałem, przywiązał się do mnie i nie chciał mnie już opuścić. Po przeniesieniu mojem do „kazionnej pałaty", poszedł za mną i nie opuścił mnie aż do Usola. W tym nowym więzieniu przesiedziałem cały miesiąc i 1 listopada 1866 r. wysłano mnie do Usola.

Było to miejsce jakby uprzywilejowane, posyłano tam tych, którzy przybywali z rodzicami, lub mieli specjalną protekcję. Rozpocząłem starania, aby się tam dostać, i poprosiłem, aby mi pozwolono udać się do policmajstra z prośbą, a otrzymawszy pozwolenie, poszedłem do niego z nieodłączonym towarzyszem: żołnierzem z nabitą bronią. Policmajster Dumański, zdaje się Polak, przyjął mnie uprzejmie obiecując, że prośba moja będzie uwzględniona, ponadto koledzy więzienni prosili mnie, abym się przekonał, czy nie ma do nich listów z kraju, odsyłanych do kancelarii policmajstra. Dumański oświadczył, że od kilku dni porządek zmieniono i obecnie listy do zesłańców politycznych odbierać można u sekretarza sądu ziemskiego, Pierwouszyna, do którego polecił mi się udać. Podniósł się z uprzejmym uśmiechem, gdy wszedłem i zapytał, jaki mam interes. Nim odpowiedziałem, ujrzał wchodzącego za mną żołnierza, z czego przekonał się, że jestem aresztantem. Wpadł w wściekłość i zaczął mnie od ostatnich słów łajać.

Wszystkiego, co powiedział, nie mogę tu powtórzyć, gdyż wiadomo, jak język rosyjski jest bogaty i obrazowy pod tym względem. Po tym wszystkim wyrzucił mnie za drzwi. Sądziłem, że go już więcej nigdy nie zobaczę, lecz losy chciały inaczej. Po moim ułaskawieniu musiałem wyczekiwać w Irkucku na przygotowanie wszystkich moich papierów, co trwało ze trzy tygodnie, porobiłem dużo znajomości i otrzymywałem liczne zaproszenia, między inynmi zaprosili mnie na śniadanie i na winta pp. Iwaszewscy, oboje Polacy, ona młoda i bardzo ładna, on urzędnik do szczególnych poruczeń przy generał-gubernatorze. W czasie śniadania doniesiono mu, że żołnierz przyprowadził aresztanta na śledztwo. Ponieważ więzienie było oddalone o parę wiorst od miasta, urzędnicy, prowadzący śledztwo, sprowadzali do siebie zwykle delikwentów pod strażą. Było to już pod koniec śniadania, Iwaszewski przeprosił nas i poszedł do swych zajęć, oznajmiając, że jak tylko skończy, powróci na winta. Po skończonym śniadaniu, przechodząc przez jego gabinet, zobaczyłem aresztanta. Był to ten sam Pierwouszyn, poznał mnie także i rzucił się do mnie z wyciągniętą ręką, manifestując głośno swoją radość z powodu mego uwolnienia. Naturalnie ręki mu nie podałem i skorzystałem ze sposobności, aby mu wypowiedzieć wszystko, czym mnie utraktował wówczas. Ten odwet sprawił mi wielką przyjemność. Iwaszewski objaśnił, że wzięto Pierwouszyna pod sąd za to, że odbierając i cenzurując korespondencję zesłańców, kradł z niej wszelkie pieniądze.

Pobyt w „kazionnej pałacie“ był nieznośny. Nary, na których spaliśmy i na których w ogóle spędzaliśmy całe dnie, gdyż innych siedzeń nie było, ciągnęły się wzdłuż ścian dość wielkiej sali. Na nich spaliśmy pokotem, jeden obok drugiego. Więźniów było mnóstwo i robactwa niesłychana moc. Gdy z rana przychodziła chwila wstawania, całe szeregi więźniów za-

jęte były łapaniem i wydobywaniem robactwa z ciała i bielizny. Strasznie wstrętny był to widok. Za pomocą datków pieniężnych otrzymałem od moich bezpośrednich sąsiadów pozwolenie na wyjęcie po jednej desce z nar z prawej i z lewej strony ode mnie i tym sposobem przerwałem komunikację z sąsiadami i jakoś udało mi się uniknąć tej nieznośnej plagi.

Lecz zbliżał się dzień Wszystkich Świętych i piąty zarazem miesiąc naszej poniewolnej podróży na północ.

IX.

„I JA BYŁEM W ARKADII..."

Pod koniec października zawiadomiono mnie, że, tak jak chciałem, pojadę do Usola i lada dzień nastąpi wyjazd. Jakoż w dzień Wszystkich Świętych zjawili się żołnierze a z nimi kowal, który miał nas okuć w kajdany. Od tego dnia przestałem korzystać z dawnych praw, wydano mi bieliznę skarbową, skórzane łapcie, spodnie i kaftan z bardzo grubego sukna, z żółtą łatką na plecach, kożuch i czapkę bez daszka. Nie zmuszano jednak do przebrania się w wydane odzienie, każdy mógł zostać w tym, co miał na sobie. Wsunąwszy zgrabnie w rękę kowalowi jakąś monetę uzyskałem tyle, że nie okuł mnie na gołą nogę, jak prawo żądało, lecz na grube obuwie, tym sposobem mogłem, zdjąwszy buty, wyciągnąć nogę z kajdan. Przygotowania te trwały dość długo i dopiero po południu wyruszyliśmy piechotą w drogę. Uszedłszy tylko jedną stację, zaszliśmy już po nocy do pierwszego etapu. Wobec przepełnienia etapu kryminalistami musieliśmy się pomieścić w małej, nieopalonej izdebce. Mróz trzymał siarczysty. Zażądaliśmy drzewa na opał, lecz podoficer odmówił, obiecując je dopiero na rano. Wszyscy byli oburzeni, a Ząbkiewicz zaczął zachęcać do łamania nar i palenia nimi w piecu. Widząc, że zanosi się na awanturę, która może się źle dla nas skończyć, zacząłem uspakajać kolegów, a gdy Ząbkiewicz nie przestawał się awanturować, zagroziłem mu, że każę go związać przy pomocy moich gimnazjalistów. Ta groźba dopiero go uspokoiła i noc przeszła spokojnie. Wtedy ogromną usługę oddały nam kożuchy dane w Irkucku; gdyby nie

one, zamarzlibyśmy chyba na kość. Następnego dnia wypadł spoczynek (tzw. dniówka), którą spędziliśmy w ogrzanej izbie, po czym ruszono do Usola, oddalonego około 70 wiorst od Irkucka, wracając niby powrotną drogą na zachód. Pod wieczór, o zachodzie słońca, stanęliśmy na górze, u stóp naszych płynęła Angara, z większymi i mniejszymi wyspami, a na jej lewym brzegu Usole. Była to jedna z najprzykrzejszych chwil, jakie przeżywałem w całej tej podróży.

W ogólności, filozoficznie przyjmowałem różne biedy i dopusty i starałem się na nie patrzeć z dobrej strony, lecz teraz, widząc Usole, rozłożone przede mną, w blasku zachodzącego słońca, pomyślałem, że to jest miejsce, w którym ma przebyć najpiękniejsze lata życia, z dala od kraju, od tych wszystkich, których kochałem, a których zapewne już nigdy nie ujrzę! Strasznie mi się smutno zrobiło i bezbrzeżna tęsknota opanowała moją duszę. Lecz nie na długo, bo już schodziliśmy w dół ku rzece, przemyśliwając, gdzie się podziejemy. Przyprowadzono nas do komendanta, po długim oczekiwaniu, już dobrze się ściemniło, gdy wyszedł do nas Aleksander Oskierko, wybrany na starostę miejscowych zesłanych Polaków i zatwierdzony na tym stanowisku przez władzę. Oznajmił nam, że komendant rezerwuje sobie na później przyjemność oglądania nas, a tymczasem każe nam iść do koszar rządowych. Nie wiedzieliśmy gdzie tych koszar szukać, więc żołnierz przeprowadził nas do Angary, do promu, który przewiózł nas na drugą stronę rzeki. W ciemnościach nie było nic widać, oprócz niezliczonych sążni drzewa opałowego. Nie wiedząc co z sobą robić i gdzie iść, zaczynam błądzić, gdy naraz słyszę głos z zapytaniem, czy nie ma między nami, świeżo przybyłymi, kogoś z Wołynia. Gdy odpowiedziałem, przybyły zbliżył się do mnie, powiedział, że nazywa się Niedziałkowski z powiatu zasławskiego i że poprowadzi mnie do koszar, w których sam mieszka. Było tam około 20 ludzi, zajętych

przygotowywaniem wieczornego pożywienia. Przyjęto mnie dość serdecznie, choć zauważyłem pewien odcień niezadowolenia, że będzie w tej ciasnocie o jednego człowieka więcej, co zaś do psa, którego odziedziczyłem po Szaramowiczu w Irkucku i który mi ciągle dotąd towarzyszył, tego za nic wpuścić nie chcieli, mówiąc, że mieszkanie jest dla ludzi, a nie dla psów. Bardzo mnie to zmartwiło, szczególniej, że gdy na drugi dzień poszedłem szukać psa, już go nie było i odtąd nigdzie nie mogłem go odnaleźć. Tymczasem poczciwy Niedziałkowski zajął się mną bardzo serdecznie, wynalazł miejsce do spania, wcale dobre, bo pod ścianą, sprowadził moje rzeczy, urządził posłanie i utraktował herbatą z rozmaitymi przekąskami. Po tym wszystkim położyłem się spać, nabrawszy otuchy i przekonania do dalszego mego losu.

Prawo dla skazanych na ciężkie roboty jest bardzo uciążliwe, lecz nie tak jeszcze, jakby się wydać mogło, gdyż po większej części nie bywa wykonywane. Na przykład, jeśli ktoś skazany, tak jak ja, na osiem lat ciężkich robót. Cały ten czas dzieli się na trzy okresy. W pierwszych trzech latach skazaniec powinien być trzymany w zamknięciu, okuty i pod strażą przeprowadzany do robót, tam i z powrotem. Przez następne trzy lata, w razie nienagannego prowadzenia się, zdejmują mu kajdany i wypuszczają z więzienia, może mieszkać na wsi, jeśli ma za co nająć mieszkanie, i winien chodzić tylko na wskazane roboty, ostatnie dwa lata jest od nich zwolniony i tylko nie wolno mu wydalać się z miejsca zamieszkania. Po czym wychodzi na osiedlenie. Takie jest prawo. Tymczasem w zastosowaniu robi się tak: przybyły więzień zamieszkuje w rządowych koszarach wraz z tymi, którzy nie mają środków na osobne mieszkanie, jest względnie swobodny, nie jest okuty, lecz nie może opuścić wyspy, na której koszary się znajdują, bez kajdan, może je nosić, jak mu się podoba, byleby

tylko miał je z sobą. Po jakich mniej więcej kilku tygodniach, komendant w raporcie do generał-gubernatora donosi o nienagannym postępowaniu skazańca i prosi o pozwolenie przeprowadzenia do drugiego okresu kary. Wtedy opuszcza koszary, oddaje kajdany, najmuje mieszkanie i żyje zupełnie swobodnie, obowiązany tylko do chodzenia na roboty, o których zawiadamia go starosta za pośrednictwem podoficera.

Z góry się zastrzegam, że to co piszę, odnosi się tylko do czasu, jaki ja osobiście w Usolu przebyłem. Nie trzeba zapominać, że wtedy już przeszły trzy lata od powstania, i że wskutek tego mogło nastąpić łagodniejsze obchodzenie się z zesłańcami. Z drugiej zaś strony wszystko zależało od usposobienia i dobrej woli komendanta. Był on panem życia i śmierci, a że ludzie są rozmaici, więc i stosunki więzienne musiały się różnić jedne od drugich. Słyszałem od zesłańców powracających z innych miejscowości, że u nich stosunki były zupełnie odmienne i że dużo nacierpieli się od miejscowych władz, zresztą i w samym Usolu, jak mi mówiono, było z początku daleko gorzej. Tu, nie pisząc studiów o Syberii, ani o losie politycznych zesłańców, lecz opisując tylko to, co zapamiętałem z przeżyć osobistych, uwzględniam stosunki w Usolu tylko w czasie mego tam pobytu.

Za zezwoleniem komendanta wybrano za starostę, jak to już wspomniałem, Aleksandra Oskierkę. Przez jego ręce przechodziły wszelkie prośby i zażalenia, wszelkie rozkazy i rozporządzenia władzy, on też nam komunikował, on odbierał wiadomości o ilości potrzebnych robotników i według swego zdania naznaczał do robót, wprowadził przy tym bardzo pożyteczny dla wszystkich porządek, naznaczając do robót tych z nas, którzy mieli pieniądze, a ponieważ wolno było dawać za siebie zastępcę, kto więc chciał, mógł go sobie nająć. Tym sposobem wszyscy byli zadowoleni, jedni ze zwolnienia, drudzy za wynalezienie środków do życia, gdyż za otrzymywane od rzą-

du dwa pudy żytniej mąki i 90 kopiejek na miesiąc, nikt by się utrzymać nie mógł. Przybywszy do Usola, zastałem już funkcjonującą kasę koleżeńską, do której każdy wpłacał 10 procent z odbieranych z kraju kwot, przy tym ci, którzy mieli na utrzymanie, oddawali otrzymywane od rządu mąkę i pieniądze do owej kasy. Była ona przeznaczona na pożyczki dla potrzebujących kolegów, procentowe lub bezprocentowe, w miarę zamożności pożyczającego, oraz na wsparcia bezzwrotne, w razie zupełnej biedoty.

Usole było w tym szczęśliwym położeniu, że większość zesłanych stanowili ludzie wykształceni, pojmujący jakie powinno być stanowisko Polaków na wygnaniu. Wzbudzenie szacunku w miejscowej ludności i utrzymanie godności narodowej było ich zadaniem, wskutek czego za ogólną zgodą spisany był regulamin, obowiązujący wszystkich, między innymi postanowieniami, zabroniono zakładać szynki i handlować wódką. Wszystkie inne handle i procedery były dozwolone i tak na przykład Gruszecki,Tołłoczko, Konopacki, Hryniewiecki i hr. Wielhorski założyli fabrykę świec łojowych, która im nieźle się opłacała. W tym miejscu, po raz ostatni, muszę jeszcze wspomnieć o Ząbkiewiczu. Gdy przybyłem do Usola, zastałem jednego z zesłanych z gubernii grodzieńskiej, który pomimo zakazu założył szynk i miał z niego znaczne nawet zyski. Wskutek nieposłuszeństwa wyłączono go z całego naszego towarzystwa i wszyscy unikali go jak zapowietrzonego. Gdy Ząbkiewicz przybył i rozpatrzył się w położeniu, bardzo podobała mu się myśl posiadania szynku, lecz ponieważ nie chciał zrywać z kolegami, udał się do Oskierki z prośbą o pozwolenie; tłumaczył, że w całym Usolu nie ma żadnego miejsca, gdzieby koledzy mogli się zbierać i spędzać wolny czas na koleżeńskiej pogawędce. Gdy Oskierko zwrócił jego uwagę, że jeden taki zakład istnieje, Ząbkiewicz odparł z oburzeniem, że nie można go uważać za prawdziwie polski, skoro wła-



„...Były tam oprócz koszar, warzelnie, tężnie i inne zabudowania..." (str. 209).

ściciel pochodzi z zabranego kraju, gdzie polskie tradycje już się zatarły, a jego, Ząbkiewicza, szynk będzie patriotyczny i prawdziwie polski. Argumenty te jednak nie poskutkowały, co zmyślnemu przedsiębiorcy nie przeszkodziło postawić później jednak na swoim.

Na drugi dzień po moim przybyciu do koszar, przyszli mnie odwiedzić dawni znajomi, witając bardzo serdecznie: Zygmunt Krasicki, Roman Bniński, Wacław Lasocki. Krasicki z Omelna w powiecie łuckim na Wołyniu był aresztowany na Podolu i tamże sądzony, przybył do Usola z żoną, a ponieważ nie miał żadnych funduszów, dano mu bezpłatne mieszkanie w szpitalu, gdzie go też zastałem. Roman Bniński był z żoną, Wacławą z Sobańskich, którą jeszcze panną znałem w Paryżu. Oboje byli bardzo zacni, wszyscy ich w Usolu kochali i trzeba przyznać, że byli tego warci, gdyż mało kto tyle dobrego dla towarzyszy niedoli robił jak oni. Za moich czasów mieli tylko córkę, późniejszą hr. Komorowską Sufczyńską. Wacław Lasocki, dawny mój kolega z Kijowa, mieszkał z żoną obok Bnińskich we własnym domu, który wybudował sobie po przybyciu. Żona jego, Maria z Mianowskich, była prawdziwym aniołem. Dzieci nie mieli, to było ich jedyne zmartwienie, lecz ich wspólne pożycie ułożyło się tak idealnie, jak rzadko w życiu się spotyka. Lasocki zaraz zabrał mnie z sobą i po raz pierwszy wyszedłem z koszar z kajdanami w ręku.

Na lewym brzegu Angary rozłożyła się duża i zaludniona wieś. Na przeciwnym brzegu, na jednej z wysp połączonej promem, znajdowały się słone źródła, obok których pobudowane były różne budynki, służące do wydobywania z nich soli. Były więc tam, oprócz koszar, warzelnie, tężnie i inne jeszcze zabudowania. Źródła słone musiały się znajdować też i w korycie rzeki, gdyż w niektórych miejscach woda miała stale smak słonawy. W każdej warzelni, w sześciokątnym budynku znajdował się olbrzymi kocioł, gdzie warzyła się słona woda, sprowadzana rurami

ze źródeł. Takich warzelni było, zdaje mi się, siedem. Pod kotłami płonął ciągły ogień, a co miesiąc odbywała się tak zwana „oczystka“ kotłów i to w czasie mego pobytu było jedyną naszą robotą. Była ona nader ciężką i co miesiąc trwała co najmniej przez kilka dni. Należało odbić z wewnętrznych ścian kotła wszystek osad, formujący się wskutek całomiesięcznego ognia, albowiem osadzenie się przeszkadzało jego działalności. W tym osadzie wszystko było można znaleźć: wapno, piasek, siarkę, fosfor i mnóstwo innych rozmaitych pierwiastków. Kotły miały u dołu formę jajka, tak że siedzieć w nich było niepodobieństwem, stać również z powodu niskiego dachu niesposób, trzeba było więc wynajdywać najdziwaczniejsze pozycje, aby sprostać zadaniu. Każdy z nas dostawał do roboty dłuto i ciężki młot, pierwszym należało podważać warstwę osadu i następnie, bijąc weń młotem, odbijać od ścian kotła, przy tym trzeba było uważać, żeby go niezręcznym uderzeniem nie uszkodzić, gdyż za najmniejsze uszkodzenie groziła surowa kara. Gdy mnie przeznaczono do tej roboty po raz pierwszy, wróciłem wieczorem z pokaleczonymi i poparzonymi rękoma od siarki i fosforu, postanowiłem więc stanowczo się jej wyrzec. Nająłem czeladnika krawieckiego z Warszawy, Jastrzębskiego, który za dwa złote dziennie obiecał mnie zastępować i więcej już do owego kotła nie wróciłem.

Nie wiem, czy dla wypróbowania moich zdolności, czy też dla innych jakich powodów, w parę dni po przyjeździe kazano mi wstawić podwójne okna na zimę w różnych budynkach rządowych. Bardzo to łatwa była robota, należało tylko napchać trochę mchu, na to nasadzić ramę okienną, przybić cztery ćwieki po czterech bokach i tak zagiąć, żeby się trzymało. Bardzo szybko się z tą robotą załatwiłem i dobrze ją wykonałem.

Nim przejdę do moich kolegów, których poznałem dopiero w Usolu, muszę wspomnieć o naszym dyk-

tatorze. Komendantem był pułkownik Turow i posiadał władzę dyskrecjonalną nad nami, jako wyjętymi spod wszelkich praw. Był panem życia i śmierci każdego z nas. Tej władzy jednak, trzeba przyznać, nie nadużywał. W gruncie rzeczy był to niezły człowiek, nie bardzo okrzesany, dość prędki i często rządzący się chwilową fantazją, lecz w ogóle skarżyć się na jego obchodzenie się z nami nie było powodu. Gdy w kilka dni po przyjeździe spotkałem go, a na nieszczęście zapomniałem obowiązujących kajdan i nie miałem się gdzie schować, stanąłem za słupem telegraficznym. Jak tylko spostrzegł moją chęć niby ukrycia się, zwrócił głowę w przeciwną stronę i tak szedł, póki mnie nie minął. Gdy zaś już później zesłaniec Neumark z Radomskiego, spotkawszy Turowa, wcale mu się nie ukłonił, Turow zatrzymał go i spytał czemu; gdy Neumark tłumaczył się, że nigdy pułkownika nie widząc, nie mógł wiedzieć, że to on, Turow na to, że to żadna racja, gdyż wiedząc o jego stanowisku, powinien był kazać go sobie opisać tak, aby mógł poznać, za czym wsadził go do kozy za karę. W parę tygodni później Neumark znowu spotyka Turowa; nauczony doświadczeniem, kłania się z największym poszanowaniem. Na nieszczęście nie miał z sobą kajdan. Turow skazał go znowuż na taką samą karę tłumacząc mu, że powinien był, tak jak ja w podobnym wypadku, udać, że się chce ukryć, a nie leźć prosto w oczy. Później, już około Wielkanocy, Turow otrzymał z Irkucka zapytanie o prowadzeniu się Neumarka. Poszedł do niego do koszar i powiedział: „Widocznie ktoś się stara o pańskie ułaskawienie, lub o ulżenie obecnej doli, ponieważ mieliśmy z sobą parę przejść, wskutek których musiałem kazać pana ukarać, obawiam się, abyś w razie niedojścia tych starań doskutku, nie podejrzewał mnie o nieprzychylną opinię. Otóż przyniosłem tu z sobą mój oficjalny papier, napisz sam odpowiedź, a ja ją podpiszę", — po czym włożył papier w kopertę, zapie-

czętował i oddał Neumarkowi, aby ją sam oddał na pocztę.

Na Boże Narodzenie sprowadził Turow z Irkucka sporo rozmaitych zabawek i łakoci i urządził gwiazdkę dla dzieci zesłańców politycznych i miejscowych urzedników. W czasie zebrania, gdy rozdawano podarki, Turow zauważył, że jeden z obdarzonych chłopaczków pakuje z wielkim trudem pod kanapę drewnianego konia, którego tylko co dostał, podszedł mu powiedzieć, żeby się nie trudził, postawił konia na oknie, a wychodząc go zabierze. Malec nie chciał się na to za nic zgodzić, mówiąc: „matka mi zawsze mówi, że Moskale złodzieje, a tu ich tylu jest, że na pewno konia mi ukradną". Turow nic nie powiedział, lecz na drugi dzień przyszedł do matki z wyrzutami, że wychowuje dziecko w takich zasadach, jak gdyby pragnęła, aby Polacy zaludniali Syberię po najdłuższe lata. Z całego jednak zajścia użytku nie zrobił. Na wiosnę zawezwał komendant Oskierkę do siebie i powiedział, że musi w swych raportach do generał-gubernatora wykazać, jakie roboty wykonywali zesłańcy Polacy. Umyślił więc oddać im ogromny plac obok cerkwi z tym, aby go skopać i zasadzić na nim rozmaite jarzyny, których nasiona on sam dostarczy, a które po zbiorze oddane będą na użytek tych Polaków, co mają żony i dzieci, a brak im środków utrzymania.Robotę uważaliśmy jako honorową, więc nikt się od niej nie uchylał. Zwykle Turow gawędząc przypatrywał się naszej pracy. Pewnego dnia, skończywszy oznaczone zajęcie, poszliśmy wcześniej, niż zwykle do domów, i Turow przyszedłszy nikogo już nie zastał. Bardzo mu się to nie podobało, posłał podoficera, aby wszystkich sprowadził do roboty z powrotem, gdyż to cośmy zrobili było jakoby nic nie warte. Zaczęło się więc na nowo kopanie już raz skopanej ziemi, tymczasem zachmurzyło się, zerwał się szalony wicher z ulewą; skopany czarnoziem z ulewnym deszczem tak nas oblepił, że wyglądaliśmy

jak murzyni, a gdy komendant kazał na siebie czekać i nie przychodził, poprosiliśmy podoficera, aby poszedł się spytać, czy nie moglibyśmy się już rozejść. Kazał nam odpowiedzieć, że możemy jeszcze z godzinkę popracować i dopiero po ciemku rozpuścił do domu przemokniętych.

W jakich parę tygodni po przybyciu, otrzymałem pozwolenie opuszczenia koszar i swobodnego zamieszkania we wsi, przy tym zwolniono mnie z kajdan, które jednak, ofiarowawszy 75 kop. podoficerowi, zatrzymałem u siebie i przywiozłem na pamiątkę do kraju.

Zamieszkałem wspólnie z Julianem Kędrzyckim, byłym profesorem języka i literatury polskiej w Uniwersytecie Kijowskim. Mieszkanie najęliśmy w domu Kołomina na górce, nad mieszkaniem Bnińskich. Był to jeden duży pokój, rozdzielony przepierzeniem. Do usług nająłem sobie kolegę Kuźmińskiego (Michała), poczciwego Żmudzina, nie mającego żadnych środków do życia; po polsku mówił dość słabo, a całe dnie spędzał na śpiewaniu godzinek po żmudzku. Zająłem się umeblowaniem naszego mieszkania, kazałem zrobić łóżko z półką u głowy, dla postawienia świecy do czytania w nocy, materac z wielbłądziej sierści, kanapkę z takiegoż materiału, komodę do rzeczy, stół i kilka krzeseł. Z czerwonego perkalu zrobiłem firanki, na półkach, pod oknem ustawiłem kilkanaście wazonów z kwiatami, w których Sybiracy się kochają. Rzadko gdzie widziałem tak piękne gloksynje jak u nich, bardzo więc łatwo mogłem urządzić sobie rodzaj maleńkiej oranżeryjki. W samowarze wprowadziłem inowację, która była moim własnym wynalazkiem. W pokrywie jego była zasuwka nad otworem, przez który w razie silnego gotowania się wody wydostawał się nadmiar pary, otóż w tej zasuwce wprawiłem świstawkę, która z przedpokoju dawała mi znać, że woda już się zagotowała.

Właścicielką domu, w którym mieszkałem, była wdowa Kołominowa z dwiema córkami: Olą i Jagnią.

Były to dwie młode i przystojne panny. Miała także syna, znacznie młodszego. Kędrzycki dawał mu lekcje, lecz zdaje się, że uczeń niewiele skorzystał, strasznie był do wszelkiej nauki tępy. Od czasu do czasu z okazji jakichś imienin lub urodzin moja gospodyni urządzała przyjęcia, na które bywałem zapraszany. Spotykałem tam rozmaitych urzędników „minorum gentium", kupców z rodzinami itd. Dawano herbatę, dużo wódki i rozmaite przekąski. Z początku grano winta, nazywanego tam wistem generalskim, w czasie którego trzeba było popijać ciągle wódkę: raz z powodu wygranego robra, to znowu na pociechę, gdy się go przegrało. Następowały potem niewinne gry z pannami, wśród wrzawy i śmiechu. Uderzyło mnie to, że służąca u nich dziewczyna, Wieroczka, brała udział we wszystkich tych zabawach na równi z gośćmi, co jej nie przeszkadzało usługiwać w razie potrzeby.

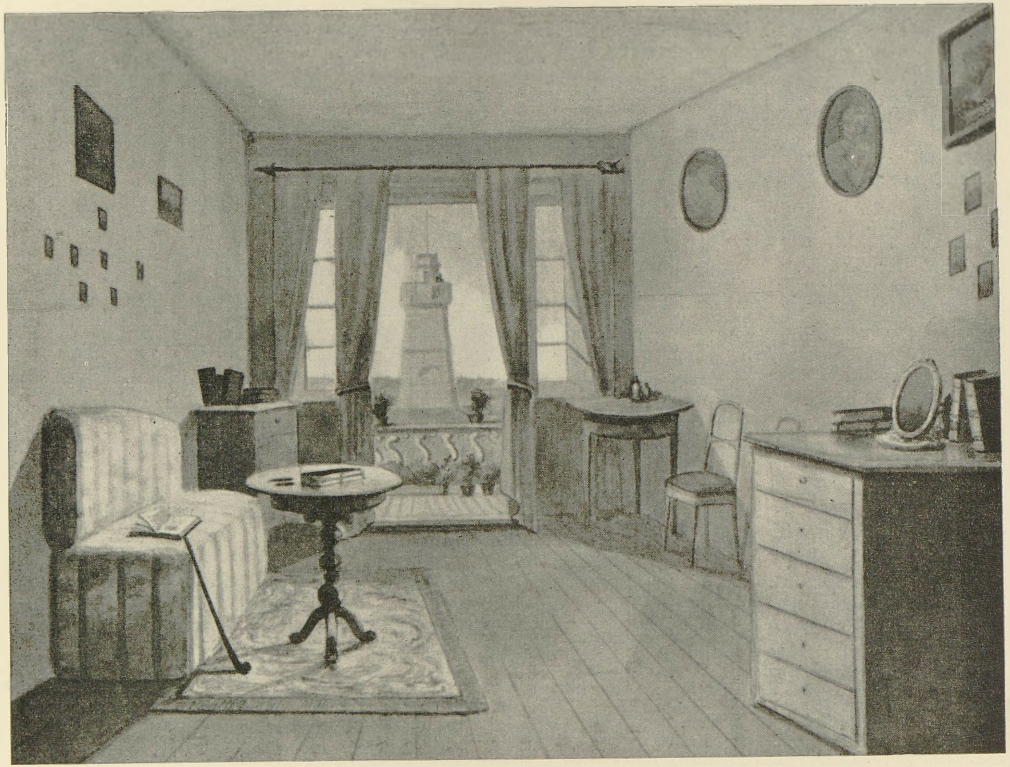
Urządzając mieszkanie, musiałem zaopatrzyć się w rozmaite sprzęty do stołu i do herbaty, poszedłem więc je kupić w najzasobniejszym sklepie, lecz kupiec nie tylko nie chciał nic sprzedać, lecz nawet prawie wyrzucił mnie za drzwi mówiąc, że dla Polaków u niego towarów nie ma. Zdziwiło mnie to, gdyż w ogóle miejscowa ludność okazywała nam sympatię, lecz dowiedziałem się, że prenumerował „Inwalida", który przez cały czas powstania donosił o niesłychanych okrucieństwach powstańców nad rannymi, lub wziętymi do niewoli żołnierzami rosyjskimi. Następnie jednak usposobienie to się zmieniło. Gdy wybuchło powstanie zabajkalskie, tenże „Inwalid" doniósł o zaburzeniach, jakie miały niby być w Usolu, o zabiciu komendanta i wymordowaniu urzędników. Gdy nasz nieprzyjaciel to przeczytał, doszedł zaraz do przekonania, że wszystko, co czytał w swym ulubionym organie w czasie powstania, było zapewnie równie prawdziwe jak to, co obecnie wyczytał o Usolu, przestał więc go prenumerować i pogodził się z zesłanymi Polakami.

Każdy zesłaniec, nie otrzymujący zasobów pieniężnych z kraju, musiał chwytać się jakiegoś procederu, aby móc zarobić na byle jakieś utrzymanie. Tak na przykład Potoccy z Wołynia, herbu Lubicz, zajęli się wyrobem rozmaitych wędlin. Były one rzeczywiście doskonałe i cieszyły się wielkim popytem. Najwięcej namnożyło się jadłodajni. Ja stołowałem się u niejakiego Makowskiego. Jedzenie było wcale niezłe, a może tylko wtedy takim mi się ono wydawało. Jadałem sam tylko obiad, wieczorem zaś pijałem herbatę z dodatkiem jakiejś wędliny, trzy dni w tygodniu bywał na obiad barszcz, kapuśniak lub rosół z kawałkiem mięsa i jakieś kluski, czy kasza, w cztery zaś — kawał pieczeni wołowej z kartoflami i znowu jakaś mączna potrawa i w te dnie już zupełnie zupy nie miałem. Płaciłem za to trzy ruble miesięcznie, mieszkanie zaś rocznie kosztowało mnie 12 rubli, tak że całe utrzymanie wypadło nie drogo. Od czasu do czasu, zajeżdżali wędrowni handlarze, rozwożący po wsiach na sprzedaż beczki z omulami. Omul jest to rodzaj śledzi z jeziora Bajkalskiego. Gdy się ociepli na wiosnę, podpływają one wielkimi ławami do brzegów i wtedy je łowią. Mogłyby one być bardzo dobre, gdyby je umiano preparować jak na Zachodzie, lecz nad Bajkałem, ponieważ przepływ ich niedługo trwa, ciągle je tylko łowią i składają na piaszczystym brzegu, dopiero jak przepływ się skończy i omule schowają się w głębiach jeziora, zabierają się do ich czyszczenia, solenia i układania w beczki. Tym sposobem konserwują rybę, już na pół zgniłą, która też okropnie cuchnie. Ja jej nigdy w usta wziąć nie mogłem, lecz miejscowa ludność sybirska niezmiernie gustowała w tej „sui generis" zaprawie i wszędzie w bajkalskiej okolicy omule, tak spreparowane uchodzą, za specjalny przysmak. Jezioro Bajkalskie jest jedynym, które przy słodkiej wodzie posiada roślinność i stworzenia, które mogą istnieć li tylko w morskiej, słonej

wodzie. Posiada ono foki, korale, rozmaite ryby i żyjątka, spotykane tylko w morzach.

Dziwna rzeka ta Angara. Woda w niej tak przezroczysta, że przy wielkiej nawet głębokości rozróżnić można kamienie na dnie, a tak szybko płynie, że zamarza zupełnie inaczej jak inne rzeki, nie od powierzchni, lecz od dna, leżące tam kamienie i inne różne szczątki zaczynają się pokrywać powłoką lodową, która, ciągle się powiększając, ostatecznie wszystko podnosi na powierzchnię wody i z pędem płynie dalej. Gdy się namnoży takich brył lodowych, zaczynają się one ściskać i w jednej chwili rzeka staje z ogromnym hukiem i trzaskiem, zabierając przy znacznym wylewie z sobą wszystko, co przy brzegach spotka. Za to w czas wiosny, kry, zwykłej u nas, zupełnie nie ma i lód niespostrzeżenie topnieje, tak że gdy rzeka już zupełnie się z lodu oczyści, miejsca, które służyły za przejazd i na które nawożona była słoma i nawóz do wyrównania drogi, pozostają jeszcze dzień lub dwa, jakby mosty na niej postawione.

Angara wpada do Jenisieja, chociaż o to trwa dotąd nierozstrzygnięty spór, gdyż wielu geologów, sądząc po naturze i układzie brzegów, twierdzi, że jest przeciwnie. Gdy mi powiedziano, że rzeka lada chwila stanie, ścięta lodem, poszedłem się temu przypatrzeć. Zmarzłem przeraźliwie, stojąc parę godzin na mrozie, a nie były to żarty, gdy mróz dochodził do 40 stopni, lecz ostatecznie doczekałem się chwili unieruchomienia tych ogromnych zwałów płynących niby góry lodowe, które w jednej sekundzie zwarły się z przerażającym hukiem. Zima była ciężka. Przez przeszło trzy miesiące dzień w dzień trzymał mróz od 30 do 40 stopni i tylko zupełny brak wiatru pozwalał to znosić. Opady śnieżne były rzadkie i takich zasp, jakie się u nas po drogach spotyka, prawie nie widziałem. Podczas wielkich mrozów starałem się jak najmniej wychodzić z domu, a że drewniane domy sybirskie są nadzwyczaj ciepłe i dobrze opatrzone,



„Zamieszkałem wspólnie z Kędrzyckim w domu Kołomina na górce, nad mieszkaniem Bnińskich“ (str. 213).

zimno nie bardzo dawało się we znaki. Jednak wychodząc, odczuwałem przy każdym oddechu, jakby silne ściśnięcie w gardle, tak w jednej sekundzie mróz zmrażał wszelką w nim wilgoć.

Na wyspie opodal koszar była łaźnia rządowa, niewielki budynek, w którym oprócz pieca nic nie było, tak że trzeba było na zewnątrz na mrozie się rozbierać i ubierać. Chodząc do niej co tydzień, umyśliłem rozebrać się w koszarach do naga i nałożywszy „kazionne" pantofle i gruby sukienny „zipun", prędko lecieć do łaźni. Tak samo było z powrotem, lecz w czasie tych silnych mrozów, nim nazad dobiegłem do koszar, już mokre włosy obmarzły i powstawały jak szczecina na głowie. Łaźnię otaczały wały odgarniętego śniegu i największą rozrywką było rozgrzanemu w łaźni rzucać się w śnieg i natychmiast wracać do niej. Doktorzy twierdzili, że to bardzo niebezpieczna rozrywka. Nigdy mi jednak nie zaszkodziła.

Życie koleżeńskie w Usolu było bardzo rozwinięte, wszystkie dnie tygodnia były pozajmowane. Oprócz Bnińskich i Lasockich, mieszkali Mieczysławostwo Siesiccy, ona Kozakowska z domu, Maciejostwo Smoleńscy z Płockiego z wychowanką, którą z sobą przywieźli, gdyż dzieci nie mieli, Aleksandrowie Oskierkowie, ona Grabowska z domu, zaręczona w kraju, przybyła do Usola, aby narzeczonego poślubić.

Tu muszę wspomieć o Stanisławie Olendzkim, wyższym oficerze sztabu głównego w Petersburgu, który tamże spędził dziecinne i młode lata i dlatego mówił bardzo źle po polsku. Razem z Sierakowskim wstąpił do powstania a następnie przybył do Usola, był na ślubie Oskierków, a gdyśmy go rozpytywali o pannę młodą, powiedział nam, że bardzo miła w „obracaniu", tłumacząc tym sposobem rosyjskie wyrażenie „miłaja w obraszczenji". Antoniostwo Jeleńscy, bardzo zacni ludzie, u których mieszkał ksiądz Ferdynand Stulgiński, dziekan kowieński. Gdy był sądzony, zamieszczono go z tym tytułem w wyroku,

a następnie w spisach, ponieważ jednak w kościele wschodnim nazwy dziekana nie znają, więc napisali mu „dekan". W Irkucku przy segregacji zesłanych nie domyślili się co to znaczy i sądzili, że to jakiś cywilny tytuł, a wcale duchownego nie oznacza, szczególniej że ksiądz miał ogromne wąsy. Księża byli daleko surowiej od innych traktowani. Zesłanych do robót posyłano do Akatui w nerczyńskich kopalniach na osiedlenie zaś do Tunki. Wskutek tego nieporozumienia posłano go do Usola, gdzie znalazł się w daleko lepszych warunkach. My zaś wszyscy na tym skorzystaliśmy, gdyż mogliśmy, choćby codzień słuchać mszy św. i przystępować do św. Sakramentów. Mieliśmy wprawdzie kaplicę, lecz ksiądz Szwernicki, najzacniejszy kapłan, proboszcz Irkucki, miał parafię równającą się połowie Europy i pomimo całej gorliwości, z jaką spełniał swe duchowne obowiązki, zaledwie raz na rok, a często nawet rzadziej, mógł do Usola zaglądać.

Między innymi zastałem w Usolu Michała Gruszeckiego z żoną. On po raz drugi „zwiedzał" Syberię, gdyż poprzednio zesłany do robót w sprawie Konarskiego, ułaskawiony przy wstąpieniu na tron Aleksandra II, w 1863 roku znowu zawitał do Usola. Z pierwszego pobytu zachował wierszyk Gustawa Ehrenberga na wyjazd Aleksandra Krajewskiego z cytadeli warszawskiej, parafrazę piosenki „Mignon" Goethego, a raczej parafrazę prześlicznego przekładu Mickiewicza. Z dzisiejszego pokolenia mało kto już te czasy pamięta, dlatego pozwalam sobie ten wierszyk przytoczyć:

1.

Znasz li ten gmach, szeroki mur go stroi,
Wkoło rząd dział, i tłum szyldwachów stoi,
A wszyscy ci spokojnie przejść nie dają,
Nie wolno tu! nie wolno tam! wołają.
Znasz li ten gmach? Ach tam, o moja miła,
Tam istne piekło, choćbyś i ty tam była.

2.

Znaszli ten kraj gdzie ludzi sprzedawają,
Puszczają w grę, w posagu przeznaczają,
Pod batem tam człek żyje i umiera,
Jeśli go „czyn" nie broni oficera,
Znaszli ten kraj? Ach tam, o moja miła,
Tam istne piekło, chobyś i ty tam była.

3.

Znasz li ten kraj, gdzie owoc nie dojrzewa,
Gdzie szronu blask przemarzłe stroi drzewa,
Gdzie w maju lód jeszcze na rzekach stoi
A słońca lśnień bynajmniej się nie boi,
Znasz li ten kraj? Ach tam, o moja miła,
Tam bym ja zmarzł, choćbyś i ty tam była.

Wśród wielu osiedlonych w Usolu kolegów, lepiej się poznałem z Rodrygiem Świętorzeckim, bratem Apolinarego, którego wspomnienie wydała przed kilkoma laty p. Kowalewska. Był on na osiedleniu niedaleko Usola i przyjechał do brata na święta wielkanocne. Wtedy się spotkałem nadto z Julianem Charmańskim, dawnym moim kolegą z Instytutu Wileńskiego, Michałem Dobrowolskim i Makowieckim z guberni mohylewskiej. Stamtąd był także Samujło i dr Missuna. Z Grodzieńskiego był Hofmeister z żoną, Redych, Kamiński, Wojsiatycz; ten ostatni już później, wyszedłszy z robót, kupił sobie tak zwaną „zaimkę" czyli fermę i urządził na niej wzorowe gospodarstwo. Na wystawie rolniczej w Irkucku otrzymał złoty medal za wyprodukowaną pszenicę ozimą, której dotąd we Wschodniej Syberii nigdy i nigdzie nie zasiewano. W dalszym ciągu przypominam sobie następujących kolegów: Józefa Popowskiego, dawnego kolegę z uniwersytetu kijowskiego, którego często później spotykałem w Wiedniu i w Krakowie, jako oficera austriackiego, Lucjana Wielobyckiego, Adama Pląskowskiego, Marka Żurakowskiego, Stanisława Wiszniewskiego, Dionizego Przysieckiego, Józefa Łozińskiego, Jó-

zefa Zawalskiego, Stanisława Wolańskiego, Pawskiego, Stratona Budzyńskiego, Juliana Morzyckiego z żoną i córeczką, Skawińskich, Bolesława Zygfryda, Adama Majewskiego z żoną. Oboje bardzo zacni i ogólnie poważani. Z Rusi był jeszcze Siedrocki były „mirowy pośrednik", Mieczysław Bardecki, Deko z żoną, Konopaccy, Lipoman z żoną. Ten ożeniony był z wdową, p. Nejman, której dzieci z pierwszego małżeństwa przybyły razem z matką do Usola. Starsza jej córka wyszła w Usolu już po moim wyjeździe za Romana Rogińskiego, sławnego dowódcę oddziału powstańczego na Podlasiu, który cudem uniknął śmierci dzięki wstawiennictwu hr. Nostitza, dawnego swego przeciwnika z czasów powstania. Byłem z drogim Romanem w bardzo dobrych stosunkach, które przeciągnęły się znacznie dłużej po powrocie naszym do kraju, aż do chwili jego śmierci.

Z kowieńskiego był na posieleniu Jakób Gieysztor, niby dyktator Litwy w czasie powstania, człowiek wszechstronnie wykształcony i wielkich zasług, później po powrocie do kraju zasłynął jako znawca, zbieracz i bibliofil, posiadał dużo białych kruków, a wydawał głośne katalogi, a że ja także kochałem się w starych drukach, więc z tego powodu byliśmy w ciągłych stosunkach i często spotykaliśmy się po powrocie do kraju. Z Wilna był Józef Kalinowski, syn mego dawnego dyrektora w Wileńskim Instytucie Szlacheckim, niezmiernie nabożny, prawdziwy asceta, toteż wróciwszy do kraju wstąpił do karmelitów w Krakowie i tam zakończył życie. Z Mińskiego był Bonifacy Krupski, bliski sąsiad Nieświeża, i Bolesław Świda. Z Królestwa, oprócz już wyżej wymienionych, pracowali w Usolu: Roman Frankowski, późniejszy mój prawie sąsiad na Podlasiu, August Kręcki, najzacniejsza dusza, późniejszy gorliwy i gorący mój współpracownik w zajęciu się losem powróconych zesłańców, steranych wiekiem i pozbawionych wszelkich środków do życia, Feliks Zienkowicz, którego w póź-

niejszych czasach spotykałem w Warszawie, Henryk Wohl, bardzo zasłużony patriota, Polak sercem i duszą, co stwierdził całym swym życiem, aż do chwili zgonu, Aleksander Sochaczewski ze Szkoły Sztuk Pięknych, bardzo zdolny, mógłby zająć wybitne stanowisko wśród polskich malarzy, gdyby okoliczności pozwoliły rozwinąć się jego wrodzonemu talentowi, Henryk Bąkowski, długoletni późniejszy mój kolega w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, którego był radcą prawnym przez długie lata, Gustaw Paprocki, któremu udało mi się w późniejszym czasie ułatwić otrzymanie pozwolenia na nabycie drukarni, gdyż bez osobnego pozwolenia gubernatora, nie wolno było Żydom ani ich zakładać, ani dzierżawić. Nie wiedząc jakby mu to ułatwić, powiedziałem gubernatorowi Martynowowi, że w czasie wspólnego naszego pobytu w Usolu uratował mi życie, gdy w czasie kąpieli topiłem się w Angarze, i że bardzo pragnąłbym mu się odwdzięczyć. Ten zmyślony przeze mnie fakt tak rozczulił Martynowa, że zaraz kazał wydać żądane pozwolenie. Na niewiele się to przydało, gdyż Paprocki wkrótce zbankrutował i musiał drukarnię zamknąć. O Gabrielu Karwosieckim w Usolu krążył złośliwy wierszyk Kędrzyckiego:

Tam miał sługi, cugi,
Tutaj tylko długi,
W Płockiem szambelanic
W Usolu nic a nic.

Malarz Katerla wraz z Oborskim i Stankiewiczem bardzo przyczynił się do wypełnienia mego albumu przeznaczonego do zbierania widoków syberyjskich z różnych miejscowości, które w tym czasie poznałem. Któż jeszcze? Dwaj bracia Wielhorscy z Inflant, pierwszy z nich był z żoną w Usolu, Tomasz Ilnicki, zarządzał niegdyś skarbowością w Rządzie Narodowym, żona jego Maria, Maykowska z domu, przez długie lata redagowała z wielkim talentem znane czasopismo „Bluszcz". Odwiedziłem ją po powrocie z Usolu

i u niej, jeszcze jako studenta Szkoły Głównej, spotkałem po raz pierwszy Aleksandra Kraushara, z którym w późniejszym czasie łączyły mnie bardzo przyjazne stosunki.

Wkrótce po moim wyjeździe z Usola biedny Ilnicki został zamordowany przez miejscowych zbójów w czasie przechadzki w okolicy wsi, z powodu złotej ślubnej obrączki, która ich skusiła. Znaleziono go z odciętym palcem. W ogóle trzeba było być bardzo ostrożnym, oddalając się poza zamieszkałą część wsi. Mieliśmy w Usolu kilkuset zbrodniarzy zesłanych do robót. Zamieszkiwali wprawdzie w zupełnie oddzielonych od nas koszarach i wcale ich nie spotykaliśmy, jednakowoż należało się mieć zawsze na ostrożności. Trafiali się jednak i między kryminalistami tacy, którym nie obce były szlachetniejsze uczucia. Gdy zerwał mi się złoty łańcuszek od zegarka, udałem się aby go zreperować, do starosty całej partii przestępców kryminalnych, dopytując się, czy nie ma kogoś, kto by mógł mi to zrobić. Przysłał mi młodego człowieka, który przed zesłaniem pracował u jubilera. Dałem mu łańcuszek wartości paruset rubli, zreperował mi go za 75 kopiejek i najsumienniej odniósł, a na drugi dzień dowiedziałem się, że tejże nocy uciekł i poszedł na „brodiagę", czyli na włóczęgę. Lepszy by jednak zrobił interes, zabierając z sobą mój łańcuszek.

Oprócz sprowadzanych czasem towarów z Irkucka, odbywał się co tydzień w poniedziałki targ, okoliczni i miejscowi włościanie przywozili w tym dniu różne produkty żywnościowe na sprzedaż, między innymi zmarznięte mleko i śmietankę. Wtedy należało się zaopatrzyć na cały tydzień, gdyż do następnego poniedziałku już nic nie można było dostać. Tu wychodziła na jaw niezaradność miejscowej ludności. Kupowali co im było potrzeba na ten jeden dzień, a już w dnie następne musieli to samo nabywać w sklepikach u zesłanych Polaków, którzy zrobiwszy zapasy

w dni targowe, odsprzedawali je następnie z zyskiem, zarabiając tym sposobem na własne utrzymanie. Zauważywszy to, umyśliłem także zrobić spekulację:

Rzeki wschodniej Syberii posiadają bardzo mało ryb, natomiast w zachodniej jest ich bardzo wiele i to w najlepszych gatunkach, toteż w zimie, gdy nastaną silne mrozy, karawany z zamrożoną rybą idą do Irkucka; ponieważ przechodziły przez Usole, zamierzyłem kupić jej znaczniejszą ilość, a następnie sprzedawać detalicznie miejscowej ludności. Kupiłem więc ryb za 100 rubli i ogłosiłem, że mam na sprzedaż. Sprzedałem raz cokolwiek z okazji imienin któregoś z kupców, o resztę nikt się nie spytał. Umyśliłem fabrykować kawior, którego w kupionych jesiotrach i bielugach dużo znalazłem, lecz ponieważ ani ja, ani nikt w Usolu nie umiał go odpowiednio spreparować, czyli oczyścić z plewek, rozdzielających ziarnka, kawior wyglądał tak, że nawet sam jeść go nie mogłem. Póki trwały mrozy, była jeszcze nadzieja zbytu, lecz na wiosnę, aby zapobiec gniciu, zdecydowałem się ugotować i zrobić marynatę, nikt jednak w dalszym ciągu nie chciał jej kupować, więc urządzałem u siebie kolacje dla kolegów, którzy ostatecznie ją skonsumowali, lecz gdy wypadło coś do marynaty dodawać do picia, straciłem nie tylko te sto rubli, lecz jeszcze kilkanaście na wódkę.

Doktorzy nasi byli bardzo wzięci u miejscowej ludności, tak że nawet tamtejsi lekarze niejednokrotnie występowali do władz, aby Polakom zabronić praktyki lekarskiej, jako że odbierają im wszelki zarobek. Ludność miejscowa dość logicznie rozumowała, że jeśli jaki lekarz dla praktyki wynosi się na Syberię, to widocznie nie miał jej u siebie w kraju, natomiast Polacy, siłą zesłani, znajdują się w zupełnie odmiennych warunkach. Pewnego dnia zjawił się u Lasockiego Buriat z koczującego w pobliżu plemienia, prosząc o lekarstwo dla chorej matki. Gdy Lasocki chciał ją zobaczyć, powiedział, że jej nie ma i że jest za daleko,

aby mogła przyjść, lecz że jeśli polski doktor da dla niej lekarstwo, to na pewno wyzdrowieje.

Już wśród kryminalistów poznałem w Usolu księżnę Trubecką. Kiedyś przed laty jeden z ks. Trubeckich ożenił się wbrew woli rodziny z prostą dziewczyną wiejską, która następnie, gdy służąca przypaliła prasując jej suknię, tak nieszczęśliwie w gniewie uderzyła dziewczynę żelazkiem od prasowania, że ją na miejscu zabiła. Ponieważ według prawa rosyjskiego pozbawienie praw zrywa wszelkie zobowiązania, a nawet związki rodzinne, rodzina męża żadnych nie przedsiębrała środków aby ratować zabójczynię, a że mąż też zobojętniał, została skazaną do ciężkich robót, a po odbyciu kary zamieszkała na stałe w Usolu. Była to już wtedy 60-letnia kobieta. Głównym jej środkiem utrzymania była sprzedaż rozmaitych, przez siebie przygotowanych wódek, nalewek i likierów. Z romaitych jagód leśnych, jak moroszka, oblepicha i innych u nas nie znanych, doskonale umiała je wyrabiać i wielkie miała powodzenie. Jako stały klient często do Trubeckiej zachodziłem. O przejściach, które ją zaprowadziły na Sybir, nie lubiła mówić, natomiast bardzo ją interesowały sprawy sercowe mieszkańców Usola, którymi lubiła się zajmować. Bardzo lubiła kwiaty, więc opuszczając Usole darowałem jej wszystkie, jakie miałem w mojej oranżeryjce. W ciągu zimy skasowano ciężkie roboty w gorzelni aleksandrowskiej, oddalonej o jakich 60 wiorst od Usola i przeprowadzono do nas tych, którzy tam pracowali. Między innymi przybył Zygmunt Rudnicki z Podola, mój bardzo dobry znajomy z kraju jeszcze sprzedpowstaniowych czasów.

W okresie Wielkanocy rozpoczęła się walka, dość niewinna zresztą między koroniarzami a kresowcami z zabranego kraju. Pierwsi koniecznie żądali święcenia jej według nowego kalendarza, gdy kresowcy chcieli się trzymać starego, juliańskiego, koroniarze uznali to za zdradę kraju, uświęcającą jego rozbiór.



A. Stankiewicz: Mieszkanie komendanta i ogród publiczny w Usolu.

Wydawało się rzeczą obojętną, którego dnia kto będzie się dzielić jajkiem święconym i rzeczywiście każdy mógł obchodzić uroczystość jak chciał, lecz cała trudność polegała na nabożeństwie. Jak już wspomniałem, mieliśmy między sobą księdza Stulgińskiego, otóż koroniarze chcieli, aby on odprawiał wszystkie uroczystości religijne Wielkiego Tygodnia i Alleluja, jak w tym roku wypadało, o tydzień wcześniej. Ksiądz tłumaczył się, że nie może, gdyż przepisy kościelne nie pozwalają mu odbywać nabożeństwa inaczej, jak według kalendarza obowiązującego w diecezji, w której zamieszkuje dłużej niż trzy tygodnie. Skończyło się na tym, że nabożeństwa odbyły się według przepisów kościoła, a święcone jedliśmy jak się komu podobało.

W ogóle, stosunki między nami były bardzo dobre i serdeczne. Jeden tylko szczegół mnie raził i nieprzyjemne zostawił wspomnienia z całego pobytu w Usolu, to mianowicie, reminiscencje z czasów powstaniowych, a raczej już późniejszych. Gdy jeszcze w kraju komisje śledcze rozpoczęły swą działalność, nie było między nami nikogo, kto by z rozmysłem dla ratowania siebie zaszkodził drugim. Mogli być tacy, którzy oplątani podstępną robotą komisji śledczych nie znaleźli w sobie dość silnego charakteru, aby móc się im oprzeć, lecz w ogóle byli to ludzie uczciwi, kochający kraj i sprawę, której się poświęcili. W tych warunkach, wyciąganie tych szczegółów, w chwili wspólnego nieszczęścia, bez wszelkich dowodów, gdyż takowych, oprócz gołosłownych twierdzeń, ani za, ani przeciw być nie mogło, było wstrętne i uchylałem się od nich, o ile tylko się dało.

Od 25 marca słońce zaczęło przygrzewać, gdyż dotąd tylko świeciło i choć śnieg jeszcze leżał, jednak już z przyjemnością można było parę godzin spędzać na świeżym powietrzu. Po Wielkanocy, gdy się już zupełnie ociepliło i zazieleniało, urządziliśmy majówkę w lesie, na jednej z wysp na Angarze. Majówka

bardzo dobrze się udała, lecz po niej zachorowałem, zrobił mi się antraks na karku. Sądziłem, że to jakiś wrzodzik, który sam z siebie przejdzie, lekceważyłem go z początku, gdy jednak ból stawał się coraz silniejszy i zjawiła się gorączka, udałem się o poradę do Lasockiego, który zdecydował, że to jest karbunkuł i że należy jak najprędzej zrobić operację. Po rozcięciu, musiałem z dwa tygodnie przeleżeć w domu. Poczciwi koledzy odwiedzali mnie licznie, przyszedł i Jan Świda, znakomity doktor, który później w Irkucku zyskał ogromne wzięcie, i poprosił o pokazanie rany. Pokręcił głową i oświadczył, że to jest prawdziwy Antrax Carbonicus, bardzo zła i niebezpieczna choroba. Zacytował mi marszałka Ciundziewickiego, który umarł po kilku godzinach, pocieszając przy tym, że to był już człowiek wiekowy, a dla takich choroba ta jest najniebezpieczniejsza. Dodał wprawdzie, że miał kolegę w uniwersytecie, który także z antraksu umarł, lecz dopiero po kilku dniach. Wypowiedziawszy to wszystko, wziął karty leżące na stoliku i zaczął ciągnąć pasjansa, po czym rzucił je z gniewem, mówiąc: „Chciałem pociągnąć pasjansa, czy wyjdziesz z tego czy nie, i jak na złość nie wyszedł". Po tej konsultacji wyszedł, pożegnawszy mnie bardzo serdecznie.

Nie wychodziłem jeszcze z domu, gdy niespodziewanie, po raz pierwszy zjawił się u mnie Turow, winszując mi ułaskawienia, o którym tylko co debrał urzędowe zawiadomienie. Oświadczył, że jestem zwolniony z robót i że mam wyjechać na mieszkanie do guberni penzeńskiej.

Później opowiadano mi, jak to się stało. Po śmierci mego brata i jego żony na wygnaniu, ojciec mój pojechał do Petersburga w nadziei otrzymania jakiejś ulgi dla mnie. Był u hr. Szuwałowa, który po kilku dniach oświadczył, że w tej chwili nic zrobić nie można, że coś już cesarzowi napomknął, lecz wobec nieprzychylnego przyjęcia wolał się wstrzymać z przedstawieniem, gdyż odmowna decyzja mogła dużo za-

szkodzić, uniemożliwiając przez dłuższy czas poruszanie tej sprawy. Ojciec mój w Petersburgu odwiedzał często zamieszkałego tam Bolesława Potockiego, wielkiego podczaszego dworu i dawnego sąsiada Komargrodu. Hrabia był typem dawnego dworaka. Za największe dla siebie szczęście uważał zbliżenie się do cesarza, cesarzowej i całej ich rodziny. Najmłodsi książęta: Sergiusz i Paweł byli wtedy dziećmi i ciągle go do siebie na śniadanie zapraszali. Gdy po kilku dniach przyszedł, zaczęli mu wymawiać nieobecność i wtedy, chcąc się wytłumaczyć, powiedział, że przyjazd mego ojca do Petersburga w tak ciężkich okolicznościach był powodem absencji, prosił jednak usilnie, aby o tym nikomu nie wspominali. Cesarz, ubierając się, sprowadzał zwykle dzieci do siebie. Otóż gdy, pomimo obietnicy uczynionej Potockiemu, dzieci po przyjściu powtórzyły co od niego słyszały, cesarz zabronił synom mieszania się do spraw, które do nich nie należą. Lecz na pierwszym przyjęciu hr. Szuwałowa kazał mu moją sprawę szczegółowo przedstawić, a zaraz na drugi dzień polecił zawiadomić generał - gubernatora Wschodniej Syberii o moim uwolnieniu z ciężkich robót i przeniesieniu na mieszkanie do gubernii penzeńskiej. Czy to wszystko prawda, nie ręczę, ale tak mi opowiadano po powrocie do Warszawy.

Ponieważ nie byłem jeszcze zupełnie zdrów, poprosiłem Turowa, abym mógł w Usolu doczekać się zupełnego wyzdrowienia, na co się zgodził, i dopiero po paru tygodniach wyjechałem do Irkucka.

X.

Z USOLA DO WARSZAWY.

W Irkucku oświadczono mi, że przed załatwieniem rozmaitych formalności w dalszą drogę jechać nie mogę. Zastałem tu wielu znajomych, między innymi Jordańskiego, dawnego kolegę z więzienia w Żytomierzu, u którego zamieszkałem na głównej ulicy. W Irkucku, oprócz niego, mieszkali: Łagowscy, Czekałowski, Mackiewicz, Henkiel, Władysław Bogusławski i inni. Jeden z nich, Bolesław Łoziński, namówił mnie, aby pójść z nim do Hejmana, naczelnika wydziału kancelarii generał-gubernatora dla przestępców politycznych, twierdził, że moja wizyta, niby z podziękowaniem za okazywane im względy, dobrze go dla nich w przyszłości usposobi. Przyjął nas Hejman bardzo uprzejmie i zaprosił na następny dzień na kolację. Gdyśmy przyszli, po kolacji zaproponował grę w winta, po skończeniu którego zapytał, czy nie zechcielibyśmy poniterować, gdyby on coś w banku założył. Gdyśmy się zgodzili, założył 100 rubli. które prędko przegrał. Wtedy założył jakąś akcję, czy obligację takiejże wartości, gdy po przegraniu jej zaproponował grać dalej na kredyt, odmówiłem, oświadczając, że grywam tylko na gotówkę. Bardzo miał minę niezadowoloną, ale to nic nie pomogło i pożegnawszy go, poszedłem do domu.

Mieszkanie Jordańskiego było naprzeciwko gmachu policji. Z rana zobaczyłem jakieś zbiegowisko. Coś mnie tknęło, więc poprosiłem Jordańskiego, aby się przekonał, co to jest. Wróciwszy, powiedział mi, że Hejman zawiadomił generał-gubernatora, że stracił z pieniędzy przysyłanych z kraju dla politycznych

przestępców około dziesięciu tysięcy rubli i wskutek tego postanowił się utopić. Wskazał nawet miejsce, gdzie to nastąpi. Policja z policmajstrem na czele zaraz tam się udała i znalazła go na brzegu, palącego spokojnie papierosa. Zaaresztowano go i osadzono w więzieniu. Przeszłość Hejmana była bardzo oryginalna, tak mi przynajmniej w Irkucku opowiadano. Zaczął od służby rządowej w jednym z miast syberyjskich, gdzie po pewnym czasie został „kaznaczejem", czyli skarbnikiem rządu gubernialnego. W Syberii jest zwyczaj, że jeśli ktoś jadący na służbę, lub wracający z niej umrze w drodze, najbliższa władza gminna lub inna, odsyła wszystkie będące przy nim papiery lub dokumenty z raportem do rządu gubernialnego tej guberni, w której zdarzył się wypadek. Los chciał, że papiery wpadły w ręce Hejmana. Na tym wypadku oparł cały plan swej przyszłej działalności. Zabrał wszystkie pieniądze, jakie były w „kaznaczejstwie", i z papierami zmarłego oficera wyjechał do Kazania.

Samozwaniec bardzo się podobał generałowi, dowódcy korpusu, i wkrótce został jego adiutantem. Pewnego dnia, przed śniadaniem, gdy generał opóźniał się z przyjściem, sama pani, przerzucając gazety, znalazła ogłoszenie o poszukiwaniu przez władze zbiegłego Hejmana. Ponieważ zmarły oficer, pod którego nazwiskiem obecnie służył, miał w papierach swoich wzmiankę o pobycie na Syberii, generałowa najniewinniej spytała Hejmana, czy o tej sprawie nic nie wie. Na to zapytanie oszust stracił zupełnie przytomność i padając jej do nóg, zaczął błagać o litość. Aresztowany i osądzony służył jako prosty żołnierz w batalionach liniowych zabajkalskich, gdzie został pisarzem w kancelarii pułkowej. Raporty przedstawiane generał-gubernatorowi bardzo temu ostatniemu się podobały, który też wkrótce uzyskawszy dla niego ułaskawienie, przeniósł go do swej kancelarii, z początku jako prostego pisarza, a po przejściu róż-

nych stopni, ciągle awansując, został ostatecznie, jak już wyżej wspomniałem, naczelnikiem wydziału przestępców politycznych.

Gdy Jordański przyniósł mi wiadomość o utopieniu się Hejmana, przeraziłem się, ponieważ w wilię wypadku grałem z nim w karty i w dodatku wygrałem, mogliby więc sądzić, że to stało się powodem jego śmierci i mnie do śledztwa zamieszają. Przez cały dzień chodziłem jak struty, dopiero pod wieczór uspokoiłem się, dowiedziawszy się, że się Hejman wcale nie utopił. Aż do dnia wyjazdu bałem się jednak, aby mnie nie pociągnięto do śledztwa i nie zatrzymano do końca sprawy. Szczęściem obawy moje były płonne. Gdy prowadzący śledztwo pytał Hejmana, dlaczego tę sprawę zrobił tak głośną swym zamierzonym samobójstwem, a nie zwrócił się do generał-gubernatora z prośbą o ratunek, którego by ten ostatni pewnie nie odmówił; Hejman odpowiedział że gdyby tak postąpił, to niezawodnie generał-gubernator posłałby go niby z oficjalną jakąś misją do Irkucka, lub Kireńska na daleką północ, a miejscowemu naczelnikowi powiatu kazał go aresztować i osadzić sposobem administracyjnym w miejscowym więzieniu, z którego by już nigdy do śmierci nie wyszedł; sposób zaś przez niego wymyślony ochronił go od tego niebezpieczeństwa, zmuszając władze do sądzenia go przed jawnym sądem, którego wcale się nie obawia, gdyż wie o nich tyle, że one same będą musiały go ochraniać. Przewidywania okazały się słuszne, bo, jak się później w kraju dowiedziałem, sąd uznał Hejmana za wariata, rachunki pieniężne wszystkie znalazł w porządku, a jego jako pozbawionego zdrowych zmysłów, kazał tylko uwolnić ze służby rządowej. Brakujące zaś pieniądze zwrócono prywatnie, już poza dekretem sądowym, z tak zwanego funduszu ekonomicznego Królestwa Polskiego!

Z innych dygnitarzy miejscowych, obchodzących bliżej nas, zesłańców, pułkownik Kupenko był jakby

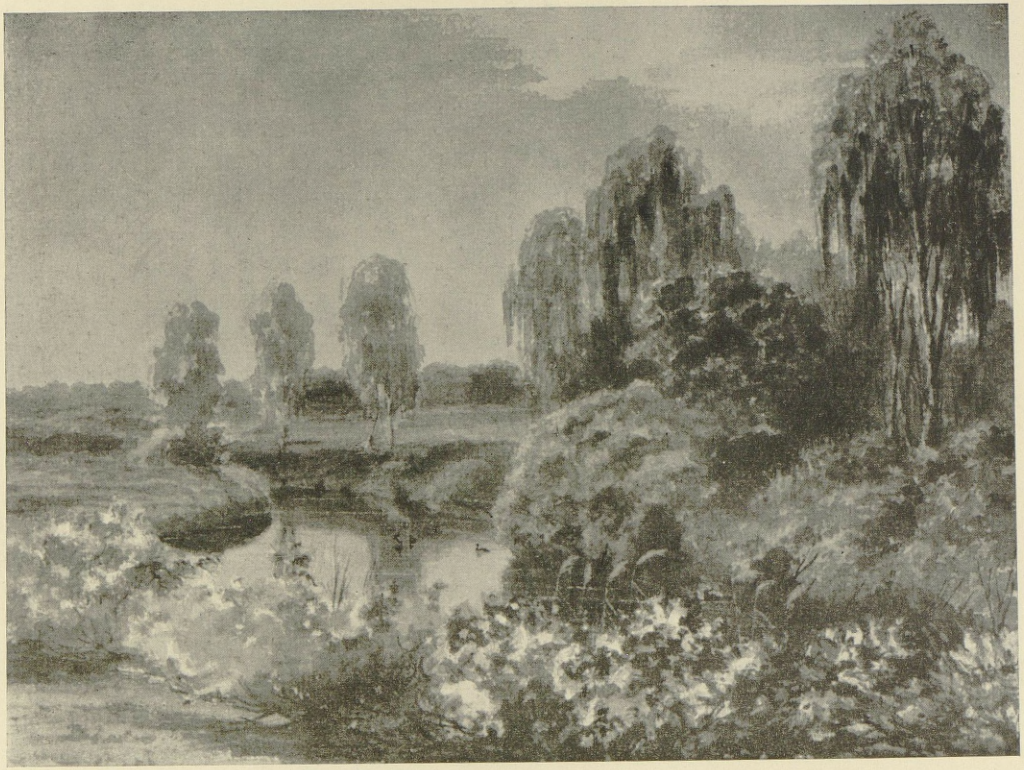
naczelnikiem wojennym wszystkich zakładów karnych Wschodniej Syberii. Nigdy go nie spotkałem, lecz od kolegów, którzy się z nim stykali, słyszałem, że był bardzo nieprzyjemny i dokuczliwy. Trwało to jednak tylko do czasu wycieczki Kupenki do Wiednia, gdzie na ulicy spotkał dwóch, uwolnionych wskutek manifestu wierzbołowskiego zesłańców z Galicji, z którymi spotykał się, gdy byli w robotach. Poznał ich zaraz, a widząc, że mu się zanadto przypatrują, starał się im zejść z oczu, lecz na próżno. Podeszli do niego i gdy spodziewał się bardzo nieprzyjemnej awantury, zaczęli się z nim bardzo uprzejmie witać i przez parę dni pobytu w Wiedniu, ugaszczali go jak najlepszego znajomego. Od tej pory głosił wszędzie, że Polacy są najszlachetniejszym narodem na świecie, że nie mają najmniejszej mściwości w charakterze i po powrocie na swe stanowisko do Irkucka stwierdził czynami tę zmianę w swych przekonaniach.

Zmuszony zatrzymać się dłużej w Irkucku, porobiłem różne znajomości, które uprzyjemniały mi pobyt. Między innymi poznałem rodzinę Grzybowskich; on Polak, w randze generała, był naczelnikiem służby zdrowia na całą Wschodnią Syberię, żonaty z Komorowiczówną, córką naczelnika sybirskich poczt, który wyemigrowawszy dobrowolnie z kraju, zamieszkał na Syberii i tu dosłużył się tego stanowiska. Ożeniony był z Rosjanką, Anastazją Dmitriewną, z którą miał kilka córek. Zmoskwiczone zupełnie, po polsku nawet nie rozumiały. Matka i wszystkie córki zapamiętale grały w karty, przeważnie w „stukułkę". Do tej partii i ja zwykle należałem. Gra prawie codzień trwała do późna. Matka i córki ciągle brały nowe karty pod pretekstem „zmiany weny" i po dwa ruble za każdą nową grę odkładały z puli na bok. Ponieważ przywykłem w kraju, że ten zysk idzie dla służącego, któregoś dnia powinszowałem mu wychodząc, że musiał tego dnia dużo zarobić, gdyż ciągle karty zmieniano. Z gorzkim uśmiechem odpowiedział,

że to jest zysk nie jego, lecz pani domu, która tym sposobem pokrywa koszty przyjęcia. U Grzybowskich poznałem naczelnika irkuckiego oddziału Banku Państwa, Nazarenkę, zapamiętałego Małorusa, który ciągle i słusznie się spierał o odrębną narodowość rusińską. Któregoś dnia, aby przekonać obecnych zaproponował mi rozmowę z sobą po rusku i założył się, że nikt z obecnych nas nie zrozumie. Rzeczywiście rozmawialiśmy z godzinę i nikt nas nie rozumiał.

Innego dnia powiedziano mi o dziewiątej rano, że chce mnie widzieć pułkownik Niekrasow. Ponieważ go nie znałem, nie mogłem się domyśleć po co i dlaczego przychodzi. Wszedł w pełnym mundurze z różnymi orderami i medalami, oświadczył, że prosi, abym powróciwszy do kraju wyrobił mu miejsce w Królestwie Polskim. Gdy zwróciłem mu uwagę, że zaledwie uwolniony z ciężkich robót nie jestem w możności protegować kogokolwiek, odpowiedział mi, że właśnie tak szybkie uwolnienie jest dowodem, że moja rodzina ma wielkie wpływy i że będzie w możności uzyskać to, o co prosi, bo tu w Syberii ma bardzo niewiele, a tam będzie mógł się „nażyć". Jest to wyraz nie do przetłumaczenia na język polski, lecz znaczenie jego jest — nakraść się. Tacy to ludzie w tych czasach przyjeżdżali zaprowadzać u nas porządek. Może być, że i jemu udało się dostać później do Polski.

Papiery były już gotowe, chciałem się wybrać w drogę, gdy policmajster oświadcza, że musi mi jako zwolnionemu z ciężkich robót towarzyszyć żołnierz, za którego mam opłacić z góry drogę powrotną, lub zdecydować się na podróż „zwykłym porządkiem etapowym". Chcąc mi jednak zmniejszyć koszty jazdy, radził poczekać, póki nie znajdzie się jakiś urlopowany żołnierz z guberni penzeńskiej, bo wówczas odpadną koszty drogi powrotnej do Irkucka. Podziękowałem i postanowiłem poczekać. W trzy lub cztery dni potem zawiadomił, że ma już żołnierza, a że



Kanał na wyspie Berezowej na Angarze naprzeciw Usola.

w tym czasie przyjechał z Usola Kazimierz Waga, uwolniony z ciężkich robót na mieszkanie do Tomska, zaproponowałem wspólną podróż. Stacja pocztowa Telmińska leży bardzo blisko Usola, a dyrektorem miejscowego młyna parowego był tam dawny nasz usolski kolega, Leon Bratyński, poprosiłem więc o pozwolenie zajechania do niego, a stamtąd do Usola, aby pożegnać pozostałych kolegów. Otrzymawszy pozwolenie wyjechałem ostatecznie z Irkucka. Zatrzymałem się u Bratyńskiego, który dał mi konie do Usola i pozostawiwszy na stacji mego anioła stróża przyjechałem pod wieczór na miejsce. Zebrało się wielu kolegów, z którymi spędziłem prawie całą noc; obładowali mnie masą listów i drobnych przesyłek do kraju. Między innymi Bnińscy dali mi portret swej córeczki, kredką robiony przez Sochaczewskiego, który zobowiązałem się przesłać z Penzy do Żytomierza do hr. Bnińskiej, matki Romana. Pomimo całego uroku tych pożegnalnych chwil, trzeba było jednak wyruszyć w drogę. Uściskałem wszystkich ze łzą w oku i opuściłem Usole na zawsze.

Droga do Krasnojarska odbyła się bez jakichkolwiek utrudnień. Nocowałem po drodze, gdyż nic nie naglilo do pośpiechu. Na stacji Biriuza dnia 9/21 czerwca wziął mróz tak silny, że nawet bzy zmarzły i inne drzewa liściaste. Ponieważ to był czerwiec, wybrałem się znowu w białym pikowym ubraniu, lecz tym razem, mając z sobą wszystkie moje rzeczy, z łatwością zabezpieczyłem się od zimna.

Gubernator w Krasnojarsku, widząc mnie w asystencji żołnierza, zwrócił się do niego z zapytaniem, czy jadę do robót czy na posielenie. Usłyszawszy, że zostałem ułaskawiony, wstał, podszedł do mnie z wyciągniętą ręką z powinszowaniami. Powiedziałem, że zmęczony drogą, chciałbym parę dni odpocząć i proszę o pozwolenie zatrzymania się w Krasnojarsku. Zgodził się chętnie, a ja jeszcze poprosiłem, aby mi wolno było zatrzymać się w Aczyńsku, gdzie mam

bliskich krewnych. Zaledwie zdołałem powrócić do hotelu, zjawia się urzędnik z kancelarii gubernatora z powtórnym wezwaniem przed oblicze władzy. Nie mogłem pojąć, czego władza chce, i zacząłem się obawiać, czy nie żałuje wydanych mi pozwoleń i czy nie zechce je odwołać. Gubernator tymczasem oświadczył, gdy się stawiłem przed jego obliczem, że nie mam prawa używać tytułu księcia, tak jak mu się przedstawiłem, gdyż prawa stanu nie zostały mi zwrócone, o czym się przekonał po rozpatrzeniu przedstawionych mu papierów. Powiedziałem mu na to, że ułaskawienie moje przyszło do Irkucka telegramem, w którym wprawdzie nie było mowy o zwrocie mi praw, lecz że otrzymałem od mego ojca prywatną depeszę, w której mi o tym doniósł. Było to nieprawdą, lecz gubernator uwierzył i jeszcze raz powinszowawszy, pożegnał już na szczęście po raz ostatni.

Po paru dniach wypoczynku wyjechałem do Aczyńska, gdzie stanąłem w mieszkaniu moich najlepszych przyjaciół: Adama Walewskiego, Żytyńskiego, Podczaskiego i Podhorodeńskiego i spędziłem z nimi nadzwyczaj mile i przyjemnie parę dni. Pożegnałem ich z nadzieją zobaczenia się wkrótce w kraju, co też się ziściło, z wyjątkiem Walewskiego, który wkrótce potem zakończył życie w Aczyńsku.

W Aczyńsku trafiłem na bardzo oryginalne przejścia z ojcem sławnego Komisarowa. Niedawno przedtem miał miejsce zamach Karakozowa na życie Aleksandra II. Jak wiadomo, udaremnił go Komisarow i gdy go car zapytał, czego by żądał, prosił o uwolnienie z Syberii swego ojca, zesłanego za jakieś pospolite złodziejstwo do Aczyńska. Gubernator, otrzymawszy w Krasnojarsku odpowiedni rozkaz najwyższy, wybrał się do Aczyńska, aby mu osobiście tę łaskę cesarską oświadczyć. Przyjechawszy dowiedział się, że stary Komisarow już tu na miejscu popełnił jakieś przestępstwo i siedzi w więzieniu. Pojechał więc do niego. Więzień, ujrzawszy wchodzącego sa-

mego gubernatora, przeraził się bardzo, gdyż przekonany był, że kara, na jaką zasłużył, będzie powiększona i że skóra jego będzie pociągnięta do odpowiedzialności. Padł więc na kolana błagając o litość i przebaczenie. Gubernator podniósł go mówiąc, że to jemu wypada upaść przed nim na kolana jako przed ojcem „zbawiciela". Wtedy, dowiedziawszy się o tym co zaszło, Komisarow nabrał rezonu i zaczął tak gubernatora, jak i wszystkie inne władze traktować odpowiednio do swego nowego stanowiska „ojca zbawiciela". Gubernator zabrał go z sobą do Krasnojarska. Tam przekonany, że wszystkim może rozporządzać, zaczął chodzić po sklepach i brać z nich wszystko, co mu się podobało, bez zapłaty. W rosyjskich sklepach jeszcze uszło, ale gdy trafił na fotografa Polaka, ten nie chciał wydać zamówionych fotografii. Komisarow poszedł więc ze skargą, jako na buntownika, lecz gubernator oświadczył, że nie może zmusić fotografa do robienia zdjęć darmo, ale dał mu pieniądze na ich wykupienie. Dostał wreszcie zasiłek na drogę do Petersburga i wyjechał do syna.

W Tomsku zajechałem — jak zwykle — do gubernatora Bierestowa dla zameldowania się. Przyjął mnie uprzejmie, wspominając, że oswobodzi mnie od mego żołnierza i oświadczył, że ponieważ przyjechałem pod strażą, nie ma prawa sam pozwolić mi jechać dalej bez niej, lecz zaraz zatelegrafuje do ministra spraw wewnętrznych, prosząc o pozwolenie i radził pozostać w Tomsku, póki odpowiedź nie nadejdzie a tymczasem dodał: „Będziemy starali się uprzyjemnić panu pobyt u nas, ile tylko można". Z dawnych znajomych w Tomsku nikogo już prawie nie zastałem, jedni powrócili do kraju, drugich przeprowadzono do wewnętrznych guberni rosyjskich, tak że znalazłem się trochę osamotniony.

Pod samym miastem w Tomsku znajduje się lasek spacerowy, coś w rodzaju Łazienek. W nim cały tomski beau-monde spędza wieczory w czasie pogody.

Jest tam budynek z restauracją i dość wielką salą do tańców, w której po przejechaniu się kilkakrotnym po lasku, zaczynały się tańce, kończące się kolacją. W towarzystwie rej wodzili Żydzi, mieli najpiękniejsze konie, najpiękniejsze powozy i naturalnie najwięcej pieniędzy. Jedno tylko nazwisko pamiętam to Chotimskich, zapewne dlatego, że była tam bardzo ładna panna tego nazwiska.

Ciągle oczekując na odpowiedź ministra, zachorowałem na krwawą biegunkę. Szczęściem, że zastałem w Tomsku kolegę z Instytutu Wileńskiego i wielkiego przyjaciela, dra Konrada Chmielewskiego. Wziął mnie w opiekę i zajął się mną nader serdecznie. Po tygodniu spędzonym w łóżku, czułem się trochę lepiej. Wtedy odwiedził mnie gubernator, radząc podać prośbę o wysłanie mnie etapem do Tobolska, gdyż nie mam środków na podróż własnym kosztem. W ten sposób pojadę parostatkiem w najwygodniejszy sposób; on już wyda na to specjalne rozporządzenie, przyjechawszy zaś przedstawię miejscowemu gubernatorowi, że znalazłem tu w Tobolsku pieniądze i dalszą drogę mogę już odbyć na własny koszt. Gubernator, nie wiedząc, że byłem pod strażą wyprawiony z Irkucka, zapewne się na to zgodzi. Nie radził natomiast czekać na odpowiedź ministra, gdyż parostatki przestaną wkrótce kursować, a w takim razie choć odpowiedź przyjdzie, nie będę mógł z tej dobrej komunikacji korzystać. Zdecydowałem się pójść za tą radą i podałem odpowiednią prośbę. Niepokoiło mnie tylko moje zdrowie. Czułem wprawdzie znaczne polepszenie, lecz kuchnia na parostatku, w której przeważają ryby pod rozmaitymi postaciami, nie była wcale w dyzenterii wskazaną. Chmielewski poradził mi kupić suchego bulionu, prasowanych, suchych jarzyn, parę butelek najlepszego portweinu i tymi posiłkami, z dodatkiem jaj na miękko, żyć. Tak też uczyniłem i w drodze przestrzegałem ściśle regulaminu przpisanego przez Chmielewskiego. Bardzo mi to

dobrze zrobiło, tak że pod koniec podróży mogłem już przejść na ogólną kuchnię na parostatku. Ponieważ po Obi płynęliśmy ciągle z wodą, podróż trwała daleko krócej niż poprzednio w przeciwną stronę. Wtedy płynęliśmy trzy tygodnie, obecnie zaś już w dziewięciu dniach byliśmy w Tobolsku. Po drodze kilkakrotnie wysiadałem na brzeg i w jednej z nadbrzeżnych wsi, położonej na górze, znalazłem u chłopa olbrzymi kieł mamuta. Przy oberwaniu się brzegu zobaczył on coś wystającego z ziemi i odkopał ów kieł. Odstąpił mi go za 75 kopiejek i przywiozłem go z sobą do kraju. Po drodze wzbudzał ogólne zaciekawienie, a na jednej stacji za Tobolskiem miejscowy urzędnik pocztowy prosił mnie o pozwolenie zeskrobania go trochę, mówiąc, że proszek z niego zaparzony jak herbata wyleczy niezawodnie jego chorą matkę. Naturalnie pozwoliłem, ale wątpię bardzo, czy skutek odpowiedział oczekiwaniom.

W Tobolsku nie zastałem już Zenowicza, tak bardzo zasłużonego dla skazańców. Mianowany został członkiem rady ministra spraw wewnętrznych, a jego miejsce zajął były wice-gubernator Karabanowicz. Poszedłem do niego z prośbą, zredagowaną wedle rady gubernatora w Tomsku. Odpowiedział mi wszakże, że na razie żadnej decyzji wydać nie może, gdyż musi się przedtem w sprawie rozpatrzyć. Musiałem więc znowu zasiąść w Tobolsku i czekać. Zajechałem do Łęskich. Mieszkali razem z Franciszkostwem Grocholskimi, sąsiadami Woronczyna. Na łąkach nad Irtyszem o tej porze taka była masa dubeltów, że kucharz bez psa i z bardzo lichą bronią codzień przynosił po kilkanaście sztuk na pieczyste.

Wśród Polaków zesłanych na mieszkanie do Tobolska, porobiłem dużo nowych znajomości; mieszkali tam wówczas: ks. Światopełk-Mirski, szambelan Tadeusz Dzierżbicki z Hubkowa na Wołyniu, Fudakowski, Gordziałkowski z Białorusi, Plater z Litwy, Bronisław Podlewski, Hipolit Wieczwiński, towa-

rzysz z więzienia w Żytomierzu, Zaleski, Tomasz Dobrowolski, Spirydion Ostaszewski i inni. Ostaszewski zasłynął na Ukrainie, jako autor różnych dumek i „skazek" ukraińskich. Jedną z nich napisał dla mnie i dał na pamiątkę. Bardzo wesoło i mile spędzałem czas z nimi wszystkimi.

W okolicy Tobolska znajdują się ślady dawnego zamku tatarskiego. Nazywa się to miejsce „Kuczum Horodyszcze" od nazwy ostatniego władcy. Zrobiliśmy doń liczną wycieczkę, której fotografię zachowałem na pamiątkę. Przebyłem tak około trzech tygodni w ciągłej niepewności co do dalszej mojej podróży. Pewnego dnia wezwał mnie gubernator i zaczął od wymówek, że chciałem go wprowadzić w błąd, otrzymał bowiem odpowiedź z Irkucka, że wyjechałem pod strażą, więc i on nie może mnie inaczej z Tobolska wyprawić. Trochę zaniepokoiła mnie ta insynuacja, gdyż nie wiedziałem co z sobą robić. Z jednej strony bałem się, aby mi nie zabrakło w drodze funduszów, z drugiej zaś podróż etapami wcale mi się nie uśmiechała. Los jednak w tym wypadku dopomógł. Na trzeci dzień po mojej bytności u gubernatora, wzywa mnie znowu on do siebie i okazuje depeszę od Bierestowa, donoszącą, że minister zawiadomił go, iż zezwala na wysłanie mnie do Penzy bez straży na osobistą odpowiedzialność tomskiego gubernatora, dodał przy tym dość kwaśno, że Bierestow, jak widać, jest dla mnie bardzo uprzejmy, odrzekłem, że to mnie wcale nie dziwi, gdyż o ile go poznałem, jest to porządny i dobrze wychowany człowiek. Urażony tym odpowiedział, że chcę widocznie dać mu do zrozumienia, że on nim nie jest. Tłumaczyłem się, że wcale tej myśli nie miałem i nie chciałem robić tu żadnych porównań, a wyraziłem moją opinię, odnoszącą się li tylko do gubernatora tomskiego. Gubernator, bardzo z naszej rozmowy niezadowolony, uskarżał się na mnie, jak mi powiedziano, że nie dość, iż chciałem go wprowadzić w błąd, lecz w dodatku dawałem

do zrozumienia, że jest źle wychowany. Wszystko to jednak nie przeszkodziło mi wyjechać w parę dni później ze wszelkimi potrzebnymi do dalszej drogi dokumentami.

Zaraz za Tobolskiem przejeżdża się promem przez Irtysz. Tu niespodzianka. Zatrzymano prom w środku rzeki i dwaj żandarmi, których obecności nawet nie zauważyłem, zbliżyli się oświadczając, że mają rozkaz od gubernatora zrewidować wszystkie moje rzeczy. Struchlałem; mam wszakże z sobą mnóstwo listów od zesłańców do kraju, a w dodatku portret córeczki Bnińskich, przewożenie zaś korespondencji było jak najsurowiej wzbronione. Wydobyłem się jednak z tej biedy szczęśliwie, rewizja była bardzo powierzchowna, żandarmi, załagodzeni skromnymi datkami, prawie nie szukali i w pół godziny później ruszyliśmy w dalszą drogę.

Celowałem tak, aby w Permie trafić na odchodzący parostatek. Ostatnią stację przed Ekaterynenburgiem przejechałem w wielkim niepokoju, na poczcie opowiadano bowiem o ciągłych rozbojach, wydarzających się pod miastem i usilnie radzono przenocować, tak żeby tę niebezpieczną przestrzeń przejechać za dnia, a tu właśnie zaczynało się zmierzchać, ja zaś żadnej broni nie miałem. Ostatecznie zdecydowałem się pojechać i udało się, gdyż nic podejrzanego w drodze nie zaszło. Następny cały dzień spędziłem w Ekaterynenburgu, w którym chciałem zwiedzić zakłady górnicze i muzeum miejscowych wyrobów. Kupiwszy coś trochę na prezenty do kraju, dotarłem szczęśliwie do Permu w wilię wyjścia parostatku do Kazania. Zaraz poszedłem kupić bilet, a nazajutrz rano znalazłem się już na statku z całym moim bardzo skromnym bagażem.

Nigdzie przedtem nie spotkałem tak zbytkownie urządzonego parostatku rzecznego. Cały pokład był oszklony z zasuwanymi firankami od słońca, pełen najpiękniejszych podzwrotnikowych, kwitnących ro-

ślin. Był fortepian z rozmaitymi nutami, szafki z książkami w różnych językach, kilka stolików do kart, kilkanaście foteli i krzeseł wygodnych.

Około dziesiątej wieczór zatrzymał się parostatek w Symbirsku. Zajechałem na noc do jakiegoś miejscowego hotelu, a na drugi dzień poszedłem zaopatrzyć się w „podorożnę", czyli dokument, pozwalający mi użyć koni pocztowych. Dość dziwnie był on zredagowany: wydano go na imię „byłego" księcia, „byłego" obywatela gubernii wołyńskiej, „najwyżej uwolnionego" z ciężkich robót, takiego to a takiego, z Symbirska do Penzy itd. Otrzymawszy „podorożnę" sprowadziłem „perekładnę" i pocztą puściłem się do Penzy, gdzie stanąłem na czwarty dzień pod wieczór. Nazajutrz poszedłem do gubernatora, aby mu się zameldować i prosić o pozwolenie zamieszkania w Penzie, a nie w jednym z powiatowych miasteczek gubernii. W czasie pobytu mego brata brata w Penzie i jego śmierci, gubernatorem był Aleksandrowski. Sądziłem, że go jeszcze zastanę, tymczasem spotkałem nowo naznaczonego generała Seliwerstowa, który tylko co przybył. Trafiłem właśnie na dzień, w którym urzędnicy i deputaci miejscowej ludności przedstawiali się mu. Gdy doszedł do mnie, powiedziałem, kto jestem i jaką mam prośbę. Zwrócił się do naczelnika kancelarii Utimowa z zapytaniem, czy nie przyszło co do mnie jakieś nowe rozporządzenie. Ten ostatni odpowiedział, że tak jest w rzeczywistości i że z najwyższego rozkazu dozwolony mi jest powrót do kraju. Słysząc to oniemiałem z radości, a gubernator spytał mnie, kiedy chcę wyjechać. Naturalnie odpowiedziałem, że jak najprędzej. Zwrócił się wtedy do Ustimowa z zapytaniem, jak prędko może przygotować odpowiednie dokumentty. Gdy odpowiedział, że za kilka dni, zgromił go słowami: „Co pan mówi, jemu pozwolono wrócić do rodziny, a pan chce go zatrzymać kilka dni dla jakichś głupich formalności. Proszę, żeby dziś wszyst-



A. Stankiewicz: Kaplica katolicka w Usolu.

ko było gotowe, tak żeby jutro, jeśli zechce, mógł wyjechać, a jeśli do wieczora pan nie zdąży wygotować, to proszę w nocy mnie obudzić i dać do podpisu". Zawiadomił mnie przy tym, że w „kaznaczejstwie' są pieniądze dla mnie i kazał mi zaraz wydać talon do ich odebrania. Znacznie później dowiedziałem się, że Seliwerstow został zamordowany w Paryżu, gdzie śledził działalność rosyjskich anarchistów.

Od gubernatora poszedłem szukać Adolfa Noreykę, również zesłanego do Penzy. Znał mego brata i pielęgnował go w ostatnich chwilach życia. Powiózł on mnie na grób i odesłał mi różne ruchomości po nim. Chciałem je z sobą zabrać, co jednak okazało się niepodobieństwem, z uwagi na czekających nas kilkaset wiorst drogi zwykłą „perekładną" pocztową. Umyśliłem więc, zabrawszy drobniejsze rzeczy, wysłać resztę pocztą pod moim własnym adresem do Moskwy, skąd mógłbym już wziąć je z sobą koleją żelazną. Wyjechałem potem do Niżnego, gdzie po kilku dniach drogi trafiłem na sławny jarmark Makariewski. Zatrzymałem się na parę dni, aby go z bliska obejrzeć.

Samo miasto, Niżni Nowgoród, przedstawia niezmiernie ciekawy widok. Ta masa towarów nagromadzonych ze Wschodu i Zachodu, ta niezliczona ilość kupujących i sprzedających w najrozmaitszych ubiorach, zgiełk i ruch nadzwyczajny, wszystko to nadaje temu jarmarkowi cechę odrębną, która przyjezdnemu nie pozwala się zorientować i doprowadza go do stanu jakby ciągłego znużnia. Zastałem teatr francuski, gdyż jakaś trupa przyjezdna dawała codziennie przedstawienia, bardzo uczęszczane; dziwnym mi się wydawało słyszeć wśród widzów, aż z głębi Azji przybyłych, język francuski, którego od Paryża na scenie nie słyszałem tu w głębi Rosji. Bilet kosztował 5 rubli, a teatr był przepełniony, wszyscy przybysze z Syberii, Azji, Chin, Persji, Kaukazu itd., nie rozu-

miejący przeważnie ani słowa po francusku, uważali za punkt honoru bywać na przedstawieniach i bić zapamiętale oklaski artystom, których ani w ząb nie rozumieli.

Po piętnastu godzinach drogi, przyjechałem z rana do Moskwy i widocznie musiałem być bardzo zmęczony, gdyż położywszy się na parę godzin, obudziłem się dopiero o 6-tej wieczór. Na drugi dzień powiedziano mi na poczcie, że przyszły rzeczy z Penzy, lecz aby je odebrać, muszę przedstawić paszport. Posłałem go przez komisjonera hotelowego, a sam poszedłem odwiedzić osoby z dalszej mojej rodzliny, zamieszkałe w Moskwie. Byłem u Nadieży Czetwertyńskiej, u jej córki, ks. Trubeckiej. Po powrocie do domu spotkała mnie przykra niespodzianka, spowodowana przez przedstawiony przeze mnie paszport. Rzeczy moje przywiózł komisjoner, lecz razem z nim zjawił się komisarz policji, który oświadczył, że nie wolno mi zatrzymywać się w Moskwie, jako stolicy państwa, i zażądał, abym pierwszym pociągiem wyjechał.

Musiałem być posłuszny i tegoż dnia wyjechałem do Petersburga (kolei moskiewsko-brzeskiej wtedy jeszcze nie było) z postanowieniem nie pokazywania więcej paszportu, aby na przyszłość nie być monitowanym przez policję. Przyjechawszy późno wieczorem, a nie znając Petersburga, poradziłem się dorożkarza, dokąd by na noc zajechać. Wskazał mi jakieś umeblowane numery na Newskim Prospekcie. Gdy spytano mnie o paszport, oświadczyłem, że na drugi dzień rano wyjeżdżam i nie chcę im robić kłopotu z meldunkiem po nocy. Trafiło to do przekonania i nikt się mnie już o nic nie pytał. Na drugi dzień poszedłem do byłego gubernatora penzeńskiego, Aleksandrowskiego, któremu mój brat oddał różne drobne pamiątki dla mnie, a odebrawszy je, tegoż samego dnia wyjechałem do Warszawy.

Pomimo, że nie zatrzymałem się w Wilnie, zrobiło na mnie bardzo smutne i przygnębiające wrażenie. Dla mnie, com w nim spędził moje młodociane lata i przywykłem widzieć je tak czysto polskim miastem! Już sam widok stacji kolejowej mnie zmroził. Napisy na wszystkie strony, że nie wolno mówić po polsku, obrazy prawosławne i cały wygląd sali, w której trzeba było zjeść obiad, były dla mnie tak przejmująco smutnym widokiem, że jak najprędzej wróciłem do wagonu, aby na to nie patrzeć. W Łapach wsiedli do przedziału Kazimierz i Henryk Starzeńscy. Nie znałem ich wcale, ale dźwięk mowy polskiej tak mnie rozrzewnił, że od łez wstrzymać się nie mogłem i po raz pierwszy poczułem, że jestem już między swoimi.

XI.

WARSZAWA W ROKU 1867 I PÓŹNIEJ

Dnia 17 września 1867 r. znalazłem się w stolicy w hotelu Europejskim z zamiarem wyszukania jakiegoś prywatnego mieszkania, gdyż dłuższe zamieszkanie w hotelu za drogo by kosztowało. Gdy tylko oddałem paszport, zjawił się komisarz policji z żądaniem, bym złożył przysięgę na wierność, po czym dopiero będę mógł otrzymać książeczkę legitymacyjną jako dowód, że zostałem stałym mieszkańcem Warszawy. W kilka dni później zawezwano mnie do rządu gubernialnego, dano mi książeczkę czerwoną z czarną obwódką, co miało oznaczać, że jestem niebezpiecznym przestępcą; uprzedzono przy tym, abym się miał na baczności, gdyż każdy mój krok będzie wiadomy policji, która otoczy mnie szczególną opieką. Miałem nadzieję spotkać w Warszawie wuja mojej matki, senatora Skibickiego, lecz dowiedziałem się, że jest w Paryżu, powiedziano mi tylko w jego mieszkaniu, abym się udał do mecenasa Antoniego Wrotnowskiego, który ma od niego dla mnie zlecenie. Mecenas oddał mi list i pieniądze przysłane przez mego ojca na pierwsze potrzeby. Wrotnowski objaśnił, jakim cudem zostałem tak szybko uwolniony: oto gdy cesarz Aleksander II jechał przez Warszawę na wystawę do Paryża, senator Skibicki podał prośbę za pośrednictwem hr. Szuwałowa, w której prosił, aby ze względu na jego długoletnią służbę cesarz pozwolił mi zamieszkać przy nim w Warszawie, jako jedynemu jego krewnemu, dla pielęgnowania go w tak już podeszłych latach. Udzielono zezwolenia, które mnie doszło w Penzie.

Przyjechałem do Warszawy w porze tak zwanej „ogórkowej", wszyscy przebywali na wsi, lub za granicą. Było mi to wcale obojętne, gdyż nikogo nie znałem, spędzałem czas na poznawaniu miasta, co dzień robiłem długie wycieczki po różnych częściach stolicy i po pewnym czasie poznałem ją doskonale. W przechadzkach po mieście rozglądałem się po mieszkaniach do najęcia i wynalazłem jedno na Nowym Świecie, które mi się podobało i które nająłem, jak już o tym mówiłem, opisując spotkanie z Oborskim. Poznałem się lepiej z całą rodziną Rakowskich, właścicieli domu, w którym mieszkałem, i często spędzałem u nich wieczory, bardzo gościnnie i serdecznie przyjmowany. Mieszkała też wtedy w Warszawie p. Julia Bobińska, z domu Żelwietr, siostrzenica p. Wołodźkowej, która spędziła kilka lat w Woronczynie i stąd zbliżenie się jej do całej naszej rodziny. Dowiedziawszy się o moim przybyciu do Warszawy, gdzie po śmierci męża i sprzedaży majątku w powiecie kobryńskim, zamieszkała na stałe z siostrami Gracjana Wołodźki, napisała do mnie prosząc o odwiedziny. Co soboty przyjmowała i wtedy zawsze można było wieczorem kilka osób u niej spotkać. Choć przyjęcia były bardzo skromne, jednak wydatki przewyższały dochody i w kilka lat, znalazłszy się bez środków do życia, wyjechała z Warszawy i straciłem ją z oczu. Darowała mi kilka dawnych pamiątek, między innymi rysunek Aleksandra Orłowskiego, przedstawiający podobizny kilku Polaków zamieszkałych w Petersburgu w 1818 r., a zrobiony dla jej ojca, Gaspara Żelwietra, w dniu imienin.

Wkrótce po przyjeździe przeniosłem się z hotelu do mego już własnego mieszkania, ale nie dość jest nająć mieszkanie, trzeba je jeszcze umeblować; właśnie wtedy odbywała się licytacja mebli niejakiego Nelkena, który zbankrutował, zaopatrzyłem się tam w najpotrzebniejsze sprzęty i już nie mógłby o mnie powtórzyć Stanisław Lubomirski, że mam wcale sobie

niezłe mieszkanie, ale dziwnie umeblowane, gdyż jest w nm tylko łóżko i kieł mamuta (przywieziony z Sybiru). Zaraz po przyjeździe zająłem się wyszukiwaniem osób, do których miałem listy z Usola przywiezione. W sklepie Rozmanitha, do którego miałem list od synowca Antoniego z Usola, byłem bardzo źle przyjęty. Usłyszawszy, że wracam z Syberii, nie czekając co mu więcej powiem, kazał mnie od razu za drzwi wyrzucić. Nie czekając spełnienia groźby, wyszedłem oddając list jednemu z subiektów, wyleciał wtedy za mną, aby mnie przeprosić i zawrócić, ale poszedłem dalej, nie słuchając jego tłumaczeń. Można go było jednak wytłumaczyć, gdyż wtedy mnóstwo kręciło się marnych figur po ulicach, którzy podając się za powróconych z Syberii, wyłudzali datki od łatwowiernych przechodniów. Sam miałem podobne spotkanie na Placu Ewangelickim; podeszła do mnie jakaś pijana i marna figura, powtarzając błagającym głosem, że wraca z Syberii i nie ma za co kupić kawałka chleba, gdy odpowiedziałem, że i ja także, od razu zmienił głos i biorąc mnie pod rękę zawołał: „A więc „kolega", to doskonale, chodźmy na śniadanie". Tak mi się ta nagła zmiana podobała, że wprawdzie nie przyjąłem zaproszenia, lecz ofiarowałem jakiś datek, aby beze mnie mógł to śniadanie spożyć. Przy tym należy dodać, że, przebywszy parę lat w więzieniu i na Syberii, byłem zupełnie obdarty i chodziłem w takim ubraniu, że znajomi moi nie bardzo chętnie ze mną na ulicach się pokazywali. Poszedłem także do matki Henryka Wohla, bardzo u niej biedno wyglądało i niezmiernie była wdzięczną za moją wizytę, tak bardzo nieoczekiwaną.

Przechodząc Krakowskim Przedmieściem spotkałem Józefa Michalskiego, rzuciłem się do niego z wielką radością na widok kochanego towarzysza więzienia, lecz on udał, że mnie nie widzi i poszedł, mijając mnie w tym samym kierunku; bardzo zdziwiony poszedłem dalej i dopiero po kilkunastu kro-

kach dostrzegam go w bramie jednego z domów, kiwającego na mnie, abym się zbliżył. Gdy wyraziłem zdziwienie, że nie chciał się przywitać, wytłumaczył mi, że nie mógł przypuścić, abym się tak prędko mógł z ciężkich robót wydobyć, i że był przekonany, iż uciekłem z Syberii, on zaś, będąc sam ciągle przez policję śledzony, bał się swym przywitaniem zdradzić moją ucieczkę i bytność w Warszawie. Ogromnie się ucieszył, dowiedziawszy się jak rzeczy stoją i bardzo serdecznie na wieś zapraszał.

Po paru miesiącach zaczęli warszawianie powracać do miasta i życie moje znacznie się zmieniło. Przyjechał mój wuj Skibicki, bardzo się ucieszyłem z jego przyjazdu, chciał koniecznie, abym się przeniósł do jego mieszkania, które było obszerne, lecz mając już własne, a przy tym bojąc się być skrępowanym w mieszkaniu tak wiekowego człowieka, pozostałem w swoim. Senator Skibicki przedstawił mnie na członka Resursy Kupieckiej, przyjęty, pozostaję nim po dziś dzień. (Rok 1917).

Zbliżały się święta. Umyśliłem je spędzić u mojej strjecznej siostry Jadwigi Karskiej w Włostowie w Sandomierskim. Z początku robiono mi trudności z wydaniem paszportu, bez którego nie wolno było wtedy wyjechać poza obręb miasta, ostatecznie wydano czerwony z czarną obwódką, co oznaczało, że właściciel pozostaje pod najściślejszym nadzorem policji. Wyjechałem tak zwaną karetką pocztową, podróżowało nas sześć osób w środku, a jedna na koźle przy pocztylionie. Była to jedna z najgorszych podróży, jakie odbyłem; w ostatnich dniach spadły znaczne śniegi i potworzyły się olbrzymie zaspy, z których konie nie były w stanie nas wyciągnąć, ciągle zatrzymywaliśmy się, wzywając pomocy z najbliższych wsi, a raz zwaliliśmy się w rów, co nawet było niebezpieczne przy ścisku panującym w karetce.

Wyjechawszy o dziewiątej rano, przybyliśmy już po północy do Radomia. Tam złożono nasze rzeczy na

dziedzińcu pocztowym, z nimi pozostałem i ja, nie wiedząc co z sobą począć; ostatecznie wynalazłem jakiegoś posługacza pocztowego, który zgodził się zaprowadzić mnie do jakiegoś znajomego sobie zajazdu i rzeczy moje zanieść. Nie znając Radomia i nie wiedząc gdzie się udać, poszedłem za nim i znalazłem się w jakimś marnym zajeździe, gdzie jako tako spędziłem resztę nocy. Ponieważ karetki pocztowe nie kursowały między Radomiem a Sandomierzem, wziąłem extra-pocztę i odetchnąłem, znalazłszy się w odkrytych sankach. Ciemno już było, gdy dojechałem do Włostowa, do którego z bitej drogi prowadziła półwiorstowa, wysadzana drzewami aleja, kompletnie zasypana śniegiem. Pocztylion po nocy objazdowej drogi poza drzewami nie widział i wpakował się w sam środek. Ujechawszy kilkanaście kroków, utknęliśmy w śniegu, konie się pokładły i nie było sposobu ruszyć dalej. Ponieważ już było bardzo blisko domu, poszedłem piechotą obiecując pocztylionowi przysłać mu kogoś do pomocy. Jak wielki były śniegi, dość powiedzieć, że dochodząc już do końca alei znalazłem się, niby na koniu, na zamykającym ją kołowrocie. Przebywszy z trudnością tę zaporę, wpadłem znowu w głęboki rów, napełniony śniegiem, oddzielający dziedziniec pałacowy od drogi, i dopiero wtedy udało mi się wejść pod dach. Wszystkie te przejścia wynagrodziła mi radość Karskich, gdy mnie przed sobą tak niespodziewanie ujrzeli.

Przebyłem w Włostowie tydzień, poznałem ich dwoje dzieci: Olesię, późniejszą Russanowską, i Włodzia, dzisiejszego mego kolegę w Komitecie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Wtedy poznałem całą rodzinę Karskiego, jego czcigodną matkę, braci itd. Bardzo gorąco zatrzymywali mnie na dłużej, gdyż wybierali się wkrótce na zimę do Warszawy i chcieli, abym z nimi tę drogę odbył, lecz ponieważ pozapraszałem różne damy do tańców na bal sylwe-

strowski w Resursie Kupieckiej, musiałem się pospieszyć, aby na czas wrócić.

W owym czasie bale te były bardzo modne, świat urzędowy na nich bywał w tym jedynym dniu w roku, w którym mundur wojskowy był do Resursy dopuszczony. W późniejszych latach moda się zmieniła, coraz mniej osób zaczęło na nich bywać i dziś owe niegdyś sławne, sylwestrowskie bale należą do bezpowrotnej przeszłości.

Wkrótce po Nowym Roku przyjechał mój ojciec, którego jeszcze od powrotu z Syberii nie widziałem, i kuzyn mój, Włodzimierz Czetwertyński, starszy brat Stanisława. Nie pociągano go do odpowiedzialności za sprawy powstaniowe, lecz kazano mu administracyjnym sposobem opuścić Wołyń i zamieszkać w Warszawie, gdzie w pół roku później zakończył życie. Mieszkali wtedy w Warszawie mąż mojej ciotki, Wincenty hr. Tyszkiewicz i zięć jego, Chodyński, obu często odwiedzałem. Z rozpoczęciem karnawału ruch w mieście znacznie się ożywił, w wielu domach rozpoczęły się przyjęcia, na których naturalnie bywałem. Przede wszystkim należy wymienić dom hr. Kossakowskich, u których co wieczór przyjmowano nader uprzejmie łaskawych gości; składał się on z hrabiego i jego małżonki, z domu hr. de Laval, i syna Stanisława, ożenionego z hr. Chodkiewiczówną, nader miłą i sympatyczną panią Olesią, i córek: Katarzyny Łempickiej i Aleksandry hr. Platerowej, które, chociaż często u rodziców bywały, jednak stale w Warszawie nie mieszkały; następnie hr. Małachowscy, oboje wiekowi, u siebie żadnych przyjęć nie urządzali, raz tylko do roku, na Wielkanoc przyjmowali znajomych na sutym święconym; hr. Rostworowscy dawali obiady, na które zapraszali znajomych po kolei. Pani była wdową po Franciszku hr. Potockim, oboje byli niemłodzi i oprócz obiadów, żadnych innych przyjęć u siebie nie urządzali.

Niezabytowscy, dawni znajomi jeszcze z pary-

skich czasów, bardzo byli serdecznie gościnni, lecz bez wszelkiej wystawy, starsza ich córka była zamężną za Rodrygiem hr. Potockim, młodsza, przyjaciółka z lat dzicinnych mojej żony, dopiero w parę lat po moim przybyciu do Warszawy zaczęła bywać w świecie, była bardzo ładna. Wyszła za mąż za Augusta Ostrowskiego i osiadła na wsi. Gdy owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za margrabiego Zygmunta Wielopolskiego, zamieszkała w Warszawie, bardzo zawsze gościnna i nadzwyczaj uczynna, okazywała mi dużo przyjaźni, a ja zostałem i jestem jej szczerym wielbicielem. Poznałem wtedy domy tak zwanej „la haute finance" Epsteinów i Blochów; bardzo dużo przyjmowali, a przyjęcia ich odznaczały się wytwornością. Do bliższych moich znajomych należał też dom Władysławostwa Łaskich; pani Łaska była hr. Ilińska z domu z Wołynia i z tego powodu mieliśmy dużo wspólnych znajomości i wspomnień. Maurycowie hr. Potoccy spędzali zimę w Warszawie, lecz mało przyjmowali, później dopiero, gdy córki zaczęły bywać w świecie, dali kilka, bardzo pięknych balów; z synem ich Augustem byłem bardzo zbliżony i byliśmy przez długie lata w przyjaznych stosunkach. Przy wielkich zdolnościach i złotym sercu mógłby on zająć wybitne stanowisko w kraju, lecz okoliczności inaczej się złożyły, czego zawsze żałowałem. Augustowa hr. Potocka była w żałobie po mężu, gdy przyjechałem do Warszawy, byłem naturalnie zaraz u niej i od czasu do czasu przychodziłem wyrazić moje uszanowanie i uznanie dla tej, tak ogólnie poważanej i dobroczynnej matrony. Dom Zawiszów słynął również z gościnności.

Chwila, w której przybyłem do Warszawy, była zapoczątkowaniem działalności Komitetu Urządzającego. Ja mniej niż inni odczuwałem zmiany, jakie wtedy jedna po drugiej następowały, jako urodzony i wychowany w tak zwanym „zabranym kraju", w którym i tych resztek dawnej autonomii i nowych reform

margrabiego nie było i gdzie rusyfikacja panoszyła się już od roku 1830. Znalazłszy się raz pierwszy w Królestwie, nie zdawałem sobie dostatecznie sprawy z tego wszystkiego co się w nim obecnie po 1863 roku działo, zsolidaryzowałem się naturalnie z ogólnym uczuciem smutku i przygnębienia, lecz wydawały mi się one mniej straszne i mniej niebezpieczne dla przyszłości Polski niż się zdawało tym, którzy do innych warunków przywykli; raziło mnie przy tym bezwzględne potępianie ruchu 1863 roku. Że był on dla kraju wielkim nieszczęściem ze względu na skutki, jakie za sobą pociągnął, o tym, aż nadto byłem sam przekonany, lecz chyba przez samo uczucie sprawiedliwości należało uwzględniać uczucie tych, którzy zbrojne powstanie wywołali i jeśli zawinili, to krwią własną lub długoletnim cierpieniem na pewno w większej części zmazali winę swą. Tego uwzględnienia nie znalazłem przybywszy do Warszawy w otaczających mnie kołach, i to mnie szczerze bolało.

Przebywszy karnawał i wyścigi tak licznie uczęszczane, że nosiły nazwę zielonego karnawału, wybrałem się na lato do Karskich do Włostowa. Pojechaliśmy we dwóch z Tadeuszem Buyno, poznałem się z nim i z jego starszym bratem, Stanisławem; zaraz u progu mych nowych stosunków towarzyskich w Warszawie, tak bardzo zbliżyliśmy się z sobą, że po dziś dzień, to jest przez pół wieku, przyjaźń nasza ciągle się wzmacniała i śmiało mogę powiedzieć, że lepszych i dawniejszych przyjaciół od nich nie mam. We Włostowie przepędziłem dłuższy czas, prawie dwa miesiące; ten wiejski pobyt, którego od czterech prawie lat byłem pozbawiony, bardzo był mi miły, jako przywykłemu do wsi i jej powabów.

Znałem sąsiedztwo Włostowa, bardzo sympatyczne; ilekroć rozmowa się nie kleiła, co się często na wsi zdarza, Karski zawiadamiał obecnych, że wracam z Syberii i że mam z mego pobytu bardzo ciekawe szczegóły, wtedy, proszony, zaczynałem opowiadać,

zajmowało to przeciąg całej wizyty ku ogólnemu zadowoleniu. Wtedy poznałem Zdzisława Reklewskiego, późniejszego mego kolegę w Towarzystwie Kredytowym i dobrego przyjaciela.

W owych czasach nie wolno było wyjeżdżać za rogatki miasta bez formalnego paszportu, ani posiadać jakiejkolwiek broni, tylko członkom Klubu Myśliwskiego według zatwierdzonej ustawy, wolno było ją mieć i jeździć po całym Królestwie z biletem klubowym, na mocy którego dostawało się stały roczny paszport, przy tym nadano klubowi prawo polowania we wszystkich rządowych lasach w Królestwie. Dogodności te, jak również możność ciągłego spotykania się z miejscowymi władzami, których przedstawiciele byli przeważnie członkami klubu, bez uciekania się do audiencji w dnie przyjęć i wyczekiwania często godzinami w poczekalniach, były powodem, że dużo osób zaczęło się zapisywać do klubu i bardzo prędko liczba członków przekroczyła setkę.

Początkowo mieścił się klub przy ulicy Mokotowskiej w domu Kronenberga, lecz w chwili mego przyjęcia był już w domu Epsteina na Placu Saskim, który, jako położony w samym środku miasta, był daleko dogodniejszy. Od tego czasu ciągle się rozwijał, doszedł do znacznych funduszów, które mu pozwoliły, po usunięciu z dotychczasowego lokalu, skazanego na rozbiórkę przy budowie cerkwi na Placu Saskim, nabyć plac przy ulicy Erywańskiej i wybudować na nim lokal.

Przed kilkunastu laty wybrany zostałem na prezesa Klubu i po dziś dzień (1917) nim jestem. Przy namiestniku pozostawał, ożeniony z jego wychowanką i przybraną córką, generał Ignacy Lachnicki i Ambroży Zaborowski, późniejszy członek senatu i prezes Rady Dobroczynnej w Warszawie. Za ich pośrednictwem udawało mi się niekiedy wydobyć kogoś z biedy i muszę przyznać, że nigdy mi swej pomocy nie odmawiali i tak na przykład, gdy wyszedł manifest,

pozwalającym wrócić do kraju wszystkim zesłanym, między innymi przybył do Warszawy dr Lewiński, mój kolega więzienny z Łucka. Przyprowadzono go do ponownej przysięgi na wierność i wydano mu książeczkę legitymacyjną; pewnego dnia przychodzi do mnie bardzo zaniepokojony, gdyż otrzymał wezwanie od policji, aby się nazajutrz stawił do ratusza. Ponieważ nie był zesłany administracyjnie, lecz na mocy wyroku sądowego, obawiał się bardzo, że odeślą go z powrotem do Orenburga, i prosił mnie o ratunek, jeśli nie wróci. Gdy się już u mnie nie pokazał, poleciałem do Zaborowskiego prosząc, aby przedstawił ten fakt namiestnikowi z prośbą o zatrzymanie go w Warszawie. Na drugi dzień przybiegł do mnie Lewiński z podziękowaniem i opowiedział, że został zaaresztowany i że już następnego dnia miał być odesłany do Orenburga.

W owych czasach prezesem dyrekcji teatrów był Sergiusz Muchanow, z którym przez długie lata byłem w dobrych stosunkach; był to człowiek wielkiej zacności i najlepszy prezes teatrów, jakiego kiedykolwiek Warszawa posiadała. Ożeniony był — jak wiadomo — z hr. Nesselrode, primo voto Kalergis, ogólnie znaną z inteligencji i wysokiego wykształcenia; w dawniejszych czasach wsławiła się przez wywiezienie Bronisława Dąbrowskiego z Cytadeli Warszawskiej, gdzie groziła mu śmierć. Ojciec pani Kalergis, hrabia Nesselrode, był szefem żandarmów w Królestwie. Otóż Muchanow, aby przyjść z pomocą niezamożnym artystom, umyślił urządzać bale artystyczne w salach redutowych, artyści mieli wstęp bezpłatny, lecz wszyscy goście, mężczyźni (damy, oprócz artystek, naturalnie na tych balach nie bywały) płacili po dziesięć rubli za wejście. Nie wspomniałbym o nich, gdyż było ich zaledwie dwa, gdyby nie nieprzyjemność, która mnie na jednym z nich spokała. Po kolacji gdy już wszyscy byli trochę podochoceni, zacząłem szukać vis à vis do kontredansa i widząc, że szuka go

także Komar, oficer huzarów pułku grodzieńskiego, którego wcale nie znałem, zaproponowałem mu tańczyć razem; gdy nie dosłyszał, dotknąłem jego ramienia, aby zwrócić jego uwagę, odpowiedział, że już ma vis à vis, lecz zaraz potem Gucio Potocki przyszedł mnie uprzedzić, że Komar żąda, abym się z nim poznał, gdyż inaczej przyszle mi sekundantów. Odpowiedziałem, że pod tą groźbą muszę się wyrzec przyjemności poznania pana Komara i sądziłem, że gdy wino mu wywietrzeje z głowy, na tym się skończy, tymczasem na drugi dzień przyszło do mnie dwóch huzarów z wyzwaniem. Uprosiłem Włodzimierza Siemiątkowskiego, brata Jana, i Feliksa Halperta, mego przyjaciela jeszcze z paryskich czasów, jako moich sekundantów i czekałem co z tego wyniknie. Przez dwa tygodnie trwały pertraktacje, Siemiątkowski i Halpert tłumaczyli huzarom, że nie może być pojedynku tam, gdzie nie ma obrazy, a propozycja tańczenia vis à vis nie może być za takową uważana; gdy ich przekonali, Komar nasłał nowych dwóch z ponownym wyzwaniem, powtarzało się to dwa razy, czy trzy razy, aż nareszcie dał się przekonać i wyzwanie cofnął.

Od czasu opuszczenia Wołynia byłem pozbawiony przyjemności polowania, które tak bardzo lubiłem. Dopiero po bliższym poznaniu się z towarzystwem warszawskim, zaczęły napływać zaproszenia na różne polowania w okolicach miasta: do Jabłonnej, Maurycego Potockiego, do Adamostwa Krasińskich w Radziejowicach, a najwięcej do Młochowa Jana Zawiszy. Odbyły się także dwa polowania urządzone dla hr. Berga przez Klub Myśliwski w Walewicach, majątku Grabińskiego, — drugie w Międzyrzeczu Augustowej hr. Potockiej na prośbę Józefa hr. Zamoyskiego, to ostatnie trwało dwa dni i doskonale się udało. Przybyła także wędrowna trupa teatralna, która dawała przedstawienia w jakiejś stajni w miasteczku, przyszła od artystów deputacja do namiestnika z biletami.

Artyści zrobili doskonały interes i zabawnym było patrzeć, jak się kręcili koło Muchanowa, w nadziei, że może przynajmniej niektórym z nich uda się wejść do teatru Rozmaitości. Najprzyjemniejsze jednak wspomnienie pozostawiły polowania w Grodźcu u Ciechanowskiego. Bywałem na nich przez długie lata, za jego jeszcze kawalerskich czasów i później już po jego ożenieniu się. Zwierzyny było mnóstwo, a gościnność ich obojga niesłychana.

Hr. Berg, jako namiestnik miał przy sobie kancelarię dyplomatyczną, urzędowali w niej wtedy: baron Budberg i ks. Golicyn, konsulów zaś Warszawa posiadała kilku: francuskim był baron Finot, tiuleryjski bywalec, bardzo miły i sympatyczny człowiek, któremu, gdy opuszczał Warszawę znajomi ofiarowali herb Warszawy — syrenę szczerozłotą, dość znacznej wielkości, aby w razie potrzeby mogła być spieniężona i zastąpiona przez imitację; austriackim hr. Ludolf, późniejszy ambasador w Konstantynopolu; pruską rację stanu reprezentował konsul baron Rechemberg, bardzo rozumny człowiek, lecz wielki wróg Polski i Polaków, który, z powodu osobistego prusofilstwa hr. Berga i ogólnej takiejże tendencji rządowej, wielki wpływ wywierał, naturalnie na naszą szkodę; konsulem angielskim był Mansfield, bardzo inteligentny, miał ładną żonę, oboje dość dużo przyjmowali i wszędzie bywali w świecie, tak polskim, jak i rosyjskim; konsulem belgijskim Epstein, o którym już wspomniałem; wreszcie saskim baron Lesser, którego urzędowanie skończyło się w 1870 roku, wraz z ogłoszeniem Cesarstwa Niemieckiego. Baron Rechemberg, był zawziętym myśliwym i choć bardzo źle strzelał, brał udział we wszystkich polowaniach, na których i ja bywałem; towarzyszem naszym na nich bywał także stary baron Mengden, wielki przyjaciel Maurycego hr. Potockiego. Oryginalna to była osobistość ten ostatni prezes Banku Polskiego, ale dość sympatyczna i lubiana.

W tym czasie rozpocząłem sprawę z gubernatorem irkuckim, która trwała bardzo długo i zakończyła się moją przegraną. Podczas mego pobytu w Usolu, przyjaciel mój i bliski sąsiad Tytus Pomorski, u którego znajdował się inwentarz woronczyński, spieniężył go i pieniądze wysłał pod moim adresem do Usola. O fakcie wysyłki pieniędzy, które mnie nie doszły, dowiedziałem się po raz pierwszy dopiero po powrocie do kraju. Pomorski już nie żył. Było niepodobieństwem odnaleźć oryginalny kwit pocztowy, udałem się więc do biura pocztowego we Włodzimierzu z prośbą o wydanie mi kopii; otrzymawszy ją, zwróciłem się do irkuckiego zarządu pocztowego z zapytaniem, co się z mymi pieniędzmi stało, odpowiedziano mi, że zostały wydane urzędnikowi rządu gubernialnego, Peżymskiemu, na mocy upoważnienia gubernatora irkuckiego, Erna. Wtedy wystąpiłem do tego ostatniego z żądaniem zwrotu gotówki, na co nadeszła odpowiedź, że Peżymski ukradł moje pieniądze wraz z innymi sumami, przesyłanemi dla zesłanych Polaków, potem wypędzono go ze służby i nie wiadomo gdzie się obraca! Ulegalizowawszy wszystkie te dokumenty, rozpocząłem sprawę sądową przeciw gubernatorowi, który wydał upoważnienie. Twierdziłem, że powinien odpowiadać za nadużycia popełnione przez upoważnioną przez siebie osobistość, przy czym zwróciłem się do ministerstwa spraw wewnętrznych z prośbą o areszt na pensję gubernatora do wysokości należnej mi sumy. Sprawę tę przeprowadziłem przez wszystkie instancje, ale... ostatecznie przegrałem; sądy orzekły, że gubernator nie odpowiada za występne czyny swoich podwładnych, jedyną moją satysfakcją pozostała przyjemność dokuczania przez trzy lata gubernatorowi, z którego powodu straciłem dość znaczną sumę.

Mój przyjaciel Podczaski otrzymał w tymże czasie jeszcze oryginalniejszą decyzję w podobnej sprawie. Ojciec jego wysłał mu do Tobolska na wygnanie 75

rubli, papierami 25 rublowymi Banku Polskiego, Podczaski wszakże nie mógł ich nigdzie na miejscu zmienić, gdyż w Tobolsku były one zupełnie nieznane, umyślił więc odesłać je ojcu z prośbą o wymianę na bilety Banku Państwa. Atoli na poczcie nie chciano wydać kwitu na 75 rubli, gdyż takich pieniędzy nie znali i nie uważali za gotówkę, wreszcie na żądanie Podczaskiego wydano kwit na trzy dokumenty z określeniem, że są to trzy 25 rublowe bilety Banku Polskiego. Pieniądze te, podobnie jak i moje, skradziono, a gdy Podczaski zażądał zwrotu, oświadczono mu, że otrzyma tylko 21 rubli, gdyż według prawideł pocztowych dokumenty w razie straty cenione są po 7 rubli każdy. Ponieważ jednak dokumenty te były na kwicie ściśle i jasno określone, a u każdego wekslarza znajdowały się i mogły być w naturze zwrócone, Podczaski żądał ich zwrotu w takichże biletach Banku Polskiego; gdy wyszła z tego powodu sprawa sądowa, przegrał i otrzymał tylko 21 rubli.

W 1869 roku udało mi się otrzymać paszport zagranicę, pojechałem do Ostendy, gdzie po raz pierwszy w życiu spotkałem się z morzem, które wywarło na mnie ogromne wrażenie. Całymi godzinami przesiadywałem na brzegu, lubując się widokiem tej niezmierzonej masy wody, niby zawsze tej samej, a jednak ciągle zmieniającej swój wygląd pod wpływem słońca i wiatru. W Ostendzie spotkałem się ze Stanisławem Ciechanowskim, którego już przedtem w Warszawie poznałem, lecz dopiero tam, nad morzem, bardzo zbliżyliśmy się do siebie i od tego czasu po dziś dzień przyjaźń nasza trwa niewzruszona. W tym czasie wybrałem się odwiedzić w Borownie na św. Józefa, dawnego mego kolegę z więzienia, Michalskiego; serdecznie przyjęty, poznałem całą jego rodzinę. Ponieważ był to dzień jego imienin, zjechali się licznie sąsiedzi i cały ten pobyt zostawił mi jak najmilsze wspomnienia.

Ojciec mój przeniósł się wtedy na stałe do Warszawy, wzięliśmy więc większe, wspólne mieszkanie na ulicy Ewaryńskiej, sprowadziwszy resztę umeblowania z Woronczyna i Komargrodu; niewiele tam zostało, ale wystarczyło na zapełnienie naszego mieszkania.

Ponieważ skazano mnie na konfiskatę majątku i pozbawienie praw, których mi przy ułaskawieniu nie zwrócono, ojciec mój dręczył się ciągle myślą, że w razie jego śmierci Komargród ulegnie konfiskacie, a ja zostanę bez wszelkich środków utrzymania; ostatecznie po długim wahaniu zdecydował się na sprzedaż. Kupił go ks. Kantakuzen i tym sposobem miałem zapewniony byt na przyszłość. Chociaż nie można było inaczej postąpić, jednak stało się źle, bowiem w dwa lata po sprzedaży wrócono mi wszystkie poprzednie prawa z wyjątkiem rang i orderów; ponieważ ich w ogólności nie posiadałem, wyjątek ten był mi bardzo obojętny, a tymczasem, gdyby się trochę dłużej czekało, to rodzinny majątek, od tylu lat w naszych rękach będący, byłby i na przyszłość naszym pozostał. Ojciec mój i ja żałowaliśmy ogromnie tego, co się stało, ale odrobić nie było już możności.

W tych czasach Władysławostwo hr. Braniccy spędzili parę karnawałów w Warszawie, gdzie mieli własny dom na Nowym Świecie pod nr 18. On był najzacniejszym z ludzi, ona była córką Eustachostwa ks. Sapiehów, w którym domu spędziłem tyle miłych chwil w Paryżu; nie była klasycznie piękną, lecz miała tyle wrodzonego wdzięku, że wywierała niesłychany urok na wszystkich co ją znali, lubiła się bawić i tym samym ożywiała całe towarzystwo warszawskie. Co soboty odbywały się tam wieczory tańcujące dla młodych mężatek, z panien były zapraszane tylko Maria ks. Galicyn i p. Ludwika Gerlicz, późniejsza Władysławowa Bromirska, a następnie Karnkowska. Wieczory te były solą w oku matek mających córki na wydaniu, które przybywały w tym celu do Warsza-

wy, lub w niej stale mieszkały; dla ich udobruchania p. Maria Branicka wydawała parę wielkich balów w ciągu karnawału, na które już bez wyjątku wszyscy znajomi byli zapraszani, lecz pomimo to niechęć do sobotnich przyjęć trwała i nazywano je „les soirées des lionettes".

W ogóle zabawy warszawskie miały wtedy zupełnie inny charakter, niż obecnie. W prywatnych domach, jak na przykład u Henrykostwa Woronieckich, u Władysławostwa Łubieńskich, u Ożarowskich, u senatorowej Wyczechowskiej, u Stadnickich, u Tyszkiewiczów, u Epsteinów, u Blochów, u p. Kuczyńskiej i wielu innych bywały w ciągu karnawału przeważnie bardzo udane bale. O balach na cele dobroczynne w owe czasy wcale nie słyszano, a w każdym razie było ich bardzo niewiele.

W 1870 roku odbyły się zaręczyny Konstantego Przeździeckiego z Izą Plater-Zyberg, on był synem hr. Aleksandra, znanego i zasłużonego historyka i badacza starożytności ojczystych i Marii z hr. Tyzenhauzów. Ślub odbył się w czerwcu tegoż roku. Na tę uroczystość przyjechali hr. Uruscy z Paryża z córką, która miała być na nim drużką, gdyż hr. Uruska i hr. Przeździecka, obie Tyzenhauzówny, były stryjecznymi siostrami. Dziewiczy wieczór odbył się u hr. Platerowej, z domu Kosakowskiej, a na drugi dzień ślub w kościele św. Krzyża, po którym nastąpił bal w hotelu Europejskim. Wtedy poznałem moją obecną żonę, toteż te chwile pozostały na zawsze z najdrobniejszymi szczegółami w mojej pamięci.

W trzy tygodnie później wybrałem się zagranicę do Ems, a stamtąd do Ostendy. Podczas mego pobytu w Ems wybuchła wojna między Francją i Prusami w 1870 roku. Wezwano wszystkich kuracjuszów do wyjazdu, gdyż komunikacja kolejowa miała być przerwana na trzy tygodnie z powodu przewozu wojsk; zamierzając jednak zatrzymać się dłużej, umyśliłem ten czas przeczekać w Ems. Nie obrachowawszy się

dostatecznie z pieniędzmi, a mając akredytywę na Frankfurt, do którego nie mogłem się dostać, znalazłem się w trudnym położeniu. Poratował mnie znajdujący się w Ems Alfons Sierakowski, pożyczając mi dziesięć friedrichsdorów, z którymi dostałem się do Ostendy, lecz z wielkimi trudnościami, szczególnie w pobliżu granicy belgijskiej, z powodu spotykanych ciągle pociągów bądź z rannymi, bądź z jeńcami.

Wracając z Ostendy, zatrzymałem się na kilka dni w Brukseli, gdzie w domu p. Lambert, ojca p. Mieczysławowej Epsteinowej, poznałem całą rodzinę paryskich Rotszyldów, naturalnie tylko żeńską jej część, gdyż męska pozostała w Paryżu na stanowisku. Będąc w Brukseli, skorzystałem ze sposobności, aby zwiedzić pole bitwy pod Sedanem. Wojsk żadnych już nie było. Zwłoki wszystkie już pogrzebano, na pobojowisku leżała tylko masa zabitych koni, jak również niesłychane mnóstwo sprzętu wojennego, armat, karabinów i innej broni. W ogóle wyniosłem z tej wycieczki bardzo przygnębiające wrażenie. Wtedy w fortecach pruskich znajdowała się wielka liczba jeńców francuskich, z twierdz, które były na pograniczu Królestwa Polskiego, wielu uciekło za granicę. Namiestnik, namówiony przez konsula pruskiego, wydał rozkaz aresztowania zbiegów i wydania władzom pruskim, lecz Aleksander II, uprzedzony o tym przez barona Finot, skasował to rozporządzenie i nakazał wydać ich konsulowi francuskiemu z przeprosinami za pierwotny rozkaz. Hr. Berg musiał spełnić wolę cesarską, ale to przejście dużo mu krwi napsuło. Przez parę dni oglądaliśmy tych biedaków, kręcących się po ulicach, nim ich baron Finot wysłał przez Austrię i Szwajcarię do Francji.

Z powodu wojny wielka liczba rodzin, zimujących zwykle w Paryżu, pozostała w Warszawie, a więc karnawał był więcej ożywiony niż zwykle. Przez cały ten czas, spotykaliśmy się często z dzisiejszą moją żoną, na co jej ojciec, hr. Uruski bardzo krzywym

patrzył okiem i nareszcie poprosił p. Wandalinową Pusłowską, aby w jego imieniu uprzedziła mnie, że ma inne projekty, a więc z mego starania się nigdy nic nie będzie. Ta wiadomość zmartwiła mnie ogromnie, nie wiedziałem co z sobą począć, Warszawa mi obrzydła, zamierzałem wybrać się na parę lat w jakąś daleką zamorską podróż; na to nadchodzi Włodzimierz Siemiątkowski i, gdy mu się z moich projektów zwierzyłem, napada na mnie twierdząc, że nie mam prawa rozporządzać losem drugiej osoby bez jej wiedzy, że powinienem wpierw jej się spytać o zdanie i do tego się zastosować. A właśnie w kilka dni później miał się odbyć bal u marszałkowej Kuczyńskiej, na którym miałem zamówionego mazura z moją obecną żoną. Poszedłem za radą Siemiątkowskiego; skutek rozmowy był taki, że wyrzekłem się wszelkich projektów podróży i dozgonną za nią zachowałem dla niego wdzięczność. Nie ruszyłem się z Warszawy, póki hr. Uruscy nie wyjechali, chociaż już żadnych stosunków z ich domem nie miałem, natomiast po ich wyjeździe wybrałem się do Homburga i Ostendy. W Wiesbadenie spotkałem hr. Colloredo, siostrę hr. Caboga, babki mojej żony, naturalnie pospieszyłem się jej przedstawić i, pomimo, że w ogóle była bardzo nieprzyjemną i mało przystępną, dla mnie okazała się łaskawą. Mimo woli byłem wtedy świadkiem następującej sceny: hrabina Colloredo siedziała na ławce w parku i rozmawiając z otaczającymi ją kuracjuszami, gdy podchodzi książe Walii, późniejszy król Edward VII, i mówi, kłaniając się: „*Madame, je me rappelle à votre souvenir*“, na to p. Colloredo podniosła lornetkę do oczu i po chwili, obracając się w drugą stronę, rzecze: „*Je ne me rappelle pas du tout*“, wtedy ktoś z otaczających szepnął jej, że to ks. Walii, podniosła się i chciała coś powiedzieć, lecz książe przerwał, mówiąc: „*Vous ne vous rappelez pas, madame, et moi j'ai déjà oublié*“, po czym zawrócił się i odszedł.

W Homburgu zastałem, jak zwykle, świetny sezon. Z moich znajomych była hr. Kisielew, z domu Potocka, u której bywałem w Paryżu i która mnie przyjęła bardzo uprzejmie, jako dawnego znajomego; Władysławostwo Braniccy, Bolesław Potocki z Będlewa, Aleksander hr. Czapski i wielu innych; tam spotkałem po raz pierwszy Józefa Ignacego Kraszewskiego, opowiadałem mu różne moje przejścia z Syberii. Bardzo był ich ciekaw i ciągle się o coś dopytywał, namawiał mnie, abym koniecznie spisał wszystko i jemu przysłał, a on ujmie moje wrażenia w formę literacką i wyda. Trzeba było pięćdziesięciu lat i wojny europejskiej, która mnie ze zwykłych zajęć wykoleiła, abym to jego życzenie spełnił, lecz, niestety, już dziś nie ma tego, który by je uczynił więcej zajmującymi dla szerszego koła czytelników.

Sezon w Homburgu udał się bardzo świetnie, był to jeden z ostatnich lat istnienia domu gry, przyciągającej nie tylko grających, ale i tych, którzy utrzymują się ze szczęścia grających. Najsławniejsi artyści, najznakomitsze restauracje, najbogatsze sklepy, wszystko to się w czasie sezonu zjeżdżało w nadziei bajecznych zysków na tych, którym uśmiechnie się fortuna, a nawet i tych, którym się nie poszczęści, gdyż ogólnie wiadomo, że tam gdzie można w chwili szczęścia posiąść prawie fortunę, pieniądze nie mają wartości i wydaje się je zupełnie inaczej, jak w zwykłych warunkach życia. Adelina Patti czarowała głosem co drugi dzień, a że teatr w kurhauzie był bardzo niewielki, trzeba było na kilka dni naprzód zaopatrzyć się w bilet.

P. Kisielew zapraszała mnie często na obiady i śniadania; miała pasję sama preparować rozmaite potrawy według jakichś nadzwyczajnych przepisów. Raz pamiętam, na skutek jakiejś kulinarnej dyskusji oświadczyła, że da nam nadzwyczajne raki, jak się później dowiedziałem, miały być duszone w śmietanie z miętą, lecz że w całym Homburgu mięty nie do-

stała, umyśliła zastąpić ją olejkiem miętowym. Gdy podali te raki w śmietanie, na której pływały ogromne, zielone, tłuste plamy, nie tylko nikt ich nie chciał spróbować, lecz nawet wszyscy oczy odwracali, tak to niezachęcająco wyglądało.

Z Homburga pojechałem do Ostendy, gdzie zastałem bardzo liczne i sympatyczne, polskie towarzystwo. Z Warszawy byli: Józefostwo Krasińscy i rodzice samej pani, Stadniccy. Z Poznańskiego byli: Karolowie hr. Mielżyńscy, hr. Węsiersko-Kwileccy, p. Węsierska z dwiema córkami i synem, z mężczyzn Stanisław Ciechanowski, z którym razem mieszkałem, Ignacy Gąsowski i wielu innych.

Wobec liczby polskiego towarzystwa umyśliliśmy urządzać w pewne dnie tygodnia w kasynie prywatne, polskie wieczory tańcujące pod przewodnictwem Józefa Krasińskiego. Miały one ogromne powodzenie i panie z towarzystwa wiedeńskiego: hr. Karolyi, hr. Andrassy i ks. Fürstenberg przysłały hr. Dönhoffa, wspólnego naszego znajomego, z prośbą, aby mogły być zaproszone, naturalnie życzenie zostało spełnione i panie te nie mogły się dość nacieszyć mazurem, którego, jak mówiły, widziały po raz pierwszy prawdziwie po polsku tańczonego.

Wyjeżdżając z Ostendy, postanowiliśmy w kilka osób zajechać do Paryża aby się przekonać, jak też wygląda po wypadkach z czasów przebytej Komuny; znaleźliśmy go okropnie zniszczonym, wszędzie ruiny i ślady pożogi, lecz widać już było zwrot ku lepszemu, gdyż na wszystkie strony stały przygotowane rusztowania do odbudowy tego, co tak bezmyślnie zniszczono.

Od czasu powrotu z Syberii, oprócz corocznych letnich wycieczek zagranicę, mieszkałem stale w Warszawie i dlatego bywałem bardzo często w teatrze. Zdaje mi się, że to była najświetniejsza epoka sceny warszawskiej. Takiego zespołu talentów i wielkich artystów, jaki był wtedy w teatrze Rozmaitości, trudno

było spotkać nawet na najgłośniejszych scenach europejskich, występowali bowiem: Żółkowski, Królikowski, Rychter, Panczykowski, Szymanowski, Damse i inni, którzy umieli dostrajać się do tych olbrzymów sztuki, z kobiet zaś Bakałowiczowa, urocza Popielka, aż nareszcie zjawiła się Modrzejewska i wielkim talentem olśniła wszystkich. Operę włoską mieliśmy zwykle przz jesień i zimę, ale bez udziału artystów europejskiej sławy, gdyż miasto na taki zbytek pozwalać sobie nie mogło. Balet, jeden z pierwszych w Europie, od dawna używał pierwszorzędnej renomy, tak że nawet car Mikołaj zaprosił warszawską trupę baletową na występy gościnne do Petersburga.

Wracając do Warszawy, nie spodziewałem się, że lada dzień mój los ma się zupełnie zmienić. W parę tygodni po Nowym Roku, otrzymałem przez wspólnych znajomych prywatną wiadomość od hr. Uruskiego, że przyjazd mój do Lwowa, gdzie spędzali zimę, będzie mile widziany. Omal, że nie oszalałem z radości i zaraz ruszyłem w drogę. Co wpłynęło, że hr. Uruski zmienił swe pierwotne postanowienie nie wiem dotąd, gdyż nigdy przede mną z tym się nie zwierzył, znając jednak usposobienie jego dla Alfredowej hr. Potockiej i jej opinię o moich projektach, sądzę, że zapewne dużo do tego się przyczyniła. Tak się śpieszyłem, że nie mogąc doczekać się paszportu dla mego służącego, rodem z Wołynia, pojechałem sam.

Stanąwszy rano we Lwowie, z drżeniem serca oczekiwałem chwili, w której będę mógł pójść do hr. Uruskich, mieszkających przy ulicy Ormiańskiej we własnej kamienicy, zaanonsowałem się wreszcie u hr. Caboga, matki hr. Uruskiego; przyjęła mnie bardzo łaskawie i poleciła poprosić pannę Mimi, która nie kazała na siebie długo czekać; gdy ją ujrzałem po tych wszystkich przeciwnościach i przeszkodach i ścisnąłem za rękę, uczułem drżenie, jakiego już później nigdy w tym stopniu nie doznałem. P. Caboga zatrzymała mnie na obiad, p. Uruski powitał mnie serdecz-

nie również jak i moja przyszła teściowa, osoba zupełnie sparaliżowana, bezwładna w rękach i nogach, a przy tym o tak utrudnionej mowie, że bardzo trudno było ją zrozumieć. Widywałem ją niejednokrotnie przed rokiem w Warszawie, widok jednak tego kalectwa w chwili, gdy miałem wejść do jej rodziny, zrobił na mnie szczególnie bolesne wrażenie i tym boleśniejsze, że przed dwunastu laty tańczyliśmy razem na jednym z balów w Paryżu. Pomimo, że moje małżeństwo było już stanowczo postanowione, p. Uruski żądał, abym w świecie lwowskim występował na razie w roli starającego się, naturalnie musiałem się do jego woli zastosować i bywać wszędzie wieczorami, gdzie tylko pp. Uruscy z córką bywali. Prawie wszystkie dnie tygodnia były zajęte. W niedziele przyjmowali namiestnikostwo hr. Gołuchowscy, w poniedziałek hr. Łosiowie, w czwartek hr. Łączyńscy, w sobotę hr. Rusoccy, we wtorek hr. Borkowscy, chociaż do tych ostatnich można było choćby co dzień przychodzić, gdyż z zasady przyjmowali wszystkich, jeśli tylko byli w domu; spotkałem wtedy Stanisława Brykczyńskiego, żonatego z moją stryjeczną siostrą Idalią, która wkrótce po ślubie umarła w czasie mego pobytu na wygnaniu, tak że go poznałem już jako wdowca; był także, jako już stały mieszkaniec Lwowa, Mieczysław hr. Przeździecki, kuzyn p. Uruskiej, bardzo często go u niej spotykałem, miły i dowcipny człowiek, choć trochę dziwak.

Spotkałem w domu mego przyszłego teścia Kazimierza hr. Stadnickiego, znanego historyka i kuzyna mego ojca, który przed laty ułatwił mi jazdę do Drezna. Zapisałem się do Kasyna Narodowego, gdzie poznałem Fredrów, Drohojowskiego, Brunickich, Tadeusza Dzieduszyckiego i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam. W czasie wielkanocnym, hr. Uruski urządził wielkie święcone z tańcami. Po świętach, gdy już byłem oficjalnie zaręczony, nastąpiły z tego powodu przyjęcia i obiady, między innymi był obiad

u hr. Siemieńskich-Lewickich i u Janostwa hr. Tarnowskich. Hr. Caboga z wiosną wyjeżdżała do ulubionej swej Biłki pod Lwowem, gdzie zwykle, prócz zimy, spędzała cały rok i życzyła sobie, abym i ja przyjechał; naturalnie pojechałem i parę dni przesiedziałem, choć bardzo pilno było mi wrócić do mojej narzeczonej. Mój przyszły teść życzył sobie, abym pojechał do Wiednia podziękować hr. Potockiej za zajęcie się moim zaręczynowym pierścionkiem i przedstawić się Kazimierzowi hr. Lanckorońskiemu, ożenionemu z jego cioteczną siostrą. Państwo Alfredowie bardzo mnie łaskawie przyjęli, byłem u nich na obiedzie, jak również u hr. Lanckorońskiego, u którego poznałem jego córkę, baronową de Vaux i jej dzieci.

Wróciwszy do stolicy, zastałem w domu z wielkim moim zdziwieniem zaproszenie do Lwowa na mój własny ślub. P. Uruski polecił administratorowi swego pałacu rozesłać je wszystkim, zapisanym na liście znajomym, wskutek czego i ja zostałem zaszczycony zaproszeniem. Z wyborem dnia ślubu była wielka bieda; p. Uruska wierzyła w feralne dnie, a miała ich mnóstwo, i tak: poniedziałek i piątek już same przez się nieszczęśliwe, następnie trzeba było, abyśmy w żaden z tych dni nie przyjechali ani do Warszawy ani do Milanowa, sobota i wilie dni świątecznych także były wyłączone, gdyż wyjeżdżając po ślubie, musielibyśmy być w drodze i opuścilibyśmy mszę św. Po długich naradach stanęło na środzie 10 lipca, gdyż tylko ten dzień w całym tygodniu odpowiadał wszystkim wymaganym warunkom. Pani Caboga wyjechała do swego majątku, Milanowa na Podlasiu, końmi, gdyż inaczej nie jeździła. Wybudowała tam piękny szpital, a następnie przy nim niewielki kościół, który właśnie wtedy miał być poświęcony; na tę uroczystość się wybrała, życząc sobie, abym i ja na nią przyjechał. P. Uruski zamierzał dać córce majątek Rudzieniec, graniczący z Milanowem, mieliśmy tam zamieszkać i zaczęto nawet zakładać fundamenty pod przyszły

dom, gdyż żadnego w nim nie było, lecz p. Caboga życzyła sobie, abyśmy zamieszkali w Milanowie i tak się też stało. Pojechałem więc do Milanowa, zwłaszcza, że hr. Uruski wyjechał z córką na ślub córki Alfredostwa hr. Potockich, Julii z Władysławem hr. Branickim, synem Aleksandra i Anny z Hołyńskich.

Wyznaję, że Milanów na pierwszy rzut oka nie bardzo mnie zachwycił: najpierw trzydzieści wiorst ze stacji kolejowej Międzyrzeca po piaskach i błotach, następnie mały domek z kilkunastu pokoi, jak zwykle w majątkach, gdzie właściciel stale nie mieszka, otoczony sadem z kilkudziesięciu starych drzew i grzędami rozmaitych warzyw. Byłem na poświęceniu kościoła, na które przybyła generałowa Kicka z Suchowoli, i powróciłem do Warszawy, dokąd wkrótce przyjechała p. Caboga.

W czasie mego pobytu we Lwowie ułożyło się małżeństwo ciotecznej siostry mojej narzeczonej, Elizy hr. Zamoyskiej z Ignacym hr. Krasickim, asystowałem przedwstępnym krokom, lecz na ślubie być nie mogłem, gdyż nastąpił w kilka dni po moim. Żałowałem tego bardzo, gdyż ze wszystkich kuzynek mojej żony była mi najsympatyczniejszą i szczerze życzyłem jej szczęścia. W tymże czasie także odbył się w Warszawie ślub córki Wandalinostwa Pusłowskich, — również bardzo bliskich krewnych, gdyż matka p. Uruskiej była rodzoną siostrą Wandalina Pusłowskiego, — wyszła za hr. Broel-Platera, marszałka wileńskiego, i na tym ślubie być nie mogłem, z powodu komplikacji z moim własnym ślubem. Bardzo przylgnąłem do obojga Wandalinostwa Pusłowskich, szczerze byli dla mnie serdeczni i całym sercem przyjęli mnie do rodziny.

W kilka dni po moim powrocie z Milanowa przyjechali pp. Uruscy do Warszawy. Wobec bliskiego terminu naszych zaślubin, zaczęły się ciągłe obiady i przyjęcia, a że była w Warszawie p. Caboga, która

siadała do obiadu o pierwszej, więc były dwa obiady proszone dziennie, ku wielkiemu jej zgorszeniu: „*Tout le monde dine une fois et mon fils est parvenu a donner deux diners par jour!*“ — mówiła. Bardzo gościnny p. Uruski, lubił przyjmować, chociaż twierdził, że to robi nie z gustu, bo wolałby siedzieć spokojnie, lecz z obowiązku, gdyż według niego, każdy mający wybitniejsze stanowisko i odpowiednie środki, jest do tego obowiązany.

Hr. Uruski i hr. Caboga wyjechali do Lwowa i ja miałem za nimi podążyć, gdy wtem nieprzewidziana przeszkoda mnie zatrzymała. Ponieważ ślub miał być we Lwowie, trzeba było wszystkie dokumenty zalegalizować w konsulacie austriackim, gdy przyszło do mojej metryki — wszystko utknęło. Ponieważ urodziłem się na Wołyniu i tam byłem chrzczony, nikt w Królestwie nie chciał mi metryki poświadczyć. Powiedziano mi, że muszę ją posłać do konsystorza żytomierskiego, następnie do ministerium spraw wenętrznych, a stamtąd do ministerium spraw zagranicznych i ambasady austriackiej, słowem roboty na Bóg wie wiele czasu. W niewiedzy jak na to poradzić, wpadam na pomysł, który okazał się dobrym. Zaniosłem moją metrykę do rejenta i kazałem z niej zrobić urzędową kopię; prezes trybunału poświadczył podpis rejenta, kancelaria dyplomatyczna namiestnika poświadczyła podpis prezesa, a na koniec konsul austriacki wszystko stwierdził swoją pieczęcią i podpisem. Za czym w parę dni mogłem wyjechać do Lwowa. Na nasz ślub przyjechał naturalnie mój ojciec, też Stanisław Czetwertyński, i kilka osób z Królestwa, między nimi ks. Zygmunt Lasocki, który, zaproszony przez mego teścia, miał pobłogosławić nasz związek. Ślub odbył się w kościele dominikanów, po czym śniadanie w bardzo licznym gronie z rozmaitymi toastami i przemowami, w których stanowisko moje, jako pana młodego, pozwalało mi nie brać udziału, za to jednak w późniejszych latach, asystując podobnym

uroczystościom prawie zawsze zmuszony byłem przemawiać, mniej lub więcej udatnie. O siódmej znowu był obiad dla dwudziestu osób, na którym teść mój nie pozwolił mi, jako już mężowi, siedzieć koło mojej żony. Około północy opuściliśmy Lwów, żegnani przez licznie zebranych przyjaciół i znajomych.

Z okazji mego ślubu Wandalin darował mi „Herbarz Rycerstwa Polskiego" Paprockiego. Przez całe życie zbierał do niego warianty i osiągnął tyle, że wynalazł o cztery więcej, niż było znanych Turowskiemu. I oto egzemplarz tak cenny — można powiedzieć, unikat w świecie bibliofilskim — ofiarował mi w upominku, z bardzo serdeczną dedykacją.

XII.

MILANÓW. PRZEŚLADOWANIE UNITÓW.

Seweryn Potocki, ożeniony z Sapieżanką, pozostawił jedynego syna Leona i cztery córki, synowi zapisał wszystko co posiadał na Podolu i Ukrainie, dla córek przeznaczył dobra po-Firlejowskie na Podlasiu. Jedna z córek, Wanda, (primo voto Uruska, secundo hr. Caboga) dostała Milanów, p. Łubieńska majątek Kolano, p. Colloredo Rudzieniec, p. Strzyżewska Jabłoń. Dwa ostatnie majątki odziedziczyła po siostrach p. Łubieńska i sprzedała Rudzieniec memu teściowi. W chwili więc mego zamieszkania na Podlasiu Milanów był własnością babki mojej żony, Rudzieniec zaś oddany mojej żonie. Skromne domostwo w Milanowie nie nadawało się, jak już wspominałem, na stałe mieszkanie, o zimowaniu zaś i mowy być nie mogło. Należało więc pomyśleć o budowie domu nowego, o założeniu ogrodu. Zrobiliśmy plan ogrodu, aby już w jesieni i na wiosnę móc sadzić krzewy i drzewa. Trudno było stworzyć jakieś piękne dzieło sztuki ogrodniczej już z braku miejsca; ze wszech stron napierały budynki folwarczne lub grunta włościańskie. Dziś jednak, gdy wszystko podrosło, sądzę, że plan ogrodu udał nam się w zupełności.

Przy budowie domu popełniliśmy błąd. Aby prędzej uzyskać dach nad głową a przy tym uniknąć znacznych kosztów, umyśliliśmy zostawić dawny dom murowany, a tylko po obu bokach parteru dodać piętrowe skrzydła. Plany remontu wykonał budowniczy Lanci w Warszawie, roboty budowlane rozpoczęto z początkiem wiosny; my zaś do czasu wykończenia domu zamieszkaliśmy u teścia w Warszawie. Żałowa-

łem nieraz potem, że się w Milanowie nie postawiło domu nowego, różnica w kosztach byłaby stosunkowo niewielka, a można było zyskać siedzibę estetyczniejszą i wygodniejszą, wedle własnego gustu pomyślaną.

W kwietniu 1873 roku urodził się nam pierwszy syn, Seweryn, a gdy żona moja powróciła zupełnie do zdrowia, odwieźliśmy go do Biłki w Galicji, pod opiekę babki hr. Caboga, sami zaś, zaproszeni przez teścia, wyjechaliśmy do Wiednia na zwiedzenie słynnej wystawy wszechświatowej.

Po Nowym roku 1874 umarł w Petersburgu głośny hr. Berg, ostatni namiestnik w Królestwie, na jego miejsce zamianowany został gen. adjutant, Paweł Kotzebue, już tylko jako generał gubernator warszawski. Nie mogąc mieć dotychczasowej władzy namiestnika, prosił, aby mu przynajmniej pozostawiono zewnętrzne jej oznaki, a więc, mieszkanie na Zamku królewskim, konwój czerkieski, lożę cesarską w teatrze itd. O działalności pana Kotzebue trudno mi mieć jakieś umotywowane zdanie, bo mało się z nim stykałem, starał się być sprawiedliwym, ale nie wolno mu było (jak większości urzędników rosyjskich), postępować według przekonania, lecz stosować się do nakazów z góry. Opowiadano mi, z dobrego nawet źródła, fakt następujący: Gdy w Petersburgu powzięto myśl skasowania Unii i przeprowadzenia unitów siłą na prawosławie, Kotzebue, zapytany o opinię, sprzeciwił się stanowczo i osobiście zawiózł do Petersburga starannie umotywowany memoriał w tej sprawie. Gdy przedstawiał się cesarzowi Aleksandrowi II, ten zapytał z miejsca, jak stoi sprawa Unitów, gdyż Najj. Pani zależy na tym bardzo, aby jak najprędzej powrócili na łono Kościoła Wschodniego. Powróciwszy do domu, kazał gubernator na gwałt, w ciągu nocy, na nowo napisać i umotywować opinię wręcz przeciwną poprzedniej i nazajutrz złożył ją cesarzowi.

Gdy rozpoczęło się prześladowanie unitów i u nas w Milanowie zamknięto kościółek przy szpitalu. Żo-

na moja, znajoma Kotzebuemu (gdyż bywał w domu jej rodziców), napisała prosząc o audiencję. W takich wypadkach Berg, którego formy towarzyskie były bez zarzutu, zwykł odpowiadać przez dyżurnego adjutanta, że będzie miał zaszczyt stawić się sam o takiej lub takiej godzinie, tymczasem Kotzebue ograniczył się do odpowiedzi, że żona moja będzie przyjęta o godz. 3-ciej.

Gdy żona przyszła i przedstawiła swą prośbę, domagając się, aby przynajmniej wstrzymać wykonanie rozporządzenia tak długo, dopóki żyje jej babka hr. Caboga, gdyż byłoby to strasznym dla niej ciosem, gubernator odparł: „Comment est ce quélle nést pas encore morte? Potem oświadczył, że rozporządzenie musi być niezwłocznie wykonane, wstał i kiwnął głową na znak, że audjencja skończona.

Po dziesięciu latach nieobecności wybrałem się z moją żoną dla odwiedzenia Woronczyna. Jakież zniszczenie, jaki brak najpotrzebniejszych rzeczy przedstawił się oczom naszym! Rząd rosyjski wypuścił był Woronczyn w dzierżawę koloniście czy chłopu z którejś z sąsiednich wsi. Kontrakt obowiązywał mnie jeszcze tylko na przeciąg roku, toteż oświadczyłem niedbałemu dzierżawcy, że od tego terminu przejmuję majątek na siebie. Nie było w Woronczynie ani co jeść, ani gdzie spać, więc rozpatrzywszy się pobieżnie w opłakanych stosunkach, powróciliśmy do Warszawy. Tu 9 czerwca urodził się nam drugi syn, Włodzimierz. Przebywszy więc najgorętsze miesiące w Warszawie, na jesieni dopiero udaliśmy się do Milanowa, z mocnym zamiarem przepędzenia tam zimy.

W Milanowie, nowo wybudowana część domu nie była jeszcze zdatna do mieszkania, w starych kątach natomiast można się było z biedą pomieścić, szczególniej, że wybudowano oddzielną oficynę dla pomieszczenia administracji. Zima przeszła spokojnie, mimo że w słabo zaopatrzonych miasteczkach sąsiednich brakło wielu rzeczy potrzebnych do egzystencji. Cho-

ciaż dom nie był jeszcze zupełnie wykończony, postanowiłem sprowadzić do Milanowa bibliotekę mego dziada, gen. Ludwika Kropińskiego. Od czasu konfiskaty Woronczyna przechowywali ją w pakach sąsiedzi. Na bibliotekę woronczyńską składało się kilka tysięcy tomów, wśród których nie brakło przednich i wyborowych starodruków, oraz cennych zabytków dawnej literatury polskiej. Budując dom milanowski, myślałem wiele o pomieszczeniu księgozbioru, pielęgnowanego z taką troskliwością przez drogiego mi Dziada.

Gdy zbliżał się termin słabości mojej żony zaprosiłem na dłuższą gościnę doktora Lasockiego. Ten mój serdeczny kolega z Kijowa i towarzysz wygnania na Syberii był nie tylko doświadczonym akuszerem, ale równocześnie wielkim bibliofilem i zbieraczem. W wolnych chwilach zaczęliśmy z Lasockim wydobywać książki z pak i segregować je chociażby z grubsza. Dotąd posiadałem tylko jedną stosowną szafę, która miała służyć za wzór innym. Dla uniknięcia jednorazowego a znacznego kosztu rozłożyłem ten wydatek na szereg lat. Tymczasem mój ojciec z jednej strony a matka żony z drugiej pośpieszyli z pomocą, tak że już w ciągu jednego roku wszystkie szafy stanęły na miejscu i cały księgozbiór woronczyński dał się w nich pomieścić. Ale i moja chętka zbieracka rosła też. Zamiłowanie do ksiąg nie opuszczało mnie nigdy. Poczyniłem też wiele cennych nabytków i dziś wypada mi żałować, że budując dom, nie pomyślałem o oddzielnym a obszernym pomieszczeniu na bibliotekę.

W roku 1882 udało mi się po dłuższych staraniach uzyskać pozwolenie na powrót do kraju dla Juliana Kędrzyckiego, współtowarzysza wygnania w Usolu. Nie mając ani rodziny, ani stosunków, przesiadywał on po uwolnieniu z robót po różnych miasteczkach rosyjskich, czekając nowego manifestu, któryby pozwolił mu wrócić do kraju. Gdy wskutek moich starań

przybył wreszcie do Warszawy, poprosiłem, aby po tylu latach tułaczki i wygnania wypoczął trochę pod moim dachem w Milanowie, póki nie wynajdzie sobie jakiegoś stałego zajęcia lub oparcia. Bardzo rad byłem, gdy przystał na mój projekt, lecz wkrótce przekonałem się w jak opłakanym stanie było zdrowie Kędrzyckiego. Ten dowcipny człowiek, ten utalentowany poeta i cięty satyryk strasznie się zmienił na umyśle. Rok lub więcej przesiedział u nas. Pomimo całej przyjaźni, jaką miałem dla Juliana, muszę wyznać, że jego stan nerwów, zrujnowanych tyloletnim pobytem na wygnaniu, był bardzo uciążliwy dla otoczenia. Wyjechawszy w odwiedziny do dawnego kolegi uniwersyteckiego, Borszczowa, w Petersburgu, tam życie zakończył.

W Przewłoce, niedaleko Milanowa, mieszkał Paweł del Campo Scipio; łączyły nas z tą rodziną zażyłe stosunki, do czasu ich wyjazdu do Galicji. Gdy Paweł znalazł się w bardzo ciężkich warunkach materialnych, pragnąc ułatwić mu sprzedaż majątku przez parcelację, nabyłem Przewłokę, zostawiając mu możność rozparcelowania ziemi. Wszelako parcelacja do skutku nie doszła i ja pomimo woli stałem się właścicielem Przewłoki. W kilka lat później za tę samą cenę sprzedałem ją włościanom z okolicy. Byli to unici, którzy zawierali śluby tzw. krakowskie, rząd rosyjski nie uznając tych ślubów tajnych, uważał dzieci z małżeństw krakowskich za nieprawe. Dzieci te nie mogły dziedziczyć ziemi po rodzicach, nabytą natomiast mogli dowolnie rozporządzać.

Za rządów generała Hurki rusyfikacja kraju zaczęła przejawiać się planowo, obejmując wszystkie dziedziny życia. Zaraz po objęciu przez niego rządów nad „prywislinskim krajem", na pierwszym przedstawieniu się władz i obywateli dał wyraz swego nieprzejednanego usposobienia. Gdy mu się przedstawiali konsulowie zagraniczni, Hurko zagadnął konsulów francuskiego i angielskiego po francusku, natomiast

do konsula Belgii, Epsteina, przemówił po rosyjsku, a gdy Epstein zauważył, że po rosyjsku nie rozumie — „jak pobędziemy razem to się pan nauczy" odparł Hurko z uśmiechem, upewniwszy się przedtem, że konsul Belgii jest poddanym rosyjskim.

Prześladowanie unitów dosięgło teraz niebywałych rozmiarów. Mieszkając na Podlasiu, na samym pograniczu Unii i mając kilka wsi już w jej obrębie, byliśmy najbliższymi, naocznymi świadkami tego straszliwego ucisku. Niemożność przyniesienia jakiejkolwiek pomocy tym biedakom, widok ciągłych prześladowań, bohaterski opór bezbronnych, był nam ciągłą męką i zatruwał chwile pobytu w Milanowie.

Pośrednio odczuwaliśmy też tyranię wydanych zarządzeń rusyfikacyjnych. Za każdym wyjazdem na zimę do Warszawy należało zaopatrzyć w paszporty służbę, która jechała z nami. Obecnie, jeśli kto z tej służby miał babkę lub dziadka, chrzczonego w cerkwi unickiej zostawał zapisany jako prawosławny i nie chciał naturalnie przyjąć takiego paszportu. Mieliśmy stangreta, ożenionego po krakowsku z mieszkanką pow. włodawskiego. Władze, dowiedziawszy się o tym, odstawiły ją etapem do miejsca urodzenia, a z niego ściągnięto karę, i to powtarzało się kilka razy, gdyż żona wracała zawsze cichaczem do męża i dzieci.

Najsurowiej zabroniono ludowi śpiewania kolend na święta Bożego Narodzenia nowego stylu. Dzięki temu zakazowi, jak to z każdym prześladowaniem bywa, śpiew kryjomy uprawiano tym gorliwiej, uważając go za święty obrządek religijny. O zmierzchu podchodziła młodzież wiejska niepostrzeżenie pod nasze okna i stłumionym głosem intonowano: „Bóg się rodzi" czy inną kolendę. Moja żona rozdawała wówczas kolędnikom kalendarze ludowe lub żywoty świętych, opatrzone niezbędną wówczas pieczątką cenzury. Uchodziło to długie lata. Za rządów Hurki doniósł ktoś strażnikom, że księżna rozdaje w Milano-

wie zakazane patriotyczne książki. Rzucono się do rewizji po chatach unickich, gdybyż wówczas wpadła w ręce rewizorów, któraś z niecenzuralnych broszur galicyjskich, obficie kolportowanych, pociągnęłoby to skutki nieobliczalne. Szczęściem, nic „zdrożnego" nie znaleziono.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego doznałem, przejeżdżając przez osadę Gęś, zimą 1877 lub 1878 roku. Ogromna wieś wyglądała jak wymarła. Dla ukarania opornych mieszkańców za ich upór, przysłano na leże zimowe sotnię żołnierzy o dzikich azjatyckich twarzach i jeszcze dzikszym sposobie maltretowania nieszczęsnych. Kobiety i dzieci, mimo trzaskającego mrozu, uciekły do sąsiednich lasów, mężczyźni snuli się z dala od swych zagród, przypatrując się, jak dzicz azjatycka niszczy ich skromny dobytek.

Stosownie do wiatru wiejącego z góry prześladowanie to słabło, to wzmagało się, unici zaś korzystali z każdej sposobności, aby ponawiać prośby o zaliczenie ich do wyznawców kościoła katolickiego. Jakież było zdziwienie mojej żony kiedy pewnego dnia w r. 1894 przybyło do niej kilku włościan z Gęsi, prosząc o napisanie prośby po angielsku do królowej angielskiej; słyszeli że rosyjski następca tronu ma się żenić z jej wnuczką, chcą więc uprosić królowę Wiktorję o wstawienie się za nimi do cesarza. Trudno było zaiste przekonać nieszczęsnych, że tą drogą nic nie wskórają i również trudno nie zdumiewać się w najwyższym stopniu nad ich niezłomną wytrwałością!

Następujący jeszcze przykład niech posłuży, jaką wiarą i jaką sumiennością ożywiony był ten lud: Jakiś przodek włościanina z Gęsi, nazwiskiem Kruszyńskiego, służył za kucharza u Firlejów w tych czasach, kiedy cała ta okolica do nich należała. Za długoletnią służbę został obdarowany gruntem, nadanie to przechowywali Kruszyńscy w rodzinie, jako drogocenny dokument, przechodzący z ojca na syna, a potwierdzany kolejno przez wszystkich późniejszych właści-

cieli Gęsi. Otóż któregoś dnia jawi się u mnie ów Kruszyński z prośbą o przechowanie tego pięknego pergaminu z pieczęciami, gdyż dowiedział się, że jest zamieszczony na liście tych, którzy wkrótce zesłani będą lada dzień do gubernii orenburskiej za opór władzy i uparte trwanie w wierze ojców. Zwróciłem uwagę Kruszyńskiemu, że lepiejby zrobił, gdyby korzystając z czasu przedostał się do Galicji, gdzie u Łubieńskich w Krakowcu znajdzie pewny przytułek. „Tego uczynić nie mogę — powiada unita — żonę mam sparaliżowaną, dla której przekraść się przez granicę jest niepodobieństwem, przysiągłem jej przy ślubie nie opuścić jej aż do śmierci, nie mogę złamać przysięgi!" Tłumaczyłem, że jak go wyślą to ją także opuści. Nie dał się jednak przekonać, twierdził, że będzie to skutkiem siły wyższej, za którą nie on przed sądem bożym odpowiadać będzie! Wątpię, czy w klasie ludzi wykształconych wielu znalazłoby się ludzi tak sumiennie pojmujących ważność dobrowolnie złożonej przysięgi!

W samych początkach tej furii prześladowań zjawił się u mnie bardzo zdolny rolnik i administrator z Lubelskiego, Patronowicz, prosząc o posadę rządcy w Woronczynie, która była właśnie wolna. On czy też jego żona mieli jakąś babkę lub prababkę obrządku unickiego, a że obecnie nakazano dochodzić tych szczegółów z największą ścisłością, aby móc zmuszać potomków do przejścia na prawosławie, sądził, że przeniósłszy się na Wołyń, gdzie Unia już od lat przeszło 50 nie istniała, — ujdzie prześladowań. Jakoteż przez lat parę nie był wcale napastowany. Nagle jednak zjeżdża mi z żoną i dziećmi, z których ostatnie przy piersi, i żali się: zawiadomiono go prywatnie, że ma być z rozkazu gen.-gubernatora lubelskiego dostawiony z żoną i dziećmi do Lublina dla przepisania na prawosławie a w razie oporu zesłany do gubernii orenburskiej. Błaga mnie o ratunek. Nie wiedząc co począć, przypominam sobie przyjaciela mego, któ-

ry mieszkał na samej granicy, zaczym wysyłam Patronowicza z listowną prośbą o pomoc w tak groźnym terminie. Powiodło się, w kilka dni bowiem doszła mnie depesza z Krakowa, że Patronowicz dojechał szczęśliwie. Niesłychanie byłem zadowolony. Rozpisałem listy do różnych ziemian galicyjskich, prosząc o dach i kawałek chleba dla biednych wygnańców, co się również powiodło, szwagier mój bowiem, Sapieha, dał Patronowiczowi posadę rządcy w jednym z majątków żony.

Zakładając szpital w Milanowie postawiła hr. Caboga za warunek, że w razie usunięcia przez rząd sióstr miłosierdzia od zarządu szpitalem, ma być szpital zamknięty, a fundusz i ziemia przeznaczone na jego utrzymanie mają wrócić do sukcesorów fundatorki. Wzięto się tedy na sposób: prześladowano siostry tak ,aby je zmusić do dobrowolnego opuszczenia szpitala, unikając tym przebiegiem jego zamknięcia. Najpierw odebrano im kapelana, nie pomogło, zaczęły jeździć do kościoła parafialnego. Wyszedł tedy ukaz, wzbraniający siostrom wyjazdu z powiatu bez zezwolenia gubernatora, a ponieważ Milanów należący do powiatu radzyńskiego miał swą parafię w Parczewie w powiecie włodawskim, nie mogły bywać na mszy w Parczewie. Gdy zaś zaczęły tedy jeździć do odległego o 20 wiorst Radzynia, zabroniono im w ogóle wyjeżdżania poza obręb parafii bez pozwolenia naczelnika powiatu, tak że ani w jedną ani w drugą stronę ruszyć się nie mogły. Wyrobiłem wówczas siostrom milanowskim u władzy duchownej dyspensę od obowiązku bywania na mszy św. w ogóle. Takim sposobem nie doszło do instalacji w szpitalu prawosławnych sióstr miłosierdzia, co było oczywistą intencją rządu. Znudzony oporem Hurko kazał wreszcie siłą siostry usunąć, a ja z mojej strony kazałem szpital zamknąć, opieczętować i wystąpiłem o zwrot funduszów, zapisanych na jego utrzymanie.

Sprawa szpitala w Milanowie przeszła przez wszystkie instancje. Przegrałem ją ostatecznie, lecz motywy wyroku były tak nadzwyczajne, że warto je przytoczyć, aby potomni mogli wiedzieć, co się u nas wtedy działo. Ponieważ hr. Caboga nie określiła w zapisie dokładnie, że ma na myśli siostry miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, gdyż innych natenczas nie było, sądy znalazły, iż warunek oddania zarządu szpitalem może się odnosić równie dobrze do sióstr prawosławnych jak do katolickich i że osoba tak światła i dobroczynna, jak zapisodawczyni, nie mogła się rządzić ciasnym fanatyzmem wyznaniowym. Proces o szpital trwał długo, przetrwał rządy gen. Hurki; w rezultacie nie wprowadzono sióstr prawosławnych, a następnie dzięki moim prywatnym już zabiegom u następców Hurki, zezwolono na zarząd cywilny szpitala, którego ja zostałem kuratorem, a po ukazie tolerancyjnym zezwolono siostrom na powrót. Taka zmiana pozostała po całym przejściu, że jako kurator obowiązany byłem przedstawiać pow. Radzie Dobroczynności w Siedlcach coroczny raport o stanie szpitala.

W czasie najostrzejszego prześladowania Unitów pop z Jabłonia otrzymawszy wymówkę od swej władzy, że nie dość gorliwie naciska, tłumaczył się przed swoją władzą, że obecność właściciela Jabłonia, Kazimierza Łubieńskiego, paraliżuje starania kleru prawosławnego. Wtenczas Hurko zabronił Łubieńskiemu mieszkać nie tylko w jego majątku, ale w całej gubernii siedleckiej. Banita zwrócił się do mnie z prośbą o instancję u władz. Nie byłem nigdy z gen. Hurką w jakichś bliższych stosunkach znajomości, więc niewiele sobie obiecując po tej interwencji, spróbowałem. Zaszedłem najpierw do gubernatora siedleckiego, Moskwina, namawiając go do cofnięcia wniosku urzędowego. Moskwin przyznał, że Łubieński nie zasługuje na tak surową karę i dodał: „Z żądaniem tym wystąpili popi. Pan wie, co oni te-

raz znaczą, dla Łubieńskiego nie mogę ja karku kręcić. Jeśli jednak gen.-gubernator nie zatwierdzi mego wniosku, nie tylko nie obrażę się, ale będę mu wdzięczny."

Pojechałem do Warszawy i tłomaczyłem Hurce, że jako bliski sąsiad znam działalność Łubieńskiego lepiej niż kto inny, proszę więc o przysłanie na miejsce zaufanego urzędnika dla sprawdzenia wiarogodności donosu. Hurko odparł, że nie ma powodu powątpiewać i nie ma prawa nie ufać gubernatorowi siedleckiemu. W takim razie — wyjaśniałem — wszelka wyższa władza okazałaby się niepotrzebną, bo wychodząc z tej zasady, równie dobrze naczelnik powiatu może ufać zapewnieniom starszego strażnika, a strażnik wystarczy dla administracji krajem.

Na to Hurko wykręcił się. Porównanie moje uznał za niesłuszne, gdyż wszystkie zacytowane przeze mnie urzędy są władzami dla swych podwładnych, on zaś nie jest władzą dla gubernatorów, lecz tylko towarzyszem (?), obowiązanym wierzyć ich przedstawieniom. Po dłuższej dyskusji powtórzyłem wreszcie Hurce opinię Moskwina. Uśmiechnął się, nazywając to objawem zbyt wielkiej szczerości. Rezultat rozmowy był ostatecznie taki, że kazał sobie przedstawić sprawę powtórnie, zaznaczając wobec naczelnika kancelarii, że życzy sobie dogodzić księciu Czetwertyńskiemu. Naczelnik kancelarii dogodził mi w ten sposób, że przedstawił sprawę w jeszcze gorszym świetle! Łubieński musiał wyjechać do Warszawy przymusowo, a majątek swój Jabłoń sprzedał Augustowi Zamoyskiemu, który nabył go dla syna Tomasza, ciotecznego brata mojej żony.

Nie wiem czy Hurko ulegał wpływom swej żony, lecz jeśli tak było, to wpływ ten był jak najgorszy. Maria Andrejewna nienawidziła polskości całą duszą, a przy tym odznaczała się tak potwornymi formami towarzyskimi, że tomy całe możnaby pisać o ordynarności pani generał-gubernatorowej. Ktoby chciał

bliżej poznać te stosunki, temu radzę odczytać książkę Antoniego Zaleskiego: „Towarzystwo Warszawskie", wydaną w Warszawie w r. 1886-7 pod pseudonimem „baronowej X. Y. Z." Tam znaleźć można szczegółowy i bardzo prawdziwy obraz ówczesnej naszej rzeczywistości.

W roku 1880 zostałem wybrany na prezesa w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, w r. 1884 powołany zostałem na radcę Dyrekcji Głównej. W owej epoce, po skasowaniu wszystkich instytucyj krajowych, po usunięciu prawie wszystkich urzędników Polaków, jedno Towarzystwo Kredytowe Ziemskie zachowało charakter niby reprezentacji krajowej, zostało jedynym polem dla pracy społecznej. Nawet w latach późniejszych, w epoce Dumy i Rady Państwa, gdzie Polacy zyskali możność obrony swych praw, T. K. Z. nie utraciło swego bardzo poważnego stanowiska w naszym ustroju społeczno-narodowym. Wchodząc do Dyrekcji Głównej, w której reprezentantem rządu był prezes baron Mengden, miałem następujących kolegów: z gub. warszawskiej: Łuszczewski i Plebański, z lubelskiej: Grodzicki i ks. Woroniecki, z Radomskiej: Łuniewski i Reklewski, z kieleckiej: Godlewski i Dobiecki, z kaliskiej: Kowalski i Wierzchlejski, z piotrkowskiej: Siemieński i Borakowski, z łomżyńskiej: Szczuka i Przyłubski, z płockiej: Sokołowski, Choromański, z suwalskiej: Walewski i Paszkiewicz, z siedleckiej: Szaniawski. W ciągu sześciu lat mego urzędowania nastąpiła niejedna zmiana osobowa. Na miejsce Przyłubskiego wszedł Dłużewski, na miejsce Łuszczewskiego Banachiewicz, Wierzchlejskiego Łebkowski.

Prezes T. K. Z. baron Mengden był poprzednio członkiem Komitetu Urządzającego, owej instytucji, która tyle szkód dotkliwych wyrządziła nam po upadku powstania 1863 r. Łatwo się domyśleć, z jakim usposobieniem wchodził do Towarzystwa. Polaków nie lubił z całego serca, charakteru był nieprzyjem-

nego. Nie mogło się np. pomieścić w głowie Mengdena, żeby jakiś szlachcic spod Radomia czy Piotrkowa śmiał prowadzić dyskusję i nie godził się od razu ze zdaniem tajnego radcy i prezesa. Z czasem i to nieznośne poczucie ustąpiło. Przyznać trzeba wszelako Mengdenowi, że do instytucji naszej był przywiązany, bronił jej często, nawet żarliwie przed zachciankami i podstępami ówczesnej reakcji. Stosunki, jakie miał w Petersburgu, wpływy zyskane na poprzednim stanowisku sprawiały, że ze skutecznej jego obrony nieraz odnosiliśmy korzyści. Co do mnie, cieszyłem się niejakimi względami u p. barona i w niejednym zajściu udało mi się nakłonić go do ustępstw.

Tuż przed moim wejściem do dyrekcji głównej podwyższone zostały normy taksacyjne w związku z ogólnym wzrostem cen ziemi. Pociągnęło to za sobą ogromny popyt na pożyczki dodatkowe. Roboty mieliśmy niemało. Całe dnie prawie do późnej nocy spędzałem w biurze T. K. Z. na przeglądaniu dowodów taksowych i przygotowywałem referaty na sesje.

W roku 1888, dnia 29 sierpnia, skończył w Milanowie życie mój ojciec Kalikst b. oficer ułanów 1830/31 roku. Bawiłem wówczas na kadencji w Warszawie, ale zdążyłem jeszcze wrócić przed końcem Jego życia i otrzymać ostatnie błogosławieństwo. Pogrzeb odbył się w Warszawie, dokąd przewieźliśmy zwłoki dla złożenia ich w grobie rodzinnym.

*

Wspomnieć na koniec pragnę o dziejach naszych unitów w Gęsi po wydaniu Ukazu Tolerancyjnego z r. 1905. Przyjęty on został wśród zainteresowanych z uczuciem ulgi. I wzięli się do pracy. Ze zrozumiałą gorliwością rozpoczęli — z wyjątkiem paru rodzin — starania o przepisanie ich tak w księgach parafialnych, jak w księgach ludności w gminie na wyznawców wiary katolickiej. Powzięto samorzutnie myśl utworzenia własnej parafii i wybudowanie ko-

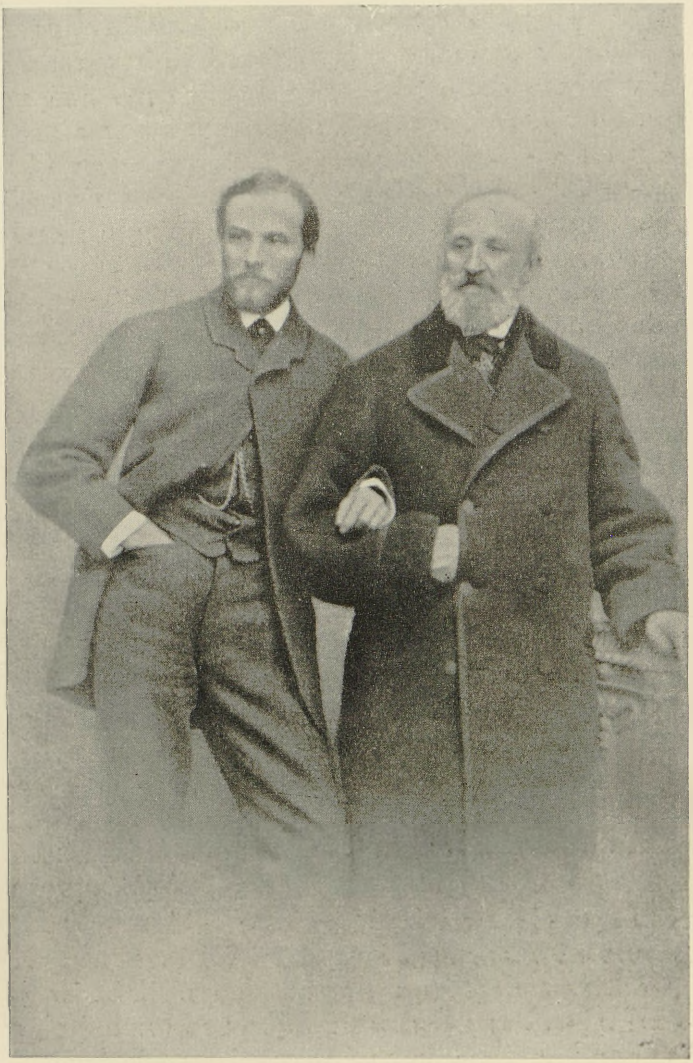
ścioła. Zanim się ten projekt budowy urzeczywistni i pokonane będą wszystkie trudności i formalności, postanowili wystawić kaplicę tymczasową. W ciągu trzech tygodni, bez niczyjej pomocy, wznieśli dużą szopę na ten cel, tak gorące było ich pragnienie posiadania własnego domu Bożego. Już był biskup lubelski naznaczył księdza, już zbliżał się termin poświęcenia kaplicy, gdy kurs się odmienił. Znany cyrkularz Bułygina, postawa Dumy, zakusy cerkwi prawosławnej ze słynnym biskupem Eulogiuszem na czele, przeszkodziły i zniweczyły znaczenie Ukazu Tolerancyjnego. Więc i Gęsianie napróżno zabiegali o pozwolenie na budowę swego kościoła.

Biedacy niczym niezrażeni jeździli z Siedlec do Warszawy i z powrotem, wystawali godzinami we wszystkich kancelariach, ale ich sprawa przez dwa lata nie posunęła się krokiem naprzód. Gdy nagle w r. 1909 spada na nich jak grom telegraficzny rozkaz ministra spraw wewnętrznych Stołypina, który żąda od biskupa, aby natychmiast usunął księdza z Gęsi i zamknął kaplicę pod pretekstem, że była wybudowana bez pozwolenia. Rzeczywiście, polecenia piśmiennego nie było, gdyż władze miejscowe, nie bardzo wiedząc jak postępować w pierwszych czasach wobec Ukazu Tolerancyjnego, ustnie tylko zezwoliły na zwózkę potrzebnych materiałów. Niezawodnie jakiś donos zauszników Eulogiusza musiał się tu przysłużyć.

Łatwo sobie wyobrazić desperację tych ludzi! Przez lat trzydzieści znosili męczarnie i katusze, już się widzieli u celu swych upartych wysiłków, gdy nagle jeden ukaz odjął im wszelką nadzieję. Na ostatnim nabożeństwie przed zamknięciem kaplicy zdawało się — jak mówił jeden z miejscowych włościan — że „od płaczów i jęków ludzkich kaplica się obali"! Użyliśmy wówczas wszelkich możliwych dróg interwencji. Żona moja zasięgała opinii mecenasa Fr. Nowodworskiego, który nie szczędził rad i wskazó-

wek, następnie poseł Lubomir Dymsza w ciągu lat 1910 i 1911 robił starania w Petersburgu i był z tego powodu w ciągłej korespondencji z moją żoną. Ale czas był najgorszy, nadeszły wiadomości o dojrzewającym projekcie utworzenia gubernii chełmskiej. Granica nowej gubernii, odrywający tak znaczny kawał ziemi od dawnego Królestwa Polskiego, biec miała między Milanowem a Gęsią o parę wiorstw od naszej siedziby.

W całej naszej okolicy dało się odczuć ogólne przygnębienie. Zrozumiano powszechnie, że rząd zdąża do bezwzględnego zniszczenia polskości i katolicyzmu. Tymczasem nadchodzi niespodziewanie depesza z Petersburga od posła Dymszy do mojej żony z prośbą o natychmiastowy przyjazd. Z małą nadzieją pomyślnego skutku, ale aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, wybrała się żona zaraz w drogę. Chwila była jednak szczęśliwie wybrana. Wspólnym staraniom posła Dymszy i moich przyjaciół w Petersburgu (z ks. Biełosielskim na czele) udało się uzyskać w tej sprawie audiencję u Stołypina. Obiecał on wówczas mej żonie, że dopiero po zasięgnięciu opinii gen. gubernatora warszawskiego będzie mógł cofnąć rozkaz zamknięcia kaplicy i zezwolić na budowę kościoła. Gdy po mojej interwencji na Zamku Warszawskim gen. Skałon wydał opinię przychylną, nadeszło w kilka miesięcy formalne pozwolenie. Mój syn Włodzimierz, jako właściciel folwarku Gęś, udzielił natychmiast chętnie gruntu potrzebnego pod budowę kościoła, probostwa oraz na cmentarz. Prace poszły w niezwyczajnym tempie. Materiały były już w znacznej części nagromadzone, nowy proboszcz, ks. Nowicki, okazał dużo zapobiegliwości i energii, parafianie zaś pracowali tak gorliwie, że bywało, zrzucali nawet zboże z wozu w czasie żniw, aby prędzej dowieść cement czy dachówkę ze stacji kolejowej. I wreszcie na jesieni 1913 roku stanął śliczny kościół,



WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI Z OJCEM KALIKSTEM,
PO POWROCIE Z WYGNANIA

jako pomnik wytrwałości niezłomnego ludu polskiego, który nie dał się ugiąć i pozbawić wiary ojców.

W roku 1913 upłynęło lat pięćdziesiąt od powstania styczniowego a tym samym i mego pierwszego wystąpienia na szersze pole działalności w kraju. Grono życzliwych mi osób umyśliło urządzić w Resursie Kupieckiej ucztę na moją cześć pod pretekstem upamiętnienia czterdziestej piątej rocznicy mego w niej członkostwa. Długo opierałem się temu projektowi. Raz, że nie zdziałałem nic takiego, co by na tego rodzaju uznanie zasługiwało, powtóre obawiałem się następstw przykrych dla samej Resursy za urządzenie tak „groźnego" obchodu. W końcu musiałem jednak ulec namowom. Uczta odbyła się, zostawiając mi najdroższe wspomnienie. W uroczystości zechcieli przyjąć udział przedstawiciele różnych instytucyj do których należałem, a więc Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Towarzystwa Dobroczynności, Wzajemnego Kredytu itd. Przybyło grono moich przyjaciół osobistych, wygłoszono wiele wzruszających przemówień oraz wręczono mi niezasłużenie dla mnie pochlebny adres miasta Pragi, osobiście przywieziony przez pp. Hovorkę i Hlavaczka z setkami podpisów.

Na tym kończę te moje wspomnienia. Spisałem to co widziałem i przeżyłem w latach mej młodości, do chwili powrotu z wygnania. Wątpię, abym mógł doczekać końca tej strasznej wojny. Jakikolwiek będzie jej koniec i jakieby zmiany w naszym położeniu narodowym nastąpiły — moja działalność w szerszym pojęciu tego słowa należy już do bezpowrotnej przeszłości. Dochodząc do lat osiemdziesięciu, nie mogę snuć żadnych planów na przyszłość, pozostaje mi tylko modlić się do Najwyższego o szczęście dla Ukochanej Ojczyzny i błogosławieństwo dla mych drogich dzieci i wnuków.

Milanów, 1917.

KONIEC

PRZYPISY

Do str. 83: Generał Ludwik Kropiński...

Obszerną literaturę krytyczną i pamiętnikarską podaje G. Korbut w swoim *Obrazie Literatury Polskiej*, t. III. s. v., oraz H. Galle w *Wieku XIX*, t. II, str. 97.

Do str. 84: Ojciec mój, Kalikst...

O udziale Kaliksta ks. Czetwertyńskiego w powstaniu listopadowym zob. Reitzenheim J., *Udział 5 pułku ułanów wojsk polskich podczas kampanji r. 1931*, Lwów 1878, str. 5; Gawroński Franciszek pułk., *Pamiętnik roku 1830 31*, Kraków, Akad. Um., 1916, str. 484; Ogólny obraz działań pułku w pamiętnikach gen. Ign. Kruszewskiego, Warszawa 1930, str. 120—167.

Do str. 84: ...Borys Czetwertyński...

Zob. o nim: Szumski St., *W walkach i więzieniach*, Wilno 1931, str. 190; Jezierski W., *Z życia dworów i zamków na Kresach*, Poznań 1924, str. 33.

Tego marszałka pow. jampolskiego należy odróżnić od Borysa Cz. ober-koniuszego dworu ros. (str. 108), ożenionego z Nadieżą Gagarin. Por. o nim: Mościcki H. w Objaśnieniach pamiętników St. Szumskiego, j. w., str. 201.

Do str. 84: Matka moja w trzy lata po wyjściu za mąż, zmarła...

Sylwetkę matki autora oraz bliższe informacje o Woronczynie w tych czasach podaje Henryk Cieszkowski w *Gazecie Codziennej*, Warszawa, 1855, nr 187 i nast. oraz w *Notatkach z mojego życia*, Poznań 1873.

Do str. 86: Tödwen był w pierwszej trójce w szarży na Sommo-Sierrę...

W wojsku napoleońskim służyło dwóch braci Tödwenów, Tadeusz i Wincenty, którego ma autor na myśli. Wstąpił on do 1 pułku szwoleżerów gwardii w r. 1897, porucznikiem mianowany w marcu 1809, odznaczył się w bitwie pod Wagram, ranny pod Sommo-Sierrą 30 października 1808.

Por. *Źródła do historji pułku polskiego lekkokonnego gwardji Napoleona I*, Warszawa 1899, str. 605.

Do str. 87: Gen. Błędowski zmarł w Krzeszowicach...

Generał brygady Aleksander Błędowski ranny pod Wawrem kulą armatnią w nogę, dostał się do niewoli rosyjskiej, z której wypuścił go

po kilku dniach gen. Geismar. Po amputacji nogi umarł wkrótce potem na cholerę.

Do str. 87: Romuald Bystry, przyjaciel T. Czackiego, działacz oświatowy wołyński, zasłużony dla liceum w Krzemieńcu...

Por. *Polski Słownik Biograficzny* III. 173.

Generał Kropiński napisał interesujący i barwny list poetycki do Romualda Bystrego, gdy ten, jako serdeczny przyjaciel, „napróżno do dalszego pisania wzbudzał chętkę" w autorze *Julji i Adolfa.*

Do str. 87: Stryj mego ojca, Dymitr, prezes Komisji Edukacji Narodowej na Wołyniu...

W istocie, według badań najnowszych, D. Cz. (1777—1859), jako jeden z bliskich współpracowników Czackiego, powołany został przez ks. Ad. Czartoryskiego w zimie 1813 r. na wizytatora gub. wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej po Czackim. (*P. S. B.* IV, 360). Urodę jego córki, zamężnej Wincentowej Tyszkiewiczowej, opiewali nieraz poeci Krzemieńca. Zob. nadto wzmianki w *Pamiętnikach* Karola Kaczkowskiego, Detiuka-Andrzejowskiego, G. Puzyniny, M. Budzyńskiego (I, 107) oraz Fr. Kowalskiego, chociaż tam błędnie nazwany Pawłem Cz.

Nieco szczegółów z życia Dymitra Cz. oraz listy do E. Piotrowskiego w sprawach publicznych (z Krzemieńca, 1824—25, z Neapolu, 1818) cytuje w wyjątkach Helleniusz-Iwanowski we *Wspomnieniach lat minionych,* Kraków 1876, str. 207—211.

Gdy Nowosilcow nakazał w r. 1825 zabezpieczyć „wszystkie sumy, należące do funduszów edukacyjnych sposobem rosyjskim" — pisał D. Cz. do Piotrowskiego — „wykonanie tego wielką uciążliwość robi... przedsiębierzemy środki, które... dla obywateli przyniosą ulgę... A kiedy mówię o dobru współbraci, nie boję się, aby się tem zastraszała gorliwość Twoja... wzywam cię, abyś przez rozkazy dane sądom powiatowym, zamiar ten dla ulżenia obywateli potrzebny... do skutku prędszego doprowadzić raczył".

Do str. 88: ...przyjeżdżała do Woronczyna Ewa Felińska...

Ewa z Wendorffów Felińska (1793—1859) matka arcybiskupa, autorka cennych pamiętników i lichych powieści, zesłana w r. 1839 za udział w sprzysiężeniu Konarskiego do Berezowa i Saratowa, tam rozpoczęła działalność literacką, po powrocie spędziła ostatnie lata w Wojutynie na Wołyniu.

Do str. 88: ...po raz pierwszy widziałem babkę moją Idalję...

Idalia z Grocholskich Ludwikowa Czetwertyńska nazywana „drugą matką Chopina", gdyż serdecznie opiekowała się Fryckiem, który kolegował około r. 1824 z jej synami, osobliwie Borysem. „Ona to pierwsza — wspomina Fr. Liszt — przeczuła w Chopinie poetę... osoba wysoce w muzyce wykształcona... W salonie ks. Ludwikowej spotykał młodziutki Chopin wiele znakomitych osób, za pośrednictwem jej był przedsta-

wiony księżnie Łowickiej. (Liszt Fr., *Chopin*, str. 91 sq; por. nadto: Karłowicz M., *Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie*, Warszawa 1904, str. 355; *Listy Fr. Chopina do J. Białobłockiego*, Warszawa 1926, str. 387.

Do str. 90: ...któż wtedy nie słyszał o pani Ksawerze?...

Ksawera z Brzostowskich Grocholska zasłynęła jako zesłanka i jako organizatorka pomocy dla zesłańców w kraju. Ukazem Aleksandra II zesłana za to została na wiosnę r. 1854 do Jarosławia i przebyła tam 16 miesięcy, wraz z córką Marią, późniejszą Witoldową Czartoryską oraz siostrą męża Elizą Brzozowską. W r. 1894 ogłoszono w Krakowie jej pamiętnik. Por. Maliszewski E., *Bibliografja pamiętników polskich*, Warszawa 1928 nr 2210 i 2251; Janik M., *Dzieje Polaków na Syberji*, Kraków 1928, str. 267 i 285.

Do str. 94: Wincenty Dmochowski, malarz...

Ceniony, przez współczesnych nawet przesadnie, pejzażysta wileńszczyzny pracował w tym czasie w Wilnie jako dekorator teatralny i malarz krajobrazów. Zmarł w r. 1862. Zob. *Polski Słownik Biograficzny*, IV.

Do str. 96: Zdanowicz Aleksander, znany z wydanych przez siebie podręczników...

Ten wychowanek uniwersytetu wileńskiego z jego świetnych czasów, wstąpił potem do służby rządowej rosyjskiej, w Instytucie Szlacheckim pracował przez cały czas jego istnienia. Obok współpracy. w redakcji *Słownika Wileńskiego* ogłosił obszerną, 5-tomową *Historję Literatury Polskiej*, kompilację wydaną i uzupełnioną przez L. Sowińskiego. Podręczników szkolnych wydał w latach 1829—61 około dwudziestu, były tam: dykcionarz francuski, elementarz, czytanki historyczne na różne stopnie nauczania, tablice koniugacji łacińskiej i i.

Do str. 96: Przybylski Wacław...

Wydalony w r. 1863 z Wilna, udał się do Warszawy, gdzie rozwinął niezwykłą energię na wielu placówkach tajnej pracy. Przyczynił się wielce do rozwoju wydawnictw Rządu Narodowego, jako naczelnik powstańczego biura prasowego. Zmarł na wygnaniu w Bukareszcie. Por. Gieysztor I, 271 i i.

Do str. 97: Gen. gubernator Bibikow...

Inwalida pozbawiony ręki pod Borodinem, odznaczał się Bibikow ogromnymi ambicjami, uzyskał u Mikołaja I władzę dyskrecionalną, przed którą drżały trzy gubernie: kijowska, podolska i wołyńska, podlegające jego rządom. W r. 1852 powołano go na kierownika ministerium spraw wewn. w Petersburgu; z wstąpieniem na tron Aleksandra II wypadł z łaski i usunął się z polityki. Był tak pewny swoich wpływów na społeczeństwo polskie, iż w rozmowie z J. Karwickim zapewniał, że gdyby on pozostał na stanowisku w r. 1863, nie doszłoby tam do ru-

chu powstańczego w ogóle (*Wspomnienia Wołyńskie*, Lwów 1897, str. 225—28).

Do str. 99: ...bywałem u ks. Tadeuszowej Ogińskiej, primo voto Borewiczowej...

W rękopisie autora mowa o „Gabryelowej Ogińskiej". Widoczna omyłka pamięci i pomieszanie Kunegundy z Gedroyciów Gabrielowej Ogińskiej z Tadeuszową Ogińską, z domu bar. Rönn, primo voto Borewiczową. Por. Morawski St., *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, Warszawa 1924, str. 476; Puzynina, *W Wilnie i w dworkach litewskich*, Wilno 1928, str. 272.

Do str. 99: ...i Pusłowska, której syn został później w 1863 roku rozstrzelany...

Pusłowski Adam, rozstrzelany w Nowogródku 26 czerwca 1863 roku, jako dowódca oddziału powstańczego. W aktach Tymczasowego Audytoriatu Polowego (12/63, 100) zapisano: „Pusłowski, szlachcic, lat 20, słuchacz uniwersytetu petersburskiego, gdzie studiował około 2 lat, a następnie przez czas krótki w krakowskim uniwersytecie. Majątku osobistego, nieruchomego nie posiada. Matka jego Ewelina z Obuchowiczów właścicielka majątku Sienno, w którym liczono 437 dusz rewiz. włościan i 2064 dziesięcin. Na śledztwie tłumaczył się, że go przemocą wzięto do powstania". *Rok 1863. Wyroki śmierci*, Wilno 1923 (wyd. W. Studnicki) str. 39, 93.

Do str. 100: ...(Księżna Zubow), o której wspomina Mickiewicz w Trzeciej Części „Dziadów"...

Wzmianka ta świadczy, jak dokładnie znał wychowanek Instytutu wileńskiego utwory Mickiewicza. Bo trzeba dobrze znać 3 część *Dziadów*, aby pamiętać w późnej starości, że w scenie VIII mówi senator:

Diable! quelle corvée! — przecież po obiedzie
La princesse nas zwiodła i — dziś nie przyjedzie,

i że te słowa odnoszą się do „Kochanki tych opilców".

O słynnej rodzinie *Walentynowiczów*, do której dziejów autor dorzuca kilka nieznanych dotąd szczegółów anegdotycznych, wiele pisali nasi pamiętnikarze. Warto odczytać dotyczące ustępy u Stanisława Morawskiego, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie* (Warszawa, Biblioteka Polska, 1924) oraz u Puzyniny z Güntherów Gabrieli: *W Wilnie i dworach litewskich 1815—43* (Wilno 1928).

Do str. 101: W r. 1855 straciłem babkę, generałową Kropińską.

Wspomnienie pośmiertne umieścił H. Cieszkowski w *Gazecie Codziennej*, Warszawa 1855 nr 155 z dnia 26 czerwca.

Do str. 103: ...z córką Janiną, którą po raz pierwszy spotkałem.

O Janinie z Czetwertyńskich Jełowickiej (1840—1865) zob. St. Wasylewski, *Tryumfy księżniczki Janiny*, „Tęcza", styczeń 1938, oraz ży-

ciorys w *P. S. B.* (s. v. Jełowicka) nadto: Sowiński A., *Słownik Muzyków Polskich* (s. v.).

Do str. 104: ...ks. Konstanty Cz. miał w Druskiennikach swój dom...

Pisze o tym domu Kraszewski J. I.: „Naprzeciw Niemna na wzgórzu wznoszą się jedne z najporządniejszych domów: Czetwertyńskiego, Siewickiego i paradny, może najpiękniejszy tutaj, dom sędziego Hłaski"... *Druskieniki*, Wilno, Zawadzki, 1848 str. 36.

Dr Jan Pilecki (1821—1878) absolwent wileńskiej Akademii, przez lat 37 pracował nad podźwignięciem Druskienik. „Wszędzie tu widać jego czynną rękę, poradę jego głowy, natchnienie jego serca" — pisał o Pileckim Wł. Syrokomla w r. 1859.

Do str. 106: Wyjechałem z Teodorem Cieszkowskim... z rozmaitych względów nie był to szczególny wybór.

Autor, który zasadniczo o nikim złego słowa nie powie, chce przez to wyrazić, że Cieszkowski był znanym w kołach młodzieży oszustem i nabieraczem, którego postępki niejednokrotnie piętnował sąd koleżeński. Zobacz o nim: Lasocki, *Wspomnienia* (Tom I, str. 205—206).

Do str. 107: ...awantura z Brinckenem...

Student (V kursu) zaatakowany przez psa pułkownika nazywał się Jarocki. Szczegółowy opis zajścia i następstw podaje W. Lasocki (Tom I, str. 213 i nast.).

Do str. 107: Kolega nasz Tadeusz Komar opisał całe to zajście...

Utwory T. Komara, który był rodem z Augustowskiego, zebrane przez Lasockiego i ogłoszone w dodatkach do „Wspomnień" odznaczają się niewątpliwie talentem, pełne żaru ideowego, choć zbyt rozwlekłe w formie. Największym powodzeniem wśród kolegów cieszył się patetyczny i wielosłowy utwór „Wczoraj i dziś", oraz gromko wymowna „Uczta szaleńców". Człowieka i poetę zgubił jednak ostry alkoholizm. W r. 1865 ogłosił Komar w Bendlikonie *Dumy i pieśni Ludomira*. Zmarł w Szwajcarii w r. 1871.

Do str. 107: Pod jesień przyjechał car Aleksander II, gorąco witany...

We wspomnieniach ówczesnego gimnaziasty, Fr. Rawity Gawrońskiego zachowały się następujące szczegóły: „Staliśmy w szeregu prawie ze dwie godziny. Nareszcie na dole dał się słyszeć szmer jakiś, potem krzyki: ura! ura! A potem nagle stanął przed nami błyszczący i różnobarwny orszak wojskowy. Na czele jego mężczyzna słuszny, kształtny, przystojny, o ciemnych włosach, dużych wąsach. Był to Aleksander II. Głosem donośnym odezwał się: zdrastwujtie dieti! Myśmy już byli wyćwiczeni w odpowiedzi: Zdrawija żełajem W. J. Wieliczestwo! Uczeń... wysunął się naprzód o parę kroków i zdał raport o stanie gimnazjum. Po-

tem cesarz zwrócił się do naczalstwa i parę słów powiedział. Trwało to wszystko krótką chwilę, poczem natychmiast z całą asystą przeszedł do wielkiej sali, gdzie byli zebrani akademicy. Po długiej ciszy usłyszeliśmy krzyk — car się gniewał. Słychać było głos jego podniesiony wśród ciszy panującej w sali. Co chwila dolatywało do nas kilka wyrazów: ...czto eto? ...kak wy śmieli... ja was wsiech!!!... Później dopiero dowiedziałem się, że car gniewał się na studentów za awanturę zrobioną Brinckenowi... R. Oryszowski (Fr. R. Gawroński), *Czasy szkolne w Kijowie 1854—1862*, Lwów, H. Altenberg, 1901, str. 68 i nast.

Do str. 108: Aleksander II odpowiedział po polsku: „dziękuję panu".

Szczegół ten, jako opowiedziany mu przez autora pamiętników w klubie notuje H. Korwin-Milewski w swych *Siedemdziesięciu latach wspomnień*, Poznań 1929, str. 33.

Do str. 109: ...między profesorami był i Fonberg.

Kolega autora W. Lasocki, wyraża się o Fonbergu w sposób dodatni: „Polak, przeniesiony do Kijowa z Wilna, ceniony i szanowany przez nas wszystkich... Wykłady Fonberga były systematyczne, jasne, ożywione doświadczeniami".

Do str. 109: Przed moją bytnością w Kijowie przejeżdżał Liszt.

Być może, że Czetwertyński widział Liszta będąc malcem w Woronczynie, ale tego nie zapamiętał. Pisze bowiem Fr. Liszt w swej książce o Chopinie: „Autor *Ludgardy* oraz *Adolfa i Julji*, którego miałem sposobność poznać w czasie pobytu mego na Wołyniu (1843), starzec już na onczas przeszło osiemdziesięcioletni, kazał sobie, stosownie do zwyczaju zrobić trumnę, która też już od lat trzydziestu stała przy wejściu do jego pokoju". (*Fr. Chopin*, przekład Fel. Faleńskiego, Warszawa 1875, str. 78).

Do str. 109: Apolinary Kątski, który nas studentów tak rozentuzjazmował...

Popularność Apolinarego Kątskiego, najmłodszego z trzech braci, słynnego w całej Europie skrzypka (1825—1879), na kontraktach Kijowskich była istotnie niezwykła. Dla przykładu podajemy relację Aleksandra Grozy z koncertu na kontraktach 1855 roku: „W niedzielę mieliśmy koncert p. Apolinarego Kątskiego. Sala Uniwersytetu słuchaczami była przepełniona, powitano wielkiego artystę najserdeczniejszymi oklaskami. I cóż mam mówić o jego grze, o uniesieniach publiczności? Prześlicznie! doskonale! cudownie! oto wykrzykniki powtarzane przy ciągłym wołaniu brawo i oklaskach niezmiernych". O przyjęciu uroczystym Ap. Kątskiego przez młodzież w r. 1857, o wieczorze z udziałem dwóch wieszczów Apolla Korzeniowskiego (ojca Conrada) i Tadeusza Komara pisze obszernie W. Lasocki (I. 190).

Do str. 110: Graliśmy „Zemstę“ Fredry...

Tu pamięć zawiodła trochę autora, Lasocki zapamiętał więcej. Grał on nie Papkina lecz Dyndalskiego. Rejentem był Tadeusz Orzechowski, reżyser teatru studenckiego, w którym wystawiono również „Cudzoziemszczyznę“ (Lasocki, I, str. 237).

Do str. 112: Juliana Sabińskiego wtedy poznałem.

O Julianie Sabińskim zesłanym za udział w spisku Konarskiego, do Irkucka i Usola jeszcze w r. 1839, pisze najobszerniej na podstawie rękopisu jego wartościowych a nie wydanych dotąd pamiętników dr Michał Janik w książce: *Polacy na Syberji*, Kraków 1928, str. 197—206.

Do str. 114: ...bankier Halperyn z Berdyczowa...

Jest to ten sam dom bankowy, do którego czek miał Balzac, jadący w r. 1850 do Wierzchowni, i który prowadził interesy p. Hańskiej. Zob. *Tygodnik Ilustrowany*, 1937 nr 39.

Do str. 115: ...mój kolega z uniwersytetu, Górski.

Kamieńczanin Maurycy Górski, ukończywszy studia lekarskie w Kijowie, osiadł w Kamieńcu jako lekarz praktyczny. Zmarł w młodym wieku na chorobę nerwową w Kowanówku w Wielkopolsce w r. 1861. Por. Kośmiński St. *Słownik lekarzów*, Warszawa 1888.

Do str. 116: W Dreźnie mieszkali Gustawowie Olizarowie.

G. Olizar kochał się równocześnie z Puszkinem w Marii Rajewskiej, która była modelem Tatiany z „Onegina“, udział w spisku dekabrystów odcierpiał w twierdzy piotropawłowskiej. Rekuzę dostał od ojca panny z wyraźnym zaznaczeniem, że za Polaka córki nie wyda. Wyjechał potem na Krym, gdzie zakupił posiadłość na stoku Ajudahu, upamiętnionego w *Sonetach Krymskich* Mickiewicza, który do Olizara zwraca się, jako do „młodego poety“. Zostawił interesujące *Pamiętniki* (Lwów, 1892). Zob. nadto: St. Pigoń, *Poeta z pod Ajudahu*, „Tęcza“ 1930; St. Wasylewski, *Pod urokiem zaświatów* (Poznań 1923).

O kolonii polskiej w Dreźnie z tej epoki piszą: Dębicki L., *Portrety i sylwetki z 19 stulecia*, s. II, t. I, str. 119—172, Kraków 1906; Walewska z Przeździeckich Maria, *Polacy w Paryżu, Florencji i Dreznie*, Warszawa 1930, str. 73—83.

Do str. 122: ...cała kolonia polska w Paryżu zaczęła się gorączkować sprawą ks. Adama Czartoryskiego z Wołodkowiczami...

Szczegółowo omawia całą sprawę, która, roznamiętniała wielu z powodu, że dotykała interesów ks. Adama, T. Bobrowski w swych *Pamiętnikach*, t. II, str. 376—394, Lwów 1900. Jednym z arbitrów ze strony Wołodkowiczów był August ks. Czetwertyński.

Do str. 124: ...ks. Jełowicki nadzwyczaj despotycznego usposobienia...

Ten podolanin zamienił szlify oficerskie na habit zakonny Zmartwychwstańców, których był współzałożycielem i przeorem. Jako księ-

garz i drukarz odznaczał się zmysłem handlowym, z pierwszego wydania „Pana Tadeusza“ (1834) nie odniósł jednak spodziewanych zysków materialnych. Jest autorem doskonałego tomu pamiętników, „Moje wspomnienia“, które miały wiele wydań. Jako kaznodzieja należał do najwybitniejszych w swej epoce. Zmarł w r. 1877 w Rzymie. Kazania Jełowickiego na emigracji słynęły z dosadności wyrazu. Mówił np. „Chrystus to jest baranek upieczony na krzyżu, jakby na rożnie, polany sosem krwi swojej, osolony i opieprzony grzechami ludzkimi“. (A. E. Koźmian, *Listy*, IV. 586).

Do str. 126: Poznałem także p. Jules Lacroix, Rzewuską z domu...

A. E. Koźmian pisze 11 listopada 1859: Pani Lacroix chciałaby koniecznie męża do Akademii wprowadzić, bardziej on pewnie wart tego zaszczytu, jak wielu innych kandydatów, a nawet akademików. Jego ostatni dramat *La jeunesse de Louis XI* jest sumiennym a nawet niezwyczajnym utworem... Pani Lacroix najsłodszym głosem i wyrazami, najtkliwszymi wejrzeniami przywabia, głaszcze, pieści wszystkich akademików, jakich tylko uchwycić może“... (III. 406).

Do str. 126: Zaraz po przyjeździe ojciec mój przedstawił mnie Andrzejowi Koźmianowi...

Dnia 9 stycznia 1860 pisze A. E. Koźmian w liście do rodziny: „Wieczorem obwoziłem i przedstawiałem u pani Branickiej i u ks. Eustachowej (Sapieżyny) ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, wnuka jenerała Krópińskiego.

11 stycznia: Wyrobiłem dla Czetwertyńskiego zaproszenie na wieczór tańcujący do Taschérów, przyjechał po mnie do Wąsowiczów. Na wieczorze był wielki świat i wiele ładnych panien.

19 stycznia: (w Hotelu Lambert) cała rodzina była w całkowitym składzie, a po obiedzie zjechał się cały ród Czetwertyńskich, wszyscy tu przebywający, a jest ich mnogo. Cały salon zapełnił się Światopełkami...“

Por. *Listy A. E. Koźmiana* (1829—1864) tom 1, str. 7—8, 12. Lwów 1896. — W listach tych można znaleźć szczegółowe wiadomości o osobach wspomnianych pokrótce przez autora pamiętników.

Do str. 129: Również spotkałem sławnego spirytystę Dawida Hume...

Zob. o D. Hume St. Wasylewski, *Hrabia Henryk w walce z czarnoksiężnikiem* — w książce *Pod Urokiem Zaświatów*, Poznań 1923.

Do str. 130: Aleksander hr. Potocki przynosił ... lody, zawinięte w papierze...

Syn Szczęsnego Potockiego i Zofii Greczynki, zasłynął w pierwszej połowie ub. stulecia jako pokutnik za winy swego rodu. Przyjaciel trzech wieszczów, darzony przyjaźnią przez Mickiewicza i Słowackiego, który pisze w r. 1843: „chciałbym się z nim zamienić, nie wiem czy na ciało,

czy na duszę"... Słynął z rozmaitych dziwactw, jak spisywanie kobiet olbrzymek, rozdawanie łakoci dzieciom, noszonych w sakwach pod wytartą peleryną itp.

Do str. 131: ...Aleksander Przeździecki...

Znany historyk, autor *Jagiellonek Polskich* próbował za młodu sił w dramacie francuskim. Utworem jego pt. *Sebastien de Portugal* zainteresował się w r. 1836 Wiktor Hugo. Por. R. Przeździecki, *Victor Hugo et la Pologne. La Revue de France*, 15 decembre, 1936.

Do str. 132: Czacki Feliks, synowiec Tadeusza...

Syn Michała, bratanek Tadeusza, wydał pamiętniki swego ojca pt. *Wspomnienia z roku 1788—92* (Poznań, Żupański, 1863). Ur. 1783, zmarły w r. 1862, położył znaczne zasługi na stanowisku prezesa komisji edukacyjnej trzech gubernii od r. 1826, wydobył bowiem poważne sumy należące do funduszu edukacyjnego. Żonaty z Marią Czacką, zmarł bezpotomnie. Wspomniane w tekście dzieło o rewolucji francuskiej nosi tytuł *Etudes historiques sur la revolution francaise de 1789* (Paris 1857), na język polski przełożył je Henryk Cieszkowski i wydał w r. 1862 w Warszawie w trzech tomach.

Ogłoszenie tej książki poprzedziła reklama nieznana dotąd w prasie polskiej. Celem książki miało być nie mniej nie więcej jak otworzyć oczy Francuzom na właściwe znaczenie ich rewolucji, z góry zapewniono, że wypracowanie Czackiego „wzbogaci nie tylko wiedzę, ale i sumienie narodów", autor zaś stanie się zaszczytem umysłowości polskiej. Z tą śmieszną i śmieszącą przesadą rozprawił się m. i. J. Klaczko. Zob. Klaczko Julian, *Pisma polskie w układzie i z objaśnieniami. F. Hoesicka*, Warszawa, 1900, str. 141.

Do str. 137: Tam poznałem Leopoldostwo hr. Starzeńskich...

Leopold Starzeński 1835 + 1901) był ulubionym czasu swego pisarzem scenicznym. W szeregu jego utworów największe powodzenie osiągnęła *Gwiazda Syberji*, sztuka patriotyczno-propagandowa. Starzeński był również zawołanym myśliwym i pisywał wiele na ten temat.

Do str. 137: Przybywszy do Uściługa nad Bug...

Autor pamiętników znajdował się zapewne w grupie, którą opisuje M. Dubiecki: „Na prawym, wołyńskim pobrzeżu Bugowym, w Uściługu, zatrzymały władze tłumy do Horodła dążące. Widziano tam wśród licznych innych Janusza Nowowiejskiego, Kajetana Oskierkę, Eust. Iwanowskiego (Helleniusza), Marcina Tarnowskiego, starego żołnierza kościuszkowskiego, Winc. Piotrowskiego, marszałka pow. łuckiego i i. Znaczna ich część przedarła się za Bug, niektórzy napróżno dłoń wyciągali do braci za głębią Bugową święcących wspomnienia dziejowe... *Z Przeszłości, 1861—62*, Kijów 1916, str. 29.

Do str. 138: ...ogólnie czczony Marcin Tarnowski...

Sędziwy ten żołnierz, który wkrótce zmarł (1862) w 96 roku życia w Krakowie, zaciągnął się jako ochotnik do wojska uchwalonego

przez Sejm Czteroletni. Za Księstwa warsz. sztyftował z własnej szkatuły pułk ułanów (nr XII), i sam go wyćwiczył. Żył w przyjaźni z ks. Józefem. Z wojny 1812 r. wrócił wraz z pułkiem we względnym porządku. Napoleon pochwalił go przed frontem w Możajsku, W. Ks. Konstanty natomiast zganił ostro na placu Saskim. Tarnowski urażony, związał się słowem, że w Warszawie noga jego nie postanie. I słowa dotrzymał. Rezydował przeważnie u siebie w Podbereżcach, koło Równego na Wołyniu. Zob. m. i.: Karwicki J. D., *Z moich wspomnień*, Warszawa 1904, II, str. 251.

Do str. 138: Był to sąd polubowny... w sprawie, o której już zupełnie nie pamiętam...

Wspomniany w tekscie Marcin Zaleski zapamiętał więcej w swych pamiętnikach: „Pierwszą uchwałą na zjeździe powietników u mnie postanowiono, aby w razie zajść procesowych między osiadłą szlachtą powiatu nie szukano wymiaru sprawiedliwości w sądownictwie, lecz bezwarunkowo zapisywano się na polubowny sąd bez apelacji. Strony interesowane miały dowolny wybór arbitrów, wedle własnego uznania, lecz godność superarbitra złożono nieodwołalnie w moje ręce. Taki stan rzeczy wywołał niezadowolenie członków sądowych od korony i panów adwokatów miejscowych, którym niemałe dochody się urywały... W pewnym znaczniejszym interesie pomówiony o stronność, poddałem stanowczo przesądzenie sprawy zebranemu bardzo licznie obywatelstwu różnych powiatów w czasie kontraktów dubieńskich. Spełniając prośbę moją, wybrali oni po dwóch arbitrów, dla mnie hr. Esterhazego i ks. Czetwertyńskiego, a dla strony przeciwnej pp. Miączyńskiego i Podhorodeńskiego. Na superarbitra zaproszono śp. księcia Romana Sanguszkę, a po zbadaniu sprawy otrzymałem tę miłą satysfakcję, iż wyrok mój w zupełności potwierdzony został". (*Wspomnienia Marcina Zaleskiego, 1830—1873*, Lwów 1893, str. 190).

Do str. 139: ...odziedziczył ją po generale Korzeniowskim...

O tym Korzeniowskim pisze pamiętnikarz wołyński Karwicki: „Obszerne dobra na lewym brzegu Słuczy, należały do znanego na Wołyniu bogatego oryginała, który się sam generałem tytułował, a rzeczywiście był tylko dymisjonowanym radcą stanu. Ożeniony z Małyńską, rezydował stale w Kodni pod Żytomierzem, gdzie w pięknym pałacu miał za cel życia przyjmowanie i sute ugaszczanie żytomierskich urzędników..." (Wlast Józef, *Opowiadania historyczne z dziejów okolicy Słuczy i jej dopływów*, Kraków 1897, str. 139). Inne szczegóły o nim znaleźć można u następujących pisarzy: St. Kądzielski, *Wspomnienia wołyńskie*, Poznań 1909, str. 40; Olizar Gustaw, *Pamiętniki*, str. 99 oraz Stecki Tadeusz Jerzy, *Z boru i stepu — Obrazy i pamiątki*, Kraków 1898, str. 321.

Do str. 142: Marszałkiem był Wincenty Korwin-Piotrowski...

Wincenty Korwin-Piotrowski, właściciel Kiwerzec w powiecie łuckim, był ojcem głośnej autorki Gabrieli Śnieżko-Zapolskiej. Oprócz Kiwe-

rzec posiadał Piotrowski Podhajce, utrzymywał mieszkania w Warszawie i Lwowie, gdzie córka jego, pod opieką matki uzupełniała domowe wykształcenie na pensji Walentyny Horoszkiewiczowej, a w roku 1878 wyszła za mąż za Konstantego Śnieżko-Błockiego, porucznika gwardii rosyjskiej.

Do str. 143: Nie pamiętam już w którym miesiącu wszedł mały oddział z Galicji, zdaje mi się Horodyńskiego.

W Galicji formowały się równocześnie trzy oddziały w łącznej sile około 2 500 ludzi. Lewym skrzydłem miał dowodzić J. Miniewski, środkiem gen. Józef Wysocki, prawym skrzydłem Franc. Horodyński. Oddział Horodyńskiego, mający zaatakować Radziwiłłów od strony Krzemieńca dnia 30 czerwca 1863, wyruszył z Olejowa w stronę pobliskiej granicy rosyjskiej. Adam ks. Sapieha zawiadomił marszałków powiatów pogranicznych o mającym nastąpić wkroczeniu i wezwał szlachtę wołyńską, aby była gotowa na ich przyjęcie, dostawiając ochotników. Oddział Horodyńskiego wpadł jednak niebacznie w zasadzkę, uległ rozsypce i zdziesiątkowaniu. Około 200 żołnierzy legło, 90 dostało się do niewoli. Dowódca poległ śmiercią żołnierską, gdy w ogniu starał się sformować oddział na nowo. Por.: Gawroński Fr., *Wyprawa Wołyńska*, Warszawa 1914, str. 18—21 sq.

Szeregowiec oddziału Horodyńskiego, St. Kądzielski, opowiada: „Między godziną 7 a 8 rano zbliżyliśmy się do radziwiłłowskiego przedmieścia, Lewiatyna, i spotkaliśmy pierwszego mieszkańca, a ten na zapytanie pułk. Horodyńskiego, ilu jest Moskali w mieście, odpowiedział, że ich było 250, ale że się wybrali o świcie spiesznie do Dubna. Weszliśmy tedy najspokojniej do miasta, Horodyński ze starszyzną na przedzie. Minąwszy kilkanaście domów, ujrzeliśmy po lewej stronie ulicy ogromny stos próżnych żołnierskich tornistów, lecz ani jednej osoby na ulicy, ani jednej twarzy w oknach domów. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie spostrzegliśmy zwartej ściany Moskali, stojących naprzeciw nas w szyku bojowym, o paręset kroków! Ci przywitali nas gradem kul, salwa ta była zarazem hasłem dla żołnierzy poukrywanych wewnątrz domów. Poczęto nas razić ogniem ze wszystkich stron!... Zaraz po pierwszych strzałach Horodyński zwalił się z konia, nastąpiło zamieszanie i bezładne cofanie się... Co Moskale nie wystrzelali, to zabrali do niewoli, a tylko cząstka ocalała... (St. Kądzielski, *Wspomnienia wołyńskie*, Poznań 1909, str. 59—60).

Wołynianin Józef Dunin-Karwicki pisze o tej akcji: „W kierunku granicy rosyjskiej widać pod samym lasem murowaną karczmę zwaną Klekotówka, położoną tuż nad samym pasem granicznym i pamiętną ze smutnej klęski r. 1863. Tu bowiem 1 lipca 1863 powstańcy z Galicji, pod dowództwem generała Wysockiego, usiłowali wtargnąć na Wołyń. Pod tą zaś karczmą stały kryte powozy kierowników tej szalonej wyprawy. Powstańcy ginęli od kul rosyjskich i tonęli w moczarach otaczających Radziwiłłów od strony przedmieścia Lewiatyn". Karwicki

J. D., *Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.* Warszawa 1901, str. 214.

Do str. 147: W powiecie dubieńskim mieszkał niejaki p. Bóbr...

Marcin Zaleski tak przedstawia ten wypadek: „Był w powiecie dubieńskim podupadły obywatel Bóbr. Niezły człowiek z gruntu, lecz przewrócona głowa i niesłychanie gwałtowny a patriota zagorzały. Takie usposobienia narażały go często na niemałe przykrości. Był jednak jak gospodarz dobry i wypłacał się najakuratniej. Kochał mnie stąd a niejednokrotnie powtarzał, iż „za marszałka poszedłbym w ogień". Otóż po wywiezieniu moim, ubzdrzyło się nieszczęsnemu, że miejscowy sędzia Hołubowski, rzeczywiście zły i nienawistny nam Małorosjanin, donosami swoimi był głównym sprawcą wygnania mojego. W wyegzaltowanym oburzeniu zaprzysiągł mu zemstę, a nie zwierzając się z szalonym zamysłem nikomu, przybył do Dubna, kupił toporek w sklepie żelaznym, i wśród białego dnia, wracającego z sądu Hołubowskiego, rozpłataniem z tyłu głowy trupem położył, a sam najspokojniej przez nikogo nie dostrzeżony na pustej ulicy, odszedł do zajazdu... Kupiony toporek wykrył przestępcę, a gdy go aresztowano, wyznał wszystko najotwarciej, dodając, że zamiarem jego było zgładzić w ten sam sposób sprawnika i oficera żandarmerii... Doraźna komisja rozesłała kibitki na wszystkie strony i niemal cały powiat zwieziono do Dubna na indagację. Nieszczęście chciało, że przy niektórych rewizjach znaleziono w niektórych domach kompromitujące w obliczu rządu pisemka. Po nitce do kłębka, wykryto niby całą organizację polityczną, która w rzeczywistości ograniczała się tylko do czczych tytułów wojennych naczelników, komisarzy, kurierów i tym podobnych godnościach, przez tajemnych wysłańców nadawanych a do żadnej czynności przy miejscowych warunkach na serio nie obowiązujących.

Wspólnictwa z biednym Bobrem oczywiście nie zdołano wykryć żadnego, niemniej jednak dwudziestu kilku obywateli powiatu, przeważnie młodzieży skazano do ciężkich robót lub na osiedlenie w Sybirze.

Nieszczęsny Bóbr skazany został na rozstrzelanie. Do ostatniej chwili zachował niezwykłą krew zimną i spokój... przy wyjściu z odwachu wsiadając do bryczki, która w asystencji księdza na plac egzekucji zawieźć go miała, zapomniał kalosze, a że było błoto, wrócił nazad, mówiąc, że łatwo kataru nabawić się może. W drodze ciągle rozmawiał żartobliwie z półżywym od wzruszenia kanonikiem Szumkowskim, proboszczem parafii. Na miejscu zaś prosił by mu oczu nie zawiązywano, a wyrzuciwszy w górę czapkę, krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!" — i przeszyty 12 kulami oddał ducha Bogu. (*Wspomnienia Marcina Zaleskiego, 1830—1873,* Lwów 1893, str. 250 i nast.).

Wspomniany w tekście marszałek Teodor Bóbr-Piotrowicki był mężem Joanny z Moszkowskich Bobrowej, znanej z biografii Z. Krasińskiego i J. Słowackiego.

Do str. 171: Alfons Kozieł-Poklewski...

Znakomity przedsiębiorca i spekulant syberyjski; olbrzymia fortuna jakiej się ten obrotny Litwin, wychowanek uniwersytetu wileńskiego, dorobił, zjednało mu miano „królika syberyjskiego". Wszyscy zesłańcy chwalą jego uczynność i ofiarną pomoc. Por. Janik M., *Dzieje Polaków na Syberji.* Kraków 1928 (s. v.).

Do str. 172: ...gubernator Aleksander Despot-Zenowicz...

Była to jedna z najpiękniejszych postaci w dziejach Syberii. Spasowicz nazywa go Harun-al- Raszydem Sybiru. Urodzony w r. 1829 ze starego rodu litewskiego ukończył gimnazjum w Wilnie, prawo w Moskwie, wskutek intryg ministra Orłowa zesłany na Sybir do Tiumenia. Tu piastował kolejno coraz odpowiedzialniejsze stanowiska w administracji. Po wykryciu milionowych kradzieży, uprawianych na komorze celnej, zostaje naczelnikiem miasta Kiachty i gubernatorem pogranicza Mongolii z rozległymi pełnomocnictwami. W r. 1861 mianowany gubernatorem tobolskim. W r. 1865 wezwany do Petersburga pod zarzutem że nadużywa swej władzy jako Polak, prześladuje Rosjan i prawosławie, nie powrócił więcej na Syberię, dla której jako administrator położył ogromne zasługi.

Szczegółowy życiorys Despot-Zenowicza napisał prof. J. Talko-Hryncewicz, który poświęca mu też wiele uwagi w swych pamiętnikach *Z przeżytych dni*, Warszawa 1930. Zob. również: Dybowski Benedykt, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*, Lwów 1913, str. 100—102.

Do str. 176: ...dr Felicjan Jachimowicz...

O znaczeniu leczniczym Limanów odeskich ogłosił dr F. J. rozprawę w czasopiśmie *Zdrowie* w nr 10—11 z r. 1880, i nieraz później o nich pisał. (Zob. Estreicher *Bibl. XIX w.*, 1881—1900, s. v.).

Do str. 189: Nie mogłem sprawdzić tej wiadomości (czy Julia Cyryna wyszła zamąż za Władysława Daniłowskiego?)...

Przypuszczenie autora jest słuszne. Władysław Daniłowski wywieziony w r. 1866 do Minusińska „po dwóch latach oczekiwania na księdza" ożenił się z Julią z Cyrynów. Po czterech latach pobytu pozwolono im w drodze łaski do Cywilska, w gub. kazańskiej, gdzie przyszli na świat dwaj synowie Bronisław, późniejszy lekarz i Gustaw, znany powieściopisarz. Władysław Daniłowski zmarł w Petersburgu w r. 1878, licząc lat 36. Por. Wład. Daniłowskiego *Notatki do pamiętników*, wydał Jan Czubek, Kraków, Akademia Umiejętności, 1908, str. XI.

Do str. 199: ...spotkałem ...mego kolegę z Instytutu wileńskiego, Jarosława Kossakowskiego...

Jarosław Kossakowski (1842—1889) adiutant Z. Sierakowskiego, którego uniósł rannego z pola bitwy pod Gudziszkami. Skazany, mimo niepełnoletności na karę śmierci, ułaskawiony, zesłany na 8 lat katorgi,

wrócił w r. 1871 do Warszawy. Por. *Pamiętniki* J. Gieysztora, wyd. T. Korzon, Wilno 1913, I, str. 387 i nast.

Do str. 200: ...przeniesiono nas do tzw. Kazionnej Pałaty.

Opis tego więzienia znaleźć można m. i.: Dybowski Benedykt, *Pamiętnik od r. 1862 zacząwszy od r. 1878*, Lwów, Ossolineum, 1930, str. 63; Czernik Wandalin, *Pamiętnik Weterana 1864 r.*, Wilno, J. Zawadzki, 1914, str. 28.

Do str. 201: Przybyłem już po powstaniu zabajkalskiem, w tydzień może po rozstrzelaniu Szaramowicza...

Epizodu powstania zabajkalskiego nie opracowano dotychczas wyczerpująco. Najobszerniejsza relacja pamiętnikarska: Z. (Odrzywolski), *Powstanie nad Bajkałem i sprawa kazańska*, (Lwów, Księgarnia Polska, 1878). Gustaw Szaramowicz, ur. w r. 1836 w Żytomierzu, Narcyz Celiński, porucznik saperów na Kaukazie, skazany za udział w powstaniu na 12 lat katorgi, Władysław Kotkowski, aplikant urzędu celnego w Lublinie, Jakób Reynert, syn lekarza w Lublinie, — rozstrzelani w Irkucku 27 listopada 1866. Zob.: Janik M., *Dzieje Polaków na Syberji*, Kraków 1928, str. 317 sq.; Dybowski Benedykt, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*, Lwów 1913, str. 74; tenże, *Pamiętnik*, Lwów 1930, str. 312.

Do str. 205: ...gdy wyszedł do nas Aleksander Oskierko...

Bliższe szczegóły o staroście Oskierce podają wygnańcy w swych pamiętnikach: Lasocki (II, 152), Gieysztor (I, 240, 301 sq), Iwański Aug. (81, 191, 200).

Do str. 209: ...Roman Bniński...

Roman hr. Bniński wraz z żoną, Sobańską z domu „oboje wielkiej zacności ludzie", zaświadcza Lasocki (II, 138), a Giller, zwykle oszczędny w komplementach dodaje: „znakomitej popularności i zacności Bniński należał do zarządu Towarzystwem Usolskim. Żona jego, będąc już w Usolu, była pociągnięta pod śledztwo i sąd za sprawy krajowe. Aresztowana była w domu, tak że w jej sieniach stał żołnierz i wszędzie jej towarzyszył" (Giller A., *Spis Polaków w Usolu w ciężkich robotach*, nr 3). „Bniński — wspomina inny zesłaniec — żył na pańskiej stopie, nikogo z Moskali u siebie nie przyjmował, natomiast najserdeczniej witał każdego chłopka polskiego" (Janik, *Dzieje Polaków*, 339).

Do str. 209: ...Zygmunt Krasicki z Omelna...

Pisze Giller: „Miał ze sobą żonę, trudnił się handlem, żona robiła pierniki, kwas; w drodze towarzysząc mu po etapach odmroziła palce. W Irkucku także się handlem zajmował, teraz (1872) jest w Samarze" (*Spis Polaków* etc., nr 73).

Do str. 209: Wacław Lasocki, mój dawny kolega z Kijowa...

Wacław Lasocki opisał swój pobyt na Sybirze, oraz młodość kijowską w dwutomowych *Wspomnieniach* wydanych nakładem gminy miasta

Krakowa w 2 tomach, Kraków 1934—1937, przez dra Michała Janika i dyr. Feliksa Koperę.

Do str. 211: ...komendantem był pułk. Turow...

O humanitaryzmie i uczynności Turowa świadczą zgodnie wszyscy usolczycy: Iwański Aug., *Pamiętniki*, Warszawa 1928, str. 195—196; Wandalin Czernik, *Pamiętniki weterana 1864 r.*, Wilno 1914, str. 44, oraz Lasocki i T. Świętorzecki.

Do str. 213: ...zamieszkałem wspólnie z Julianem Kędrzyckim...

Kędrzycki, to postać godna uwagi, dotychczas nie uwzględniana w historii literatury. Podolanin, ukończył szkoły w Niemirowie, na uniwersytecie kijowskim rozwija działalność budzicielską za pomocą wierszy ulotnych. Szczególnie popularny stał się jego anankreontyk: „Hej koledzy, precz frasunek". Lasocki stwierdza, że „poezje Kędrzyckiego przyczyniły się niemało do obudzenia gwałtownego i szalonego prawie ruchu między studentami kijowskiego uniwersytetu, ale ruch ten miał trwać rok zaledwie" (str. 167). Na zesłaniu w Usolu, kontynuował tę robotę. Lasocki daje w dodatku do swych wspomnień całą antologię utworów Kędrzyckiego. Są tam: „Treny syberyjskie", jest szereg drobnych bardzo zręcznych i ciętych wierszyków pod ogólną nazwą „Ussoliada". „Muza K-go posiadała niewyczerpane zasoby humoru i zjadliwego dowcipu, ale nie zawsze umiała zachować ...bezstronność, co mu wielu dotkniętych jego satyrą zarzucało". (Lasocki, t. II, str. 171).

Do str. 215: Potoccy z Wołynia zajęli się wyrobem rozmaitych wędlin...

Antoni Potocki, z Wołynia, herbu Lubicz, najpierw student kijowski, potem zesłany za udział w organizacji powiatu ostrogskiego na Wołyniu. Ożeniony był z Angielką, „wielkiej zacności kobietą. W Usolu prowadził życie bezczynne, nie pomagając w niczym zacnej swej żonie, która się zajęła wyrabianiem i sprzedażą wędlin". (Lasocki, II, str. 323). Później przenieśli się do Krasnojarska (Giller Ag. *Spis Polaków będących w Usolu w ciężkich robotach, Tygodnik wielkopolski*, 1872).

Do str. 215: Stołowałem się u niejakiego Makowskiego...

Jan Makowski, zesłany na Sybir za uwiezienie armat zdobytych przez powstańców w bitwie pod Zyżynem.

Do str. 217: ...tu muszę wspomnieć o Stan. Olendzkim...

Więcej szczegółów z życia O. Podaje T. Korzon w cennych przypisach do pamiętników J. Gieysztora (II, 260), wspomina go też Lasocki (II, 333). Zesłany do Usola za niezbyt zresztą energiczne organizowanie jednego z powiatów Litwy, ożenił się w Irkucku z Heleną Podgórską, po powrocie z wygnania gospodarował również bez powodzenia.

Do str. 217: ...ks. Ferdynand Stulgiński... Tajemniczy dla czynowników sybirskich tytuł dziekana pozwolił ks. Stulgińskiemu ukryć przed władzami godność kapłańską...

Lasocki twierdzi, że stało się to dzięki zamianie paszportu. Od tego czasu nosił się po szlachecku, z sumiastymi wąsami. U Jeleńskich odprawiał w sekrecie mszę św. Nazywano go Herkulesem, dzięki niezwykłej sile fizycznej, która znakomicie chroniła ubogie mienie skazańców od złodziei i napastników.

Do str. 218: ...zastałem w Usolu Michała Gruszeckiego z żoną...

Gruszecki rodem z Kodnia na Podlasiu, jako dwudziestokilkoletni dependent adwokata Kojsiewicza w Warszawie brał udział w spisku Ehrenberga i Wężyka, w związku ze sprawą Sz. Konarskiego. Zesłany do kopalń w Nerczyńsku przebył tam Gruszecki lat 19, po czym ułaskawiony wrócił do kraju. Mimo, że był po powrocie do kraju przeciwny ruchowi, powołano go do organizacji pow. żytomierskiego. Przychwycony dostał, jako recydywista, wyrok na ciężkie roboty, wraz z żoną, Michaliną z Micińskich znalazł się w Usolu. Po dziesięciu latach wrócił powtórnie do Polski, pracował jako dziennikarz w *Gazecie Polskiej*. Zmarł w r. 1892 w Żytomierzu.

Do str. 218: ...wierszyk Gustawa Ehrenberga na wyjazd Al. Krajewskiego z cytadeli warszawskiej...

Ehrenberg, nieślubny syn gen. Rautenstrauchowej i W. Ks. Konstantego wsławił się autorstwem pieśni *Gdy naród do boju wystąpił z orężem*, później za agitację patriotyczną i podburzanie ludu przeciw rządowi skazany na zesłanie do ciężkich robót, przesiedział na Syberii od r. 1839—1858. Zmarł w Krakowie w r. 1895.

Do str. 219: ...lepiej się poznałem z Rodrygiem Świętorzeckim, ...którego wspomnienia wydała p. Kowalewska...

Książka nosi tytuł *Ze wspomnień wygnańca*, Wilno, Zawadzki, 1912, wyd. drugie. Zarówno współwygnańcy jak krytyka naukowa wykazała szereg błędów i przeoczeń w tej beletryzacji.

Do str. 219: Z grodzieńskiego był ... Wojsiatycz.

Józef Wojsiatycz z rodziny węgierskiej, rządca majątku Kraśnik. Powrócił po wstąpieniu na tron Aleksandra III. Na wystawie irkuckiej otrzymał medal za model ula ramowego, zastosowany do klimatu Syberii. Por. Gieysztor I. 262, 415; Lasocki II. 335; Giller, *Spis Polaków będących w Usolu*, nr 197.

Do str. 220: ...Roman Rogiński...

Uczeń szkoły wojskowej w Cuneo, jeden z najruchliwszych partyzantów r. 63. Po sukcesach początkowych pod Niemirowem i Siemiatyczami podjął w lutym marsz na Litwę, ujęty w Turowie przez gen. Nostitza i ułaskawiony dzięki jego wstawiennictwu. Wrócił do kraju po

35 latach zesłania. A. Kraushar wydał fragment jego wspomnień: *Z Pamiętnika Romana* (Kraków 1898).

Do str. 220: ...Jakób Gieysztor...

Towarzysz wygnania i druh w umiłowaniach zbierackich Czetwertyńskiego, Jakób Gieysztor, skazany na 12 lat robót ciężkich znalazł się w Usolu w r. 1865. Pamiętniki Gieysztora, ogłoszone drukiem przez prof. Tadeusza Korzona nie obejmują wszakże pobytu w Usolu.

Do str. 221: Henryk Wohl, bardzo zasłużony patriota...

Żywot Wohla jest istotnie przykładem ofiarnej służby narodowi polskiemu, od młodzieńczych prac w organizacjach młodzieży (1856—7) poprzez udział w warsz. kole organizacji białej, do czynności w Wydziale Skarbu od lipca 1863. W grudniu zesłany, po trzech latach uzyskał prawo zamieszkania w Irkucku, do kraju wrócił w r. 1883 i pracował żarliwie na wielu polach.

Do str. 221: ...Aleksander Sochaczewski...

Zupełnie inny rodzaj usposobienia, niż Wohl, przedstawiał A. Sochaczewski. Artysta miernych uzdolnień obruszał wygnańców nadmiarem zarozumiałości. Nawet dobrotliwy Lasocki wytyka mu to. Do syta natomiast używa sobie na pyszałku Kędrzycki, zarzucając mu brak studiów artystycznych i pojęć estetycznych. Usilna praca po powrocie z Usola, bo zamierzył S. w cyklu obrazów zilustrować dzieje wygnańców syberyjskich — nie dała artystycznego rezultatu. Znaczny zbiór znajduje się w Galerii Narodowej miasta Lwowa. — Por. o nim: Lasocki, II, 186 i nast.; *Przewodnik po wystawie r. 1863*, Lwów, 1913, str. 66.

O b. wielu innych, nie objaśnionych tu osobach wygnańców usolskich można znaleźć bliższe wiadomości w pamiętnikach Wacława Lasockiego, Jakóba Gieysztora, Augusta Iwańskiego, Wandalina Czernika i w spisie wygnańców Gillera.

Do str. 224: ...wśród kryminalistów poznałem księżnę Trubecką...

Justynian Ruciński, zesłany na Syberię za udział w spisku Konarskiego, bawiąc przejazdem około roku 1841 a więc na ćwierć wieku przed Czetwertyńskim, widział również w Usolu Trubecką w towarzystwie ks. Wołkońskiej: „Ona pierwsza z księżną Trubecką w ślad za mężami przyleciały aż do nerczyńskich kopalń. W pierwszych chwilach obchodzono się z przestępcami stanu z niezmierną surowością. Biedne te panie, nawykłe do wygód i świetności, znosiły wiele upokorzeń, wiele moralnych i materialnych cierpień". *Konarszczyk (1838—1878)*, Lwów 1895, str. 66.

Do str. 238: ...Ostaszewski na Ukrainie...

Ostaszewski Spirydion, (1797—1875) krzemieńczanin, bardzo popularny wśród szlachty i ludu na kresach ukrainnych, pisarz i autor śred-

niego talentu, ogłaszający utwory w narzeczu ludowym, zbieracz podań i legend, które niepotrzebnie beletryzował na modłę gustu swej epoki.

Do str. 245: Mieszkała w Warszawie p. Julia Bobińska z domu Żelwietr...

Gaspar Żelwietr, szlachcic oszmiański, dorobił się w Petersburgu w pierwszych dziesiątkach 19 wieku, jako plenipotent i adwokat znacznej fortuny. Słynął jako amfitrion i szczodrobliwy opiekun Polaków nad Newą. Orłowski, znakomity malarz, bardzo go cenił. Jedynie Żelwietrowi rysował on do umyślnego albumu. St. Morawski, *W Peterburku, 1827—1838*, Poznań, str. 93 i 353.

Do str. 264: ...zaanonsowałem się wreszcie u hr. Caboga.

Sylwetkę tej zasłużonej filantropki i również opis wizyty u niej podaje Dębicki, *Portrety i Sylwetki z XIX stulecia*, t. II, Kraków 1906, str. 288—297.

Do str. 269: ...Warjanty Herbarza Paprockiego...

Ojciec heraldyki polskiej, Bartosz Paprocki, pod wpływem krytyki rodzin szlacheckich przedrukował karty niektóre swoich *Herbów* i wlepiał je w egzemplarze sobie dostępne. Są to tzw. warianty, przedmiot umiłowań bibliofilskich autora pamiętników, nie zostały one dotąd systematycznie opracowane. (Zob. Estreicher, *Bibliografia*, t. XXIV, str. 64).

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
36439/2